

Kerstin Gier

Trzecia księga snów



just dreaming

Media Rodzina

Kerstin Gier

Silver

Trzecia księga snów



Tłumaczyła
AGNIESZKA HOFMANN



Media Rodzina

Spis treści

1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 22. 23. 24. 25.
ZAŁĄCZNIK PODZIĘKOWANIA



Tytuł oryginału
SILBER. DAS DRITTE BUCH DER TRÄUME

Originally published as: Silber. Das dritte Buch der Träume
Copyright © S. Fischer Verlag GmbH, Frankfurt am Main 2015
Cover illustration by Eva Schöffmann-Davidov © Fischer Verlag GmbH,
Frankfurt am Main, 2016
Copyright © 2017 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.
All rights reserved

Opracowanie polskiej wersji okładki
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-310-3

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 60
mediarodzina@mediarodzina.pl
www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.

Wszystkim śniącym świata



*All that we see or seem
is but a dream within a dream.*

Edgar Allan Poe



– Porozmawiajmy o pani demonie. Czy w ciągu ostatniego tygodnia słyszała pani, jak do pani mówi?

Odchylił się, splótł dłonie na brzuchu i popatrzył na nią wyczekująco. Odwzajemniła spojrzenie tymi niezwykłymi turkusowymi oczami, które fascynowały go od samego początku. Jak wszystko w niej, właściwie. Anabel Scott niewątpliwie była najatrakcyjniejszą pacjentką, jaką kiedykolwiek leczył, ale to nie to go w niej intrygowało. Fascynacja ta wynikała raczej z faktu, że nadal, po tylu godzinach terapii jeszcze jej nie rozgryzł. Wciąż potrafiła go zaskakiwać i prowokować, czego nie cierpiał. Złościł się za każdym razem, kiedy udawało jej się wzbudzić w nim przekonanie, że to ona ma nad nim przewagę, choć przecież był lekarzem specjalistą ze stopniem doktora, a ona zaledwie osiemnastoletnią dziewczyną o znacznych zaburzeniach osobowości.

Dziś jednak sesja przebiegała całkiem dobrze. To on miał kontrolę nad wszystkim.

– To nie jest mój demon – odparła i przymknęła oczy. Jej rzęsy były tak długie, że rzucały cienie na policzki. – Ale nie, niczego nie słyszałam. Ani nie wyczuwałam.

– Dobrze, w takim razie upłynęło już, niech policzę, szesnaście tygodni, podczas których nie słyszała, nie widziała ani nie wyczuwała pani demona, zgadza się? – Celowo nadał swym słowom odrobinę wyniosłe brzmienie, wiedząc, że ją tym sprowokuje.

– Tak – powiedziała.

Podobał mu się ten jej pokorny ton. Pozwolił sobie na półuśmiech.

– Co pani zdaniem spowodowało, że halucynacje zniknęły?

– Może... – Przygryzła wargę.

– Tak? Proszę mówić głośniej.

Westchnęła i odgarnęła z twarzy jeden ze swych błyszczących, złotych pukli.

– Może to zasługa leków – przyznała.

– Słuszne spostrzeżenie.

Pochylił się, żeby sporządzić notatkę. Wymyślił na poczekaniu kilka skrótów: *A.k. ds. w, hr. przekr.* Wiedział, że pacjentka czyta jego zapiski do góry nogami i zastanawia się, co one, na Boga, mogą znaczyć. Z trudem udało mu się pohamować triumfalny uśmieszek. Tak, bez wątpienia obudziła w nim sadystyczną nutę i owszem, już dawno przestał zachowywać się w sposób profesjonalny. Ale było mu to obojętne. Anabel nie była zwyczajną pacjentką. Zależało mu na tym, żeby w końcu uznała jego kompetencje. W końcu był doktorem Ottonem Martensonem, który w przyszłości zostanie ordynatorem oddziału psychiatrycznego. W instytucie, w którym ona prawdopodobnie spędzi resztę swego życia.

– W terapii wielopostaciowej psychotycznej schizofrenii, jak w pani przypadku, leki są niezbędne – ciągnął, odchylając się i napawając wyrazem jej twarzy. – Jednakże nasza terapia obejmuje znacznie więcej. Odsłoniliśmy pani traumy z dzieciństwa i dokonaliśmy analizy przyczyn pani złudzeń pamięciowych.

– Była to spora przesada. Od ojca dziewczyny wiedział, że pierwsze trzy lata życia spędziła w podejrzanym sekcie odprawiającej rytuały czarnej magii, ale sama Anabel niczego nie pamiętała. Próby wydobywania wspomnień za pomocą hipnozy – metody, którą zastosował nielegalnie – również nie dały żadnego rezultatu. W rzeczywistości znajdowali się na tym samym etapie, co na początku terapii. Nie było nawet pewności, czy przyczyn zaburzeń psychotycznych Anabel rzeczywiście należało szukać w jej dzieciństwie. W ogóle, jeśli chodzi o tę pacjentkę, nie można było być niczego pewnym. Mniejsza o to, najważniejsze, że widziała w nim doświadczonego lekarza, który potrafił wejrzeć w jej wnętrze i któremu zawdzięczała wszystkie swoje przekonania. – Nareszcie jest pani gotowa zaakceptować, że demon istniał jedynie w pani fantazji.

– Niech pan go tak nie nazywa. – Odsunęła krzesło i wstała.

– Anabel! – zgromił ją surowo. A tak dobrze szło. – Nasza sesja jeszcze się nie skończyła.

– Ależ owszem, skończyła się, doktoru – odparła. – Zaraz zadzwoni mój budzik. Mam spotkanie z konsultantką do spraw studiów, którego w żadnym razie nie mogę przespać. Może się pan śmiać, ale rozważam pójście na medycynę, by specjalizować się w psychiatrii sądowej.

– Niech pani nie wygaduje bzdur, Anabel! – Ogarnęło go dziwne uczucie. Coś tu się nie zgadzało. Z nią. Z nim. Z tym pomieszczeniem. I dlaczego w powietrzu unosił się zapach perfum konwaliowych jego matki? Martenson, rozkojarzony, ujął pisak. Konsultantka do spraw studiów, co za absurd. Znajdowali

się na klinicznym oddziale zamkniętym, Anabel bez jego zezwolenia nie mogła nigdzie wyjść, nawet do parku. – Proszę natychmiast usiąść z powrotem. Wie pani, jakie są reguły. To ja kończę sesję, nikt inny.

Anabel uśmiechnęła się z politowaniem.

– Biedaczysko. Jeszcze się pan nie zorientował, że pańskie reguły nie są niczym więcej jak – jak pan to nazwał? – złudzeniem pamięciowym?

Poczuł, że brakuje mu powietrza. Coś tam było, jakaś myśl, głęboko zakopane wspomnienie, informacja, o której wiedział, że musi ją koniecznie wydobyć na powierzchnię. Ponieważ była ważna. Kwestia życia i śmierci. Tylko że po prostu nie potrafił do niej dotrzeć.

– Niech pan nie patrzy z takim zdumieniem. – Anabel była już przy drzwiach. Roześmiała się cicho. – Naprawdę muszę iść, ale w przyszłym tygodniu znów wpadnę w odwiedziny. Słowo. A na razie niech pan po prostu śni coś miłego.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zamknęła za sobą drzwi. Usłyszał oddalające się korytarzem kroki. Ta bestyjka dobrze wiedziała, że on się nie zniży do tego, by pobiec za nią i tym samym odkryć przed wszystkimi, że nie panuje nad swoją pacjentką. Ale to był ostatni raz, kiedy zagrała mu na nosie, nie zamierzał więcej pozwalać na to, by kończyła sesję wbrew jego woli. Następnym razem wezwie pielęgniarzy, może nawet każe ją unieruchomić. Wciąż istniały środki, po które jeszcze nie sięgnął.

Kiedy zamknął historię choroby Anabel i odłożył ją do szuflady, nadal czuł lekki zapach konwalii, który przypominał mu matkę. I przez króciutką chwilę wydawało mu się nawet, że słyszy ją, jak szlochając, woła go po imieniu.

Po chwili jednak i jedno, i drugie wrażenie zniknęło i wszystko było jak zawsze.

===ag44AWRUMQQ3AzoMaQ8/XD4HYIZkATMHY1VgUGADMIE=



1.

Na deser był budyń z tapioki, ale ja i bez tego nie miałam apetytu. Wystarczyła sama sprawa z Rasmusem.

– Nie jesz tego, Liv? – Grayson wskazał ręką białawą, szklistą i trzęsącą się jak galareta masę. Swoją porcję grudkowego kleiku z kompotem ananasowym już pochłonął.

Podsunęłam mu miseczkę.

– Nie, możesz zjeść, jeśli chcesz. Kolejny element brytyjskiej tradycji, na którego czar jestem niestety odporna.

– Ignorantka – skwitował Grayson z pełną buzią. Henry roześmiał się.

Był wtorek, początek marca, i słońce przeświecało przez wysokie po sam sufit, niedokładnie umyte okna szkolnej stołówki. Wyczarowywało delikatny pasiasty deseń na ścianach i twarzach, zanurzając wszystko w ciepłym świetle. Wmawiałam sobie nawet, że czuję w powietrzu zapach wiosny, ale może to był tylko duży bukiet narcyzów na stole nauczycieli, przy którym właśnie usiadła ucząca francuskiego pani Lawrence. Wyglądała, jakby miała za sobą jeszcze gorszą noc niż moja.

W powietrzu czuć było zatem wiosnę, a nam z Graysonem i Henrym udało się zająć nasz ulubiony słoneczny stolik w rogu niedaleko wyjścia. W dodatku właśnie się dowiedziałam, że jutrzejszy sprawdzian z historii został odwołany. Krótko mówiąc, powinnam mieć świetne samopoczucie, ale tak nie było z powodu wspomnianej sprawy z Rasmusem, która leżała mi na sercu.

– Budyń z tapioki czasem występuje w wersji smacznej. – Henry, który przewidująco nie wziął deseru, uśmiechnął się do mnie, więc na kilka sekund zapomniałam o problemach i odwzajemniłam uśmiech. Może jednak wszystko dobrze się skończy. Jak mawiała Lottie? „Nie ma problemów, są tylko wyzwania”.

Właśnie. Jakże nudne byłoby życie bez wyzwań! Mimo to wcale nie potrzebowałam dokładać do sterty trudności, którym i tak musiałam sprostać, kolejnej. Niestety, właśnie to zrobiłam.

Wszystko zaczęło się przedwczoraj wieczorem, a ja wciąż nie miałam pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Henry i Grayson uczyli się do testu z matmy, a kiedy skończyli, Henry, wychodząc, wpadł do mnie, żeby powiedzieć mi dobranoc. Było już późno, w domu od dawna panował spokój, nawet Grayson myślał, że Henry sobie poszedł.

Prawdę mówiąc, trochę mnie zaskoczył jego widok, nie tylko ze względu na nocną porę, ale także dlatego, że nie zdołaliśmy jeszcze zdefiniować na nowo naszego związku i oficjalnie zmienić statusu z „po nieszczęśliwym rozstaniu” na „szczęśliwie pogodzeni”. Wprawdzie w ostatnich tygodniach milcząco przeszliśmy do tego, by trzymać się za ręce, a kilka razy nawet się pocałowaliśmy, można więc było odnieść wrażenie, że wszystko jest jak dawniej albo przynajmniej na najlepszej drodze ku temu – tak jednak nie było. Wydarzenia ostatnich miesięcy, a także to, co Grayson opowiedział mi o życiu miłosnym Henry’ego z okresu, zanim się poznaliśmy, pozostawiły po sobie ślad. Konkretnie przyprawiły mnie o trwały kompleks niższości z powodu mojego braku doświadczenia w dziedzinie seksu (albo, jak mawiała mama, mojego „niedorozwoju”).

Gdyby nie fakt, że czułam się taka szczęśliwa z powodu naszego ponownego zejścia się, być może zadałabym sobie trud, by dokładniej przeanalizować te tkwiące pod warstewką szczęścia i zakochania zadry, a gdybym to zrobiła, to może nigdy nie doszłoby do tej sprawy z Rasmusem.

A tak sama wycięłam sobie niezły numer.

Kiedy Henry wetknął głowę do pokoju, zamierzałam właśnie nałożyć na zęby nową szynę odciążającą. Mój dentysta alias Charles Spencer stwierdził bowiem, że we śnie zgrzytam zębami (w co natychmiast uwierzyłam), nakładka zaś miała zapobiec nocnemu ścieraniu szkliwa. Nie potrafiłam ocenić, czy szyna spełniała swoją funkcję, przede wszystkim jednak wywoływała ślinotok, dlatego nazywałam ją „plujką”.

Na widok Henry’ego natychmiast dyskretnie wsunęłam aparat w szparę

między ramą łóżka a materacem. Wystarczyło już, że spodnie mojej piżamy kompletnie nie pasowały do góry, a całość też nie wyglądała zbyt twarzowo, chociaż Henry utrzymywał, że flanela w kratę jest szalenie seksowna. Z tego wszystkiego go pocałowałam, niejako w nagrodę za miły komplement, i tak, od pocałunku do pocałunku, który tym razem trwał nieco dłużej, w końcu (w tym czasie zatraciłam ciut poczucie czasu i przestrzeni) znaleźliśmy się na łóżku, szepcząc do siebie słowa przypominające teksty kiczowatych piosenek, które w moich uszach wcale nie brzmiały banalnie.

Status naszego związku ewoluował zatem w kierunku „szczęśliwie zakochani”, ja zaś coraz bardziej byłam skłonna uwierzyć, że w kraciastej flaneli wyglądałam szalenie seksownie.

I wtedy Henry zastygł w pół ruchu, odgarnął mi z czoła kosmyk włosów i zapewnił mnie, że nie muszę się bać.

– Czego nie muszę się bać? – zapytałam, oszołomiona lekko po tych wszystkich pocałunkach. Potrzebowałam kilku sekund, by zdać sobie sprawę, że to się działo w prawdziwym życiu, a nie jak zazwyczaj we śnie, gdzie nikt nie mógł nam przeszkodzić. I to pewnie dlatego wszystko odczuwało się o wiele intensywniej niż zwykle.

Henry podparł się na łokciu.

– No wiesz. Tego, że to się dzieje za szybko. Że w jakiś sposób mógłbym wymagać od ciebie zbyt wiele. Albo że będę cię nakłaniał do czegoś, na co nie jesteś jeszcze gotowa. Naprawdę możemy czekać na twój pierwszy raz tak długo, jak tylko zechcesz.

No i wtedy to się stało. Dzisiaj, w jasno oświetlonej stołówce, nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć... To znaczy potrafiłam, ale to w najmniejszym stopniu nie poprawiało sytuacji. W każdym razie wszystko stało się przez słowa, jakich użył Henry. Ten cholerny „pierwszy raz”.

Było to hasło, które z miejsca wywoływało u mnie kompleks niższości. A ten nie występował sam, tylko w towarzystwie dobrej koleżanki: urażonej dumy. Oba te odczucia wynikały z mojego przekonania, że Henry traktował mnie z politowaniem z powodu mojego niedoświadczenia. W każdym razie jego spojrzenia przepełnione były czasem współczuciem.

Na przykład teraz.

– Och. Myślisz, że ja jeszcze nigdy nie spałam... z chłopakiem? – Usiadłam i owinęłam się ciasniej kołdrą. – Ach, rozumiem. – Roześmiałam się lekko. – Wzięłeś na serio ten cały pic z dziewictwem podczas waszej zabawy w demona, tak?

– Ekhem... tak. – Henry również usiadł.

– Ale ja powiedziałam tak wtedy tylko po to, żebyście mnie przyjęli. – Urażona duma kazała mi mówić rzeczy, które później, po wszystkim, wprawiały

mnie w takie samo zdumienie jak Henry'ego. Tymczasem silny kompleks niższości nabierał mocy.

Konsternacja, która pojawiła się na twarzy Henry'ego, oraz sposób, w jaki uniósł brew, od razu mi się spodobały. Politowanie zniknęło bez śladu.

– Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy – paplałam. Niewiele brakowało, a zapomniałabym, że łączę jak najęta, tak przekonująco brzmiały moje słowa. – Oczywiście nie miałam tylu chłopaków, ile ty dziewczyn, ale... tak... był jeden chłopak, z którym byłam. W Pretorii.

Ponieważ Henry milczał, patrząc na mnie wyczekująco, ciągnęłam dalej.

– To nie była żadna wielka miłość ani nic w tym stylu, chodziliśmy ze sobą tylko trzy miesiące, ale seks z nim był... – W tym momencie urażona duma (flądra jedna) ulotniła się nagle, a ja mogłam liczyć wyłącznie na siebie.

I natychmiast zapalałam do siebie wielką nienawiścią. Dlaczego to robiłam? Zamiast skorzystać z okazji do szczerzej rozmowy, wszystko tylko pogarszałam. W dodatku zaczerwieniłam się jak burak, ponieważ nie byłam w stanie dokończyć zdania. „Seks z nim był...” Halo? Dopiero teraz spostrzegłam, z jaką intensywnością Henry patrzył mi w oczy.

– ...całkiem OK – wymamrotałam ostatkiem sił.

– OK – powtórzył przeciągle Henry. – A jak... się nazywał... ten chłopak?

No właśnie, jak on się nazywał, ty cholerna urażona dumo? Coś takiego wymyślało się zawczasu! Im dłużej się wahasz, zanim skłamiesz, tym gorzej to robisz, każde dziecko to wie.

– Rasmus – wypaliłam naprędce. Było to pierwsze z brzegu imię, jakie przyszło mi do głowy, kiedy pomyślałam o RPA. Okazało się, że mimo wszystko potrafiłam dobrze łączyć.

Tak się wabił cierpiący na astmę chow-chow naszych sąsiadów, którym czasem się zajmowałam. Płacono mi sto randów za godzinę, bym wyprowadzała jego, mopsa zwanego Sir Barks Alot i naszą suczkę, Buttercup.

– Rasmus – powtórzył Henry, a ja z ulgą skinęłam głową. Całkiem dobre imię. Dla wyimaginowanych byłych chłopaków można wymyślić gorsze. Sir Barks Alot, na przykład.

Ku mojemu zdumieniu Henry zmienił temat, choć ja już wewnętrznie przygotowałam się na przesłuchanie. Dokładniej rzecz biorąc, nie zmienił tematu, tylko znowu zaczął mnie całować. Jakby chciał mi udowodnić, że potrafi to robić o wiele lepiej niż Rasmus. A potrafił, nawet gdyby Rasmus istniał naprawdę – żaden Rasmus na świecie nie całował lepiej niż Henry, mogłam się założyć o cokolwiek.

Wszystko to wydarzyło się dwa dni temu i od tamtej pory nie wspominaliśmy o moim wymyślonym ekschłopaku ani słowem. Mój kompleks niższości miał wprawdzie tę krótką chwilę triumfu, ale na dłuższą metę kłamstwo

rasmusowe nie było dobrą terapią. I dlatego we wtorkowe przedpołudnie na myśl o budyniu z tapioki i uśmiechu Henry'ego ścisnął mi się żołądek.

Grayson zdążył w tym czasie pożreć moją porcję i rozglądał się łakomym wzrokiem po stołówce, jakby spodziewał się zobaczyć dobrą wróżkę, która przyleci do naszego stolika, by zaproponować więcej miseczek z budyniem.

Zamiast dobrej wróżki z furkotem przemknęła obok nas Emily, obrzucając Graysona spojrzeniem definitywnie wymagającym pozwolenia na broń. Omal nie wpadła przy tym na biednego pana Vanhagena, który salwował się odważnym skokiem w stronę stolika nauczycieli, podczas gdy Emily kontynuowała swój przemarsz do miejsca wydawania posiłków, gdzie czekała już na nią siostra Graysona, Florence.

Emily od kilku tygodni była eksdziewczyną Graysona i z wielkim trudem dźwigała ów przedrostek „eks”. Podziwiałam Graysona za stoicki spokój, z jakim mierzył się z Emily. Teraz również tylko się uśmiechnął.

– Myślałem, że już na angielskim zaliczyłem dzisiejszą porcję wzgardliwych spojrzeń.

– Chyba zwiększyła dawkę. – Henry nachylił się, żeby lepiej widzieć obie dziewczyny. – Nie potrafię wprawdzie czytać z ust jak profesjonalista, ale jestem pewien, że właśnie opowiada twojej siostrze, o czym śniłeś dziś w nocy. Czekaj... Króliczki? Serio?

Ponieważ wręczanie Graysona zawsze było zabawne i w dodatku odwracało uwagę od moich własnych problemów, natychmiast podjęłam wątek.

– Och, to ten sen z puchatymi króliczkami? Ciekawe, jakie wnioski wyciągnie z tego Emily.

Grayson odłożył łyżeczkę i posłał nam łagodny uśmiech.

– Ile razy mam wam jeszcze powtarzać, że się mylicie? Emily nic nie wie o korytarzu. Poza tym nigdy w życiu nie szpiegowałyby ludzi w ich snach. Jest na to zbyt rozsądna i racjonalna.

Raczej pozbawiona fantazji, ale tego nie mogłam powiedzieć, bo Grayson kontynuował:

– Nie rozumiem, dlaczego wy ciągle o tym. Przecież już od tygodni absolutnie nic się nie wydarzyło. Cała ta sprawa skończyła się raz na zawsze.

Jak zwykle, kiedy tak mówił – a mówił dość często, prawdopodobnie po to, by przekonać samego siebie – jakaś cząstka mnie (ta dobrodusznna i łaknąca harmonii) życzyła sobie, aby miał rację. I była to prawda: w sennych korytarzach od dłuższego czasu panowała spokojna atmosfera.

– Arthur wziął sobie do serca nauczkę. Zostawi nas w spokoju – oznajmił z naciskiem Grayson, a dobrodusznne i łaknące harmonii głosy w mojej głowie uderzyły w te same tony: Właśnie! Nie trzeba zawsze zakładać najgorszego! Ludzie się zmieniają. I w każdym tkwi odrobina dobra. Nawet w Arthurze.

– Jasne, Grayson. – Henry drwiąco zmarszczył czoło. – I na pewno już dawno ci wybaczył, że się do niego włamałeś i sprawiłeś mu łomot, kiedy spał. Pocziwa dusza.

Arthur siedział całkiem niedaleko nas, tuż za stolikiem nauczycieli, przy którym pan Vanhagen z ożywieniem rozmawiał z dyrektorką Cook, podczas gdy niewyspana pani Lawrence sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała zanurzyć głowę w zupie. Śmiał się z czegoś, co powiedział Gabriel, prezentując przy tym swe perfekcyjne uzębienie. Po obrażeniach zadanych mu przez Graysona nie został nawet ślad, twarz Arthura była jak zwykle anielsko piękna. Wyglądał na wyluzowanego i pewnego siebie. Natychmiast pożałowałam, że popatrzyłam w jego kierunku. Jego widok wciąż wzbudzał we mnie wściekłość. W dodatku wkurzało mnie, że inni nie mieli pojęcia, z kim siedzieli przy jednym stole.

– Może i ma mi jeszcze trochę za złe – przyznał Grayson. – Ale jest wystarczająco inteligentny, żeby wiedzieć, kiedy odpuścić. – Energicznie pozbierał swoje rozliczne miseczki i talerze. – Gdybyście wreszcie przestali we śnie wychodzić przez drzwi, których właściwie w ogóle nie powinno być, nikt nie poświęciłby temu nawet jednej myśli. – Najwyraźniej denerwował go wyraz powątpiewania na naszych twarzach, odwrócił bowiem wzrok, ale z przekornie wysuniętym podbródkiem dodał jeszcze: – Wszystko jest w najlepszym porządku.

Łaknące harmonii i dobroduszne głosy ostatecznie umilkły.

– Jasne, wszystko jest w najlepszym porządku. – Spiorunowałam Graysona spojrzeniem. – Nie licząc kilku drobiażdżków, na przykład faktu, że Arthur poprzysiągł dozgonną zemstę po tym, jak nie udało mu się zamordować mojej młodszej siostry. Albo tego, że krwiożercza Anabel wprowadziła swojego psychiatrę w upiorny stan wiecznej śpiączki i chodzi sobie na wolności. Albo tego, że twoja bardzo rozsądna i moralnie nieskazitelna eksdziewczyna zakrada się nocą do twoich snów. Ale co tam, to tylko drobiażdżki. Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Przecież to nieprawda. – Chociaż w swojej przemowie wspomniałam zaledwie o ułamku naszych problemów, Grayson wyłowił z niej stosunkowo niewinne słowo „eksdziewczyna”. – A nawet gdyby, biorąc pod uwagę ten zupełnie nieprawdopodobny przypadek, że rzeczywiście widzieliście na korytarzu Emily, to był to jeden jedyny raz. – Cisnął brudną łyżkę na stertę misek na tacy. – Pomijając fakt, że ona na bank nie jest zainteresowana moimi snami, to nie zdołałaby pokonać moich najnowszych zabezpieczeń. Zresztą wy też nie – dodał z ponurą nutą w głosie.

– Ojej, czyżby Straszliwy Freddy... – zaczęłam. Chciałam dokończyć „kazał sylabizować wspaniałemu «budyń tapiokowy»?”, urwałam jednak, bo w tym momencie pani Lawrence zerwała się z miejsca i wskoczyła na stół.

A my zdaliśmy sobie sprawę, że cały czas byliśmy jak ludzie, którzy

urządzają sobie piknik na zboczu wulkanu i wiedzą wprawdzie, że wulkan w każdej chwili może wybuchnąć, rozmawiają i kłócą się o to, jakie to strasznie niebezpieczne, ale dopiero kiedy ziemia pod nimi zaczyna się trząść, a lava tryska w niebo, dociera do nich, że sytuacja jest naprawdę poważna. I że przegapili moment, w którym mogli się jeszcze uratować.

Pani od francuskiego przewróciła kilka szklanek, czym natychmiast zwróciła na siebie uwagę. Paru nauczycieli, oblanych sokiem lub wodą, zerwało się z krzeseł, dyrektorka Cook przytomnie uratowała wazon z narcyzami, a uczniowie wokół zaczęli szeptać.

Pani Lawrence miała koło czterdziestki, wąską twarz, ciemne włosy i długą, subtelną szyję, przez co przypominała mi tę francuską aktorkę z bujną grzywką, Sophie jakąśtam. Nosiła z upodobaniem jasne bluzki, garsonki w stylu Coco Chanel i buty na obcasach, w których potrafiła poruszać się z niezwykłą szybkością. Włosy upinała w bardzo elegancki sposób i kiedy nie odrobiło się lekcji, przesywała człowieka srogim spojrzeniem. Właściwie odpowiadała wszelkim stereotypowym wyobrażeniom o nauczycielkach francuskiego. Zawsze odnosiliśmy wrażenie, że dyrektorka Cook nie zatrudniła jej, tylko zaangażowała ją bezpośrednio z planu jakiegoś filmu.

W tej chwili jednak jej wizerunek doznawał wielkiego uszczerbku. Nauczycielka, nie zwracając uwagi na zamieszanie wokół siebie, stała na stole pośród brudnych naczyń i poprzewracanych szklanek, rozkładając ramiona w teatralnym geście.

Pomyślałam, że zaraz wygłosi przemowę jak w *Stowarzyszeniu Umarłych Poetów* i zadeklamuje wiersz Whitmana, co byłoby dość dziwne, zważywszy na wykładany przez nią przedmiot, ale niestety myliłam się.

– Jak zapewne wiecie, ponieważ można było o tym przeczytać na blogu tej anonimowej zdziry Secrecy, obecny tutaj Giles Vanhagen i ja przez ostatnie dwa lata mieliśmy romans – powiedziała swym dźwięcznym głosem, który nie tylko u piątoklasistów wywoływał dreszcz strachu. Pan Vanhagen, który właśnie próbował osuszyć serwetką rozlaną zawartość szklanek, zamarł i pobladł śmiertelnie.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Romans – powtórzyła pani Lawrence i wzdorliwie wygięła usta w podkówkę. – Nie cierpię tego słowa. Sprawia, że to wszystko staje się plugawe, nędzne i godne pogardy, podczas gdy ja czułam, że jest czyste, cudowne i słodkie. Byłam taka zakochana, taka szczęśliwa i taka pewna, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Po wszystkim zdałam sobie sprawę z faktu, że w pomieszczeniu pełnym niegrzeszących raczej wielką wrażliwością nastolatków w okresie dojrzewania nikt nie zaczął chichotać, rechotać ani nie wyciągnął komórki, by uwiecznić ten

moment. Nie, spoglądałam wyłącznie na zaszokowane i osłupiałe twarze. I nikt się nie poruszał. W tak czcigodnej instytucji jak Frognał Academy for Boys and Girls z całą pewnością nigdy wcześniej nie widziano nauczyciela na stole. Jeśli w ogóle zdarzały się przypadki postradania rozumu, to odbywało się to dyskretnie i za zamkniętymi drzwiami.

– Wierzyłam, kiedy przysięgał, że rozstanie się z żoną – ciągnęła pani Lawrence. Wycelowała drżący palec w pana Vanhagena, który przeżywał rozterki, czy lepiej będzie schować się pod stołem, czy może puścić się sprintem w kierunku wyjścia.

– Powinna była wiedzieć! – Pani Lawrence obróciła się na pięcie, przewracając kolejną szklankę. – Mężczyznom nie wolno ufać, nigdy, słyszycie, dziewczęta? Chcą tylko skraść wam serce, by je następnie podeptać! – Popatrzyła wokół. – Udowodnić wam? – zawołała. – Pokazać wam, co zrobił z moim sercem?

Było to bez wątpienia pytanie retoryczne, na które nie oczekiwała odpowiedzi, chociaż zdecydowane „nie” albo celny strzał wymierzony w jej głowę może zdołałyby zapobiec katastrofie. Ale wszyscy byliśmy zbyt wstrząśnięci.

Pani Lawrence powoli, bardzo powoli rozpięła chanelowski żakiet, zsunęła go z ramion i zrzuciła na sałatkę pana Danielsa. Następnie, jeden po drugim, zaczęła rozpinać guziki bluzki.

– Przypatrzcie się dobrze – zawołała. – Pokażę wam, jak wyrwał mi serce z piersi.

Wstrzymałam oddech. Każdy z obecnych wstrzymał oddech. Jeszcze dwa guziki i wszyscy dowiedzą się, jaki kolor ma biustonosz pani Lawrence.

Jedynie dyrektorka znalazła w sobie siłę, aby ruszyć się z miejsca. Ostrożnie postawiła wazon z narcyzami na podłodze i wyciągnęła rękę.

– Christabel, moja droga! Proszę, niech pani zejdzie ze stołu.

Pani Lawrence popatrzyła na nią z irytacją.

– Moje serce – wymamrotała. – Muszę je im pokazać.

– Tak, wiem – zgodziła się dyrektorka lekko drżącym głosem. – Proszę! Chodźmy do mojego gabinetu.

– Gdzie...? – Pani Lawrence powoli opuściła rękę i popatrzyła po sobie. Obcas jej lewego buta tkwił w talerzu z zupą pana Vanhagena, a kiedy go z niej wyciągnęła, skapywał grochówką. – Co się stało? Jak ja się tu...? Czemu...? – Jej twarz wyrażała czyste przerażenie. Nauczycielka zachwiała się lekko. Jak ktoś, kto właśnie obudził się z głębokiego snu i nie wiedział, gdzie jest.

– Wszystko w porządku, Christabel – zapewniła ją dyrektorka. – Tylko musi pani zejść ze stołu. Andrew, zechce pan podać jej rękę?

– Dlaczego...? Kto...? – Pani Lawrence rozglądała się z przestrawieniem wokół, błędząc bezradnie wzrokiem po naszych twarzach.

Zupełnie jak Mia, kiedy lunatykowała, przemknęło mi przez głowę.

Poczułam falę mdłości i doznałam olśnienia. Pani Lawrence wcale nie zwariowała, a ten jej występ nie był przypadkowy. On został zainscenizowany specjalnie dla nas. Ktoś wykorzystał nauczycielkę jak marionetkę, by coś nam udowodnić.

To, że miał nad nami ogromną przewagę. I był co najmniej jeden krok dalej.

– To jest sen, prawda? – wydusiła pani Lawrence. – To musi być sen.

– Niestety nie – szepnęła jakaś dziewczyna za moimi plecami. Byłam pewna, że wszyscy tak samo jak ja współczują jękającej się i chwiejącej na nogach kobiecie.

Wszyscy. Oprócz jednej osoby.

Pan Daniels i wciąż blady jak trup pan Vanhagen pomogli pani Lawrence zejść ze stołu, a dyrektorka, otoczywszy ją ramieniem, wyprowadziła ze stołówki. Powoli odwróciłam głowę w stronę Arthura. Zupełnie jakby tylko na to czekał, bo inaczej niż zwykle przygwoździł mnie spojrzeniem swoich jasnych, niebieskich oczu. I w końcu przyciągnął wzrok Graysona i Henry'ego. Nie ulegało wątpliwości, że oni doszli do tego samego wniosku co ja.

Arthur się uśmiechnął. Nie był to nawet uśmiech triumfu, lecz odrażający uśmieszek zadowolenia. Podczas gdy wokół uczniowie otrząsali się z osłupienia i strumieniem wylewali z sali, on nieznacznie kiwnął głową w naszym kierunku.

– A to dopiero początek – wyszeptał, mijając nas kilka sekund później wraz z tłumem. – Spróbujcie to powtórzyć, jeśli potraficie.



2.

Henry ochłonął pierwszy.

– To tyle w temacie jego oczyszczonej duszy.

– Kurna – powiedział Grayson i schował twarz w dłoniach. W stołówce huczało jak w ulu.

– Jak on to zrobił? – zapytałam, a przerażenie w moim głosie napędzało mi dodatkowego strachu. – Jak zdołał zmanipulować we śnie panią Lawrence, żeby w ciągu dnia wlaźła na stół i tak po prostu zrujnowała sobie życie? – Wpatrywałam się w bałagan na stole nauczycieli.

Henry wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że to jakiś szczególnie perfidny rodzaj hipnozy. Wystarczyło mieć jej osobisty przedmiot i znaleźć właściwe drzwi.

– Tak, jakie to proste – zauważył ironicznie Grayson.

– Ale dlaczego biedna pani Lawrence? Co... – zamilkłam nagle, bo obok naszego stolika przepychał się do wyjścia brat Emily, Sam. Od czasu afery z Mr Snugglesem, gdy tylko mnie widział, rzucał w przelocie ciche „Wstydz się”, a ostatnio zwrócił się tak nawet do Graysona, dziś jednak był chyba zbyt wstrząśnięty, by o tym pamiętać. Zaczekałam, aż się oddali, i zapytałam raz jeszcze: – Dlaczego pani Lawrence? Co ona zrobiła Arthurowi?

– O ile wiem, nic. – Grayson czuł się tak samo bezradny jak ja. – Arthur skończył kurs francuskiego dwa lata temu.

– Przypuszczam, że to nic osobistego – powiedział Henry. W przeciwieństwie do Graysona nie wyglądał na przygnębionego, był tylko

dziwnie ożywiony. – Pewnie wybrał ją przypadkowo, do celów demonstracyjnych. Dla nas. – Rzucił okiem na zegarek. – Chodź, Grayson, mamy teraz dyskusję z panią Zabinski o kubofuturymie w rosyjskiej awangardzie.

Grayson westchnął i wziął kurtkę.

– Kurde, cały czas mam gęsią skórę. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek tak bardzo będę się bał Arthura. Mam wrażenie, że w porównaniu z nim wszyscy złoczyńcy świata to małe dzieci.

– Spójrz na to z pozytywnej strony – oznajmił Henry i poklepał go krzepiąco po ramieniu. – Przynajmniej wiemy już, dlaczego przez ostatnie tygodnie siedział cicho. Opracowywał sposób na to, jak przejąć władzę nad światem.

Choć ostatnie słowa miały być żartem, ani Grayson, ani ja jakoś nie potrafiliśmy się roześmiać.

– Jeśli Arthur potrafi manipulować ludźmi we śnie, by na jawie robili, co im każe, to ten pomysł z panowaniem nad światem wcale nie jest taki absurdalny – mruknęłam. – I nawet nie możemy nikogo ostrzec, bo prędzej znaleźlibyśmy się w wariatkowie, niż zdążylibyśmy powiedzieć „drzwi we śnie”.

– Taa. – Henry uśmiechnął się krzywo. – Szkoda tylko, że jedynie my możemy go powstrzymać.

– I nie mamy pojęcia jak – dodałam cicho.

– Ale... musimy przecież coś zrobić. – Grayson zdradzał oznaki silnej determinacji. – Spotkajmy się u nas w domu wieczorem po treningu. Potrzebujemy jakiegoś planu. – Wkładając kurtkę, przypomniał sobie o czymś i całe zdecydowanie odpłynęło z jego twarzy, ustępując miejsca czystej desperacji. – Co za gnojek! Ale sobie wybrał czas. Jak mamy uratować świat i jednocześnie pozdawać egzaminy końcowe?

Henry zaśmiał się krótko.

– Arthur ma ten sam problem. Nie wydaje mi się, żeby poświęcił egzaminy dla władzy nad światem.

Oby miał rację. Choć oczywiście do rządzenia światem niepotrzebne były świetne stopnie.

Na obu lekcjach po przerwie wałkowano tylko jeden temat: załamanie nerwowe pani Lawrence i jej „prawie striptiz”. Podobno dyrektorka odwiozła ją prosto do szpitala i zapewne nieprędko ją zobaczymy. Zajęcia z panem Vanhagenem również się nie odbyły. Może też doznał załamania nerwowego, tak w każdym razie przypuszczała moja przyjaciółka Persefona. Albo pojechał do domu do żony i zaczął szukać nowej pracy. Nie wiadomo, komu należałoby bardziej współczuć.

Kiedy po lekcjach szłam z moją młodszą siostrą Mią do domu, okazało się, że nawet młodsze roczniki znały już tę historię.

Mia oczywiście chciała poznać wszystkie szczegóły.

– Czy to prawda, że wytarzała się w grochówce i przez całą szkołę ciągnęła za sobą oślizgły ślad? – zapytała, ledwie opuściłyśmy szkolny dziedziniec.

Już miałam odpowiedzieć, gdy ktoś od tyłu otoczył mnie ramieniem. Odruchowo uniosłam pięści do góry.

– Tylko nie kung-fu. Przecież to ja! – Henry puścił mnie i ruszył obok nas. Wciąż miał podejrzanie dobry humor. Ale może tylko źle interpretowałam jego minę.

– Cześć, Mia! Fajna fryzura.

– Lottie nazywa ją „gniazdo Sissi”. – Mia złapała się za plecioną koronę upiętą na czubku głowy. – A my z Liv mówimy na to „kupa kompostu Sissi”.

– Bardzo praktyczna, zwłaszcza gdy nie wiadomo, co zrobić z jajkiem ze śniadania – zauważył Henry i chwycił mnie za rękę. – Przejdę się z wami kawałek, dobra? Dlaczego właściwie nie jedziecie autobusem?

– Bo słońce tak ładnie świeci. – Mia obrzuciła wzrokiem nasze splecione dłonie i zmarszczyła czoło. I nim zdążyła otworzyć usta i powiedzieć coś obciachowego („To w końcu jesteście znowu razem czy nie? A jeśli nie, to czemu trzymacie się za ręce?”), dodałam szybko: – Poza tym autobusem jeździ taki jeden chłopak z klasy Mii, który zwraca się do niej per Srebrnowłosa Księżniczko. Nazywa się Gil Walker. Wysyła jej listy miłosne i własne wiersze.

– To koszmar. – Henry roześmiał się, a ja usiłowałam nie patrzeć na dołeczki w kącikach jego ust, by nie myśleć o tym, jak to jest, kiedy się je całuje.

– To prawda. – Na szczęście udało mi się odwrócić uwagę Mii. – Wreszcie ktoś, kto nie uważa, że to słodkie i wzruszające. Lottie, mama i Liv utrzymują, że powinnam ostrożnie dobierać słowa, żeby nie zranić tego biednego chłopca.

– Więc bardzo delikatnie poinformowała go, że ma sobie znaleźć inną księżniczkę do adorowania – wyjaśniłam.

– Z małym uzupełnieniem, że inaczej wsadzę mu tę jego poezję tam, gdzie słońce nie dochodzi. – Mia prychnęła, kopiąc kamyczki na chodniku. – Niestety, ani trochę go to nie zniechęciło, tylko zainspirowało do napisania nowego wiersza.

W istocie. Nawet ja musiałam przyznać, że jazda autobusem nie należy do przyjemnych, jeśli ktoś tuż za twoimi plecami na cały głos szuka godnych rymów do „błękitnych oczu gwiazd” i „błyszczącego aparatu na zęby”.

– Zastanawialiśmy się z Mią, czy nie stworzyć antywiersza pod tytułem *Walker-stalker* – powiedziałam.

Dołeczki Henry’ego nie zniknęły.

– Ach, miłość! – wykrzyknął, wdychając teatralnie. – Każę nam robić najdziwniejsze rzeczy. A swoją drogą, Mia, pamiętasz może wasz pobyt w RPA i niejakiego Rasmusa?

Moja radość ulotniła się w jednej sekundzie.

– Rasmusa? – powtórzyła Mia.

O Boże. Tylko nie to. Ze strachu zeszytywniałam i stanęłam jak wryta. Tak to jest z kłamstwami, w końcu zawsze okazuje się, że mają krótkie nogi. Henry zaraz się dowie, że nie tylko wymyśliłam sobie swojego ekschłopaka, ale w dodatku że Rasmus był psem. A wtedy politowanie w jego spojrzeniu będzie bardziej niż uzasadnione.

– Rasmus? Masz na myśli Rasmusa Wakefieldów? – upewniła się Mia.

Nadal stałam jak słup soli, usiłując telepatycznie powiadomić ją, by trzymała gębę na kłódkę. Niestety, nie zadziało.

Mia i Henry przypatrywali mi się lekko zdeorientowani.

– Ekhem... Tak, Rasmusa Wakefieldów. Rasmus Wakefield – powiedziałam i pośpiesznie pokazałam palcem mijany ogródek frontowy. – Ach, patrzcie, jakie prześliczne żonkile.

Moja żalosna próba odwrócenia uwagi spełzła na niczym. Nie czekając na mnie, Henry i Mia odwrócili się i pomaszzerowali dalej. Bezradnie podążyłam za nimi wzrokiem.

– Więc jaki on był, ten Rasmus? – usłyszałam pytanie Henry'ego.

– Czemu chcesz to wiedzieć? – odpowiedziała podejrzliwie Mia.

– Ach, tak tylko pytam. Lubiłaś go?

Wreszcie udało mi się ruszyć z miejsca.

– Rasmusa? No pewnie – odparła Mia. – Był słodki. Może odrobinę namolny. Taki trochę zaborczy. Wakefieldowie totalnie go rozpieszczali.

O, nie! Proszę. Zaraz zaczniesz się rozwodzić na temat jego jezora.

– Namolny i zaborczy, tak? – Henry obejrzał się na mnie i uniósł brew.

– Zaczekajcie! – Wepchnęłam się między nich.

– Liv mówiła na niego „zapłuty łebek”, prawda, Livvy? Aua.

Spóźniłam się ze swym kuksańcem o sekundę. Z udawanym śmiechem wzięłam pod rękę Henry'ego i Mię.

– Nieprawda. Macie może coś miętowego?

Wszystko na próżno. Mia dalej nurzała się we wspomnieniach, a Henry... No cóż, wyraz jego twarzy jak zwykle był nieodgadniony.

– Mówiłaś, Livvy. Wymyślałaś na niego same głupie zdrobnienia, nie pamiętasz? Butter była o niego strasznie zazdrosna, podgryzała go w nogi, kiedy drapałaś go po brzuchu...

Dosyć tego!

– Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? – zawołałam, być może ciut zbyt gwałtownie. I dodałam nieco łagodniej: – Nie chcesz wiedzieć, jak to było z panią Lawrence, Mia? Henry i ja widzieliśmy wszystko na własne oczy.

Tym razem zadziało. Udało mi się odwrócić uwagę Mii i rozmowa o ekschłopaku, czy raczej o ekspsie została odroczone. Choć obawiałam się, że Henry wróci do niej przy najbliższej okazji.

Mia z zapartym tchem słuchała, jak pani Lawrence wdrapała się na stół i wygłosiła przemowę. I jak niewiele brakowało, a pokazałaby nam tę część ciała, z której pan Vanhagen wyrwał jej serce. Opowiadaliśmy z Henrym na zmianę, a Mia wzdychała ze współczuciem.

– To okropne, jak można oszaleć z miłości – powiedziała, kiedy opisaliśmy jej, jak dyrektorka wyprowadziła z sali kompletnie załamaną nauczycielkę. – Załamanie nerwowe przy tylu świadkach, człowiek już się z tego nie otrząśnie.

– To nie było załamanie nerwowe – orzekł Henry. – Ona nie zwariowała na skutek nieszczęśliwej miłości ani nie była pod wpływem narkotyków. Znajdowała się w całkiem podobnym stanie jak ty, kiedy lunatykowałaś i chciałaś wyskoczyć przez okno.

Popatrzyłam na niego przestraszona. Miałam nadzieję, że nie wyłuszczy jej na ulicy prawdy o Arthurze i snach.

– A ty nie musisz tu skręcić? – przerwałam mu trochę szorstko. W tej kwestii od wielu tygodni panowała między nami niezgoda: Henry był zdania, że powinniśmy wtajemniczyć Mię, chociażby po to, aby mogła sama się chronić, Grayson i ja byliśmy przeciwni. Miała przecież dopiero trzynaście lat, w dodatku i tak było już po sprawie. W tym czasie podświadomość Mii podjęła wystarczające środki (jej drzwi we śnie były zabezpieczone niczym Fort Knox), a Arthur miał na oku inne cele. Wiedza o tym, że wtargnął do jej snów i pchnął ku temu, aby lunatykując, robiła rzeczy, których o mały włos nie przypłaciła życiem, tylko niepotrzebnie zatrwożyłaby ją i skołowała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Mia wlepiła wzrok w Henry’ego.

On z kolei popatrzył na mnie i westchnął na widok mojej skamieniałej twarzy.

– O to najlepiej zapytaj siostrę. Rzeczywiście muszę tu skręcić. Ale miło było z wami pogawędzić. – Cmoknął mnie w policzek. – Widzimy się dziś wieczorem.

– On naprawdę uważa, że pani Lawrence lunatykowała? – zapytała Mia, podczas gdy ja odprowadzałam Henry’ego wzrokiem. Jego włosy jak zwykle sterczały dziko na wszystkie strony. Kiedyś sądziłam, że co rano mierzwi je specjalnie, by wyglądały tak fajnie, ale od jakiegoś czasu wiedziałam, że miał na głowie dokładnie czternaście wicherków, które załatwiały za niego tę robotę. Odszukałam każdy jeden z nich, głaskałam, i...

– To naprawdę okropne, co miłość wyprawia z ludźmi – zauważyła Mia.

– Tak. Biedna pani Lawrence – zgodziłam się z nią pośpiesznie.

– Nie mówię o pani Lawrence. – Mia wskoczyła na murek i balansując na nim, ruszyła do przodu. – Co jest właściwie między tobą i Henrym? Jesteście razem czy nie?

– Jesteśmy. W pewien sposób – mruknęłam z ulgą, że zmieniłyśmy temat. –

To znaczy, w sumie nie rozmawialiśmy o tym konkretnie. Jest jeszcze kilka spraw, które powinniśmy sobie wyjaśnić. A ja, idiotka... eee...

Mia westchnęła i zeskoczyła z powrotem na chodnik.

– Co zrobiłaś?

– ...zmyśliłam, że miałam kiedyś chłopaka. Z którym niby spałam.

Mia z przerażeniem popatrzyła na mnie z ukosa.

– Dlaczego?

– Żeby Henry nie myślał, że jest pierwszy. – Słowa te, wypowiedziane na głos, zabrzmiały jeszcze straszniej, niż sądziłam.

– Dlaczego? – zapytała znowu Mia.

– Bo... bo... – Jęknęłam. – Sama dobrze nie wiem. Tak po prostu wyszło. Jakbym to nie była ja, tylko jakaś wredna brzuchomówczyni, która wzięła i zaczęła gadać. A teraz Henry myśli, że miałam w RPA chłopaka. I uprawiałam z nim seks.

– Naprawdę nie chcę ciągle pytać „dlaczego”, ale nie mogę inaczej.

– Bo... On się zawsze tak litował... A potem była ta... Ach, i tak nie zrozumiesz.

– Zgadza się. Dobry Boże, spraw, żebym nigdy się nie zakochała ani nie wyczyniała rzeczy nie wiadomo dlaczego. – Mia wzięła mnie pod rękę. – No dobra, przynajmniej nie jest z wami nudno. Ciekawa jestem, w jaki sposób zamierzasz to wszystko odkręcić.

Tak. Ja też.

– I jeszcze jedno. Jeśli Henry będzie kiedykolwiek pytał o Rasmusa, to nie mów mu, że zawsze tak śmiesznie ziajał ani nic w tym stylu...

Mia przystanąła, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Ach, teraz łapię. To dlatego Henry tak bardzo interesował się tym tłuściochem Wakefieldów. – Rozchichotała się bez umiaru. – Ochrczyłaś swojego byłego imieniem Rasmus.

– To było pierwsze imię, jakie mi przyszło do głowy. – Powoli zaczęłam dostrzegać komizm całej tej sytuacji.

– O Boże, Livvy, tylko ty jesteś do tego zdolna. – Mia nie mogła złapać tchu ze śmiechu. – Rasmus Wakefield. Dobrze, że nie powiedziałam, że sikał pod każdą latarnią.

– Albo że strasznie cuchnął w deszczową pogodę.

– Albo że wył, kiedy grałaś na gitarze.

– I że utknął kiedyś w drzwiczkach dla kota.

Kiedy na horyzoncie pojawił się nasz podjazd, zataczałyśmy się jeszcze ze śmiechu i niewiele brakowało, a wpadłybyśmy na nieogolonego młodego faceta, który z trudem dźwigał dwa pudła, lampę i saksofon.

– Wprowadza się pan tutaj? – zapytała Mia, wskazując na sąsiedni dom.

Koleś kiwnął głową, co nie było łatwe, bo między najwyższym usytuowanym

puddem a podbródkiem chłopaka tkwiły dwie książki, które niebezpiecznie się rozjechały.

– O, to dobrze. – Mia uśmiechnęła się do niego radośnie. – Ludzie, którzy przedtem tu mieszkali, to straszni nudziarze. Ona codziennie zamiatała podjazd i cały czas pomstowała na kosy.

– Moja matka chorobliwie nie cierpi kosów. – Typ westchnął i książki wysunęły mu się spod podbródka.

– Ups – wyrwało się Mii.

Złapałam książki, zanim zdążyły spaść na ziemię. Jedna okazała się ciężkim tomiskiem zatytułowanym *Prawo procesowe*, druga zaczytanym wydaniem kieszonkowym *Hotelu New Hampshire* Johna Irvinga. Aha, student prawa o dobrym guście literackim.

– Popatrz no, wraca syn marnotrawny. – Obok nas zahamowała Florence na rowerze. Jak zwykle wyglądała wręcz powalająco, jej ubranie nie było ani trochę wymięte po długim dniu w szkole. Brązowe włosy miała upięte w koński ogon, z którego wysunął się jeden błyszczący kosmyk, wdzięcznie opadając na twarz. Patrząc na jej uroczy uśmiech, promienne oczy i słodkie dołeczki, nie chciało się wierzyć, by kiedykolwiek potrafiła powiedzieć lub zrobić coś przykrego. Wrażenie to było mylne. W ostatnim czasie Florence wręcz nieustannie była nie w humorze.

– Słyszałam, że twoja dziewczyna wyrzuciła cię z mieszkania – powiedziała do chłopaka z zarostem. – Twoja mama uważa, że to najwredniejsza żoźła na świecie. Ty też tak sądzisz?

– Druga pod względem wredności, zaraz po Trującym Bluszczu. – Chłopak również się uśmiechnął, prezentując przy tym piękne zęby. Nawet nie zauważył, że podałam mu książki. – Hej, Flo. Ale urosłaś.

Florence założyła kosmyk za ucho.

– Taa, czas nie stoi w miejscu, Matti. Na jesieni zaczynam studia. Uważaj, bo skończę prawo przed tobą. Słyszałam, że zawałiłeś kilka egzaminów. Twoja mama mówi, że to z powodu kłopotów sercowych przez żoźłę.

– Była żoźłą... – Każdy inny na jego miejscu zapadłby się pod ziemię ze wstydu, ale Matti nie wydawał się ani trochę zażenowany. Wyglądał raczej na kogoś, kto nawet z lampą pod pachą dobrze się czuje w swojej skórze. Mimo że musi znowu wprowadzić się do swojej mamy.

– Ciesz się, że się jej pozbyłeś, Matti. – Florence z przesadnym współczuciem poklepała go po ramieniu, przez co lampa zachybotwała się nieco. – Ona wszędzie rozpowiada o tobie kłamstwa. Że się rozstaliście, bo kręciłeś z jej najlepszą przyjaciółką. I siostrą najlepszej przyjaciółki. I że wolisz przesiadywać w klubach, zamiast uczyć się do egzaminów. I że przez ostatnie cztery miesiące nie dokładałeś się do czynszu ze względu na długi, których narobiłeś, kupując absurdalnie drogiego oldtimera, który ma maskę cztery razy dłuższą niż bagażnik.

Mniej więcej... nie, dokładnie takiego jak ten. – Pokazała na czerwony samochód zaparkowany przy krawężniku i rzeczywiście charakteryzujący się dość długą maską. – Bezczelna kłamczucha.

– To nie jest żaden oldtimer, tylko Morgan Plus 8, rocznik 2012 – objaśnił z dumą Matti. – Ojciec kumpla sprzedawał go po śmiesznie niskiej cenie, tylko idiota by nie skorzystał. Za karę muszę teraz przez kilka miesięcy mieszkać u starych i pozwalać podtykać sobie pod nos ulubione dania. Ale jakoś to przeżyję. Z takimi miłymi sąsiadkami. – Mrugnął porozumiewawczo do Florence. – Mama na pewno zachowała listy miłosne, które do mnie pisałaś. Może kiedyś usiądziemy razem i poczytamy?

Florence coraz trudniej było uśmiechać się z politowaniem.

– Miałam wtedy dwanaście lat – powiedziała i ruszyła przed siebie, pchając rower. Jej koński ogon podrygiwał wściekle.

Matti posłał za nią szeroki uśmiech.

– Mam wrażenie, jakby to było wczoraj – oznajmił, kiedy Florence zniknęła wraz z rowerem na naszym podjeździe, po czym zwrócił się do mnie i Mii: – A wy, kim jesteście?

My to dwie dziewczyny stojące z rozdziawionymi paszczami.

– Przyszłymi przyrodnimi siostrami Florence – poinformowała ochotczo Mia. – Ja jestem Mia, a to Liv. Też kiedyś nosiła aparat na zęby.

– Miło was poznać, dziewczyny. Jestem Matt. Koleś, który przez najbliższe miesiące będzie zamiatał podjazd i polował na kosy.

– Dobrze wiedzieć.

Położyłam *Prawo procesowe* na najwyższym pudle. Matt docisnął książkę podbródkiem i ruszył do domu.

– Dzięki. Na pewno się zobaczymy – rzucił przez ramię.

Było zaiste godne podziwu, że tak długo dzierżył w rękach pudła i lampę, nie mówiąc o saksofonie, który zaczął się już niebezpiecznie przechylać.

Mia przypomniała sobie coś jeszcze.

– Twoja mama naprawdę przechowuje listy miłosne od Florence? – zawołała za nim. – Nie odsprzedałbyś mi ich?

Matt roześmiał się.

– Czemu nie? Przyda się każdy pens.

– Nie patrz na mnie z takim wyrzutem – odezwała się Mia, kiedy wreszcie skręciłyśmy na podjazd domu Spencerów. – Te listy to na wszelki wypadek, jakby co.

– Na wypadek kariery szantażystki?

– Lepsza szantażystka niż złodziejka. Dobrze widziałam, że zwinęłaś książkę. Po co, tak właściwie?

– Ups. – Wyjęłam z za poły zakietu książkę Matta i przyglądałam się jej

z udawanym przerażeniem. – Tak, racja. *Hotel New Hampshire*. Chyba po prostu chciałam ją przeczytać.

Było to kłamstwo. Na regale stał nasz własny egzemplarz, nawet z autografem i osobistą dedykacją dla mamy. W rzeczywistości przyszło mi nagle do głowy, że podebranie Mattowi jakiegoś osobistego przedmiotu może okazać się przydatne. Nigdy nie wiadomo, czy kiedyś nie będzie potrzebne. A co może być bardziej osobistego niż zaczytana ulubiona książka?



Blog Frognal Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

3 marca

J'ai tremblé

tu as tremblé

il/elle a tremblé

nous avons tremblé

vous avez tremblé

ils/ells ont tremblé.

Oj tak, ile to razy trzęśliśmy się na zajęciach u pani Lawrence, kiedy kazała nam odmieniać czasowniki. I biada temu, kto się spóźnił. W pierwszym roku nauki sądziłam, że jej srogie *L'exactitude est la politesse des rois* oznacza „dokładnie jak policjant” i odnosi się zarówno do spóźnienia, jak i szkolnego uniformu. (W rzeczywistości zdanie to znaczy: „Punktualność jest grzecznością królów”; to dla tych, którzy wybrali hiszpański, na wypadek gdyby znów marudzili, że mój blog jest dla nich zbyt ambitny). Cóż, te czasy definitywnie się skończyły. Być może już nigdy więcej żaden uczeń nie będzie oblewał się potem na francuskim u pani Lawrence. Ostatnią lekcją, jakiej nam udzieliła, była, zdaje się, ta: „Nigdy nie zadawaj się z żonatym mężczyzną”. Bardzo przydatna wiedza. Może nawet

bardziej przydatna niż koniugacja czasowników nieregularnych. Chociaż raczej nikt z nas nie wyobraża sobie romansu z takim mężczyzną jak pan Vanhagen – nawet gdyby nie był żonaty. Prawda?

Tak czy siak, to, co wydarzyło się dziś w stołówce, jest straszne, tak bardzo, że nie zamieściłabym fotki z tego wydarzenia, nawet gdybym taką miała. Jestem to winna pani Lawrence, chociaż nazwała mnie anonimową zdzirą. Anonimowa zdzira coś pani powie, pani Lawrence: i tak była pani za dobra dla pana Vanhagena. Wyjdzie pani z tego, środki psychofarmakologiczne podobno działają dzisiaj cuda. Kto wie, może kiedyś wróci pani do Frognał? Albo spotka w szpitalu miłość swego życia i znajdzie swoje szczęście gdzie indziej. Jestem zdania, że zasługuje pani na nie. *Chaque chose en son temps*. (Sprawdźcie sobie, co to znaczy, językowi ignoranci, nie jestem waszą tłumaczką, tylko szkolną anonimową zdzirą).

À propos szkolnej zdziry: w porównaniu z dzisiejszym dramatem w stołówce wszystkie inne wieści oczywiście błędą. Dlatego w tym miejscu tylko ta najciekawsza: właśnie w tej chwili Jasper Grant znajduje się na promie między Calais a Dover. W zasadzie miał przebywać w tej francuskiej dziurze do końca trymestru, ale dziś konieczne okazało się odebranie go stamtąd przez ojca. Jasper został wydalony ze szkoły z powodu poważnego naruszenia regulaminu szkolnego, rodzina zaś, u której mieszkał, chciała pozbyć się go jak najszybciej. Najlepsze jednak jest to, że jutro o wszystko będziemy mogli wypytać go osobiście.

Ja ze swej strony bardzo się cieszę – naprawdę brakowało mi Jaspera.

Widzimy się

Wasza Secrecy

Tittletattleblog.wordpress.com

3.



– Czerwiec? Chyba nie w tym roku? – Starsza pani Spencer alias babcia Graysona i Florence alias Bestia w Ochrach alias osoba, która z zasady parkowała swojego bentleya na dwóch miejscach postojowych, czyli w skrócie Bochra, wpatrywała się w mamę z bezbrzeżnym przerażeniem. – Ależ to niewykonalne.

– Do ślubu zostało trzy i pół miesiąca. – Mama siedziała przy stole w kuchni nad stertą sprawdzianów. Zanim przyszła Bochra, odpoczywała z uniesionymi wyżej nogami i twarzą wystawioną do popołudniowego słońca. Roześmiała się wesoło jak skowronek. – My podchodzimy do tego na luzie.

– My? – Florence zmarszczyła nos. – Stanowczo odżegnuję się od tego „my”. – Chociaż oficjalnie uważała obecność Lottie w tym domu za zbędną, każdego popołudnia zaglądała do kuchni i podbierała jej wypieki. Dziś były to maleńkie babeczki jabłkowe z cynamonem, które smakowały tak samo wspaniale, jak pachniały. Florence ugryzła jedną i jej twarz mimowolnie przybrała na moment wyraz ekstazy. Spozstrzegła, że przypatrujemy jej się z Lottie, i dodała natychmiast, starając się, by w jej głosie nie było ani krztyny rozkoszy: – Grayson i ja w żadnym razie nie możemy wam pomóc w przygotowaniach, będziemy wystarczająco zajęci egzaminami. A w dodatku w czerwcu jest bal końcowy. Może naprawdę powinniście pomyśleć o przesunięciu terminu. Na jesień. Albo na przyszłą wiosnę.

– Tak, albo na rok 2046, wtedy moglibyście za jednym zamachem odfajkować wasze osiemdziesiąte urodziny. – Mia chwyciła trzy babeczki i przez chwilę przyglądała się im z namysłem, jakby rozważała, czy zmieszczą się naraz w jej ustach. Zmieściły się.

– Nie ma obawy. Tu nie ma co przygotowywać. – Mama obdarzyła nas nonszalanckim uśmiechem. – Zaimprovizujemy coś po prostu. Takie spontaniczne imprezy są najlepsze.

– Ale... – Bochra udawała, że brakuje jej tchu. – To jest wesele, a nie urodziny przedszkolaka! Do tego potrzeba czegoś więcej niż kilku nadmuchanych balonów. Już sama lista gości... Normalni ludzie całe lato mają już dawno rozplanowane.

– Tak, na przykład ciotka Gertruda, miejmy nadzieję – mruknęła Mia.
– Ależ to w niczym nie przeszkadza. Kto będzie miał czas, ten przyjdzie, kto nie, to nie – odparła mama. – To nie ma być nie wiadomo co, tylko miłe, skromne, nieskomplikowane spotkanie...

– Lottie będzie mogła włożyć swój odświętny dirndl – uśmiechnęła się szeroko Mia.

– I na pewno upiekę tort. – Lottie się rozpromieniła. – Trzypiętrowy.

– Super! – zawołała z entuzjazmem mama.

Bochra jęknęła.

– Naturalnie wszystkie wchodzące w grę lokale są już na czerwiec zarezerwowane. Skończy się na tym, że będziecie musieli urządzić wesele w ogródku. – Zaśmiała się krótko dla podkreślenia ironii swych słów, której mama wcale nie dostrzegła.

– To świetny pomysł – zgodziła się.

– To katastrofa – skwitowała Bochra.

– Jeśli nie dopuścimy, aby babcia, ciotka Gertruda i ciotka Virginia wystąpiły jako The Supremes, to nie – powiedziałam, a Bochra pobladła odrobinę. Myśl, że my też mamy jakąś rodzinę, wcześniej nie przyszła jej do głowy.

– O, jakże się cieszę, że poznam waszych krewnych. – Florence przewróciła oczami. Była wprawdzie bliźniaczą siostrą Graysona, ale pod względem braku serdeczności całkowicie wrodziła się w swoją babkę.

Na czole każdej z nich zaczęła pulsować żyłka.

– Małe garden party! Coś takiego można urządzić, jeśli bierze się ślub z nikim. Bez rodziny i zobowiązań. – Zaczęła w zdenerwowaniu przemierzać kuchnię w tę i z powrotem. – W przeciwieństwie do ciebie mój syn nie może tak po prostu zlekceważyć tradycji i zasad, do których przestrzegania zobowiązuje go jego status społeczny. Widać, że nie masz o tym najmniejszego pojęcia.

– A tobie dymi z uszu – odcięła się pogodnie mama.

– Bzdura – odparła Bochra, ale mama miała rację: z uszu Bochry wydobywały się nieduże, białe obłoczki, czemu towarzyszyło posapywanie lokomotywy. W tym momencie pojęłam, że to sen. Tyle że ta rozmowa rzeczywiście odbyła się dzisiejszego popołudnia. Oczywiście Bochrze nie dymiło się z uszu, a w ścianie kuchni obok lodówki nie tkwiły zielone drzwi.

Bochra we śnie podążyła za moim wzrokiem.

– Nigdy nie lubiłam rzemiosła artystycznego, jak dla mnie za dużo tu zawijasów. A ta kiczowata gałka w kształcie jaszczurki to już szczyt bezguś... Ach, mój Boże!

Gałka się poruszyła. Drobne czarne i czerwone łuski błysnęły w świetle, kiedy jaszczurka przeciągnęła się, rozwinęła ogon i otworzyła ślepią.

– Wcale nie jesteś kiczowata – zapewniłam ją, jak zawsze oczarowana jej

pięknem. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam we śnie swoje drzwi, była jeszcze mosiężna i dużo mniejsza niż teraz. Pomijając sporadyczne przyjacielskie mruganie ślepiem, rzadko się poruszała. Od jakiegoś czasu lubiła wspinać się po drzwiach i tylko wtedy zniżała się do odgrywania roli klamki, kiedy rzeczywiście chciałam wyjść. Jej oczy miały jaskrawo turkusowy odcień i w odróżnieniu od ślepiów jej siostry po przeciwnej stronie drzwi zawsze spoglądały przyjaźnie. Nadal szukałam dla niej imienia, które oddawałoby jej naturę: mistycznego, ładnie brzmiącego, a mimo to swojskiego. W końcu była tworem mojej podświadomości, a tym samym częścią mnie. Tak samo jak jej ostrożna, sycząca bliźniaczka po drugiej stronie drzwi.

– Zbyt pstrokata – orzekła Bochrą. – I kompletnie nierealistyczna. Proporcje w ogóle się nie zgadzają.

Machnięciem ręki przepędziłam Bochrę ze swojego snu. Wystarczyło już, że nawiedzała nas na jawie, co ciekawe, wybierając na odwiedziny dni takie jak dzisiejszy, kiedy Ernest był w delegacji, a mama miała przedpołudnie wolne od wykładów. Uważałyśmy z Mią, że to czysta złośliwość, ale mama i Lottie, uparcie wierząc w drzemiące w każdym człowieku dobro, były zdania, że biedna starsza pani po prostu chce uczestniczyć w naszym życiu rodzinnym i przydać się na coś.

Jasne. A ziemia jest płaska.

Ostrożnie przejechałam opuszką palca po gładkich jaszczurczych łuskach. Ku mej radości zaczęła mruczeć jak kocur Spot. Mało realistyczne, ale za to jakże cudowne.

– Nazwij ją Liz – podsunęła Mia. Stała z Lottie i mamą obok mnie, żeby podziwiać jaszczurkę. Florence zniknęła razem z Bochrą. – Uważam, że wygląda jak Lizzy.

– Nie, to zbyt... prozaiczne – powiedziała Lottie. – Może Salamandria. Albo Nyx, jak bogini nocy.

– Barcelona byłaby dobra. – Mama, widząc nasze skonsternowane spojrzenia, dodała: – No wiecie, że względu na tę słynną jaszczurkę Gaudiego, która... Ach, zapomnijcie, wy ignorantki.

Jak zawsze, gdy moja podświadomość wydobywała z głębokich pokładów umysłu fakty, o których, jak mi się wydawało, jeszcze nigdy nie słyszałam, poczułam się nieswojo. Jutro z samego rana zamierzałam wpisać w wyszukiwarke słowa „Gaudi” i „Barcelona”. Miałam nadzieję, że wśród wyników nie znajdę jaszczurki.

Ktoś zapukał do drzwi.

Jaszczurka zwinęła się grzecznie w gałkę, podczas gdy jej odpowiedniczka przez szparę na listy wsunęła do środka łebek i wysyczała:

– Przyszedł Henry.

– Jaki innowacyjny judasz – zachwyciła się mama.

– Mogłabyś nazwać ją Mata Hari – zaproponowała Lottie.

Nachyliłam się.

– Czym pachniało dziś wieczorem w pokoju Graysona? – zapytałam przez szparę na listy.

– Flakonem Vetivér, który Grayson upuścił, przez co jego dywan już zawsze będzie pachniał jak jego dziadek – odrzekł Henry po drugiej stronie drzwi.

– Założę się, że dziś wieczorem będzie mu się śnił.

Otworzyłam mu. Henry oparł rękę o framugę i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Hej, serowa panienko. Mogę wejść?

– Nie wiem. Jest środek nocy – powiedziałam z udawaną kokieterią. – Moja mama nigdy by się na to nie zgodziła.

– Bzdura – zaprzeczyła mama za moimi plecami.

Henry wetknął głowę do kuchni.

– Ach, ciepłutki rodzinny sen. I jak pięknie pachnie... świeżymi wypiekami i... cynamonem... Niewiarygodne, jak pachnące stały się twoje sny w ostatnim czasie.

Jeszcze bardziej niewiarygodne było to, że on czuł zapach tego, o czym śniłam. Było to tak zwariowane, że wołałam dłużej o tym nie myśleć. Zawsze, kiedy to robiłam, ogarniał mnie lęk, lęk przed tym, że ostatecznie może wcale nie istniało żadne logiczne i poparte dowodami wytłumaczenie tej całej sprawy ze snami. Co z kolei oznaczałoby...

– A to kto? – przerwał moje rozważania Henry.

Spod kuchennego stołu wylazł dość opasły chow-chow i zaczął się nam przypatrywać z przekrzywionym łbem. Rasmus w całej okazałości.

– Zawsze tak patrzy, jak chce kąska – powiedziała Mia, chichocząc ze złośliwą satysfakcją. – No gdzie jest, gdzie jest mały R...

– Au! – Henry potarł ramię. Wypchnęłam go na korytarz, wyszłam za nim i zatrzęsłam drzwiami, zanim Mia zdążyła wypowiedzieć do końca to imię. Kiedy trzeba, we śnie potrafiłam poruszać się szybciej niż Superman.

– Mały rozrabiaka. Przejdźmy się – zaproponowałam i wzięłam Henry'ego pod rękę. – Moglibyśmy na przykład sprawdzić, czy Grayson ma rację i czy rzeczywiście nie można się już do niego włamać.

– Ale tam w środku było tak przytulnie. – Henry rzucił żalosne spojrzenie na moje drzwi. – A tu na zewnątrz na pewno grasują niewidzialni szpiedzy i psychopaci.

Tak, i demony. Nigdy nie wiadomo. Korytarz wypełniony różnobarwnymi drzwiami i łagodnym światłem mógł wydawać się spokojnym miejscem, ale takim nie był. Cisza miała w sobie coś złowieszczonego, nie wiadomo, skąd w ogóle dochodziło światło – nie było ani okien, ani lamp, nie mówiąc o suficie, z którego

mogłyby się zwieszać. Na wysokości kilku metrów rozpościerała się rozproszona nicość, najbardziej przypominająca jasnoszare niebo, jakie w niektóre dni wisiało nad Londynem. Licznie rozgałęzione korytarze wydawały się nie mieć końca i nikły w cieniach. Mimo to kochałam to miejsce i wizję, że za każdymi drzwiami śniła swój sen inna dusza, a wszyscy ludzie na świecie byli połączeni tym labiryntem. Było to miejsce magiczne, tajemnicze i niebezpieczne – a połączenie tych cech nieodparcie mnie przyciągało.

Przywarłam nieco bardziej do Henry'ego i wzięłam głęboki wdech.

– Przytulne sny będziemy mogli śnić przez resztę naszego życia. Kiedy już uratujemy świat przed Arthurem.

Henry wyplątał się z mojego uchwytu, tylko po to, by objąć mnie obiema rękoma.

– Za to cię kocham, Liv Silver – wymruczał mi do ucha. – Że nie cofasz się przed żadną przygodą.

To samo mogłam powiedzieć o nim. Nie tracąc czasu na zbędną gadaninę, oboje przemieniliśmy się w jaguary i bok w bok ruszyliśmy przed siebie. W innej postaci zawsze czułam się trochę niepewnie, ale jaguara opanowałam już na tyle dobrze, że nie musiałam koncentrować się na jej utrzymywaniu. W odróżnieniu od trudniejszych form, takich jak latające owady, nieruchome przedmioty albo królowa metamorfoz, czyli podmuch powietrza, postać jaguara mogłam utrzymywać godzinami. Czasami, kiedy rano budziłam się po intensywnej nocy w skórze jaguara, tak bardzo pozostawałam jeszcze w roli, że musiałam się powstrzymać, by nie lizać sobie łapy. Raz nawet warknęłam w kuchni na Florence, bo zatarasowała mi drogę do ekspresu do kawy.

À propos Florence: eleganckie, bladozielone drzwi, które dziś pojawiły się obok drzwi Graysona, na sto procent należały do niej. Chyba że widniejące na nich srebrne inicjały F.C.E.S. oznaczały coś innego niż Florence Cecilia Elisabeth Spencer, ale to było raczej mało prawdopodobne.

Nie rozgryźliśmy jeszcze systemu, według jakiego uporządkowane były drzwi, ani nie poznaliśmy odpowiedzi na pytanie, dlaczego od czasu do czasu zmieniały położenie. Jedno było pewne: drzwi osób, które coś ze sobą łączyło, czy to pozytywnego, czy negatywnego, nigdy nie były zbyt od siebie oddalone. Właściciele wielu drzwi można było odgadnąć już po wyglądzie, jak choćby drzwi Graysona, które stanowiły dokładną kopię naszych domowych drzwi, albo drzwi mamy, na których widniało jej nazwisko: „Matthews. Księżycowy Antykwariat. Godziny otwarcia: od północy do brzasku”. Innych drzwi nie dało się tak jednoznacznie przypisać do osoby, ale od jakiegoś czasu byłam niemal pewna, że proste, pomalowane na elegancki popielaty kolor drzwi obok Księżycowego Antykwariatu należały do Ernesta. Gdziekolwiek przemieszczały się drzwi mamy, za każdym razem towarzyszyły im te popielate. Z kolei pociągnięte błyszczącym

czerwonym lakierem drzwi ze szpanerską złotą gałką idealnie pasowały do charakteru Persefony, zwłaszcza że przybliżyły się do moich własnych zawsze wtedy, gdy w ciągu dnia spędzałyśmy ze sobą więcej czasu.

Nie żebym kiedykolwiek odczuwała potrzebę zaglądania za któreś z nich, ale wiedza, do kogo należały, w jakiś sposób mnie uspokajała. Kiedy spędzało się na korytarzach tyle czasu co Henry i ja, to drzwi w pobliskich odgałęzieniach stawały się znajome nawet wówczas, gdy zmieniały położenie lub wygląd. Przez pół dnia zachodziłam w głowę, jak, do diabła, Arthur zdołał odnaleźć drzwi do snu pani Lawrence. Wprawdzie pasowałyby do niej wiele drzwi, ale jednak brakowało tej jednej wskazówki, czegoś takiego jak, bo ja wiem... wygrawerowana wieża Eiffla albo wycieraczka z napisem *Bienvenue*. Albo przynajmniej chanelowska gałka. Arthur prawdopodobnie jednak działał w sposób całkiem pragmatyczny. Kiedy znalazł się już w posiadaniu osobistego przedmiotu pani Lawrence, wystarczyło tylko podobić się do wszystkich wchodzących w rachubę drzwi. I w końcu znalazł takie, które dały się otworzyć. Pewnie trochę to trwało, ale jednocześnie dowodziło, z jaką determinacją Arthur dążył do urzeczywistnienia swych mrocznych planów. A jeśli podświadomość nauczycielki nie przygotowała żadnych przeszkód, to Arthur z łatwością przekroczył próg. I dokończył dzieła.

Poczułam, jak włosy jeżą mi się na karku. W tym czasie skręciliśmy z Henrym za róg i znaleźliśmy się w korytarzu, w którym były zarówno drzwi Arthura, jak i Anabel.

Na wypadek, gdyby Arthur nas obserwował, zwykle przechodziliśmy tędy z ostentacyjnym spokojem i pewnością siebie bez względu na to, w jakiej byliśmy postaci. Nie chcieliśmy, by odniósł wrażenie, że się go boimy. Rzuciłam krótkie i pogardliwe spojrzenie na słowa „Carpe noctem” wybite na gładkiej metalowej powierzchni jego drzwi, po czym odwróciłam głowę i przeczesalam wzrokiem otoczenie. O, tutaj. Ten skromny srebrny dzwonek obok przeciwnych drzwi był nowy. Kiedy zaczęłam mu się przyglądać, rozmazał się, rozplynał i połyskującą srebrzyście strużką spłynął ze ściany na ziemię, gdzie uformował się na nowo, urósł i w końcu przemienił w dziewczynę o pofalowanych, długich włosach, wykazującą frapujące podobieństwo do Wenus Botticellego. Z tą różnicą, że była od niej o wiele, wiele piękniejsza i zamiast stać nago w muszli, miała na sobie jeansy oraz T-shirt. Anabel Scott, przypuszczalnie najurodziwsza psychopatka w historii świata.

– Popatrz, popatrz, koci patrol. – Anabel miała czarujący uśmiech, który jednak zupełnie na mnie nie działał od czasu, gdy próbowała rozplatać mi szyję.

Co do Henry’ego, to nie byłam już tego taka pewna. Wrócił do swojej prawdziwej postaci i uśmiechał się równie czarująco.

– Anabel, jak miło cię widzieć. Czyżby to były twoje drzwi? Naprzeciwno byłego chłopaka? To dość wymowne. A może wiesz tu w charakterze dzwonka,

żeby go troszkę szpiegować?

– Chciałbyś wiedzieć, gdzie są moje drzwi, co? Żebyś to ty mógł szpiegować mnie. – Anabel zaśmiała się i dodała z westchnieniem: – Szpiegowanie nie jest już takie proste, odkąd wszyscy opanowali sztukę stawania się niewidzialnymi... Nie powinnam była przekazywać Arthurowi całej wiedzy.

To akurat była prawda. Jedna genialna psychopatka w zupełności by wystarczyła. A Anabel była genialna, nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. W jakiś sposób zdołała zwabić w te korytarze swojego psychiatrę, a kiedy on jak dziecko wpuszczone do sklepu z zabawkami realizował swoje megalomańskie fantazje, wierząc, że ma wszystko pod kontrolą, Anabel udało się jakimś cudem zamknąć go w jego własnym śnie. Po tym, jak potwierdził jej wypis ze szpitala, oczywiście. Obecnie doktor Martenson albo senator Mort, jak sam kazał się nazywać, leżał w domu opieki w Surrey, podłączony do sondy żołądkowej, i... spał. Lekarze nie potrafili postawić sensownej diagnozy. Anabel zapewniła nas, że pan doktor czuje się świetnie, ponieważ śni dalej swoje życie, którego nie odróżnia od jawy. Mimo wszystko, choć senator Mort raczej nie zyskał mojej sympatii, wzbudzał moje współczucie za każdym razem, gdy o nim myślałam. Nie miałam wprawdzie pojęcia, w jaki sposób Anabel zdołała zamknąć go w jego śnie, ale być może udałoby się go obudzić, gdyby otworzyło się jego drzwi od zewnątrz. Tylko że najpierw trzeba by je znaleźć, a niestety jedynie Anabel wiedziała, gdzie są. Miała rację: niewidzialność utrudniała szpiegowanie.

Warknęłam cicho.

– Obawiam się, że Arthur od jakiegoś czasu potrafi rzeczy, których nie umiesz nawet ty – powiedział Henry.

Zachował dla siebie informację, że już wiedzieliśmy, gdzie są jej drzwi. Wcześniej rzeczywiście leżały dokładnie naprzeciwko drzwi Arthura, ale rzucający się w oczy dwuskrzydłowy gotycki portal ze złotymi okuciami zniknął bez śladu na jesieni, kiedy Anabel przeżyła załamanie nerwowe. To oznaczało, że musiały kompletnie zmienić swój wygląd, bo dziewczyna nadal wytrwale buszowała po korytarzach. Przez wiele tygodni wypatrywaliśmy jej drzwi także w bardziej odległych odnogach, ale dopiero tydzień temu Henry znalazł je dzięki detektywistycznej intuicji i podstępnej technice śledczej, jak twierdził. Później przyznał jednak, że był to czysty przypadek – i łut szczęścia, ponieważ akurat snuł się po korytarzach w niewidzialnej postaci, kiedy jadowicie różowe drzwi z ogromnym wizerunkiem Hello Kitty otworzyły się i ze środka ostrożnie wyjrzała Anabel. Faktycznie, jeśli było się podmuchem powietrza albo innym niewidzialnym zjawiskiem, poruszanie przedmiotami i wykonywanie tak podstawowych czynności jak naciskanie klamki było trudne lub wręcz niemożliwe, więc uspokoiła mnie świadomość, że Anabel zmagająca się z tymi samymi problemami co my. Sekundę później była już niewidzialna, ale ta krótka chwila

wystarczyła. Henry zaczekał do powrotu dziewczyny, by zyskać pewność, że to nie drzwi kogoś, kogo Anabel odwiedziła we śnie. Oczywiście drzwi z Hello Kitty widzieliśmy wcześniej setki razy. Było to największe bezguście jak okiem sięgnąć i nigdy nie posądziłibyśmy Anabel o coś takiego. Trzeba przyznać, że jej kamuflaż był perfekcyjny, zgodny z zasadą, że kto rzuca się w oczy, nie jest podejrzany. Zagadką pozostawało dla mnie to, jak tego dokonała, bo dotąd byłam przekonana, że człowiek nie miał wpływu na wygląd swoich drzwi. Bez naszej ingerencji dostosowywały się do stanu ducha właściciela. Ale może Anabel zastosowała jakiś szczególny trik. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy okazywało się, że potrafi coś, o czym my nie mieliśmy najbledszego pojęcia. Teraz na przykład można było odnieść wrażenie, że umie czytać w myślach.

– Masz na myśli tę historię z panią Lawrence. Wiem z blogu Secrecy o jej załamaniu nerwowym. – Anabel omiotła spojrzeniem cały korytarz. – Arthur odwiedzał ją we śnie przez kilka ostatnich nocy, dlatego od razu wiedziałam, że musiał mieć z tym coś wspólnego. Zastanawiałam się nawet, czego szukał akurat u niej, przecież skończył już kurs francuskiego.

– Sądźmy, że wybrał ją przypadkowo, niejako w charakterze królika doświadczalnego do sprawdzenia nowej metody hipnotyzowania ludzi we śnie, by na jawie robili to, co on zechce.

Anabel przygryzła dolną wargę.

– Ale czemu miałyby chcieć, by pani Lawrence weszła na stół i skompromitowała pana Vanhagena?

Dobre pytanie. Jako jaguar przekrzywiłam łeb i popatrzyłam z dołu na Henry'ego. Wzruszył ramionami.

– Ot tak, po prostu. Żeby pokazać, że potrafi zrujnować komuś życie. – Przerwał na chwilę, oglądając się za siebie. – Bo potrafi.

– Tak. Być może tak – mruknęła Anabel, a jej oczy zaszklily się nieco. – To by do niego pasowało. A przynajmniej do Arthura, jakim się stał.

Trudno mi było wyobrazić sobie, że Arthur mógł mieć kiedyś coś takiego jak skrupuły albo sumienie, ale Henry i Grayson zapewniali mnie nieustannie, że ich najlepszy niegdyś kumpel rzeczywiście był miłym facetem. Zanim zakochał się bez pamięci w Anabel i spostrzegł w pewnym momencie, że został przez nią zmanipulowany i wykorzystany do jej własnych celów. Moje współczucie miało jednak swoje granice. Co by było, gdyby każdy, kto doświadczył bolesnego rozczarowania, automatycznie zamieniał się w przestępcę? Już więcej zrozumienia miałam dla Anabel. W końcu nie przyszła na świat jako porąbana psychopatka. Jej wczesne dzieciństwo u boku chorej psychicznie matki, w sekcie, która czciła demony i odprawiała chore rytuały, uczyniło z niej potwora, który chciał poderżnąć mi gardło. A teraz ten potwór stworzył kolejnego potwora – o wiele bardziej złośliwego i niebezpiecznego niż ona sama.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że to ryzykowne, i oboje czuliśmy się z tym nieswojo, ale mieliśmy świadomość, że aby stawić czoła Arthurowi, potrzebowaliśmy sprzymierzeńca w osobie Anabel. Ponieważ jeszcze gorsza niż konieczność rywalizacji z nim bez jej pomocy byłaby sytuacja, że to Anabel sprzymierzyłaby się z Arthurem. Absolutnie nie mogliśmy do tego dopuścić.

Henry chrząknął.

– Nikt nie wie, jakie Arthur ma plany, ale przy takich umiejętnościach może dosłownie wszystko. Zrobił to pewnie w podobny sposób jak ty z senatorem Mortem, żeby dał ci wypis. Musisz nam powiedzieć, jak ci się to udało, Anabel.

– Żebyście sami zaczęli się w to bawić? – Anabel obdarzyła Henry’ego wyrozumiałym uśmiechem. – Już sobie wyobrażam, do czego próbowałbyś wykorzystać tę umiejętność, Henry Harperze. Nie, dzięki! Wystarczy, że Arthur może pokrzyżować moje plany.

– A jakie to plany? – zapytał Henry, wzdychając głęboko.

– Już dawno je znacie. – Nagle zmieniło się oświetlenie. Zupełnie jakby na źródło światła padł cień. Anabel potoczyła wokół ręką. – Wiecie, komu zawdzięczamy to wszystko i co jeszcze jesteśmy mu winni.

Wokół nas znacznie się ochłodziło. Cieszyłam się, że nadal byłam jaguarem. Dzięki temu mogłam nieruchomo wpatrywać się w Anabel, bez obawy, że dostrzeże moje zaniepokojenie.

– To ta cała historia z demonem nie należy do przeszłości? – odezwał się łagodnie Henry. – Myślałem, że w szpitalu zrozumiałaś, że to tylko element twojej... choroby.

– Tak – odparła Anabel. – Tak przynajmniej próbowano mi wmówić. Może i jestem nienormalna, ale z pewnością nie głupia. Dopuszczam możliwość, że Pan Cienia i Mroku istniał wyłącznie w mojej chorej wyobraźni. Ale co, jeśli nie? Nie chcielibyście mieć absolutnej pewności?

Nie, nie chcielibyśmy. Mieliśmy, do cholery, wystarczająco dużo innych problemów.

– Zażywasz jeszcze leki? – zapytał Henry, marszcząc czoło.

– Zawsze taki cudownie bezpośredni. – Anabel uśmiechnęła się powtórnie. – Rzeczywiście je odstawiłam. Chcę sprawdzić, co się stanie. I czy w ogóle coś się stanie. Przekonamy się. – Nagle zaczęło jej się śpieszyć. Zamaszystym gestem odrzuciła włosy na plecy. – Miło było was spotkać, jak zawsze. – Ruszyła przed siebie, nie czekając na nasze słowa pożegnania. Już po trzech krokach jej kontury rozmyły się, stając się coraz bardziej przezroczyste, aż w końcu po kilku metrach Anabel zniknęła całkowicie. Zabrało ją zimno.

4.



– Naprawdę powiedział „Perpetua”? – zapytałam już chyba po raz setny tego dnia. – Mogłaś się przesłyszeć. Poza tym znasz Jaspera. Do mnie też zawsze mówi „Liz”.

– Ty to co innego. – Dolna warga Persefony zaczęła podejrzanie drżeć. Szybko popchnęłam przyjaciółkę szkolnym korytarzem w kierunku głównego wyjścia.

Kiedy tego ranka Jasper ograniczył się do lakonicznego, rzuconego mimochodem „Hej, Perpetua”, jej świat legł w gruzach. Od dawna miała słabość do Jaspera, ale dopiero kiedy wyjechał do Francji, nie wiadomo czemu zakochała się w nim bez pamięci. Za to on w tym czasie najwyraźniej całkowicie zapomniał o jej istnieniu, jeśli zinterpretować jego powitanie „Hej, Perpetua” bardziej realistycznie. Oczywiście nie powiedziałam jej tego, bo i tak była zdruzgotana i ostatnią rzeczą, jakiej jej było trzeba, był realizm. Podczas przerw zużyła dwa ogromne opakowania chusteczek, dewastując jednocześnie mój blezer (przy okazji przekonaliśmy się, że jej tusz do rzęs jednak nie był wodoodporny). Na nic również się zdało wymyślenie choroby o nazwie „legastenia dotycząca twarzy i imion” i przypisanie jej Jasperowi. Powoli wyczerpywały mi się pomysły.

Przynajmniej szkołę miałyśmy z głowy. Był piątek, świeciło słońce i nadchodził weekend. Od kilku godzin za niczym bardziej nie tęskniłam jak za ciszą swojego pokoju, by z dala od żalów Persefony wreszcie pozbierać myśli. Przy odrobinie szczęścia przed treningiem kung-fu zdołam oddać się odprężającej popołudniowej drzemce – jeśli chodzi o sen, miałam trochę do nadrobienia, liczyłam też na to, że moje myśli uporządkują się same, kiedy już się wyśpię.

Od spotkania z Anabel we śnie minęły dwie kolejne noce. Dość chaotycznie przemierzaliśmy korytarze, pilnując drzwi naszych najbliższych i wypatrując Anabel i Arthura w nadziei na jakąś nową wskazówkę. Na próżno. Panowała absolutna cisza. Cisza, która mnie wydawała się podejrzana, Henry’emu zaś uspokajająca. Tak bardzo uspokajająca, że wczoraj w nocy na środku korytarza podjął temat Rasmusa. Znalazł na fejsie jakiegoś Rasmusa Wakefielda i chciał wiedzieć, czy to „mój” Rasmus. Z czystym sumieniem mogłam zaprzeczyć

i zapewnić go, że „mój” Rasmus nie jest miłośnikiem portali społecznościowych. Później Henry chciał się dowiedzieć, jakie miał zainteresowania.

– Lubił gry w piłkę – wyjaśniłam ostrożnie. I żeby uciąć temat wymyślonego chłopaka z RPA, który tak naprawdę był psem, i nie zważając na ewentualnych niewidzialnych obserwatorów, pocałowałam Henry’ego. Ten manewr, mający na celu odwrócenie uwagi, właściwie zawsze się sprawdzał. Tym razem jednak, po dłuższej chwili, kiedy przynajmniej ja zapomniałam o wszystkim, łącznie z Rasmusem, niewidzialnymi szpiegami i niebezpiecznymi demonami, manewr ten skłonił Henry’ego do zapytania, jak całował Rasmus.

Zwariować można. Nigdy nie pozbędę się tego przeklętego, wymyślonego faceta.

– Gdyby nie to, że wiem lepiej, powiedziałabym, że jesteś trochę zazdrosny – zauważyłam, powstrzymując się od wyznania: „dużo języka i śliny”.

Henry pokiwał głową.

– Całkiem możliwe – odparł lekko, głaszcząc opuszkami palców moje policzki i szyję. – Po prostu ciekawi mnie, kto cię nauczył tak całować.

No, na pewno nie Rasmus.

– Dlaczego sądzisz, że to on nauczył mnie całować, a nie odwrotnie? – wymamrotałam. – Może mam wrodzony talent?

A już na pewno jestem złą, bardzo złą kłamczuchą. Wiedziałam, że długo tak nie dam rady: prędzej czy później będę musiała powiedzieć Henry’emu prawdę. Nie wiedziałam tylko, jak to zrobić, nie zapadając się przy tym ze wstydu pod ziemię.

– Mało tego – zajęczała na nowo Persefona. – Jasper tak naprawdę nawet na mnie nie spo...

– Co tam się dzieje? – zawołałam, pokazując palcem w kierunku głównego wejścia, gdzie zebrał się mały tłumek. Czasami jedynym ratunkiem było odwrócenie uwagi.

I zadziałało. Persefona pociągnęła nosem, rozchmurzyła się i wiedzioną ciekawością, podążyła w stronę grupki spragnionych sensacji uczniów, śledzących czyjś pojedynek słowny. Ruszyłam za nią nieco wolniejszym krokiem, jednak kiedy zobaczyłam, kto przyciągnął zbiegowisko, stanęłam na palcach jak moja przyjaciółka, żeby lepiej widzieć.

Wprawdzie Arthur nawiedzał mnie w myślach niemal bez przerwy, jednak od incydentu z panią Lawrence nie widziałam go ani razu ani na jawie, ani we śnie. Nawet w szkolnej stołówce jakoś się ciągle mijaliśmy. Nie mogę powiedzieć, żeby mi go brakowało. Za to nieustannie łąpałam się na tym, że wciąż czekam, aż ktoś wstanie i zacznie wyrabiać jakieś szalone albo straszne rzeczy. Henry i Grayson mówili, że mają tak samo, nawet podczas treningu koszykówki. Jakoś nie czuliśmy ulgi, że nic się jeszcze nie stało, wręcz przeciwnie, to tylko wzmagало napięcie.

Kogo Arthur wybierze na kolejną ofiarę? I co jej zrobi?

Moje zachowanie powoli zaczęło przybierać znamiona paranoi. Co wieczór niby mimochodem wypytywałam Mię, czy niczego nie zgubiła. Dopiero kiedy zapewniła mnie, że nie zginęła jej absolutnie żadna rzecz, mogłam w spokoju iść do łóżka. Sporo też rozmyślałam o tym, od kiedy przedmiot stawał się osobisty. Czy nowo kupiony ołówek się liczył? Czy może trzeba go było najpierw obgryźć, żeby nadać mu osobisty charakter? Jak długo utrzymywało się to działanie? Czy ukradziona komuś rzecz nie stawała się naszym własnym przedmiotem i tym samym nie traciła swoich właściwości? Ostatnim razem to podebrana rękawiczka umożliwiła Arthurowi wtargnięcie do snu Mii. Wolałabym umrzeć niż przeżyć to ponownie. Dlatego wcale się nie przejmowałam, że moje wypytywanie powoli zaczynało wydawać się Mii podejrzane. Najchętniej powiedziałabym wszystkim, żeby maksymalnie uważali na swoje rzeczy osobiste, szczególnie gdy w pobliżu był Arthur. Ale oczywiście nie mogłam. Przypuszczałam i tak już dawno załatwił sobie to, co mu było potrzebne. Wyobraziłam sobie, jak gromadzi u siebie łupy, skrupulatnie oznacza każdy z nich karteczką z nazwiskiem i co wieczór zastanawia się, kogo by nawiedzić tej nocy. Sam rzecz jasna, by powtórnie nie zostać zaskoczonym we śnie, zlikwidował tajemny schowek na klucz, dzięki któremu w styczniu Grayson włamał się i odebrał mu rękawiczkę Mii. Również prowadząca na jego posesję ścieżka, z której chłopaki korzystali od dziecka, została zagrodzona płotem, jak ustalił Grayson. Tym samym sen Arthura i zrabowane przez niego mienie mogły pozostawać nienaruszalne. W domu jego rodziców bywały wpływowe i sławne osobistości: muzycy, politycy, przemysłowcy – aż strach pomyśleć, kogo mógł już okraść i inwigilować Arthur.

W tej chwili jednak nie zadawał się z żadnymi znakomitościami, tylko z głównym obiektem nienawiści we Frognał Academy. Obiekt ów to Theodore E. Ellis.

Theo Ellisa tępiono nie za to, że był wątłym i podstępny kujonem albo tłustym, wrednym zabijaką czy wykazywał inne nieprzyjemne cechy charakteru. Nie, przyczyna nienawiści tkwiła w tym, że był koszykarzem ekstraklasy, wielce utalentowanym graczem, skarbem drużyny. Poza tym był miły, inteligentny i przystojny. Problem polegał na tym, że Theo Ellis nie uczęszczał do Frognał Academy, tylko do Roslyn High. Innymi słowy: grał w niewłaściwej drużynie. I to był wystarczający powód, by nienawidzić go z całego serca.

Theo dobrowolnie nigdy nie wpadłby na pomysł, by zapuszczać się na tereny wroga, ale pech chciał, że jako przedmiot maturalny wybrał hebrajski. A ponieważ w obu szkołach niewielu było uczestników kursu hebrajskiego, połączono ich w jedną grupę. I miała ona zajęcia właśnie u nas.

Kiedy Theo przychodził w piątek na lekcję, w najlepszym razie witano go buczeniem. T-shirty w kolorach naszych szkolnych mundurków i z napisem „Theo,

nie chcę mieć z tobą dziecka” sprzedawały się jak świeże bułki. Po szkole krążyły też plotki, że nauczycielka hebrajskiego, pani Ritzel, zawsze zapowiadała sprawdzian i zwiększała liczbę zadań domowych wtedy, gdy zbliżał się ważny mecz. Pani Ritzel była zagorzałą fanką Flamesów.

W ostatnich tygodniach sytuacja, jeśli to w ogóle możliwe, pogorszyła się jeszcze bardziej. Wyglądało na to, że drużyna Theo zdobędzie mistrzostwo, podczas gdy osłabieni Flamesi kisili się w tabeli na czwartym miejscu. A ponieważ, jak powszechnie wiadomo, kibice nie potrafią przegrywać jeszcze bardziej niż ich idole, w Internecie pojawiło się forum pod nazwą Nienawidzimy Theo Ellisa, na którym nagradzano oryginalne zaśpiewki w rodzaju *Śmierdziel Theo zżera swoje deo* albo *Ma cykora drużyna Theodore'a*.

Theo na pewno gorzko żałował, że nie wybrał hiszpańskiego, mimo wszystko jednak budził we mnie niejaki podziw, kiedy w każdy piątek wyprostowany kroczył przez korytarze Frognał i ze stoickim spokojem stawiał czoła zmasowanej wrogości.

Tak jak dziś.

Jeśli czuł się nieswojo, to nie dawał tego po sobie poznać. Stał twarzą w twarz z Arthurem, na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma założonymi na piersi, przypominając masywną szafę dębową. Arthur, choć wysportowany i wysoki na metr osiemdziesiąt pięć, wyglądał przy nim niemal wątko. Nie powstrzymywało go to jednak przed znieważaniem rywala. Nie tak prymitywnie i wprost jak kibice Frognał Flames, ale po swojemu, jeszcze perfidniej.

– Tylko żeby nie ucierpiały na tym twoje egzaminy – mówił Arthur miękким głosem. – W końcu twojej mamusi bardzo zależy, żeby przynajmniej jeden z was coś w życiu osiągnął. A jak słyszałem, twój brat właśnie wyszedł na zwolnienie warunkowe.

Wśród widowni rozległy się pomruki aprobaty. Ze zdumieniem wśród gapiów rozpoznałam po błyszczących brązowych włosach Emily. Koszykówką nie interesowała się nawet wtedy, gdy była dziewczyną Graysona, mimo to z napięciem przysłuchiwała się rozmowie. Obok niej stał Sam „Wstydz się” i wszystko nagrywał komórką.

– Zastanawiam się, kto ci opowiada te wszystkie rewelacje, złociutki – zdziwił się Theo, a Persefona, która właśnie wzięła mnie pod rękę, głośno wciągnęła powietrze. – Pewnie fryzjer, podczas nakręcania na wałki tych loczków.

Arthur obdarzył go wyrozumiałym uśmiechem.

– Ciężkie musi być życie ze świadomością, że jest się jedynym członkiem rodziny, który umie czytać i pisać. Nieciekawa perspektywa, skoro i tak skończysz jak twój stary, w ekipie sprzątającej. – Powąchał na odległość. – Ale dobry sprzątac zawsze znajdzie robotę.

Kilka osób w tłumie zachichotało, a jakiś dureń z młodszej klasy

wyskandował stłumionym głosem:

– Theo, Theo, używaj deo.

Theo westchnął z udawanym znudzeniem.

– Wiem oczywiście, że zawsze byłeś zadufanym w sobie palantem, złociutki, ale kiedyś mimo wszystko byłeś milszy. Zanim twoja drużyna pozbawiła cię funkcji kapitana. A tak w ogóle, czemu to zrobili?

Ha! To było celne. Zaczęłam naprawdę lubić tego chłopaka.

Arthur nadal uśmiechał się z wyższością, ale nie ja jedna dostrzegłam, że się wściekł. Theo trafił w jego czuły punkt. Nikt już się nie podśmiewał, wszyscy czekali w napięciu na reakcję Arthura. Tylko my znaleźliśmy prawdziwe powody zeszłojesiennego waśni pomiędzy nim a jego najlepszymi niegdyś kumplami: Graysonem, Jasperem i Henrym. Nawet Secrecy snuła jedynie jakieś mgliste domysły.

Arthur długo szukał odpowiednich słów. Theo zarzucił torbę na ramię.

– No cóż, nie każdy może być ulubieńcem tłumów, złotowłoso. Nie bierz sobie tego do serca, masz za to bogatych rodziców. Muszę lecieć. – Zaczął przepychać się przez tłumek. – Mam trening z chłopakami. Nawiasem mówiąc, w zeszłym tygodniu ponownie wybrali mnie na kapitana. Jednogłośnie.

Nonszalanckim krokiem wyszedł przez szklane drzwi. Nie mogłam powstrzymać uśmiešku złośliwej satysfakcji. Dla wszystkich obecnych łącznie ze mną było jasne, że zwycięstwo w tej potyczce odniósł Theo Ellis. A nie złotowłoso.

– Moim zdaniem Theo jest całkiem seksowny – zauważyłam, zwracając się do dziewczyny stojącej obok nas i ubranej w T-shirt z napisem „Theo Ellis, nie chcę mieć z tobą dziecka”.

– Moim też – przyznała. – Ale i tak go nienawidzę.

Niezadowoleni gapie rozeszli się. Już miałam odejść z Persefoną, ale zatrzymało mnie spojrzenie Arthura. Choć ledwie prześliznął się po mnie wzrokiem, w jego oczach było tyle chłodu, że odruchowo zapragnęłam przemienić się w jaguara.

– Ten idiota Theo jest po prostu zazdrosny. Włosy Arthura są cudowne – oznajmiła rozmarzonym głosem Persefona, odprowadzając go wzrokiem. – Wiesz, jak trudno ułożyć naturalne loki, żeby wyglądały fajnie i po męsku?

Przejechałam dłonią po miejscu, w którym u jaguara zjeżyłyby się włosy na karku, i kręcąc głową, popatrzyłam na przyjaciółkę. Beznadziejny przypadek.

– Chodźmy, bo jeszcze nam ucieknie autobus – powiedziałam i pociągnęłam ją ku drzwiom. Niestety, po drodze musiałyśmy minąć Emily. Ta jak zwykle mnie zignorowała, za to z Persefoną przywitała się z przesadną uprzejmością, zapewne w nadziei, że dzięki temu poczuje się podwójnie zignorowana. W normalnych okolicznościach Persefona byłaby tym zaszczyczona, ale tym razem Emily popełniła

ogromny strategiczny błąd.

– Masz katar sienny, biedaczko? – zapytała współczująco Emily. – Jesteś strasznie opuchnięta. Może zapisać ci nazwę leku, który pomógł mojemu bratu?

– Nie, dziękuję. – Dotknięta Persefona zadarła nosa i odrzuciła włosy do tyłu. – Naprawdę jestem opuchnięta? – zagadnęła mnie w przelocie.

– Ach, nie bardzo.

Przynajmniej jak na ilość łez wylanych od dzisiejszego poranka. Obawiałam się, że Persefona za chwilę znowu zacznie gadać o Jasperze, ale ona wciąż była myślami przy Arthurze.

– Trochę mi go szkoda – powiedziała, kiedy dotarliśmy do przystanku. – Bez swoich kumpli jest jakiś taki... Sama nie wiem. Henry, Grayson, Jasper i Arthur byli jak czterej muszkietierowie, dziwne, że teraz się nie znoszą. – Popatrzyła na mnie badawczo z ukosa. – Nadal sądzę, że to ma coś wspólnego z Anabel. Ostatniej jesieni musiało wydarzyć się coś, czego po prostu nie mogą mi wybaczyć. A ty dobrze wiesz, co to takiego, i nie chcesz mi powiedzieć.

I tu miała rację.

– Persefona, najwspanialsze przyjaźnie kiedyś się kończą, gdy ludzie się rozwijają, a ich drogi rozchodzą – oznajmiłam, doskonale zdając sobie sprawę, że gadam jak Lottie z pedagogicznym zacięciem. – Jak trafnie zauważył Theo Ellis: Arthur jest zadufanym w sobie palantem. Kto by się chciał kumplować z kimś takim?

Persefona wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała się od wykrzyknienia „ja!”.

– Hm – bąknęła bez przekonania. – Ty i ja, my też jesteśmy kompletnie różne, a mimo to jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami.

– Tak, to prawda – potwierdziłam, nie mogąc ukryć uśmiechu. Początkowo uważałam Persefonę za okropną, powierzchowną męczycielkę. I pewnie rzeczywiście nią była. Nigdy nie sądziłam, że tak ją polubię. Gdyby nie ona, w moim życiu bez wątplenia czegoś by brakowało.

Autobus przyjechał i otworzył z sykiem drzwi. Objęłam Persefonę ramieniem i przyciągnęłam ją do siebie.

– Proszę cię, uważaj na swoje rzeczy, dobrze? Szczególnie na takie drobiazgi jak breloczek, biżuteria, gumki do włosów, rękawiczki...

– Ostatnio naprawdę często o tym wspominasz. Jakbym była ostatnią fleją. – Persefona rutynowo odsunęła na bok jakiegoś piątoklasistę i utorowała nam drogę do autobusu. – Albo jeszcze gorzej: jakbyś była moją babcią i we wszystkich podejrzewała złodziei. Ona nawet worki ze śmieciami wystawia w ostatniej chwili w obawie, że ktoś je ukradnie przed przyjazdem śmieciarki. – Klapnęła na wolne siedzenie i niespodziewanie znowu się rozplakała. Nie miałam pojęcia czemu, ale najwyraźniej worki ze śmieciami przypomniały jej o Jasperze.

– Perpetua! – szlochała. – To już Afrodyta była lepsza.

– Ale przynajmniej zaczął od właściwej litery – przekonywałam ją, wzdychając. Tak, zdecydowanie: bez Persefony w moim życiu czegoś by brakowało. Mimo to odetchnęłam, kiedy wysiadła na swoim przystanku. Cieszyłam się, że przez resztę dnia nie będę musiała oglądać niczyich łez.

Niestety, moja radość okazała się przedwczesna. Zamiast zażywać spokoju, jak planowałam, musiałam udać się z Mią na naradę kryzysową, zwołaną przez mamę w kuchni. Po niej nie było już mowy o odpoczynku. Chciałam tylko zaszyć się w łóżku z moim najukochańszym misiem z dzieciństwa i płakać w jego miękkie, brązowe, słodko pachnące niedźwiedzie futerko. Pech chciał, że już go nie miałam, bo dawno wyrosłam z pluszakowego wieku i w Utrechcie pozbyłam się starego dobrego Berta. Mogłam wprowadzić ryczeć w poduszkę, ale to nie to samo. Chciałam Berta z powrotem. W ogóle chciałam znowu być w pluszakowym wieku. Mieć tak ze cztery lata.

Grayson nie mógł o tym wiedzieć, kiedy kilka godzin później wpadł do mojego pokoju bez pukania. Nie wrócił do domu po lekcjach, nie było go też na kolacji. Gdybym nie była taka rozbita z powodu nowych wieści, na pewno bym się martwiła, bo Grayson nigdy nie opuszczał żadnego posiłku.

Był zgrzany i nie miał nawet czasu, żeby zdjąć kurtkę. Odsunęłam przesiąkniętą łzami poduszkę i oszołomiona gapiłam się na niego, a dokładniej na to, co trzymał w wyciągniętej ręce. Czy to była...?

Tak. Była. Grayson naprawdę podtykał mi pod nos czarną skarpetkę, tak uroczystym gestem, jakby chodziło o czerwoną różę.

– Masz – powiedział. – Punkt pierwszy na mojej liście rzeczy do zrobienia można odhaczyć. Pilnuj jej dobrze.

– Skarpetki? – To nie było w jego stylu wpadać do mnie tak po prostu, bez pukania. Grayson był zaferowany. I co miała znaczyć ta skarpetka? Kolejny angielski zwyczaj, którego nie znałam? A może Buttercup zwędziła drugą od pary, a on domagał się rekompensaty? Przyjrzałam się jej dokładniej. – Błę. Czy mam rację, myśląc, że to...?

– Oczywiście. Świeżo zdjęta – potwierdził Grayson. Przypominał Buttercup, kiedy zamiast patyka przyciągała nie wiadomo skąd całą gałąź i domagała się pochwały. – Inaczej to nie byłby przedmiot osobisty. No weź ją!

Nadal byłam sceptyczna.

– Śmierdzi.

– Liv, to nie jest normalna skarpetka! – Pokręcił głową, ubolewając nad moim brakiem domyślności. – Należy do senatora Morta alias doktora Ottona Martensona, czyli psychiatry Anabel. Dzięki niej będziemy mogli otworzyć drzwi do jego snu. No wiesz, faza pierwsza.

Ach tak! Faza pierwsza! Przez wydarzenia dzisiejszego popołudnia zupełnie

o tym zapomniałam.

Plan trójfazowy to osobisty pomysł Graysona, na który wpadł zaraz po występie pani Lawrence w szkolnej stołówce. Był to plan ratowania świata przed Arthurem. Niestety, pomimo efektownej nazwy nie można go było uznać za plan dojrzały. Dokładniej rzecz biorąc, nie był to nawet prawdziwy plan, tylko coś w rodzaju deklaracji intencji. Faza pierwsza była jeszcze w miarę przekonująca: polegała na podjęciu jak największej liczby działań ochronnych i kontrolnych, a także zgromadzeniu mnóstwa informacji, materiałów, faktów i pomysłów. Ale już w fazie drugiej robiło się mętnie. Punkt ten zawierał tylko jedno zdanie: „opracować konkretny plan, aby powstrzymać Arthura przed zrobieniem tego, co zamierza zrobić”. Fazy trzeciej Grayson już nam nie sprecyzował (zapewne dlatego, że zbyt głośno byśmy się śmiali), ale i tak domyślaliśmy się, co planował: „załatwić Arthura zgodnie z planem”.

Załatwimy go. O ile wcześniej to on nie załatwi nas. I o ile dowiemy się jak.

– Powiedz, ryczałaś? – Grayson zaprzestał podtykania mi pod nos skarpetki, opadł na krzesło przy biurku i patrzył na mnie urażony. – Prawdę mówiąc, oczekiwałem trochę więcej wdzięczności. I pochwały – dodał, krzyżując ręce na piersi. – Nie każdy pojechałby do Surrey po skarpetkę.

W tym jednym miał rację. Wprawdzie częścią planu było pozyskanie osobistego przedmiotu senatora Morta, ale nie do końca wiedzieliśmy, jak tego dokonać. Zdołaliśmy przynajmniej ustalić, w którym szpitalu go umieszczono. Było to zatrwająco proste: kilka kliknięć w Internecie, dwa telefony i sprawa była jasna. W Reigate i okolicach było niewiele ośrodków, w których przebywali pacjenci pogrążeni w długiej śpiączce. I na szczęście nikt specjalnie nie brał sobie do serca przepisów o ochronie danych.

– Nie miałaś żadnych trudności z dostaniem się do środka? – zapytałam.

Grayson przewrócił oczami.

– Zero problemu. Zamierzałem podać się za jego bratanka, ale w ogóle nikt mnie o to nie pytał. – Wyglądał wręcz na odrobinę rozczarowanego, pewnie przygotował sobie trójfazowy plan wtargnięcia do sali szpitalnej. – Biedaczysko – dodał. – Leży i śpi. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, i tak już od miesiąca. Wiesz, że sondę żołądkową można podłączyć bezpośrednio przez powłokę brzuszną, zamiast przez przełyk? To się nazywa przezskórna gastrostomia endoskopowa, zalecana w przypadku pacjentów długoterminowych. Najwyraźniej mają niewielką nadzieję, że się kiedyś wybudzi. – Potarł nos. Wyraźnie go to poruszyło. – Nie znam faceta, ale nawet jeśli nie był dobrym człowiekiem, a Anabel miała swoje powody, to chyba nikt nie zasłużył na taki los, prawda?

Nie. Nawet Arthur. Nawet jeśli Henry twierdził, że metoda Anabel może być jedynym sposobem na zatrzymanie Arthura, o ile nie chcieliśmy go zabić.

– Musimy mu pomóc. – Grayson obrzucił skarpetkę senatora Morta

melancholijnym spojrzeniem. – Jedna z pielęgniarek powiedziała, że jego matka codziennie przychodzi, żeby go porządnie ubrać. W razie gdyby się obudził. Biedaczka, pewnie się zdziwi, gdzie się podziała druga skarpetka.

Przygryzłam wargę. Grayson miał rację, musieliśmy przynajmniej spróbować pomóc senatorowi Mortowi. Choćby ze względu na jego matkę. Omal znowu się nie rozbeczałam.

– A innych osobistych przedmiotów nie było? – zapytałam szybko, mrugając raz za razem, żeby powstrzymać łzy. – Odrobinę mniej obrzydliwych?

Grayson wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku. Prawdopodobnie było mnóstwo innych osobistych rzeczy, ale nie mógł się przemóc, żeby ukraść którąś z nich.

– Nie bądź taką niewdzięcznicą, Liv. Skarpetka jest idealna. Możesz ją wkładać co noc, wówczas będziesz przygotowana na wypadek, gdybyśmy znaleźli drzwi. Albo jeśli Anabel pokaże je nam dobrowolnie. A tak w ogóle, to co ty mogłabyś odhaczyć na liście rzeczy do zrobienia?

Taa. Nie chciałam się przyznawać, że nie miałam żadnej listy rzeczy do zrobienia ani żadnego wkładu w trójfazowy plan ratowania świata przed Arthurem. Mój dzień i bez tego był wystarczająco beznadziejny. Zreflektowałam się, że Grayson jeszcze o niczym nie wiedział.

– Zapomnij o listach – powiedziałam i z głębokim westchnieniem usiadłam na brzegu łóżka. – Stało się coś okropnego.

Chciałam z powrotem swojego misia!

– Czyżby babcia pokonała tatę i zaangażowała jednak konsultanta ślubnego? – zapytał współczująco Grayson. – To dlatego płakałaś?

Ach, prawda, jeszcze i konsultant ślubny! Bohra podobno wzięła najlepszego fachowca w branży, a już on uczyni z kameralnego przyjęcia mamy wielką imprezę. Ale to nie tego dotyczyła narada kryzysowa dziś po południu. Niestety. Pokręciłam głową.

– Lottie oznajmiła dzisiaj, że po ślubie nas opuści – powiedziałam i niewiele brakowało, a na nowo bym się rozryczała.

– O, serio? – Grayson wyglądał na szczerze poruszonego. – Sądziłem, że to nie podlega żadnej dyskusji.

– Też tak myślałam – odparłam. Ale to nie była prawda. W głębi serca wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ten dzień. Byłyśmy już z Mią za duże na nianię, a teraz, gdy mama w gruncie rzeczy nie była już matką samotnie wychowującą dzieci, a my miałyśmy prawdziwy dom, nasza Mary Poppins musiała odlecieć w swoje strony. Rozumiałyśmy to, a jakże. Tylko po prostu nie potrafiłyśmy wyobrazić sobie życia bez Lottie. Była najlepszym, co kiedykolwiek nam się przydarzyło. Czy ona o nas myślała tak samo, nie byłam już taka pewna. Trzydzieści lat temu, kiedy Lottie zakończyła swój pobyt w naszej rodzinie jako *au*

pair, chciała rozpocząć studia w Monachium i dziś byłaby nauczycielką w podstawówce, gdyby nie to, że wyruszyła z nami w świat. Prawdopodobnie wyszłaby za mąż i pewnie już dawno sama miałaby dzieci. A tak skończyła trzydzieści dwa lata i nawet nie zdobyła wykształcenia.

– Co ona chce... eee... To znaczy, z czego chce...? – Grayson nie wiedział, jak taktownie sformułować pytanie, ale zrozumiałam go i tak.

– Jeden z jej kuzynów zaoferował jej pracę we własnym hotelu w Oberstdorfie – odpowiedziałam. – Od pierwszego czerwca.

Grayson wydawał się szczerze zaszokowany.

– W Niemczech? A co z wujkiem Charlesem? Myślałem, że między nimi jest coś poważnego.

Wzruszyłam ramionami.

– Nieee, obawiam się, że nic z tego nie będzie. Twój wujek jest taki... niezdecydowany. A i uczucie Lottie jakoś przygasło. Już dawno przestała przekręcać słowa w jego obecności.

– Powinniśmy coś z tym zrobić – oświadczył energicznie Grayson. – Jeśli Lottie i Charles mają się ku sobie, to ona musi zostać w Londynie. Dla Charlesa to i tak byłoby najlepsze.

– Dopisz to do swojej listy rzeczy do zrobienia – poradziłam mu. Chciałam, by moje słowa zabrzmiały ironicznie, żeby nie zauważył, jak bardzo byłam wzruszona. Najchętniej rzuciłabym się mu na szyję z wdzięczności za to, że tak się martwi o Lottie. I może też troszkę o mnie i Mię.

– To zadanie przynajmniej jest wykonalne. – Grayson wyszczerzył się do mnie. – Zobaczysz, jestem nie tylko zuchwałym złodziejem skarpetek, ale i świetnym swatem.

Odpowiedziałam mu uśmiechem i nagle poczułam się dużo pewniej. No dobra, wprawdzie nie mieliśmy planu, ale mieliśmy siebie. A tego Arthur nie miał.

Pytanie tylko, ile czasu nam jeszcze zostało, by się przygotować. To ponownie skłoniło mnie do rozważań o przedmiotach osobistych. Czy rzeczy wyrzucone przez właścicieli się liczyły? I jak długo zwykła czarna skarpetka zachowywała osobisty charakter?

Grayson nie znał odpowiedzi.

– Przez jakiś czas na pewno – myślałam na głos. – T-shirty, które wyrzuciłeś, a których ja używam w charakterze góry od piżamy, spełniają swoją funkcję znakomicie.

Grayson wziął głęboki wdech.

– Po pierwsze, nie wyrzuciłem tych T-shirtów, tylko ty po prostu wyjęłaś je z kosza na czystą bieliznę...

– Tak, ale dopiero wtedy, kiedy ty nie wyjmowałeś ich stamtąd przez wiele tygodni.

– A po drugie chciałbym, żebyś przestała próbować dostać się do moich snów.

– To tylko w celach testowych. – Zignorowałam jego zmarszczone czoło. – No wiesz, faza pierwsza, kontrola bezpieczeństwa i tak dalej. Sprawdzam, czy drzwi się otworzą, jeśli będę chciała wejść. Czego oczywiście nie zrobię. Chociaż mogłabym.

– Wykluczone – oświadczył kategorycznie Grayson.

– Niestety nie. – Pomimo załamania z powodu Lottie na mojej twarzy wykwitł szeroki uśmiech i nic nie mogłam na to poradzić. – Musisz poprawić swoje zabezpieczenia, Grayson. Znalezienie odpowiedzi na pytanie Freddy’ego to dla Arthura pikuś. Skoro nawet ja sobie poradziłam...

Grayson zaśmiał się z niedowierzaniem.

– No weź, to nie może być prawda. Liv, od kiedy to jesteś geniuszem w rachowaniu w pamięci?

– To naprawdę nie było trudne. – W rzeczywistości trzy noce zajęło mi, zanim w ogóle zapamiętałam kretyńskie działania, aby móc je wklepać w kalkulator. – Jaką liczbę otrzymamy, gdy pomnożymy pierwiastek z liczby sześćdziesiąt trzy tysiące jeden przez sto osiemdziesiąt sześć – powiedziałam, starając się naśladować piskliwy głosik Freddy’ego – i odejmiemy od tego iloczyn liczb tysiąc trzysta pięćdziesiąt trzy i sześć, od wyniku ponownie odejmiemy pierwiastek z liczby sześćdziesiąt trzy tysiące jeden, a całość odwrócimy?

– Chyba naprawdę często tego słuchałaś, skoro znasz już wszystko na pamięć – zadrwił Grayson, nie tracąc pewności siebie.

– Trzydzieści osiem tysięcy trzysta siedemnaście – wypaliłam.

– Dobrze obliczyłaś, ale odpowiedź jest niestety błędna – powiedział Grayson ze złośliwą satysfakcją i jednocześnie z ulgą. – Matematyka to jednak nie wszystko.

– Wiem. Ale kiedy odwrócimy trzydzieści osiem tysięcy trzysta siedemnaście, otrzymamy miłość! A właściwie niemieckie słowo LIEBE. – Podejrzewałam, że to ja wyglądałam w tym momencie jak czekająca na pochwałę Buttercup. Nadal byłam dumna z siebie, że po tych wszystkich żmudnych obliczeniach tak szybko załapałam, że „odwrócić” całość oznaczało jedynie przekręcenie kalkulatora do góry nogami i odczytanie liczby na wyświetlaczu. Siódemka była literą L, jedyńka I, trójka E i tak dalej. Sztuczka, którą znał każdy uczeń. – Uważam, że to bardzo romantyczne hasło.

Nie sprawdziłam jednak, czy było poprawne. Kiedy stanęłam przed drzwiami Graysona, a Freddy popatrzył na mnie z wyczekiwaniem, podanie hasła wydało mi się lekkomyślnością. Byłoby to zbyt niebezpieczne w korytarzu, gdzie człowiek nigdy nie miał pewności, czy rzeczywiście jest sam. Nawet gdybym wyszeptala je Freddy’emu prosto do ucha, ktoś mógłby nas podsłuchać

i wykorzystać tę informację, ktoś, kto wprawdzie potrafił być niewidzialny, ale może jeszcze nie wpadł na to, żeby odwrócić kalkulator do góry nogami.

– Cholera – zaklął cicho Grayson, z czego wywnioskowałam, że „LIEBE” było właściwą odpowiedzią. – W takim razie dziś w nocy będę musiał wymyślić coś innego. – Jego czoło wygładziło się nagle, a na twarzy pojawił uśmiech. – Chociaż w zasadzie jestem pewien, że Arthur nie jest taki bystry jak ty.

– Racja. Ale braki w inteligencji nadrabia złośliwością. – Pomyślałam o scenie z Theo Ellisem w szkolnym holu i już miałam opowiedzieć o tym Graysonowi, gdy coś mi się przypomniało. Wstałam, żeby wyjąć coś z torby. – Masz. To dla ciebie. Od Henry’ego. Masz to włożyć dziś w nocy.

Grayson wlepił wzrok we wręczony mu przedmiot, równie skołowany jak ja przed chwilą na widok skarpetki.

– Okulary z jednym szkłem? Po co? Czyje to jest?

– Nie powiedział. Ale gdybym miała zgadywać... – Podniosłam apaszkę w fioletowe kwiaty, którą Henry przewidział dla mnie, i powąchałam ją. – Osoba płci żeńskiej, urodzona przed 1950 rokiem, preferująca potrawy z kapusty i lawendowe perfumy. Mam nadzieję, że wystarczy, jeśli zamotam ją sobie na nodze. Za żadne skarby nie zawiążę jej sobie na szyi.

Grayson obrócił okulary w palcach i wstał nachmurzony.

– No to super. Znowu nici z nocnego odpoczynku. – Ziewając, powlókł się do drzwi. – Ale jedno ci powiem: nie pójdę spać na głodniaka. Myślisz, że zostało jeszcze coś z kolacji?

Przytaknęłam.

– W lodówce. Lottie uratowała twoją porcję klopsików przed Mią i schowała na tarasie. W zielonej misce na parapecie.

Mina Graysona natychmiast poweselała.

– Kocham Lottie. Naprawdę nie wiem, jak ja będę żył bez niej i jej klopsików. – Zanim zamknął za sobą drzwi, uśmiechnął się do mnie jeszcze raz. – To na razie. Spotkamy się na tym cholernym korytarzu.

5.



– No to jesteśmy na miejscu. – Henry położył dłoń na topornej gałce z brązu.
– Witamy w skromnych progach!

Grayson sceptycznie przyjrzał się drzwiom.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, dlaczego musimy zakradać się do czyjegoś snu w odległości trzech kilometrów od naszych własnych drzwi tylko po to, żeby porozmawiać? – zapytał i omiótł spojrzeniem korytarz. – Pomijając fakt, że sam w życiu nie znajdę drogi z powrotem, a tutaj byliśmy takim samym celem dla śledzących nas jak gdzie indziej.

– Racja – zgodził się Henry. – Ale kto nie wie, czyje to drzwi, nie może ukraść ich właścicielowi żadnego osobistego przedmiotu, a więc nie przedostanie się przez próg. – Po przyjacielsku poklepał drzwi. – Tutaj absolutnie nikt nam nie przeszkodzi. I tu zawsze będziemy mieli schronienie na wypadek... na wypadek, gdybyśmy go potrzebowali.

Grayson nadal patrzył z powątpiewaniem. Mnie również argumentacja Henry'ego wydała się nie całkiem logiczna.

– Momencik. A jak to było z drzwiami Amy? Przecież nie miałam jej osobistego przedmiotu – zauważyłam. Amy była czteroletnią siostrą Henry'ego. W jednym z jej słodkich snów, lazurowych od błękitu nieba i pełnych balonów i baniek mydlanych, Henry powiedział mi po raz pierwszy, że mnie kocha. Nie mógł wybrać bardziej romantycznej scenerii. No dobra, tęczowe kucyki to było może trochę zbyt wiele.

– Mogłaś wejść do snu Amy tylko dlatego, że otworzyłam przed tobą drzwi i wziąłem cię ze sobą – wyjaśnił Henry z nutą zniecierpliwienia w głosie. – No i ty miałaś przy sobie mój osobisty przedmiot. No chodź już.

Wciąż byłam nieufna.

– A... ale przecież ktoś niewidzialny mógłby prześliznąć się razem z nami przez próg. Ja jako podmuch powietrza weszłam za tobą do snu B. Nie pamiętasz?

Henry westchnął. Może z niecierpliwości, a może dlatego, że nie chciał, aby mu przypomniano ten epizod.

– W takim przypadku, po pierwsze, ten ktoś musiałby mieć jakiś mój

osobisty przedmiot, a po drugie, musiałby przebić się przez wszystkie te pola energetyczne, które zainstalowałem za nami po drodze. – Wskazał połyskliwą ścianę, którą postawił niedbałym gestem jakieś dwadzieścia metrów od nas. – Wprawdzie działają tylko w zasięgu wzroku, ale to wystarczy, żeby trzymać na dystans ewentualne śledzące nas osoby.

– Pola energetyczne, które mają powstrzymywać niewidzialne osoby – mruknął Grayson. – To jest tak idiotyczne, że gdyby to był film, to właśnie wyszedłbym z kina.

Miał rację.

– Film o ludziach, którzy we śnie są tak wszechmocni, że mogą nawet być niewidzialni, ale mają ich powstrzymać bariery energetyczne, wyśnione przez innych ludzi – dodałam. – Chyba raczej nie zdobędzie Oscara.

Pomijając fakt, że byłoby cholernie trudno ująć w kadrze niewidzialnych aktorów.

– Ja tam widziałem już w życiu gorsze filmy. No chodźcie. – Henry otworzył drzwi, przytrzymał je i po kolei przepchnął nas przez próg. – I nie bójcie się doga, on nic wam nie zrobi.

Słyszając słowo „dog”, chciałam się jeszcze wycofać, ale Henry szybko zamknął za nami drzwi i oparł się o nie plecami. Rozejrzałam się. Na szczęście żadnego doga nie było. Znajdowaliśmy się w salonie zapchanym meblami i różnymi sprzętami. Stylistycznie wszystko idealnie pasowało do apaszki, którą dał mi Henry (i którą przed snem jak pasek owinęłam sobie wokół talii). Kwieciste tkaniny, z których wykonano obicia kanap i foteli oraz abażury lamp, konkurowały deseniami z haftowanymi poduszkami, wielobarwnymi perskimi dywanami i tradycyjnymi wiktoriańskimi tapetami. Na ścianach wisiały oprawione w ramy grafiki i oleje przedstawiające baletnice w błękitnych i różowych strojach, a wszystkie wolne miejsca na parapecie, pianinie i ciężkich, ciemnych szafkach i komodach zajmowały doniczki z cyklamenami w jaskrawych odcieniach magenty. W wielkiej złotej klatce obok pianina siedziała papuga, drapiąc się po piersi i przypatrując się nam ciekawie.

– Jak w jakimś koszmarze – zauważył kompletnie przytłoczony Grayson.

– Szmaciarze, chałaciarze – zaskrzeczała papuga.

– Corky! Tak się nie zachowują dobrze wychowane ptaki. – Słowa te wypowiedziała starsza pani, siedząca w kwiecistym fotelu przy kominku i robiąca na drutach coś bardzo kolorowego. Drobna i wiotka, z ufarbowanymi na delikatny fiolet włosami i w sukience w kwiatki tak bardzo zlewała się optycznie z deseniem fotela, że dostrzegłam ją dopiero teraz. Zsunęła okulary na czubek nosa, żeby nas otaksować spojrzeniem. – Ale serweta jeszcze nie gotowa.

– Nic nie szkodzi, pani Honeycutt – powiedział łagodnie Henry. – Proszę sobie nie przeszkadzać i dziergać dalej.

– Nie przeszkadzacie. – Starsza pani zaklekotała drutami do robótek ręcznych. – Tylko nie lubię, jak się mnie pogania. Ile potrwa, tyle potrwa.

– Absolutnie się zgadzam. – Henry powoli poprowadził mnie obok fotela pani Honeycutt i papugi w stronę tapicerowanych krzeseł ustawionych wokół niedużego okrągłego stolika. – Po prostu usiądziemy tu sobie na chwilkę, a pani zapomni, że w ogóle tu jesteśmy. Niech pani dzierga dalej, odprężona i szczęśliwa. – W jego głosie pojawiła się zaklinająca nuta, jakby był jarmarcznym hipnotyzerem ze starego filmu. Ale wyglądało na to, że to działało.

– Zawsze jestem odprężona i szczęśliwa, kiedy dziergam – powiedziała pani Honeycutt, bardziej już do siebie niż do Henry’ego. – Właśnie to jest takie cudowne. Zawsze powtarzam, że gdyby wszyscy ludzie robili na drutach, to świat byłby lepszym miejscem.

– Siadajcie. – Henry obrócił jedno z krzeseł oparciem do nas, usiadł na nim okrakiem i popatrzył z zadowoleniem.

– Gdzie jest dog? – wyszeptałam.

– Ach, pani Honeycutt śni o nim czasami. Ona ma właśnie takie niewinne sny, przeważnie siedzi u siebie w salonie i dzierga, pocziwina. – Dołeczki w policzkach Henry’ego pogłębiły się. – Czyli dokładnie to, co przeżywa w ciągu dnia.

– Makabra – szepnął Grayson, przy czym nie było jasne, czy miał na myśli wystrój wnętrza, czy fakt, że sny staruszki są idealnym odzwierciedleniem jej nudnej codzienności.

– Możesz spokojnie mówić głośniej, ona we śnie też jest przygłucha. – Henry przesunął doniczkę z cyklamenami i oparł łokcie na stoliku. – Mieszka naprzeciwko nas po skosie i karmi naszego kota, kiedy wyjeżdżamy na wakacje. My w zamian podlewamy jej kwiatki, kiedy odwiedza brata w Bath. Całą wieczność zajęło mi znalezienie jej drzwi, ale im częściej ją... eee... odwiedzam, tym jej drzwi przesuwają się bliżej moich, a tym samym i waszych. – Powędrował spojrzeniem po pokoju i uśmiechnął się. – Idealna kwatera główna, nie sądzicie?

Grayson obrzucił go ponurym spojrzeniem.

– Tak, to cudowne uczucie być stalkerem biednej staruszki. Nie rozumiem, jak to ma nam pomóc w rozwiązaniu naszych problemów. I co to nam w ogóle da, jeśli będziemy zarywać noce na tych korytarzach. – Westchnął głęboko. – Jutro rano znowu będę padnięty.

– Wiem, że nienawidzisz tego wszystkiego – powiedział Henry tym samym łagodnym perswazyjnym tonem, który przybrał, przemawiając do pani Honeycutt. – Ale widziałeś, co się dzieje, jeśli trzymasz się od tego z daleka. Arthur i Anabel noc w noc doprowadzali swoje umiejętności do perfekcji. Musimy tym ciężiej ćwiczyć i eksperymentować, żeby dotrzymać im kroku...

– Ja! Nie my. – Grayson wpadł mu w słowo tak gwałtownie, że

popatrzyliśmy na niego wystraszeni. – No weźcie, przecież to prawda. Nie tylko Arthur i Anabel doskonalili swoje umiejętności, wy też. I dobrze wiem, że tego, co potraficie, ja nigdy się nie nauczę.

– Nigdy przenigdy – zaskrzeczała papuga.

Obawiałam się, że Grayson mógł mieć rację. Ewidentnie brakowało mu wyobraźni, a tej potrzeba tu było bardziej niż czegokolwiek innego.

Henry przez moment sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, jakby wsłuchiwał się w swój wewnętrzny głos.

– Wszystko to tylko kwestia treningu – powiedział i w tym samym momencie zniknął bez śladu. Tak po prostu, bez zapowiedzi, nie zostawiając nawet powiewu, nie wydając najmniejszego dźwięku.

– Fajnie by było, gdyby rozległo się przynajmniej takie plaśnięcie jak przy pękaniu bańki mydlanej – mruknęłam.

– Bardzo śmieszne. – Grayson wyciągnął rękę i pomacał w powietrzu nad krzesłem Henry’ego. – Tak, świetny pokaz, Henry, właśnie to miałem na myśli. Nigdy nie nauczę się czegoś takiego. Możesz już przestać.

– Grayson, obawiam się, że on nie stał się niewidzialny, on się po prostu obudził. – Popatrzyłam w stronę pani Honeycutt, która siedziała plecami do nas i z anielskim spokojem dziergała dalej. Klekotanie jej drutów miało w sobie coś przytulnego. – Możemy chwilę poczekać, może Henry zdoła powtórnie zasnąć. Ale prawdopodobnie ktoś go obudził, a to może potrwać dłużej. – Wiedziałam, jak to jest. W weekendy matka Henry’ego wychodziła z domu i zostawiała go samego z rodzeństwem. Te noce były przeważnie dość niespokojne, zwłaszcza że Amy często chorowała, chciało jej się pić albo nie mogła znaleźć swojego pluszaka. Czasami Henry’ego budził jego brat Milo, który albo słyszał włamywacza, albo tylko miał zły sen. A jeśli spokoju Henry’ego nie zakłócali Amy, Milo ani kot, to robiła to jego matka, kiedy wracała pijana, jak pociskami strzelając obcasami swych szpilek po całym domu. Biada, jeśli potknęła się przy tym o leżącą w przedpokoju zabawkę, wtedy zaczynała głośno złorzeczyć i nierzadko wybuchała płaczem. Wiedziałam o tym nie z opowiadań Henry’ego, ale stąd, że te hałasy i głosy mieszały się niekiedy z jego snami i były słyszalne i dla mnie do chwili, gdy Henry się budził i znikał.

– Idziemy. – Grayson podniósł się pośpiesznie. – Bo jeśli ty też się teraz obudzisz, będę musiał znaleźć drogę z powrotem całkiem sam. I z kretesem się pogubię...

– Pogubię, podłubię – skrzeknęła papuga i dodała zatrwając ludzkim, bardzo niskim głosem: – Rozdzióbię!

– Świetnie, już mam gęsą skórę, ty głupie ptaszysko – rzucił Grayson.
– Liv, idziesz, proszę?

Chyba naprawdę nie miało sensu czekać dłużej na Henry’ego.

Chwyciłam rękę, którą niecierpliwie wyciągnął w moją stronę Grayson, i wstałam.

– To pierwsza rzecz, jakiej musisz się nauczyć, Grayson. Budzić się, kiedy sen ci się nie podoba lub staje się zbyt niebezpieczny. To o wiele ważniejsze niż wszystkie sztuczki z przemianami razem wzięte.

Stojący pod przeciwległą ścianą zegar wybił dwunastą. We śnie pani Honeycutt nastąpiła godzina duchów, ale na jawie musiało być już po drugiej. Zasnęłam dopiero grubo po północy, bo do mojego łóżka wśliznęła się Mia i próbowałyśmy pocieszać się nawzajem i wmawiać sobie, że dla Lottie najlepiej będzie, jeśli rozpocznie nowe życie. Bez nas.

Jeszcze nie przebrzmiały uderzenia zegara, kiedy z cichym skrzypnięciem otworzyły się zarysowane w tapecie drzwi i do środka wszedł blade, nieduży mężczyzna w średnim wieku. Nosił okulary w metalowej oprawce, miał okrągłą, ciastowatą twarz i włosy zaczesane na bok z przedziałkiem. Mimo że nie wyglądał groźnie – choćby z uwagi na trzymaną pod pachą grubą poduchę w kwiaty – pani Honeycutt upuściła robótkę na podłogę. Grayson drgnął z przestachu. Puścił mnie, strącając przy tym ze stolika doniczkę z cyklamenem. Przybysz i pani Honeycutt zdawali się tego nie zauważać.

– Alfredzie! – wykrzyknęła zduszonym głosem staruszka.

– Tak, to ja. – Alfred roześmiał się. Nie był to przyjazny śmiech, pasujący do niegroźnego facecika w metalowych okularach i z kwiecistą poduchą, raczej śmiech z gatunku „seryjny morderca”. To samo można było powiedzieć o jego głosie. – Wszystko pozamykałaś na trzy spusty i sprawdziłaś, nieprawdaż, Becky? Zapomniałaś tylko o tych sekretnych drzwiach.

– O Boże, ja znam ten rodzaj snu – wyszeptał Grayson.

Alfred nie dał się odwieść od swego planu. Bez dalszych ceregieli uniósł poduchę i podszedł do pani Honeycutt.

– Proszę, nie. – Zabrzmiało to tak, jakby pani Honeycutt już teraz brakowało tchu, jej głos był ledwie szeptem. – Alfredzie, nie, proszę. – Ponieważ siedziała plecami do mnie, nie mogłam dojrzeć jej twarzy, za to oblicze Alfreda widziałam doskonale. W jego oczach czał się morderczy błysk.

– Nic ci nie pomogą twoje błagania, pani Mądralińska. – Podszedł jeszcze bliżej. – Już za chwilę złapiesz swój ostatni oddech. Będę się napawał konwulsjami twoich członków pod moimi rękoma...

Grayson odchrząknął.

– Nie chciałbym przeszkadzać, ale czy nie zechciałby pan poczekać z morderstwem na moment, w którym nie będzie miał pan świadków? Halo? Morderco z kwiecistą poduszką? Słyszysz mnie pan w ogóle? – Głośno pstryknął w powietrze palcami.

Alfred niechętnie ściągnął brwi, przystanął jednak. Pani Honeycutt

odwróciła się do nas.

– Och! – wykrzyknęła zdumiona, jakby widziała nas po raz pierwszy w życiu.

Uśmiechnęłam się do niej uprzejmie.

– Co tu w ogóle robi taka hołota jak wy? – zainteresował się Alfred.

– Właśnie wychodziliśmy – powiedziałam i precyzyjnie się między fotelami w stronę drzwi. – Chodź, Grayson!

– Chyba nie mówisz poważnie! – Grayson popatrzył na mnie z oburzeniem.

– Ani myślę zostawiać tej biednej staruszki z mordercą.

– To jest sen, Grayson! Jutro rano pani Honeycutt już nie będzie go pamiętać.

– Nie obchodzi mnie to – odparł. – Tak nie można.

– No dobra – westchnęłam. – W takim razie to dla ciebie doskonała okazja do ćwiczeń. – Oparłam się plecami o drzwi i skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Proszę bardzo. Morderca jest twój.

Grayson, lekko niezdecydowany, wycelował palec w Alfreda.

– Niech pan sobie idzie – zażądał. – Bo... bo inaczej wezwę policję.

Przewróciłam oczami.

Alfred zaś ani myślał sobie iść, wręcz przeciwnie. Zaczął rosnąć i męźnieć pod wycelowanym palcem Graysona. Wypielęgowane niezgrabne rączki, w których ścisnął poduszkę, zamieniły się w potężne łapska, które z łatwością mogłyby udusić i bez poduszki. Jedną ręką, w razie potrzeby.

– No dobra – warknął Alfred, który już w ogóle nie wyglądał jak Alfred, i odrzucił poduszkę na bok. – W takim razie ty pójdziesz na pierwszy ogień, chłoptasiu!

– Ach, przecież to... – Grayson cofnął się o krok i omal nie wylądował na kolanach u pani Honeycutt.

– Tak się dzieje, kiedy pozwalasz, aby kontrolę przejęły twoje lęki – mądrzyłam się z boku.

– Mogłabyś trochę pomóc, Liv. – Grayson zasłonił panią Honeycutt, usiłując stłumić panikę w swym głosie. – Przecież znasz kung-fu. Słyszysz pan, panie Alfredzie? Moja koleżanka zna kung-fu!

To nie zrobiło na Alfredzie najmniejszego wrażenia. Nawet nie zwrócił na mnie uwagi, tylko wyciągnął potężne łapska dusiciela ku Graysonowi. Ten chwycił ze stolika mosiężny świecznik i zamachnął się nim groźnie.

– Ostrzegam pana! – krzyknął. – Ani kroku dalej albo uderzę!

Jęknęłam.

– Przestań wreszcie zachowywać się, jakbyśmy byli na jawie, Grayson. Tutaj możesz załatwić Alfreda jednym palcem. Możesz... bo ja wiem... być Spidermanem i w ciągu sekundy owinać go pajęczyną. Albo teleportować go

intergalaktycznym strumieniem energii na księżyc. Możesz przemienić go w świnkę morską albo w truskawkowy lizak. Możesz nadmuchać go jak balon i przekłuć albo...

– Już zrozumiałem zasadę, dzięki – przerwał mi ze złością Grayson, nie odrywając wzroku od Alfreda, który zdawał się wciąż rosnać. – Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Pani Honeycutt szarpnęła go za rękaw.

– Mogę, młody człowieku? – Podniosła z podłogi robótkę i odsunęła Graysona wraz ze świecznikiem. A potem, prędzej niż zdążyłam pomyśleć „hu!”, wbiła oba druty w pierś Alfreda. Ten, charcząc, zatoczył się ku drzwiom wyrysowanym w tapecie.

– A masz, potworze! – zawołała. – A masz!

Podczas gdy ona sięgnęła po lampę z marmurową nóżką, by z triumfalnym krzykiem zdzielić nią Alfreda w przedziałek, skorzystałam z okazji, by złapać kompletnie zbaraniałego Graysona za ramię i pociągnąć do drzwi.

– Widzisz, pani Honeycutt też rozumiała zasadę – zauważyłam odrobinę zdyszana, kiedy stanęliśmy na korytarzu. – Tylko że w przeciwieństwie do ciebie ona po mistrzowsku wcieliła ją w życie. – Z piersi wyrwał mi się niestosowny chichot. – Kto by pomyślał?

Grayson żałośnie wpatrywał się w świecznik, który wciąż trzymał w ręku.

– Jestem beznadziejnym przypadkiem! Nie tylko przemieniłem mikrusa i mordercę z bożej łaski w groźnego dusiciela, ale sprawiłem też, że niewinna staruszka została brutalną zabójczynią. – Już chciał ponownie otworzyć drzwi, ale zagroziłam mu drogę.

– Na pewno tam nie wrócimy! A może chcesz pomagać pani Honeycutt w pozbyciu się zwłok?

– Chciałem tylko oddać świecznik – tłumaczył się speszony.

Naprawdę był beznadziejnym przypadkiem. Nie chciałam jednak jeszcze bardziej odbierać mu nadziei. Jednym pstryknięciem sprawiłam, że świecznik zniknął, a potem wzięłam Graysona pod rękę.

– Potrzebujesz jedynie trochę wprawy – powiedziałam optymistycznie. – I trochę więcej wiary w siebie.

Oraz jakiegoś sukcesu. Bardzo pilnie.

6.



Droga powrotna zajęła nam znacznie więcej czasu, a to dlatego, że dziwne drzwi przypominające wrota zamku śpiącej królowny, które służyły mi za jeden z punktów orientacyjnych, zdążyły zmienić lokalizację. Na to wpadłam jednak dopiero wtedy, kiedy dwukrotnie skręciliśmy w złym miejscu.

Kiedy oznajmiłam Graysonowi, że musimy wrócić spory kawałek, zamiast mnie przekląć, tylko pokiwał ze znużeniem głową.

– Pociesza mnie trochę, że ty też nie jesteś nieomylna – powiedział. – Choć może raczej powinno mnie to niepokoić. – Obejrzał się za siebie, chyba już po raz tysięczny. – Jak tu cicho.

– To dobrze – zapewniłam go, dokładnie tak samo, jak zawsze robił to Henry. Wydawało się, że naprawdę jesteśmy sami, w każdym razie na ile mogłam ufać intuicji. Przed chwilą kątem oka dostrzegłam jakiś cień, ale kiedy chciałam przyjrzeć mu się uważniej, zniknął. Za to teraz dokonałam nieoczekiwanego odkrycia, które tym razem wyjątkowo nie było upiorne, tylko ze wszech miar radosne.

Zatrzymałam się tak nagle, że Grayson wpadł na mnie.

– Drzwi Matta! – Z zadowoleniem pokazałam mu swoje połyskujące czerwonym lakierem odkrycie. – Gdybyśmy się nie zgubili, nigdy byśmy ich nie znaleźli.

– Jakiego Matta? – zapytał skonsternowany Grayson.

– Matta z naprzeciwka. Nie mam pojęcia, jak się nazywa. Syn tej kobiety od kosów. Właśnie znów się wprowadził. Florence ci nie mówiła? Te drzwi na sto procent należą do niego.

– Skąd ta pewność? – Grayson popatrzył na mnie, kręcąc głową. – I dlaczego tak cię to cieszy, tak w ogóle?

Pokazałam mu zdanie napisane czarnym tuszem nad klapką na listy.

– „Mijaj zdrów otwarte okna”. To jest maksyma rodziny Berrych w *Hotelu New Hampshire*, a to z kolei przypadkiem jest ulubiona książka Matta. A jeśli ktoś

chce więcej dowodów, to te drzwi mają dokładnie ten sam kolor, jak lakier jego Morgana Plus Minus Coś Tam.

– Morgana Plus 8 – poprawił odruchowo Grayson, po czym dodał: – Tylko mi nie mów, proszę, że on ci się podoba.

– Ach, samochody właściwie ani mnie ziębią, ani grzeją. – Nie zwalniam kroku, czujnie przesuwalam spojrzenie po rzędach drzwi, żeby nie przegapić odnogi. Zaraz za drzwiami z mlecznego szkła powinniśmy skrócić w lewo.

– Nie chodziło mi o samochód – wyjaśnił Grayson. – Dlaczego interesuje cię, gdzie są drzwi do snu Matta?

Nie odpowiedziałam.

– Musimy iść tędy. A potem zaraz w lewo i już powinniśmy być na właściwej drodze.

– Liv? – Grayson rzucił mi przenikliwe spojrzenie z ukosa. – Co ty zamierzasz zrobić z Mattem?

– Nic. – W każdym razie nic konkretnego. Z mojej strony była to tylko garść niedokończonych myśli, którymi nie chciałam się z nikim dzielić. A już najmniej z Graysonem. – Cieszyłam się tylko, że znalazłam jego drzwi, to wszystko. – Z całego serca żałowałam, że pokazałam je Graysonowi.

Nieprzyjemnie przyszpilił mnie wzrokiem.

– Nie mam pojęcia, co ten typ w sobie ma, że lecą na niego wszystkie dziewczyny. Florence bujała się w nim przez wiele lat. Była totalnie nieszczęśliwa, bo Matt zawsze widział w niej tylko małą dziewczynkę z naprzeciwka.

– Tak, na tym właśnie polega problem z chłopakami – powiedziałam wzburzona. – Jeśli jesteś niedoświadczona, to przyklejają ci łatkę małej dziewczynki i patrzą z politowaniem. Ale gdy tylko usłyszą, że miałaś już chłopaka, to... eee...

– To co? – drążył Grayson.

– To chcę, żebyś tak się zachowywała. To znaczy jak ktoś, kto ma doświadczenie. Tylko że... owszem, można poczytać, jak się zachowuje ktoś z doświadczeniem, ale to się wyczuwa, to nie jest autentyczne. – Coraz bardziej się zaciętrzewiałam, przyspieszając odruchowo. Grayson wydłużył krok. Nie spuszczał ze mnie wzroku. – I to właśnie jest problem – wyrwało mi się. – Skoro trzeba się zachowywać jak ktoś z doświadczeniem, to człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak przedtem zdobyć to doświadczenie! A to już naprawdę skomplikowane. To jak z lataniem. Owszem, powiedziałam, że jestem pilotem. To było kłamstwo, ale powiedziałam tak tylko dlatego, że bycie pilotem wcale nie musi być powodem do dumy. A już litościwy uśmieszek tylko dlatego, że ktoś nie jest pilotem, można sobie chyba darować, prawda? Tylko że ja mam teraz popilotować Boeinga 747. Oczywiście nie mam pojęcia jak. Bo i skąd. Rozumiesz, na czym polega problem? Nie mogę dłużej udawać, że znam się na lataniu, bo nie dam rady nawet poderwać

samolotu. Czego więc potrzebuję? No właśnie! Doświadczenia! Wylatanych godzin, w pewnym sensie. I w tym momencie do gry wkracza symulator lotu. I... – Umilkłam nagle. Ups. A jednak powiedziałam to na głos. Tylko że Grayson i tak nie nadażał za moim wywodem, jego spojrzenie nie było już świdrujące, tylko skołowane. Bardzo skołowane.

Bogu dzięki.

– Biedna Florence – dodałam szybko. – Głupi piloci.

– Absolutnie. Zgraja zarozumiałców – zgodził się Grayson i uśmiechnął po raz pierwszy tej nocy. Nie miałam wprawdzie pojęcia, co go tak rozbawiło, ale na wszelki wypadek wolałam nie pytać. W milczeniu skręciliśmy obok ciężkich, dwuskrzydłowych dębowych wrót w korytarz, w którym znajdowały się nasze drzwi. To był już znany teren, nawet dla Graysona. Sądząc po jego westchnieniu ulgi, chyba stracił wiarę w to, że znajdę właściwą drogę.

Niemal jednocześnie jednak drgnął, a ja prawie krzyknęłam z przestachu. Przed nami, a konkretnie pod drzwiami Graysona ktoś stał. Pośpiesznie pociągnęłam Graysona w cień granatowych drzwi, o których zawsze myślałam, że mogą należeć do dyrektorki Cook. Były utrzymane w barwach naszej szkoły, a pośrodku widniał herb Frogmal Academy. Po obu ich stronach stały donice z okazałymi bukszpanami przyciętymi w stożek, za którymi teraz się schowaliśmy. (Ciekawe tylko, dlaczego drzwi pani Cook znajdowały się tak blisko naszych. Mnie nie łączyły z nią szczególnie bliskie relacje i miałam nadzieję, że z jej strony było podobnie).

Grayson pobladł. Osobą, która ewidentnie próbowała dostać się do środka, była Emily.

– Nie wierzę – wyszeptał.

– Przykro mi – odszepnęłam w odpowiedzi i mówiłam to szczerze.

– Jaką liczbę otrzymamy, gdy pomnożymy pierwiastek z liczby sześćdziesiąt trzy tysiące jeden przez sto osiemdziesiąt sześć – usłyszeliśmy piskliwy głosik Straszliwego Freddy’ego – i odejmiemy od tego iloczyn liczb tysiąc trzysta pięćdziesiąt trzy i sześć, od wyniku ponownie odejmiemy pierwiastek z liczby sześćdziesiąt trzy tysiące jeden, a całość odwrócimy?

– Myślałam, że chcesz to zmienić. – Z wyrzutem szturchnęłam Graysona w bok.

– Nie miałem jeszcze czasu – odparł szeptem.

– Siedemdziesiąt jeden tysięcy trzysta osiemdziesiąt trzy – oświadczyła uroczyście Emily i założyła za ucho kosmyk swych błyszczących, brązowych włosów.

– Hasło niestety jest niepoprawne – zakomunikował jej uprzejmie Freddy.

– Nie jest! – Emily spiorunowała go wzrokiem. – Wynik to trzydzieści osiem tysięcy trzysta siedemnaście. Jeśli odwrócimy kolejność cyfr, otrzymamy

siedemdziesiąt jeden tysięcy trzysta osiemdziesiąt trzy. A teraz mnie wpuść, ty głupi sępie.

– Hasło niestety jest niepoprawne – powtórzył Freddy, który wcale nie był sępem, tylko pół lwem, pół orłem i pomimo nadwagi i piskliwego głosu wyglądał bardzo majestatycznie.

Emily tupnęła nogą.

– Liczyłam to dziesięć razy. Nie jest niepoprawne. – Szarpnęła wściekle za klamkę. – Nie po to zarwałam pięć nocy na zapamiętanie tego głupiego zadania, żebyś teraz odprawił mnie z kwitkiem. Siedemdziesiąt jeden tysięcy trzysta osiemdziesiąt trzy! O co innego może chodzić z tym odwróceniem? Minus siedemdziesiąt jeden tysięcy trzysta osiemdziesiąt trzy?

– Dosyć tego. – Grayson wyprostował się i zanim zdążyłam go powstrzymać, wyszedł z ukrycia. Emily, zajęta krzykiem na biednego Freddy'ego, zauważyła go dopiero wtedy, gdy był już prawie przy niej. Niestety, nie widziałam miny Graysona, ale na twarzy Emily malowało się bezbrzeżne przerażenie. Wytrzeszczyła oczy i szeroko otworzyła buzię. A kiedy powoli zamykała usta, jej cera przybierała pąsowy odcień. Już sam ten niezwykle widok był wystarczającą rekompensatą za to, że Grayson się zdemaskował.

– Cześć, Emily – przywitał ją nonszalancko. – Ćwiczysz rachunki? To doprawdy godne podziwu, że nawet w nocy tylko szkoła ci w głowie.

Zaśmiała się nerwowo.

– To mi się tylko śni.

– Hm – zgodził się Grayson. – W zasadzie tak.

– Tak naprawdę wcale cię tu nie ma – powiedziała Emily. Jej głos brzmiał bardziej piskliwie niż zwykle, nieomal histerycznie. – Ja tylko śnię, że ze mną rozmawiasz.

– Zgadza się, absolutnie. Przecież głupio byłoby, gdybym naprawdę przyłapał cię na tym, jak próbujesz wtargnąć do mojej prywatnej strefy. – Grayson oparł się plecami o ścianę obok swoich drzwi i schował ręce w kieszeniach spodni. – Boże, Emily, najchętniej bym ci przyłożył.

Gapiała się na niego.

– Prawdziwy Grayson nigdy by tego nie zrobił – powiedziała. Jej twarz powoli przybierała normalny kolor.

– I wnioskujez tak na podstawie analizy moich snów? – zapytał pełnym pogardy głosem.

– Chyba każdy na moim miejscu by tak zrobił! – wykrzyknęła Emily. – Przecież... czułam, że wewnątrz coraz bardziej się ode mnie oddalasz, a potem zaczęły się te dziwne sny... A kiedy zerwałeś ze mną tak nagle... Ach, co ja mówię, to przecież nie jest realne. W każdym razie nie uda ci się wywołać we mnie wyrzutów sumienia.

– Najwyraźniej nie. – Grayson przyglądał się jej, kręcąc głową.

– Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone. – Emily podeszła do niego bliżej. I ku jego (i mojemu również) zdumieniu zamknęła oczy i uniosła podbródek. – Pocałuj mnie!

Przez moment obawiałam się, że Grayson spełni jej żądanie, ale on powiedział cicho:

– To nie jest taki sen, Emily. A o miłości to ty nie wiesz absolutnie nic.

Nie poddawała się tak łatwo. Otworzyła oczy i zarzuciła mu ręce na szyję.

– To mój sen. I chcę, żebyś mnie pocałował. Teraz.

– A ja chcę, żebyś sobie poszła – odparł i odsunął ją od siebie. – Teraz.

Emily ślizgiem oddaliła się o kilka metrów, jakby podłoga nagle zamieniła się w lodowisko.

Popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Co ty robisz?

– Powiedziałem ci przecież, że to nie jest taki rodzaj snu. – Grayson uniósł rękę. Emily odpływała w dal, jakby ciągnięta przez niewidzialne nici. – Twoje drzwi są tam, prawda? Te z podkowami i brzydką kołatką w kształcie końskiego łba, zgadza się?

Emily nie odpowiedziała, była wystarczająco zaabsorbowana utrzymaniem równowagi. Przemknęła obok mnie i zakwiliła bojaźliwie. Kiedy Grayson w końcu opuścił dłoń, zaszlochała, rzuciła mu ostatnie zdumione spojrzenie i odwróciła się na pięcie. Jakby ją gonił sam diabeł, popędziła za najbliższy róg, skąd po chwili dobiegł brzęk czegoś metalicznego, uderzającego o podłogę. Podkowy?

– Słodkich snów – rzucił za nią Grayson.

Kiedy wyszłam z za bukszpanu pani Cook, musiałam bardzo się powstrzymać, żeby go nie uściskać. Nie byłam pewna, czy powinnam okazać mu, jaka byłam z niego dumna.

– Nieźle – powiedziałam tylko.

– Nieźle? Nieźle? – Grayson podetknął mi dłonie pod nos. – No weź, to było fenomenalne! Przeciągnąłem ją przez pół korytarza czystą energią. Obłęd! Chyba już załapałem, na czym to polega. – Posłał mi szeroki uśmiech. – U mnie to działa tylko wtedy, gdy jestem bardzo, ale to bardzo wściekły, niestety.

– Byłeś wspaniały! – Zerknęłam na drzwi Henry’ego naprzeciwko. Szkoda, że tego nie widział. – Żałuję tylko dwóch rzeczy. Po pierwsze, że nie miałam jak nagrać głupiej miny Emily. A po drugie, że ona niestety myśli, że to wszystko jej się przyśniło.

– Mogła tylko rznąć głupa – zauważył Grayson.

Pokręciłam głową.

– Ona nie udawała, ona naprawdę nie ma pojęcia. Arthur może i wskazał jej

drogę na ten korytarz, ale nie zostawił jej instrukcji obsługi. Prawdopodobnie nawet jej się nie pokazał, tylko po prostu ją tu wypuścił. Wypuścił na wolność jak zwierzątko.

– Trzeba przyznać, że z tym całowaniem to naprawdę było trochę nietypowe – zauważył Grayson. – Normalnie to ona jest raczej... eee... powściągliwa pod tym względem.

W to akurat gotowa byłam uwierzyć od razu.

– We śnie ujawnia się prawdziwa natura człowieka. Pytanie tylko czy skonfrontować Emily z prawdą, czy zignorować ją, kiedy się na nią natkniemy, pozostawiając w przekonaniu, że to tylko sen?

– O Boże. – Grayson zaczął nagle zdradzać oznaki wielkiego znużenia. – Możemy omówić to jutro? Mam wrażenie, że dosyć już przeżyłem jak na jedną noc.

– Tak, w sumie moglibyśmy trochę się zdrzemnąć. – Rzuciłam ostatnie spojrzenie na czarne drzwi z trzema zamkami. – Nie wygląda na to, by Henry jeszcze wrócił. To do jutra. Kto pierwszy przy automacie do kawy.

Grayson nachylił się, żeby wyszeptać Freddy'emu do ucha hasło, i otworzył drzwi.

– Dobranoc – powiedział. A potem jeszcze raz odwrócił się i uśmiechnął do mnie. – Ach, i jeszcze jedno, Liv. Cokolwiek miałaś na myśli, jestem niemal pewien, że potrafiłabyś pilotować Boeinga 747. Nawet bez wylatanych godzin. Potrzebujesz tylko odrobiny wiary w siebie.



Blog Frogmal Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

7 marca

Ach, ludkowie! RAZ W ŻYCIU chce się człowiek wyspać, a tu dzieje się COŚ TAKIEGO. To nie fair. Wiecie przecież, że stanę na rżęsach, żeby zaserwować wam na bieżąco wszystkie skandale i ploteczki. Chodzę na wszystkie diabelne imprezy, nawet jak mnie nie zapraszają, pół nocy wiszę na Instagramie i innych portalach, byle niczego nie przegapić. Nawet o drugiej w nocy czytam jeszcze wasze e-maile i komentarze w nadziei, że natknę się na coś ciekawego. (Tak, twoje komentarze też, Hazel. Mała rada: jeśli chcesz zachować anonimowość, to wyloguj się przedtem z Facebooka...). W najbliższym czasie zatem miejcie wzgląd na mnie i w weekend zaczekajcie przynajmniej do dziesiątej, zanim zaczniecie wyrabiać coś szalonego.

Nie jak Theo Ellis, który dzisiaj o siódmej rano włamał się do sklepu jubilerskiego przy West End Lane i został zatrzymany podczas ogoławania witryn z biżuterii.

Tak, dobrze widzicie: wzorowy uczeń Theo-nie-chcę-mieć-z-tobą-dziecka-Ellis – atrakcyjny, ambitny, dążący do celu, utalentowany, prawy, miły – roztrzaskał młotem kowalskim pancerną szybę sklepu.

Wciąż nie mogę w to uwierzyć, ale można przeczytać o tym nawet w doniesieniach policyjnych – „osiemnastoletni mężczyzna, sprawiający wrażenie zdezorientowanego, niekarany, został poddany badaniom na obecność środków odurzających i alkoholu, badania jednak nie wykazały ich spożycia” – to Theo Ellis. (Wybaczcie styl, ale policjanci to jednak nie słynni blogerzy ☐). „Służby policyjne ustalają, dlaczego krata antywłamaniowa nie była opuszczona”. No cóż. Moim zdaniem należałoby wyjaśnić jeszcze kilka innych kwestii.

Na przykład, dlaczego w ogóle Theo to zrobił. I dlaczego nie przestał, kiedy po pierwszych uderzeniach młotem zaczął wyć alarm, a mieszkańcy nie tylko zawiadomili policję, ale i powychodzili z domów, by przyglądać się jego poczynaniom. Ktoś nakręcił komórką filmik (poszukajcie na YouTube „Świra z młotem kowalskim”), a wszyscy świadkowie zgodnie potwierdzają, że ze stoickim spokojem robił swoje. Trwało to dość długo, zanim pancerna szyba roztrzaskała się na kawałki, a kiedy Theo wreszcie wlaźł do środka, dało się już słyszeć policyjne syreny. Zamiast zwiewać, Theo nieśpiesznie przystąpił do огоłacania witryn i skrupulatnie chował biżuterię po kieszeniach. Podczas aresztowania nie stawiał oporu, wręcz przeciwnie, radośnie uśmiechał się do policjantów i pytał, czy nie są zainteresowani platynowymi lub złotymi pierścionkami z brylantami, bo właśnie ma do zaoferowania kilka wyjątkowo pięknych egzemplarzy.

Czy to wygląda na negatywny test na obecność narkotyków i alkoholu? Wydaje mi się, że powinni powtórzyć badania. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby Theo obudził się z rana trzeźwiutki i stwierdził: „Hej, wezmę dziś młot kowalski i obrabuję jubilera”. Miejmy nadzieję, że pozwolą mu zdawać egzaminy końcowe w kiciu.

Widzimy się jutro (ale dopiero po dziesiątej, proszę)!

Wasza nadal zaszokowana Secrecy

PS Właśnie słyszałam, że już produkują pierwsze T-shirty z napisem „Theo Ellis, daj mi pierścionek”. Ludzie, to niesmaczne, po prostu niesmaczne!! (Ale i tak sobie zamówię jeden. W rozmiarze S).

Tittletattleblog.wordpress.com

7.



Za późno.

Ktoś sięgnął po ostatnią łubiankę z jagodami. I tym kimś była dziewczyna z długimi, złocistymi włosami, które wydały mi się bardzo znajome. Przystanęłam tak nagle, że Mia wjechała we mnie wózkiem.

– Hej – zaprotestowała.

Złotowłosa odwróciła się.

Rzeczywiście, to była Anabel. W przeciwieństwie do mnie nie wyglądała na zaskoczoną, że mnie tu spotyka. Uśmiechnęła się. Dostałam gęziej skórki na całym ciele, a moje serce zaczęło walić jak oszalałe.

– Jasna cholera! – zakląła Mia. Nie miała na myśli Anabel, tylko fakt, że ktoś sprzątnął nam sprzed nosa ostatnie jagody.

Przez moment nie byłam w stanie wykrztusić słowa, mogłam się jedynie gapić. Z jakiegoś powodu nie spodziewałam się spotkać jej w innym miejscu niż we śnie, gdzie czułam się stosunkowo silna i bezpieczna. A przecież powinnam zdawać sobie sprawę, że prawdopodobieństwo, iż kiedyś zetknę się z nią na jawie, było dość duże. W końcu mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy i miałyśmy mnóstwo wspólnych znajomych. Gdybym przygotowała się psychicznie na taką sytuację, mogłabym teraz uśmiechać się z opanowaniem tak samo jak Anabel i nie musiałabym powstrzymywać irracjonalnej lodowatej fali strachu, która właśnie mnie ogarnęła.

Choć tak naprawdę może mój strach wcale nie był taki irracjonalny. Ostatnim razem, kiedy spotkałam Anabel na jawie, zdzieliła mnie w głowę żelaznym uchwytem od pochodni i zadała ranę, do której zszycia potrzeba było czterech szwów. A to przecież jedno z mniej dramatycznych wydarzeń, do jakich doszło tamtego wieczoru.

Podczas gdy ja z trudem usiłowałam spowolnić swe tętno, Anabel nonszalanckim gestem włożyła jagody do wózka na zakupy i zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół.

– Szykowne wdzianko, Liv Silver – zauważyła. Na dźwięk jej słodkiego

głosu zjeżyły mi się włoski na całym ciele. – Styl romantycznej wiejskiej dziewczoi. Autentyczny tylko z żalobą pod paznokciami. – Przeniosła spojrzenie na Mię. – O, jakie to słodkie, *look* partnerski.

Zacząłam odrobinę żałować, że wyszliśmy z domu w takim pośpiechu. Przy czym kalosze były jeszcze najbardziej stylowym elementem naszego ubioru. Anabel miała rację: miałyśmy brud za paznokciami, a jeśli ja wyglądałam tak samo jak Mia, to trochę ziemi utkwilo też w moich włosach i na okularach. Musiałyśmy jednak wykorzystać nadarżającą się okazję do ucieczki z ogrodu.

Miałyśmy za sobą rozczarowujące sobotnie przedpołudnie, a winę za to ponosiły montbrecje. Z rodziny kosaćcowatych.

Zawsze marzyłyśmy z Mią o ogrodzie i kiedy tu zamieszkałyśmy, koniecznie chciałyśmy sprawdzić się jako ogrodniczki, choćby po to, by móc wkładać te śliczne kalosze w kwiatki, które Lottie zamówiła dla nas wszystkich w sklepie internetowym.

Marzenie to zostało odrobinę nadwerężone, kiedy w styczniu postanowiłyśmy dać Bochrze nauczkę za jej uporczywą złośliwość i wzięłyśmy w obroty jej ukochanego Mr Snugglesa – słynny na całą Anglię i obsypany nagrodami bukszpan w kształcie pawia. Właściwie chciałyśmy tylko dosyć mocno go przystrzyc i nadać mu kształt innego zwierzęcia, ale zupełnie nam to nie wyszło. Już wtedy powinno nam zaświtać, że chyba jednak nie mamy smykałki do roślin, wbrew temu, co nam się wydawało. (W miejscu, w którym rósł Mr Snuggles, stała teraz tablica pamiątkowa).

Nie pogrzebałyśmy jednak romantycznej wizji uprawiania ogródka. W końcu nikt nie zaczyna od królewskiej dyscypliny, czyli strzyżenia bukszpanów. Ernest, sam będąc zapalonym ogrodnikiem, też to powtarzał. W ogrodzie zawsze jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, a rąk do pracy nigdy za wiele, mówił. I dziś rano nadeszła ta wiekopomna chwila: Ernest uroczyście zaprosił nas do ogrodu i wręczył dwa nowiutkie, kupione specjalnie dla nas szpadle. Wersja dla pań, z kutą ręcznie łyżką i ergonomicznym styliskiem z drewna jesionowego. Prawie tak piękne jak kalosze. Z miejsca rzuciłyśmy się z zapałem w wir pracy.

Niestety nie przewidziałyśmy, że nasz przyszły ojczym – z pewnością najbardziej cierpliwy i tolerancyjny człowiek, jakiego znałam – w swym najukochańszym miejscu, czyli w ogrodzie, przepoczwarzy się w pedantycznego krytykanta i zrzędę. Przypuszczalnie odziedziczył tę cechę po Bochrze, choć, trzeba przyznać, bez jej zjadliwości. Wręcz przeciwnie, w ogrodzie Ernest wręcz tryskał humorem, ale cokolwiek robiłyśmy, nijak nie umiałyśmy go zadowolić. I tak nasz początkowy entuzjazm przygasał z każdą minutą, kiedy to Ernest (w uprzejmy, miły, dyplomatyczny sposób) wytykał nam błędy. Krawędzie trawnika należało okopać dokładnie o pół centymetra głębiej, liście grabić ze wschodu na zachód, a nie w poprzek, a pomarańczowe montbrecje nie miały prawa

rosnąć w pobliżu różowych floksów. Montbrecje najwyraźniej o tym nie wiedziały, bo najchętniej wysiewały się w miejscach, gdzie nie pasowały kolorystycznie. Ernest ochrzcił je „złośliwymi ogrodowymi terrorystami” i poinstruował nas, żebyśmy wykopywały je i niszczyły, gdy tylko jakieś znajdziemy. Robiliśmy to do momentu, kiedy to zorientował się, że nie potrafimy odróżnić nieodpowiednich montbrecji od całkiem dobrych irysów. No bo w jaki sposób, skoro żadne z nich akurat nie kwitły, miały za to całkiem podobne (a w naszych oczach absolutnie identyczne) ulistnienie? Po tym wszystkim to już sama zapalałam nienawiścią do nieznanym mi dotychczas „terrorystów”. To było nie tylko złośliwe, ale i wyjątkowo wyrafinowane ze strony montbrecji, że udało im się sprawić, że zamiast nich wykopywałyśmy niewinne irysy.

– Masz chusteczkę? Coś mi się zdaje, że on się zaraz rozplącze – szepnęła Mia, kiedy Ernest oglądał wyrwane z ziemi rośliny, przemawiając do nich uspokajająco. Były to kosztowne, rzadkie odmiany o nazwach „Bonnie Babe” i „Mallow Dramatic”.

– Tak bardzo źle? – zapytałam ostrożnie.

– Nie, nie, nie należy się tym przejmować – zapewnił Ernest, usilnie starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt rozpaczliwie. – To... czasem się zdarza. Zresztą na pewno uda się uratować kilka kłączy... – Zwrócił się ku roślinom i mamrotał dalej: – Jeśli dopisze nam szczęście, przyjmiecie się jeszcze, prawda?

– Czy on ci nie przypomina ciotki Virginii i jej pokoju dla zwierzątek z dmuchanego szkła? – wyszeptwała Mia.

– No, coś przerażającego.

Popatrzyłam tęsknie na Graysona, który urządzeniem wysokociśnieniowym czyścił z zielonego nalotu powierzchnie wyłożone kostką. Nawet jeśli mina Graysona była raczej ponura (pewnie myślał o Emily), to jego zajęcie wydawało się całkiem przyjemne. Z rozkoszą bym się z nim zamieniła. Z westchnieniem wsparłam się na ergonomicznej ręczce szpadla i podążyłam wzrokiem za przelatującym trzepotliwie cytrynkiem, który wprawdzie obudził się o wiele za wcześnie, ale również sprawiał wrażenie, jakby lot sprawiał mu radość. Był taki piękny dzień, w słońcu dało się nawet wytrzymać bez kurtki. Florence siedziała na piętrecie na wyłożonym poduchami parapecie otwartego na oścież okna i studiowała podręcznik do chemii. A właściwie udawała, że studiuje – w rzeczywistości miała ze swego miejsca idealny widok na ogródek sąsiadów, gdzie Matt rozpoczął właśnie wiosenne strzyżenie trawnika.

Buttercup, która bała się wysokociśnieniowego urządzenia, została w kuchni z Lottie. Odkąd Lottie zapowiedziała, że latem wyjeżdża do Niemiec, suczka nie spuszczała z niej wzroku i nie odstępowała jej ani na krok. I niech ktoś mi powie, że psy nie rozumieją ludzkiej mowy. My wszyscy zachowywaliśmy się tak, jakby Lottie nigdy nam tego nie oznajmiła, pewnie dlatego, że nie wiedzieliśmy, jak

mówić o tym bez wybuchania płaczem. Pewną pociechę mógł stanowić fakt, że tatę właśnie przeniesiono z Zurychu do Stuttgartu, które to miasto, jeśli wierzyć mamie, było położone zaledwie o rzut beretem od Oberstdorfu, będziemy więc mogli przynajmniej odwiedzać Lottie w wakacje.

Lottie początkowo też chciała pomóc w pracach ogrodowych. Akurat dzisiaj jednak nastawiła zaczyn na chleb, co wymagało nieustannego doglądania. I na pewno nie żałowała, że została w kuchni. Mama, która przy kuchennym stole sprawdzała prace kontrolne, od początku wykazała się refleksem, twierdząc, że nie ma ręki do roślin. Zupełnie jakby wiedziała, co ją czeka.

Otworzyła drzwi na taras.

– Wszystko OK? – zapytała, przekrzykując hałas kosiarki i urządzenia wysokociśnieniowego.

– Zamordowałyśmy irysa – zakomunikowała Mia. – A Ernest właśnie sprawdza, czy uda się go reanimować.

Mama z przestachem chwyciła się za serce. Dopiero po sekundzie pojęła, że „irys” to nie było imię kota sąsiadów.

– No cóż – powiedziała w końcu i rzuciła Ernestowi ostrożne spojrzenie. – Może powinniście na dzisiaj skończyć. Taka piękna pogoda. Przecież można też posiedzieć na leżaku z książką...

– Tak może twierdzić wyłącznie ktoś, w kogo piersi nie bije serce ogrodnika. – Ernest objął jednym ramieniem Mię, drugim mnie i uśmiechnął się dzielnie do mamy. – To nie wina dziewczynek, że dorastały bez ogrodu. Po fachowym instruktazu i przy odrobinie cierpliwości przyswoją sobie w końcu elementarną wiedzę. Będę musiał tylko trochę bardziej uważać. – Najwyraźniej poczuł w sobie powołanie, by uzupełnić braki w naszej ogrodniczej edukacji. – Tak doskonale się bawimy, że leżak w ogóle nas nie pociąga, prawda, dziewczyny?

– No. Tak dobrze nie bawiłam się od czasu, gdy ciotka Virginia pozwoliła mi odkurzyć swoje szklane zwierzątka – powiedziała Mia. I dodała półgłosem: – Albo niedawno, kiedy gumka do włosów wpadła mi do umywalki i musiałam odkręcać syfon. Było w nim mnóstwo włosów, na wpół zgniłych, to dopiero była przyjemność. Ale to się oczywiście nie umywa do zabawy w ogrodzie.

Mama i Ernest na szczęście nie słyszeli jej słów, zbyt zajęci patrzeniem sobie w oczy z miłością.

– Ależ z ciebie czarujący, czarujący mężczyzna – wyszczebiotała mama i cmoknęła go w łysinę. – I taki brytyjski, jeśli chodzi o ogród. Myślę jednak, że moje myszki powinny teraz wykazać się na innym polu. Gdzie nie wyrządzą tylu szkód. – Mrugnęła do nas. – Przydałaby się ich pomoc przy zakupach. Lottie chciała upiec tort z jagodami na jutrzejsze śniadanie, podczas którego będziemy planować wesele, a do tego potrzebne są jagody. I mascarpone.

Nie miałyśmy pojęcia, że dwadzieścia minut później w dziale z owocami

natkniemy się na Anabel.

Kiedy przyjrzałam się jej bliżej, przekonałam się jednak, że Anabel też nie wygląda idealnie. Niewątpliwie na jawie także była prześliczną dziewczyną, chociaż tak bardzo wychudzoną, że jeansy były jej za luźne w udach. Jej włosy, we śnie zawsze spływające olśniewającymi falami na ramiona, w sztucznym świetle supermarketu wyglądały zgoła matowo. Pod niezwykle turkusowymi oczami kładły się długie, ciemne cienie, a paznokcie, które w przeciwieństwie do naszych były czyste, nosiły wyraźne ślady obgryzania.

Za to jej głos brzmiał absolutnie identycznie.

– Więc to ty jesteś młodszą siostrą Liv – powiedziała Anabel, przypatrując się Mii z przechyloną głową. Natychmiast rozzwoniły mi się w głowie dzwonki alarmowe. – Dokładnie tak sobie ciebie wyobrażałam.

– Aha – skwitowała moja siostra.

Secrecy dużo pisała przez ostatni rok o Anabel, a Mia dzięki zdjęciom pewnie dobrze wiedziała, kogo ma przed sobą. Siostra nie miała jednak pojęcia o moich osobistych doświadczeniach z Anabel w kwestii zaklinali demonów ogólnie i podrzynania gardła w szczególności. W przeciwnym razie raczej nie uśmiechałaby się do niej tak przyjaźnie.

– Podobają mi się twoje drzwi – ciągnęła Anabel. – Ten niezapominajkowy odcień błękitu ma w sobie coś optymistycznego, jest jednocześnie frywolny i niezgłębiony, nie uważasz, Liv? I czy to nie zdumiewające, ile drzwi zdradzają o swym właścicielu?

Nie byłam pewna, czy wzmianka o drzwiach do snu Mii miała być ukrytą groźbą (na zasadzie: wiem, gdzie mieszkasz), czy też Anabel chciała jedynie zorientować się, czy Mia w ogóle wie o świecie snów, a jeśli tak, to co.

– Mia, to jest Anabel Scott – powiedziałam szybko. – Była dziewczyna Arthura. No wiesz, ta, o której Secrecy na jesieni pisała, że musiała iść do szpitala ze względu na zaburzenia psychiczne.

„Dlatego wygaduje bzdury o drzwiach i ich właścicielach. Niestety, przestała zażywać leki. A gdybyś wiedziała, że otruła własnego psa, nie patrzyłabyś na nią takim ufnyim wzrokiem”.

Anabel westchnęła.

– Niebieski to mój absolutnie ulubiony kolor – poinformowała ją Mia. Na jej twarzy nadal malował się pozbawiony jakichkolwiek uprzedzeń uśmiech. – A jagody to moje ukochane owoce. – Ze smutkiem popatrzyła na łubiankę w wózku Anabel. Jakimś cudem udało jej się wyglądać przy tym na dużo mniej niż trzynaście lat, a także o wiele słodziej. – Głupia sprawa, to były ostatnie. Lottie będzie strasznie zła. – Przełknęła z trudem ślinę. – To może ostatnia okazja, by upiekła nam tort jagodowy.

Anabel ponownie westchnęła.

– Ach, wiesz, właściwie równie dobrze mogę wziąć mrożone maliny – powiedziała i wręczyła Mii lubiankę z jagodami.

– Och, jak miło! – Mia cała się rozpromieniła. – Bardzo, bardzo dziękuję. Jesteś naprawdę bardzo miła.

Tak, niesłychanie. O ile w pobliżu nie ma akurat żadnego sztyletu.

– Nie ma sprawy. – Anabel na powrót zwróciła się do mnie. – Zobaczymy się dziś wieczorem?

– Jesteś zaproszona na imprezę powitalną Jaspera? – zbaraniałam.

Anabel z rozbawieniem wykrzywiła kąciki ust.

– Miałam raczej na myśli po imprezie. Jest coś, co chciałabym ci pokazać.

O tak, z pewnością niejedno. Na przykład drzwi senatora Morta. A także jak jej się udało zamknąć go w jego własnym śnie. Anabel jednak myślała chyba o czymś innym. Popychając wózek, nachyliła się do mnie i szepnęła w przelocie:

– On wrócił!

I w tym momencie wróciła i ona, ta przeklęta gęsia skórka.

Anabel zaśmiała się z zadowoleniem.

– Do widzenia, Mia – wyszczebiotała przez ramię. – Miło było cię poznać.

– Tak, mnie również – ćwierknęła słodko Mia w odpowiedzi. – I jeszcze raz dzięki za jagody! – Zaczekała, aż Anabel oddali się w kierunku mrożonek, a potem uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: – Kompletnie szurnięta, biedaczka! Dziwne, że ją wypuścili od czubków, prawda? Ale chyba jest zupełnie niegroźna.

Niestety nie. W porównaniu z Anabel nawet najbardziej przebiegłe pomarańczowe montbrecje były prawdziwymi aniołami.

8.



Wiktoriański domek szeregowy rodziców Jaspera był przytulny i tak malutki, że już trzydziestka oficjalnie zaproszonych na imprezę gości wystarczyłaby, by zrobiło się naprawdę ciasno. Jednak kiedy kwadrans po dziewiątej zjawiliśmy się tam z Graysonem i Henrym, zastaliśmy co najmniej dwa razy tyle osób. Przedpokój był tak przepelniony, że ledwie przecisnęliśmy się przez drzwi. Musieliśmy minąć Emily, która z wdziękiem opierała się o barierkę schodów, ubrana w zbyt krótką i zbyt obcisłą jak na jej standardy spódnice. Wyraźnie czekała na Graysona, w zamyśleniu bawiąc się łańcuszkiem na szyi i udając, że nas nie widzi. Proszę bardzo, my też tak potrafimy.

Może z wyjątkiem Graysona. Już prawie dobrnęliśmy do kuchni, gdy się odwrócił.

– Wiem, powinienem ją po prostu zignorować – powiedział. – Ale ta fałszywa żmija wciąż nosi łańcuszek, który jej dałem, i to nie zważając na... Nie zdzierzę. Muszę z nią pogadać!

– No to miłej zabawy. – Henry szturchnął go pięścią w ramię.

– Zawołaj mnie, jeśli będziesz potrzebował kogoś, kto zna kung-fu – dodałam.

– Bez obaw, sam sobie z nią poradzę – oznajmił ponuro Grayson.

Najchętniej zawróciłabym razem z nim, żeby niczego nie uronić, ale Henry powiódł mnie dalej. Wszyscy, obok których się przepychaliśmy, mówili o Theo Ellisie. Jego dyletanckie włamanie do sklepu jubilerskiego w West Hampstead było tematem dnia. Ja też po południu obejrzałam sobie filmik, który ktoś wrzucił do Internetu. Dziwne zachowanie Theo pod każdym względem przypominało wtorkowy występ pani Lawrence w kafeterii. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że za tym wszystkim stał Arthur – nie mógł darować Theo jego małego zwycięstwa w holu. Zatrważające było to, że potrzebował zaledwie jednej nocy, żeby wprowadzić plan zemsty w życie. Był naprawdę dobry. Diabelnie dobry.

Wkurzało mnie, że znowu musiałam o nim myśleć, zamiast jak normalna dziewczyna po prostu spędzić kilka godzin na normalnej imprezie.

– Czadowo jest, co nie? Już o wpół do dziewiątej skończyło się piwo – wykrzyczał do nas Jasper. Znaleźliśmy go w kuchni, gdzie otwierał butelki otoczony połową drużyny koszykówki. Przywitał nas wylewnie uściskami.

Francja ani trochę go nie zmieniła, przynajmniej zewnątrz. Nadal wyglądał jak idealne ucieleśnienie Gołącego się Kena, partnera Barbie, z gęstymi blond włosami, oczami jak błękit nieba, trzydniowym zarostem i promiennym, zawsze jakby odrobinę nieporadnym uśmiechem, od którego nie tylko Persefonie miękły kolana. Musiałam przyznać, że i mnie trochę go brakowało. Choć do tej pory Jasper raczej nie miał szczęścia w sprawach sercowych i w ogóle był w o wiele mniejszym stopniu macho i w o wiele większym poczciwiną, niż wszyscy (łącznie z nim samym) sądzili, pieczołowicie pielęgnował swój wizerunek kobieciarza i łamacza damskich serc, i to skutecznie, przynajmniej jeśli chodzi o młodsze dziewczyny. Panowała powszechna opinia, że we Francji uczynił coś straszliwie skandalicznego, przez co został wydalony ze szkoły i był zmuszony przedwcześnie wrócić do domu. Aż huczało od plotek na ten temat, a były wśród nich dosłownie wszystkie możliwe wersje, począwszy od tej, że „miał romans z zamężną nauczycielką angielskiego”, po taką, że „zrobił dziecko córce dyrektora szkoły”.

– Nie ma w tym ani krztyny prawdy – tłumaczył skwapliwie, otwierając butelkę wina, którą wraz z szeregiem innych przyniósł z piwniczki ojca, żeby zrekompensować brak piwa. – Niestety!

Henry opuszkami palców ścierał kurz z etykietek, tak samo delikatnie, jak czasami głaskał mnie. Jakbym była czymś szczególnie drogocnym, kruchym. Od samego patrzenia robiło mi się słabo.

– Jesteś pewien, że twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu, że mu to wypijemy? – upewnił się Henry.

– Nie będzie! – powiedział z głębokim przekonaniem Jasper. – Przecież inaczej zamknąłby piwniczkę na klucz. Tak w każdym razie zrobił z szafką na broń. I z sypialnią. Po ostatniej imprezie brata mama zażądała kupna nowych materacy. To była balanga! – Westchnął. – Za to Francuzi... Mówię wam, wcale nie są tacy rozrywkowi i wyzwoleni jak na filmach.

– Dziewczyny też nie? – zapytałam.

– Szczególnie dziewczyny – odparł Jasper.

To były dobre wiadomości dla Persefony.

Jasper odkorkował wino i hojnie nalał go do kieliszka. Rozejrzałam się za napojami bezalkoholowymi, ale wyglądało na to, że zostały już wypite, podobnie jak piwo. Sądząc po brudnych porcelanowych półmiskach porozstawianych na blatach, na początku było nawet coś do jedzenia. Pozostały tylko samotna kostka żółtego sera i gałązka pietruszki.

Jasper zakręcił kieliszkiem.

– Chcesz wiedzieć, jaka jest prawda?

I to jak.

Prawda była taka, że Jasper usychał z tęsknoty za domem i wyblagał u rodziców, by przyjechali po niego wcześniej. Zamiast szalonych imprez i swobodnego francuskiego „savoir vivre’u” w miasteczku panowała kompletna martwota. I sytuacji nie ratowały nawet tamtejsze przysmaki.

– Francuskie jedzenie jest totalnie przereklamowane – zawyrokował Jasper i wziął solidny łyk czerwonego wina, by natychmiast skrzywić się ze wstrętem. – Ohyda! Nawet nie potrafią zrobić dobrego wina, ci Francuzi. No, ale najważniejsze, że daje w bańkę.

Henry wyjął mu z ręki butelkę i wczytał się w etykietę.

– Ale wiesz, że to jest rocznik 1972? Żłopanie takiego wina tylko dlatego, że skończyło się piwo, to świętokradztwo. – Asekuracyjnie schował butelkę za plecy przed spragnionymi chłopakami z drużyny.

– A tam, chrzaniśz – zawołał Jasper. – Osuszmy wszystkie co do jednej. Zamknijmy oczy i chlup z tym starociem. Zamierzam uczcić swój powrót do przyjaciół. Nie macie pojęcia, jaki samotny się czułem w tej francuskiej dziurze!

Podetknął mi pod nos kieliszek, ale pokręciłam głową.

– Na koniec z nudy zacząłem nawet czytać książkę. Ja! Od początku do końca, a potem na nowo. Jak moja matka to usłyszała, to zmiarkowała, że sprawa jest poważna.

– Biedaku, to brzmi naprawdę strasznie – powiedziałam.

Henry zrezygnował z próby ratowania wina przed gośćmi i kiedy zewsząd dobiegło gulgotanie trunku rozlewającego do kieliszków, zarezerwował jeden dla siebie.

Jasper zmarszczył czoło w nietypowy, niemal filozoficzny sposób.

– No, to była makabra. Mimo wszystko to doświadczenie dużo mi dało. Wewnętrznie jakby totalnie dojrzałem. Wiem już, co jest naprawdę ważne w życiu.

– Każdy to wie – wtrąciła Persefona. Podczas gdy ja usiłowałam pojąć, jakim cudem zdołała pojawić się przy nas nie wiadomo skąd (pomijając fakt, że nie była zaproszona), ona sięgnęła po butelkę i naląła sobie wina do szklanki. Kieliszki się skończyły. – W życiu naprawdę ważna jest miłość!

Jasper popatrzył na nią lekko skołowany, ale nie dał się zbić z tropu.

– Ach tak? A ja właśnie chciałem powiedzieć: przyjaciele! Ale to w gruncie rzeczy to samo. Przyjaciele to miłość! – Filozoficzny grymas na twarzy Jaspera ustąpił miejsca promiennemu uśmiechowi Gołącego się Kena. – Przyszłaś z siostrą, Penelopo?

Persefona przyłożyła szklankę do ust, a kiedy ją od nich oderwała, szklanka była w połowie pusta.

– Nie – odparła. – Z moim chłopakiem. Gabrielem.

– O, Gabriela wysłałem właśnie razem z Dave’em, żeby zorganizowali coś do picia. – Jasper rozejrzał się wokół.

– Wiem – rzuciła Persefona i zdołała do końca opróżnić szklankę jednym, długim haustem. – Gabriel, tak na marginesie, świetnie całuje.

Jasper już jednak tego nie dosłyszał, bo właśnie dostrzegł próbującego wejść do kuchni Graysona i doskoczył do niego, by go uściskać. Niestety, obaj zaraz oddalili się w kierunku salonu. Szkoda, chętnie wypytałabym Graysona o jego rozmowę z Emily. Najpierw jednak musiałam zatroszczyć się o Persefonę, która znowu dolewała sobie wina, choć zwykle nie tolerowała alkoholu. Pomijając wąski ciemnoczerwony wąsik, który został jej na górnej wardze po winie, wyglądała ładnie – żadnych zaczerwienionych oczu i spuchniętych powiek.

– Nie mówiłaś czasem, że język Gabriela przypomina ślimaka bez skorupki?
– szepnęłam do niej. Henry był zajęty swoim smartfonem.

– Zgadza się! – Uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Ale Jasper nie musi o tym wiedzieć. Ma być zazdrosny, a nie współczuć.

Już chciałam powiedzieć, że to dziecinada, ale ta absurdalna argumentacja niestety nagle wydała mi się znajoma. Byłam ostatnią osobą, która miała prawo z przyganą kręcić głową. W przeciwieństwie do Rasmusa Gabriel istniał naprawdę.

– Jak ci się podoba moja sukienka? Pandora właśnie ją sobie kupiła. Zabije mnie, jak zobaczy, że ją włożyłam. – Persefona zachichotała. – Niańczy dziś dziecko naszych sąsiadów i raczej nie przyjdzie przed północą...

– Ożeż. Cholera – wydusił Henry, nadal gapiąc się w komórkę.

– Co takiego? – Popatrzyłam na niego z troską. Miałam nadzieję, że to nie znowu jakiś rodzinny problem. Ostatniej nocy, kiedy nagle zniknął ze snu pani Honeycutt, okazało się, że jego matka poważnie oparzyła sobie rękę, próbując usmażyć omlet. Henry, wyrwany ze snu jej okrzykiem bólu, nalegał, by zawieźć ją na ostry dyżur, żeby opatrzyli jej dłoń. Nie powiedział tego wprost, ale domyśliłam się, że jeżeli ktoś o trzeciej w nocy smażył sobie omlet i w dodatku robił to w tak niezdarny sposób, to chyba raczej nie mógł być trzeźwy. Nic dziwnego, że Henry ciągle był w gotowości na wypadek, gdyby w domu wydarzyło się coś niedobrego.

Tym razem chodziło jednak o coś innego.

– Chateau Margaux rocznik 1972, który wszyscy tu doją, chodzi w Internecie po czterysta funtów za butelkę.

– Od razu wyczułam to w smaku. – Persefona zakręciła winem w szklance i mlasnęła ze znanstwem. – Naprawdę dobry rocznik. Aksamitny i elegancki posmak w ustach...

Henry uśmiechnął się.

– Nie zapominaj o lekkiej jeżynowej nucie – dodał.

– Racja – zgodziła się Persefona.

– Ojciec Jaspera go zabije. – Szybko policzyłam otwarte butelki. – Dwa

tysiące funtów roztrwonione w ciągu kilku sekund. Przez ludzi, którzy właściwie wolą piwo...

Na hasło „piwo” koleś obok mnie ożywił się natychmiast.

– Hej, będzie jakaś dolewka? – zapytał i postawił swój wypełniony do połowy kieliszek z winem na półmisku z samotną kostką sera. – Ta alpaga smakuje jak końskie siki.

Henry wpakował sobie pod pachy dwie ostatnie nieotwarte butelki.

– To ja je schowam w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Czekaj, pójde z tobą. – Persefona chwyciła korkociąg i podążyła za Henrym przez tłum. Dopiero teraz zauważyłam, że suwak na plecach jej sukienki był w połowie rozsunięty, a obie poły od talii wzwyż wesóło powiewały na boki. Natychmiast pobiegłam za nią. Jednak przejście z kuchni do salonu trochę trwało, kiedy więc wreszcie udało mi się przecisnąć, ani jej, ani Henry’ego nigdzie nie było.

W salonie panował mniejszy ścisk, za to muzyka dudniła tak głośno, że brzęczały szyby w oknach. Kilka osób tańczyło, wśród nich Jasper z butelką wina w jednej i na wpół opróżnionym kieliszkiem w drugiej ręce, niebezpiecznie blisko jednej z kremowobiałych kanap. Miałam nadzieję, że sofa nie była tak droga jak wino. Powoli zaczynało mi być naprawdę żal rodziców Jaspera.

Grayson stał oparty plecami o regał z książkami i kiedy podeszłam bliżej, uśmiechnął się do mnie ze znużeniem.

– Co ci powiedziała Emily? – wykrzyknęłam.

Grayson dał mi na migi znać, że nie rozumie, co mówię. Powtórzyłam pytanie, krzycząc na cały głos, a on odwrzasnął w odpowiedzi coś, co zabrzmiało jak „Mamłę tyłem ciuszek z kojotem!”.

– Co?

– Mam ten tępy cycuszek, sto procent!

– Naprawdę? – zapytałam z niedowierzaniem. Co on, na litość boską, bredził?

Grayson pokiwał głową z oburzeniem.

– Nie ostronos! Jesienne klawisze! – Wskazał podbródkiem na drugą stronę pomieszczenia, gdzie Emily stała przy sprzęcie audio i postukiwała do taktu nogą. Dość niezwykła czynność jak na Emily. Normalnie nie była typem podrygującym.

– Logistyka rybna! – wrzasnął Grayson.

Zdawałam sobie sprawę, że jeśli będziemy kontynuować rozmowę w tym hałasie, nie osiągniemy porozumienia. Dlatego z determinacją tanecznym krokiem przemieściłam się obok Jaspera i innych w stronę sprzętu audio, zignorowałam podrygującą Emily i ściszyłam muzykę. Kiedy nikt nie zaprotestował, ściszyłam jeszcze bardziej. Tak było o niebo lepiej. Odtwarzacz wciąż grał głośno, ale przynajmniej nie brzęczały już szyby w oknach, a ciśnienie w moich uszach

znacznie zmalało. I nawet zrozumiałam, co mówiła do mnie Emily.

– Nie bądź taka drobnomieszczańska, Liv! To jest impreza, ludzie chcą tańczyć, a nie gadać.

Dziwne, usłyszeć takie słowa z ust osoby, której na drugie było „mantyka”. Czyżby chciała mi wmówić, że wbijając się w tę nieprzyzwoicie krótką miniówkę, z profesor Mądralińskiej przedzierzgnęła się w imprezową laskę? Musiałaby też wyzbyć się tego kwaśnego uśmiechu.

Zauważyłam, że nie miała już na szyi łańcuszka, którym przedtem bawiła się tak kokieteryjnie, i pojęłam nagle, co chciał mi powiedzieć Grayson. „Mamłę tyłem ciuszek z kojotem” znaczyło w rzeczywistości: „Mam ten przeklęty łańcuszek z powrotem”. Ha!

– Co mówisz? – krzyknęłam. – Niestety, okropnie źle cię słyszę, muzyka jest za głośna. Halka i siostrzane piwko! Logistyka rybna?

– Głupia krowa – rzuciła. To była prawdziwa Emily.

– Dzięki! Wzajemnie! – Oddalając się tanecznym krokiem, uśmiechałam się do niej tak promiennie, jak tylko się dało.

Przy regale z książkami obok Graysona odnalazłam wreszcie Henry’ego z Persefoną, a Jasper przerwał taniec, żeby jeszcze raz uściskać obu kumpli i powiedzieć im, jak bardzo ich lubi. Wino odstawił na biały fortepian. Dzięki temu jego ojcu zostaną na pamiątkę po dobrym trunku przynajmniej czerwone kręgi na lakierze.

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że Jasper w przypływie wylewności uściska i Persefonę, która zrećcznie ulokowała się w zasięgu jego ramion, ale w tym momencie, i to dokładnie w tej samej sekundzie, w której zabrzmiał początek kolejnego kawałka, a mianowicie *Sympathy for the Devil* The Rolling Stones, do salonu wszedł Arthur, ściągając na siebie uwagę wszystkich. Trzymał pod pachą trzy sześciopak i wyglądał jak anioł z jakiejś odjechanej reklamy piwa. Przypuszczalnie właśnie dlatego wszyscy ucieszyli się na jego widok.

Tylko nie Grayson, Henry ani ja, naturalnie. Ścieśniliśmy się odruchowo, a Henry chwycił mnie za rękę.

– Nie mów mi, proszę, że go zaprosiłeś, Jasper! – powiedział z wyrzutem.

Jasper rozłożył ręce.

– Hej, ludzie! Co ja cały czas próbuję wam wyklarować? O przyjaźni i o tym, czego się o niej nauczyłem we Francji? Przyjaciele są najważniejsi! Uważam, że już wystarczająco długo się na siebie gniewaliście.

– Czy ty w tej Francji doznałeś amnezji i zapomniałeś, co zrobił Arthur?

– Grayson ponuro przypatrywał się, jak Arthur, niczym jakiś Święty Mikołaj, rozdawał na prawo i lewo puszki z piwem, podchodząc coraz bliżej. Mick Jagger śpiewał: „*Pleased to meet you, hope you guess my name. But what’s puzzling you,*

is the nature of my game”.

– Ach, proszę, ogarnijcie się trochę – rzucił Jasper. – Zapomnijcie o tej głupiej dziecinadzie z demonami i snami i dorośnijcie wreszcie! Arthur od pierwszej klasy jest naszym najlepszym kumplem. No dobra, popełnił błąd, ale po pierwsze, każdy je popełnia, a po drugie, większość tego, co się wtedy wydarzyło, wydarzyło się z winy Anabel...

– Serio? – wyrwało się Persefonie, która śledziła rozmowę z wybałuszonymi oczami. – Wiedziałam, że ona ma z tym coś wspólnego. Tylko z czym dokładnie? – Powoli zaczynał jej się plątać język. Skorzystałam z okazji, żeby wreszcie zasunąć jej suwak, choć musiałam z tego powodu puścić dłoń Henry’ego, niestety. Persefona podziękowała mi cichym czknięciem.

– Nikt chyba na tym nie skorzysta, jeśli cały czas będziemy międlić te stare historie – ciągnął Jasper, ignorując zarówno zirytowane spojrzenie Henry’ego, jak i przewracanie oczami Graysona. – Czasami po prostu trzeba się przemóc i zacząć od początku. Prawdziwa przyjaźń trwa wiecznie. A my jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, jakich widział świat, tak było i jest. Prawda, Arthurze?

– Zgadza się. Byliście szterema muszkatlami! – Bełkotanie Persefony gwałtownie się wzmogło. – A ty może nie byłeś najmilszym, ale za to najpiękniejszym muszkatlem ze wszystkich, Arthurze. To przez włosy. I przez tę zajebistą cerę. Jak parcelana, taka delikatna.

– Dziękuję, Persefono. – Arthur stanął na wprost nas. Rozdał już całe piwo i uśmiechał się wręcz nieśmiało. – Hej.

Oprócz Jaspiera nikt nie odwzajemnił jego uśmiechu. W milczeniu wpatrywaliśmy się w Arthura, Persefona wielkimi, wypełnionymi zachwytem i ciekawością oczami, cała reszta tak niechętnie i obojętnie, jak to tylko możliwe. Z pewnością nie chcieliśmy, żeby sobie pomyślał, że wzbudza w nas strach.

Choć niestety wzbudzał, przynajmniej we mnie. Przypomni mi się biedny Theo Ellis i jak Arthur ukarał go za to, że tamten ośmielił się stawić mu czoła.

„*Just call me Lucifer, 'cause I'm in need of some restraint*”, śpiewał Mick Jagger.

– Twój kawałek, Arthurze – zauważył Henry, unosząc brew.

Jasper szturchnął go z pretensją, podszedł do Arthura i demonstracyjnie otoczył go ramieniem.

– Fajnie, że przyszedłeś, stary. Grayson i Henry też się cieszą, tylko nie potrafią tego okazać. Ale w głębi duszy wiedzą, że taka przyjaźń jak nasza potrafi przetrzymać pojawiające się od czasu do czasu różnice zdań. No proszę, ludzie, czasem trzeba się przełamać.

– Daj im trochę czasu – powiedział wyrozumiale Arthur. – Czasami człowiek dopiero w sytuacji podbramkowej uświadamia sobie, jak bardzo potrzebuje przyjaciół. A taka może zdarzyć się prędzej, niż wam się wydaje.

– Nachylił się odrobinę, a sztuczny nieśmiały uśmiech ulotnił się z jego twarzy, ustępując miejsca zwykłej, pewnej siebie minie. – Powiem wam jedno: cykl saros.

Pozostaliśmy przy taktyce obojętnych spojrzeń i nie odzywaliśmy się. Ja milczałam choćby dlatego, że oprócz „hę?” i tak nic nie przychodziło mi do głowy. Nigdy nie słyszałam o żadnym „cyklu saros”. Poza tym moją uwagę odwróciła Persefona, która w tym momencie odłączyła się od naszej grupy i pośpiesznie opuściła pomieszczenie. Podążyłam za nią wzrokiem. Zrobiło jej się niedobrze od alkoholu? A może jej siostra niespodziewanie zjawiała się wcześniej i Persefona musiała ukryć się przed nią wraz z sukienką?

Arthur właściwie zinterpretował nasze milczenie.

– O, więc Anabel jeszcze nie wtajemniczyła was w swój plan – wyrysował dłońmi w powietrzu cudzysłów – ani nie groziła tajemniczą śmiercią? Nie powiedziała wam, że raczej nie przeżyjecie dnia zaćmienia słońca?

Nie, nie powiedziała. Ale może jeszcze to zrobi.

– Od jakiegoś czasu chyba znowu z nim rozmawia – ciągnął Arthur. Na przedramiona wystąpiła mi tak dobrze znana gęsia skórka. – Z demonem, oczywiście. Panem Mroku. Albo na odwrót. – Zaśmiał się krótko. – A on, jeśli wierzyć Anabel, nie ma o nas najlepszego mniemania.

– Ciebie właściwie powinien polubić z całego serca – zauważył niedbałym tonem Grayson. Poszukałam dłoni Henry’ego. Przypomniało mi się, że naprawdę wkrótce miało być zaćmienie słońca, już za dwa tygodnie. Zamierzaliśmy śledzić to wydarzenie ze szkolnego dziedzińca, uzbrojeni w okulary ochronne i rozmaite przyrządy pomiarowe, które wykonywaliśmy właśnie z kartonu na lekcjach fizyki.

Arthur uśmiechnął się blado.

– Serio, chyba byłoby mądrzej, gdybyśmy przypomnieli sobie stare czasy i trzymali się razem. Sytuacja może zaostrzyć się prędzej, niż byśmy chcieli.

– Co ty... – zaczął Henry, ale natychmiast zamilkł i wstrzymał oddech. Nie on jeden. Wszyscy jak na komendę przestali mówić, tańczący zamarli w najdziwniejszych pozach. Gdyby nie to, że muzyka dudniła dalej, zapadłaby martwa cisza. A wszystko to za sprawą Persefony, która ponownie stanęła w progu salonu.

Moja Persefona, dziewczyna, która interesowała się wyłącznie ładnymi chłopakami, modą i makijażem i godzinami potrafiła rozprawiać o kolorach pomadek i różnicy między odcieniami „*dark raspberry*“ i „*pearly mauve*”. Przedmiot, który trzymała, stojąc w progu, tak bardzo do niej nie pasował, że musiałam wpatrywać się w nią przez dobre pięć sekund, zanim załapałam, że to nie fatamorgana. Persefona naprawdę tam stała. Ze strzelbą w ręku. Cholernie wielką i wyglądającą na cholernie prawdziwą.

W dodatku moja przyjaciółka wyglądała tak, jakby doskonale wiedziała, jak się z nią obchodzić. Uniosła ją powoli i przesunęła lufę w naszym kierunku.

Z kilkusekundowym opóźnieniem i mnie ogarnął paniczny strach, który sparaliżował wszystkich w salonie.

Najbardziej przeraziła mnie jednak nie broń, lecz dziwny, szklisto-rozmarzony wzrok Persefony. Tak samo wyglądała pani Lawrence.

Arthur zaśmiał się cicho.

– Prędzej, niżbyśmy chcieli – powtórzył.



Emily wyłączyła muzykę. Była jedyną osobą, która się poruszyła, wszyscy inni nie byli zdolni do najmniejszego ruchu. Mogliśmy jedynie wpatrywać się w Persefonę.

A ona patrzyła na nas.

Bez muzyki w pokoju było całkiem cicho, tylko z kuchni dobiegały jeszcze śmiechy i strzępki rozmów, najwyraźniej nikt się tam nie zorientował, co tu się działo.

W szkole nie tak dawno temu rozdawano ulotki ze wskazówkami na temat właściwego postępowania w razie ataku szaleńca z bronią, które można było zawrzeć w jednej prostej formule: uciekać, ukryć się, czekać. My po prostu czekaliśmy. Może na to, że to wszystko okaże się jakimś kiepskim żartem.

Straciłam bez reszty poczucie czasu. Przypuszczalnie od wejścia Persefony minęło tylko kilka sekund, ale mnie wydały się one wiecznością. Dłoń Henry'ego była lodowata.

Wreszcie Jasperowi udało się przerwać ciszę.

– Czy to... czy to jest jedna z myśliwskich fuzji mojego ojca? – zapytał łamiącym się głosem.

– Tak – odparła Persefona jak gdyby nigdy nic. – Twój ojciec przechowuje klucz do szafki na broń pod starą doniczką w pralni. Na drugiej półce od góry.

Stara doniczka. Pralnia. Mój umysł chwycił się poszczególnych słów, ale nie potrafił ich ze sobą powiązać.

Co tu się działo?

Grayson postąpił o krok naprzód, na co Persefona zareagowała nieznacznym ruchem broni. Gdzieś za moimi plecami rozległ się stłumiony dziewczęcy okrzyk. Grayson znieruchomiał.

– Lepiej to odłóż, Penelopo. – Jasper uśmiechał się nerwowo. – Wprawdzie nie jest naładowana, ale mimo to...

– Persefono – poprawiła go. Jej głos był kompletnie wyprany z emocji. – Mam na imię Persefona. A karabin powtarzalny ładuje się poprzez odwiedzenie zamka, przez co wyrzucana jest pusta łuska. Jeśli magazynek jest pusty, otwierasz

zamek, wkładasz nowe naboje do komory i przekręcasz rygiel zamka w bok. To naprawdę całkiem proste. – Zrobiła kilka kroków w głąb pokoju i uniosła strzelbę obiema rękoma. – Następnie przykładasz broń do ramienia i celujesz. Oddychasz spokojnie.

Udawało jej się to znacznie lepiej niż nam, którzy albo wstrzymywaliśmy oddech, albo oddychaliśmy ciężko z przerażeniem. Lufa wycelowana była w nas.

Dokładniej rzecz biorąc – we mnie.

– Kolbę należy dobrze dociskać do ramienia. Ręka, przedramię i ramię odprężone, przy jednoczesnym usztywnieniu nadgarstka. Broń jest odbezpieczona, cel namierzony, palec wskazujący wyprostowany – ciągnęła Persefona. Można było odnieść wrażenie, że cytuje księgę jubileuszową wydaną z okazji siedemdziesięciopięciolecia Związku Miłośników Polowania na Kaczki. Tyle że ja nie byłam kaczka. Ani miłośniczką polowania.

– Persefono! – Udało mi się wydusić z siebie ledwie ochrypy szept. Nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Wiedziałam, że muszę coś zrobić, ale czułam się jak w jednym z tych koszmarów, w których człowiek porusza się w zwolnionym tempie, bo podłoże pod stopami, a nawet powietrze są gęste jak syrop. Mój mózg również, sądząc po powolności myślenia, przypominał płynną maź. Albo po prostu wszystko działo się znacznie szybciej, niż mój umysł był w stanie percypować.

Persefona i tak nie zwracała na mnie uwagi, zbyt była zaabsorbowana celowaniem w moją pierś. Grayson, który stał najbliżej niej, usiłował desperacko oszacować, ile czasu zajmie mu dobiegnięcie do niej. Niezależnie od tego, jak błyskawicznie by się poruszał, kula byłaby szybsza.

– Opuszek palca dotyka spustu. Teraz powoli zginamy palec... – ciągnęła Persefona. W tym momencie miałam już pewność, że wszystko dzieje się w dziwnie zwolnionym tempie. No bo ile mogło trwać zginanie palca?

Moja twarz chyba nie była w tej chwili zbyt rumiana. W każdym razie miałam wrażenie, że cała krew spłynęła mi do nóg.

– Persefono! Stop! – zawołał Henry. Puścił moją rękę i zasłonił mnie swoim ciałem. – Skończ z tym, do cholery!

Podziwiałam go za to, że był w stanie coś uczynić i odezwać się. Sama nie byłam zdolna nawet poruszyć powieką, nie mówiąc o czymś sensownym.

Na próżno. Persefona sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nas nie zauważała. Po prostu dalej robiła swoje.

– Utrzymujemy napięcie w palcu. Oddychamy spokojnie, nie mrugamy powiekami. Inaczej łatwo przegiąć palec.

Z pewnością to był ten moment, w którym należało zacząć krzyczeć, ale mnie nie udało się nawet otworzyć ust. W każdej chwili mógł paść strzał i trafić Henry'ego...

Arthur (o którym w ciągu minionej minuty naprawdę kompletnie zapomniałam) chrząknął. Potem powiedział cicho, ale stanowczo:

– Persefono Prudence Porter-Peregrin! Natychmiast połóż strzelbę na podłodze.

Nie mogłam widzieć Persefony, bo Henry tkwił niczym skała przede mną, ale po reakcji innych domyśliłam się, że słowa Arthura zadziałały.

Wszyscy zaczęli oddychać. Powietrze nie było już gęste jak syrop. Mogłam wreszcie się ruszyć.

Wokół mnie wszczął się tumult. Ludzie nagle zaczęli jednocześnie mówić i histerycznie się śmiać, jakaś dziewczyna łkała spazmatycznie, a u niektórych dopiero teraz uaktywnił się odruch ucieczki. Kilka osób wybiegło przez drzwi na taras do ogrodu.

A Persefona? O Boże, Persefona! Odsunęłam Henry’ego na bok i podbiegłam do niej tak szybko, jak pozwoliły mi na to moje miękkie kolana. Osunęła się wraz ze strzelbą na podłogę i leżała skulona na parkiecie z szeroko rozwartymi oczami.

– Co...? Dlaczego...? – jąkała się, dokładnie tak samo jak pani Lawrence. – Celowanie nie powinno trwać dłużej niż pięć sekund, w przeciwnym razie zaczynają łzawić oczy... Dlaczego wszyscy się na nas gapią?

Uklęknęłam obok niej i objęłam ją.

– Wszystko w porządku – powiedziałam i zapalałam nienawiścią do siebie, że nie przyszło mi do głowy nic lepszego. Zresztą nie była to prawda. Nic nie było w porządku. Nic a nic. Spojrzałam na Arthura, który stał w otoczeniu poklepujących go po ramieniu znajomych. Bohater w glorii, który przekonał Persefonę do złożenia broni.

– Co my robimy na podłodze? – pytała moja przyjaciółka. – Znowu zgubiłaś jedną z soczewek kontaktowych? – Jej wzrok padł na strzelbę. Dziewczyna drgnęła. – Co to jest? Jest naładowana?

– Obawiam się, że tak. – Henry ostrożnie podniósł broń i podał ją Jasperowi. Ten zabezpieczył ją drżącymi rękoma.

– Niewiele brakowało! – powiedział i z niedowierzaniem popatrzył w dół na Persefonę. – Dziewczyno, co ci strzeliło do głowy? I skąd wiedziałaś, gdzie mój ojciec trzyma klucz do szafki z bronią?

– Nie wiem – wykrztusiła Persefona. – Zabierz to stąd. Nienawidzę broni.

– Naprawdę powinieneś schować to w bezpiecznym miejscu, Jas – rzucił Henry, wskazując brodą strzelbę. – Ale przedtem wyjmij amunicję. I jeszcze jedno... – Omiótł wzrokiem pokój, w którym potworzyły się małe, szepczące z ożywieniem grupki. – Powinniśmy przedstawić policji jakąś wiarygodną historię na wypadek, gdyby ktoś zdażył ich już wezwać! Coś w stylu, że Persefona, pijana w sztok, chciała sobie zażartować, ale broń oczywiście nie była naładowana.

Jasper każdą instrukcję Henry'ego kwitował skwapliwym skinieniem głowy. Widać po nim było, że jest wdzięczny, że ktoś przejął dowodzenie.

– Tak, masz rację – powtarzał co rusz. Potem w pośpiechu wyszedł z bronią wetkniętą pod pachę, jakby niósł niesfornego tygrysa.

– Co ja takiego zrobiłam? Nic nie pamiętam... – Persefona położyła obie dłonie na rozpalonych policzkach. – Chyba urwał mi się film. Naprawdę tyle wypłam? I dlaczego... Co ja mam wspólnego z tą strzelbą? Nic z tego nie rozumiem. – Rozplakała się.

– Przecież wiesz, że nie tolerujesz alkoholu – powiedziałam.

– To prawda. – Pociągnęła nosem. – Nawet w toniku do twarzy.

– Zawieziemy cię teraz do domu i zobaczysz, jutro rano... – urwałam. Co jutro rano? Wszystko będzie dobrze? Raczej nie. A już na pewno nigdy nie będziemy się śmiały z tego incydentu. – ...będzie nowy dzień – dokończyłam niemrawo, co jakoś zupełnie nie pocieszyło mojej przyjaciółki. Rozplakała się jeszcze bardziej.

– Naprawdę masz na drugie Prudence? – zapytałam, żeby odwrócić jej uwagę. I rzeczywiście – zadziało od razu.

– Słucham? – Popatrzyła na mnie z oburzeniem. – Prudence? Kto, przepraszam bardzo, ma na imię Prudence? Ja w ogóle nie mam drugiego imienia. Wystarczą mi moje dwa nazwiska. – Pozwoliła, by Henry pomógł jej wstać, i wydmuchała nos w chusteczkę, którą jej podałam. Niestety, niemal natychmiast znów zaczęła płakać.

– Co ja narobiłam? Wszyscy na mnie patrzą, jakbym była jakimś potworem.

– Mylisz się – zapewniłam ją szybko. – Jeśli w ogóle patrzą, to ze współczuciem.

No dobra, to nie była prawda, sądząc po tym, jak ludzie, zetknięci głowami, wymieniali się sensacyjnymi detalami. Na szczęście Persefona była zbyt wyczerpana, żeby to zauważać. Stojący przy regale z książkami Arthur święcił triumfy jako bohater wieczoru, podczas gdy Grayson, który jeszcze nawet nie ruszył się z miejsca, wpatrywał się w niego z wściekłością.

– On musiał to jakoś kontrolować. Może tym, co powiedział. – Odciągnęłam trochę Henry'ego od Persefony.

– Słowo albo zdanie jako wyzwalacz? – Henry pokiwał głową. – Też mi to strzeliło do... eee... przyszło do głowy. – Zmarszczył brwi. – Persefona wyszła po strzelbę w momencie, gdy mówił o Anabel, prawda?

Tak było.

– I przestała w nas celować, kiedy nazwał ją jej drugim imieniem. Tylko że ona nie ma drugiego imienia. Więc to „Prudence” prawdopodobnie było słowem, które miała zaprogramowane, żeby skończyć.

– A słowem-wyzwalaczem mógł być „cykl saro...” – powiedział Henry.

– Lepiej nic nie mów! – przerwałam mu natychmiast.

Persefona zbyt głośno łkała w chusteczkę, żeby nas słyszeć.

– Prawdopodobnie powinniśmy być mu wdzięczni, że w samą porę ją powstrzymał – mruknęłam i popatrzyłam z powrotem na Arthura.

– Jasne – warknął Henry.

Szepty wokół nas powoli przeszły w zwykłe odgłosy imprezy. To było niesamowite, ale z każdą mijającą minutą nastrój powracał do normalności, zupełnie jakby nic się nie stało. Albo jakby wszyscy w skrytości zaakceptowali wersję wydarzeń, którą planowaliśmy przedstawić policji. Może tak było lepiej, w każdym razie na pewno dla Persefony – a w prawdę i tak nikt by nie uwierzył.

Ktoś – Emily? – znowu puścił muzykę. Jednak nie tak głośno jak przedtem, więc wyraźnie słyszeliśmy śmiechy. Arthur wręcz tryskał humorem, tak samo jak ci, którzy otaczali go wianuszkami.

Z wyjątkiem Graysona, oczywiście. On zacisnął obie dłonie w pięści i wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć ze złości. Jak byk, który zbyt długo wpatrywał się w czerwoną płachtę.

– Lepiej szybko go stąd zabierz – mruknęłam do Henry’ego. – Zanim złamię Arthurowi nos. Zdaje się, że tego nie ma w planie trójfazowym.

– Zostaw go – zaproponował Henry.

– Nie! Arthur obróci to na swoją korzyść. Proszę cię, zajmij się Graysonem, dobrze? – Próbowałam się uśmiechnąć, ale w zasadzie nie było mi do śmiechu.

– Zawiozę Persefonę do domu. Spotkamy się później u pani Honey... u naszej starej znajomej, dobrze? – Wzięłam przyjaciółkę pod rękę. – Aha, Henry? – Raz jeszcze zatrzymałam się i odwróciłam.

– Hm? – Czy mi się wydawało, czy jego uśmiech wypadł jakoś blado?

– Dziękuję, że mnie zasłoniłeś – powiedziałam. – To było naprawdę bardzo... rycerskie. I cholernie lekkomyślne.

– Taa. – Tym razem uśmiechnął się szczerze, pokazując wszystkie dołeczki w kącikach ust. – Nie mogłem inaczej. Człowiek jest bezbronny wobec instynktów.



„Drzewo łaknie spokoju, ale wiatr wiać nie przestaje”. Sama nie wiem, dlaczego akurat teraz przyszła mi do głowy sentencja mojego kalifornijskiego trenera kung-fu, Mr Wu. W tej spokojnej dzielnicy willowej Londynu tuż przed północą było bowiem całkowicie bezwietrznie.

No i nie byłam drzewem.

A jednak łaknęłam spokoju. Nadal. Zamiast niego co dzień pojawiały się nowe problemy, z którymi należało się zmierzyć. Dłużej nie mogłam ich bagatelizować ani wmawiać sobie, że to wyzwania. Było ich zbyt wiele. Za to rozwiązań – mało lub żadnego. Wydawało się, że nie ma wyjścia z tej sytuacji. A Arthura chyba nic nie zatrzyma, był jak tsunami. W żaden sposób nie mogliśmy go powstrzymać, nawet aby uchronić jakoś naszych przyjaciół.

Odstawiłam Persefonę do domu i postarałam się, żeby zniknęła w pokoju, zanim rodzice zdążą ujrzeć jej zaryczaną twarz. Na szczęście oboje wcześniej położyli się do łóżka i mieli mocny sen.

– Przynajmniej po raz pierwszy i zarazem ostatni w życiu upiłam się do nieprzytomności Chateau Coşam rocznik 1972 wartym czterysta funtów – mruknęła Persefona, kiedy pomagałam jej zmyć makijaż, włożyć piżamę i odwiesić sukienkę Pandory do szafy. – Czy to nie dziwne, że doskonale pamiętam, jakie to było wino, ale ani trochę z tego, co się stało potem?

Owszem, dziwne. Tylko jak miałam jej to wszystko wytłumaczyć, żeby nie bała się zasnąć, i to do końca życia?

Wszak sen był organizmowi ludzkiemu niezbędny, a cała ta sprawa okazywała się tak złożona, że z kretesem przerosłaby nawet trzeźwego.

Na szczęście Persefona czuła się zbyt wyczerpana, żeby drążyć dalej. I tak, nieświadoma, padła na łóżko, gdzie, jak miałam nadzieję, zasnęła kamiennym snem. Jutrzejsza pobudka będzie okropna. Wiedziałam, jak to jest: tuż po przebudzeniu następował obłądny, króciutki moment, w którym człowiek czuł się całkiem normalnie, miło i bezpiecznie pod przytulną kołdrą. A potem – zwykle w tej samej sekundzie – uświadamiał sobie, że to, co wziął za absurdalny sen, wydarzyło się naprawdę, i wówczas marzył już tylko o śmierci.

Przykryłam przyjaciółkę kołdrą, po ciemku zesłam cichaczem na dół i ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi, czując wielką ulgę, że w ostatniej chwili nie natknęłam się na domownika w piżamie, który być może wziąłby mnie za włamywacza.

Kiedy mijałam przystanek nieopodal domu Persefony, nadjechał autobus, ale wolałam pójść pieszo, pragnąc, by chłodne nocne powietrze pomogło mi uporządkować myśli. I chociaż zegar na którejś z wież wybił północ, w ogóle się nie bałam. Mieszkałam już w dużo bardziej niebezpiecznych okolicach, ale Hampstead nawet nocą było spokojne i zaciszne. Księżyc w pełni tworzył nastrojowe oświetlenie. Poza tym, w razie gdyby w jednym z wypielegnowanych frontowych ogródków jednak zaczął się jakiś złoczyńca, znałam przecież kung-fu. Nawet jeśli podczas występu Persefony na niewiele mi się to przydało.

W ciągu tych dziesięciu minut, jakie zajęło mi dotarcie do domu, kopałam każdy napotkany kamyk, a mimo to, skręcając w naszą uliczkę, wciąż byłam zła. I to nie tylko na Arthura, który sprowadził na nas to nieszczęście, ale i na siebie. Bo nic nie zrobiłam, tylko sterczałam bezradnie jak kołek. I dlatego, że od tygodnia wiedziałam, że wydarzy się coś strasznego, a i tak nie potrafiłam temu zapobiec.

Przed naszym domem zakwitły magnolie, jaśniały już z daleka. Przestałam kopać kamyczki i przyspieszyłam kroku. Może Grayson już wrócił i będzie mógł zdać mi relację, czy przyjechała policja i czy uwierzyła w historyjkę, którą chcieliśmy jej zaserwować.

Podszedłszy bliżej, zobaczyłam, że na poddaszu u Lottie nadal pali się światło. Zawahałam się, czy udać do niej po odrobinę pocieszenia. Jak za dawnych czasów, kiedy drżąca, przebudzona ze złego snu, zakradałam się do niej pod kołdrę. Zawsze pachniało tam trochę cynamonem i wanilią, a Lottie uspokajająco głaskała mnie po włosach i zapewniała, że nie ma się czego bać. To było jak magia: kiedy Lottie mówiła mi, że wszystko będzie dobrze, to tak właśnie się działo. To było takie proste. Potem swym łagodnym altem śpiewała mi niemieckie kołysanki, w których za drzewami mieszkał księżyc, a na niebie pasły się gwiazdki-owieczki zagładające przyjaźnie do okien. Zmartwienia poszły spać wraz z pszczołkami i ptaszkami, a nad wszystkimi, nad chorym sąsiadem też, czuwał Pan Bóg.

Nie słyszałam tych kołysanek od niepamiętnych czasów. A kiedy Lottie wyjedzie w lipcu do Niemiec, pewnie już nigdy ich nie usłyszę. Zamrugalam, gdyż do oczu napłynęły mi łzy. Dlaczego nie mogło zostać po prostu tak, jak jest? Dlaczego życie wraz z wiekiem musiało być coraz bardziej skomplikowane? Życie bez Lottie wydawało mi się kompletnie beznadziejne.

Nigdy nie potrafiłam niczego przed nią ukryć, przynajmniej niezbyt długo. Zawsze zauważyła, że coś mnie trapi. Do dziś tak było, ale istniały tajemnice, których nie mogłam powierzyć nawet Lottie. I zmartwienia, których nie mógł wypalić swym blaskiem stary, dobry księżyc. Tak szczerze mówiąc, to nie byłam

nawet pewna, czy Pan Bóg rzeczywiście czuwał nad nami.

Dlatego chyba nie miałam już prawa zakradać się do łóżka Lottie i dawać się przez nią pocieszać.

Ponieważ zbyt długo wpatrywałam się w jasno oświetlone okna, prawie mi umknęło, że ktoś stał oparty o słupek ogrodzenia oddzielającego nasz podjazd od ogrodu sąsiadów.

Osobnik wystąpił z cienia, a jego włosy zaśniły złotem w świetle księżyca. Był to Arthur.

– Ach, to tylko ty – rzucił z rozczarowaniem. Najwyraźniej czekał na Graysona, co z kolei oznaczało, że ten jeszcze nie wrócił.

Przystanąłam i odruchowo uniosłam do góry pięści. I od razu je opuściłam. Zbyt dużo się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, by znowu podnosić sobie maksymalnie poziom adrenaliny.

– Jak tam? Nie wyrobiłeś jeszcze dziennej normy rujnowania ludziom życia? – zapytałam. Nawet nie byłam już zła.

– Twoje raczej chyba uratowałam – odparł.

– Ciekawy pogląd na sprawę. – Usiłowałam rozpoznać wyraz jego twarzy, ale było zbyt ciemno na takie niuanse. Arthur nie wyglądał jednak na pobitego, żadnego podbitego oka, żadnych zakrwawionych warg. Szkoda właściwie.

– Nigdy nie dopuściłbym, aby Persefona strzeliła do Henry’ego – powiedział Arthur tak cicho i poważnie, że potrzebowałam kilku sekund, by pojąć, co w gruncie rzeczy mi oznajmił. Jego słowa nie wzbudziły we mnie złości. Zdałam sobie sprawę, jaka byłam wyczerpana. I smutna. To był długi, długi dzień.

– Czy to znaczy, że gdyby Henry nie zasłonił mnie własnym ciałem, to byłabym teraz trupem, a Persefona morderczynią?

Zęby Arthura zabłysły na chwilę w świetle księżyca.

– Chciałem jedynie coś wam uzmysłwić, to wszystko.

– Że jesteś bezgranicznie zły i nie masz najmniejszych skrupułów? – Prychnęłam z pogardą. – Sorry, ale to już wiemy. Zdumiewające jest tylko, jak bardzo potrafisz to potęgować.

– Ach, Liv. Jesteś jeszcze małą dziewczynką. Małą dziewczynką, która naiwnie widzi wszystko w kategoriach dobra i zła. – Westchnął. – Nie rozumiesz, jak niewyobrażalnie potężne narzędzie otrzymaliśmy do ręki. – Mówił szybko i natarczywie, jakby się obawiał, że nie dam mu dojść do słowa. – Dla ciebie to wszystko tylko zabawa. Nie chcesz dostrzec, że w rzeczywistości trzymamy w ręku klucz, by zmienić świat, by formować go wedle naszych wyobrażeń i uczynić lepszym.

– Więc chcesz naprawiać świat, tak? – To miało zabrzmieć szyderczo, ale wyszło odrobinę desperacko. Arthur najwyraźniej naprawdę wierzył w to, co mówił. Wzięłam głęboki oddech. – Jak na razie widzę tylko, że krzywdzisz ludzi.

Pani Lawrence i Persefona niczego ci nie zrobiły. A Theo Ellis tylko ośmielił się zareagować obroną na twoje obelgi. Dlaczego jesteś tak niewyobrażalnie podły? – Ostatnie pytanie po prostu mi się wymknęło. Ledwie je wypowiedziałam, najchętniej od razu bym je cofnęła. Zabrzmiało tak dziecinnie. Zupełnie jakby Czerwony Kapturek rozmawiał ze złym wilkiem. „Babciu, dlaczego masz takie wielkie zęby?”

Arthur od razu zareagował na nie cichym śmiechem.

– Ach, po co ja tu w ogóle z tobą dyskutuję? Chciałem tylko trochę wstrząsnąć Graysonem i Henrym. Żeby dotarło do nich, że nie powinniśmy się nawzajem zwalczać. Jeśli wznowimy naszą przyjaźń, razem możemy osiągnąć wszystko.

– Chyba nie wierzysz w to, że po tym wszystkim, co zrobiłeś, kiedykolwiek znowu ci zaufają?

– Owszem, wierzę – powiedział Arthur. – Nie masz pojęcia, jak głęboka jest nasza przyjaźń. Znamy się od małego. I przeszliśmy razem niewiarygodnie wiele. Coś takiego spaja.

Przypominał teraz Jaspera i jego tyradę. Może to właśnie Arthur podszeptał mi te sentymentalne deklaracje na temat dozgonnej przyjaźni. Wydało mi się to dość prawdopodobne.

– Nigdy nie skrzywdziłbym przyjaciela – ciągnął Arthur, a w jego głosie było tyle przekonania, że niewiele brakowało, a roześmiałabym się w głos. Przypomniało mi się jednak, że rzeczywiście jeszcze nigdy nie zaatakował Graysona ani Henry’ego. Za to miał na celowniku inne osoby, na przykład mnie i moją siostrę.

– Nie sądzę, żebyś rozumiał istotę przyjaźni – rzuciłam. – Bo jeśli krzywdzisz ludzi, których kochają Grayson i Henry, krzywdzisz także ich.

Arthur ponownie błysnął zębami, ale tym razem jego śmiech zabrzmiał szyderczo.

– O, mówisz o sobie, mała Liv? Chyba fajnie jest być kochaną przez dwóch chłopaków naraz. Uważasz się za cholernie ważną osobę, co? Tylko że pół roku wcześniej Grayson i Henry nawet nie wiedzieli o twoim istnieniu. I uwierz mi, równie szybko zapomnieliby o tobie. Założymy się? – Wyciągnął do mnie rękę.

Najchętniej bym mu na nią napluła. Nagle znów poczułam złość. Powitałam ją jak przyjaciółkę, za którą tęskniłam do bólu. O wiele lepiej być wściekłym niż smutnym. W ciągu sekundy zniknęło całe moje znużenie.

– Bardzo chętnie przyjąłabym zakład – powiedziałam, siląc się na obojętność. – Głupio tylko, że nic mi po nim, bo jeśli wygram, nawet nie będę o tym wiedzieć.

– Osobiście byliby mi to obojętne – odparł Arthur. – W zasadzie muszę to udowodnić wyłącznie sobie. Dziś wprowadzie cię oszczędziłem, ale właśnie

zaczynam tego żałować.

Teraz byłam już bardzo zła. Wprawdzie mnie oszczędził, ale i tak przez niego cała szkoła będzie obgadywała Persefonę przez wiele tygodni. Nie mówiąc o biednym Theo Ellisie. Nikt mu nie uwierzy, że nie wiedział, dlaczego włamał się do jubilera, ba, sam będzie powątpiewał w swój zdrowy rozsądek. W najlepszym razie wyląduje w szpitalu psychiatrycznym. Może nawet nigdy już się z tego nie otrząśnie.

– Serio, co mnie powstrzyma przed tym, żeby cię zlikwidować? – zapytał Arthur. – Przez dowolną osobę w dowolny sposób. W dowolnym czasie i miejscu...

Dosyć tego!

– A co mnie powstrzyma przed tym, żeby jeszcze raz złamać ci szczękę? Tu i teraz? – rzuciłam w odpowiedzi i postąpiłam o krok naprzód. Ku mojej satysfakcji Arthur cofnął się przede mną. Co bym zrobiła potem – szczerze mówiąc, nie wiem. I pewnie nigdy się nie dowiem, gdyż w tym momencie z ogromną prędkością nadjechał czerwony sportowy wóz i zahamował z piskiem opon przy krawężniku obok nas.

Matt miał dość osobliwy styl jazdy, nie marnował też specjalnie czasu na staranne parkowanie. Jego samochód zawsze stał krzywo w stosunku do krawężnika i aż dziwi, że jeszcze nikt nie oberwał mu lusterka.

Szkoda, że manewrując, nie przejechał Arthura, który korzystając z okazji, odwrócił się i odszedł. Pewnie czekanie na Graysona stało się dla niego zbyt niebezpieczne.

Matt zauważył mnie dopiero przy wysiadaniu i chociaż w ciemności nie widziałam zbyt dobrze, byłam pewna, że się do mnie szczerzy.

– Ups! – Wionęło od niego piwem i wodą toaletową. – Mam nadzieję, że nie przyłapałem was na obściskiwaniu?

– Raczej nie – zapewniłam go.

– Ale najwyraźniej sprowokowałem biedaka do ucieczki. Nie pobiegiesz za nim?

– Opuścę sobie. Ale jeśli chciałbyś oddać mi przysługę, to mógłbyś go przejechać. Rozwiązałyby to przynajmniej część moich problemów.

– Aż tak źle? – zaśmiał się Matt.

Tak. Tak źle.

Arthur nie oglądał się za siebie. Nie szedł zbyt szybko, ale po sposobie, w jaki stawiał kroki – odrobinę mocniej niż zwykle – domyśliłam się, że też był wściekły. Ha, dobre i to. Nawet jeśli oznaczało to, że teraz przez całą noc będzie snuł sadystyczne plany, jak mnie uśmiercić. Co mi po tym, że strzegłam swoich drzwi do snów jak pałacu Buckingham, skoro Arthur w każdej chwili mógł kogoś na mnie nasłać? Kogoś, kto nawet nie będzie wiedział, co robi, wpychając mnie

pod koła autobusu, czy co tam jeszcze knuł Arthur. Do końca życia będę nerwowo oglądać się za siebie.

– Ile ty właściwie masz lat, Liv? Tak masz na imię, prawda? – Matt przyglądał mi się ciekawie. To dostrzegałam nawet w ciemności.

– Owszem, tak mam na imię. I mam szesnaście lat – odpowiedziałam.

– Och. Za młoda jak dla mnie – skwitował z żalem Matt.

– Chyba tak. Choć nie jestem pewna, czy w ogóle pożyję wiele dłużej. – Uśmiechnęłam się do niego. – Myślę, że pójdę teraz do domu i sporządzę testament. Dobranoc, Matt.

– Dobranoc, Liv. Trzymaj się z daleka od otwartych okien.

Koniecznienie. Przynajmniej tyle mogłam zrobić.



11.

– Serdecznie witamy na praktycznym kursie „Latanie dla początkujących”, panno Silver! – Kapitan położył moją dłoń na dźwigni pośrodku wyposażonej w niezliczone guziki i mrugające lampki konsoli między nami. – Nie mamy czasu do stracenia, zgadza się? Jutro musi pani pilotować Boeinga 747?

– Może nie jutro, ale w najbliższym czasie – przyznałam zażenowana.

– No to do roboty: to jest dźwignia przepustnicy, a tym obsługuje się klapy podczas lądowania. W czasie startu...

– Momencik – przerwałam, czerwieniąc się nieco. – Ale pan wie, że to całe latanie to tylko taka przerośnia, prawda? Ja muszę... eee... nauczyć się czegoś innego.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Matt. Bo to on nosił na głowie kapitańską czapkę. – Ale latanie i seks to w zasadzie to samo. Chodzi o zrównoważenie siły nośnej, siły ciągu, siły ciężkości i siły oporu, to cała tajemnica. I oczywiście nie można się bać.

Wcisnął zielony przycisk i zjawiała się stewardesa.

– Mogę coś dla pana zrobić, panie kapitanie?

– Tak. – Matt uśmiechnął się do niej. – Mogłaby pani pozbyć się jakoś drugiego pilota na najbliższe pół godziny? Poza tym poprosimy o kawę na dobudzenie i po kawałku ciasta na potem, ach tak, i czy mogłaby pani pożyczyć Liv swój biustonosz? Ten, który ma na sobie, działa na mnie totalnie odpychająco.

Popatrzyłam po sobie z przerażeniem. Dopiero teraz zreflektowałam się, że byłam w samej bieliźnie, i to rzeczywiście nie najpiękniejszej. Ściślej rzecz biorąc, nawet nie mojej własnej. Majtki sięgały mi do talii i podobnie jak biustonosz uszyte były z materiału w kolorze kiełbasy parówkowej, takiego samego, z jakiego był bandaż mamy na zespół cieśni kanału nadgarstka. Był to dokładnie ten rodzaj bielizny, jakiej spodziewałabym się po ciotce Gertrudzie.

– No tak, rzeczywiście jest fatalny – potwierdziła stewardesa z politowaniem w głosie. – Mój jest od Victoria's Secret, spodoba się panu. – Ochoczo wyskoczyła ze swojej marynarki. Była niebiesko-żółta (marynarka, nie stewardesa) i gryzła się kolorystycznie z zielonymi drzwiami kokpitu w tle. Biustonosz, który się spod niej wyłonił, był z dyskretnej czarnej koronki.

– Stop! – zawołałam.

Zarówno Matt, jak i stewardesa popatrzyli na mnie z konsternacją.

Bo i cała ta scena mogła wprawić człowieka w zakłopotanie. Ja w bieliźnie ciotki Gertrudy razem z Mattem i stewardesą robiącą striptiz w kokpicie samolotu – to po prostu nie miało sensu.

Mój wzrok przyciągnęły zielone drzwi za plecami kobiety. Nie pasowały do reszty, nie tylko kolorem. W samolotach nie montowano ozdobnych drewnianych drzwi, a już na pewno nie takich z klamką w kształcie mrugającej ślepiami jaszczurki.

– Sen! – rzuciłam z ulgą. – Idiotyczny, durny sen.

– Nikt cię tu nie trzyma, jeśli ci się nie podoba – skomentował z urazą Matt.

– Będziemy się dobrze bawić i bez ciebie. Patricii przynajmniej nie muszę niczego uczyć.

Stewardesa zachichotała kokieteryjnie.

– No to świetnie. Miłego lotu! – Gestem kazałam jej zniknąć, a wraz z nią usunęłam cały kokpit i Matta. Wyobraziłam sobie opromienioną słońcem łąkę i wzięłam głęboki wdech. Jak zawsze, kiedy zaczynałam śnić świadomie, nie miałam pojęcia, która była godzina. Po spotkaniu z Arthurem zasnęłam zadziwiająco szybko i nie wiedziałam, kiedy (i czy w ogóle) wrócił Grayson. Czasami mój organizm potrzebował więcej snu głębokiego niż zwykle, jakby wiedział, że później, w fazie REM, nie będzie już mógł się zregenerować. Wprawdzie był to raczej wyjątek, ale zdarzało się, że zaczynałam śnić dopiero we wczesnych godzinach rannych i kiedy w końcu znajdowałam drzwi, nie zostawało mi zbyt wiele czasu do przebudzenia.

Barcelona – tak jakiś czas temu ochrzciłam wreszcie jaszczurkę znajdującą

się po wewnętrznej stronie drzwi – zaczęła mrużyć, kiedy pogładziłam jej pokryty łuskami łebek. Była czarującym stworzeniem, tak ślicznym, że kiedy się nie poruszała, można ją było wziąć za finezyjną ozdobę z onyksu i granatu. Wysłałam na korytarz, gdzie po drugiej stronie drzwi jej nadal bezimienna siostra pokazała mi swój upiornie rozwidlony język. Jej szpiczaste wampirze ząbki i uzbrojone w pazury nogi z przysawkami, dzięki którym mogła błyskawicznie przemieszczać się po drzwiach w dół i w górę, sprawiały, że budziła grozę i lęk, co zresztą było jej zadaniem.

– Ale dla mnie mogłabyś być miła – powiedziałam i zamknęłam za sobą drzwi. W tym momencie uświadomiłam sobie, że wciąż mam na sobie koszmarną bieliznę w kolorze parówkowym.

Jaszczurka zasyczała złośliwie. Szybko wyczarowałam sobie jakiś sensowny wygląd i głęboko zażenowana omiotłam wzrokiem korytarz, szczególnie intensywnie wpatrując się w błyszczące czarne drzwi Henry’ego naprzeciwko.

Panował spokój. Może tym razem dopisało mi szczęście i nikt nie zobaczył mnie w negliżu à la ciotka Gertruda. Miałam nadzieję, że Grayson i Henry czekali na mnie we śnie pani Honeycutt.

Straszliwy Freddy skinął majestatycznie głową, kiedy przechodząc obok niego, rzuciłam mu krótkie „cześć”. Zatrzymałam się na chwilę przy drzwiach Lottie. Pod napisem „Miłosna piekarnia Lottie – dostawcy proszę wchodzić tylnym wejściem” zawisała łupkowa tabliczka z wypisaną kredą informacją: „Dziś nieczynne z powodu kłopotów sercowych”. Biedna Lottie. Najwyraźniej wciąż przejmowała się Charlesem, nawet jeśli utrzymywała, że są tylko dobrymi przyjaciółmi i to jest w porządku, bo on w gruncie rzeczy nie jest w jej typie. Akurat! Ten dumny łysy dentysta swoim niezdecydowaniem złamał jej serce. Może to właśnie przez niego chciała wyjechać z Londynu. Ze współczuciem pogłaskałam precla pełniącego funkcję klamki. Przecież musiało być coś, co mogłabym zrobić, żeby ulżyć Lottie w jej strapieniach.

Gdzieś dalej w korytarzu rozległ się dźwięk, przypominający ciche skrzypnięcie drzwi. Natychmiast skuliłam się i przemieniłam w jaguara. Oczywiście rozsądniej byłoby zamienić się w niewidzialny podmuch powietrza, ale to udawało mi się tylko wtedy, gdy byłam całkowicie zrelaksowana i skupiona jednocześnie. A w tej chwili o relaksie w korytarzach nie mogło być mowy. Nawet najniewinniejszy odgłos, jak przed chwilą skrzypnięcie źle naoliwionych zawiasów, wystarczał, by moje serce zaczynało łomotać dwa razy szybciej niż normalnie. Po głowie wciąż kołatały mi się słowa Anabel „On wrócił!”.

Na wszelki wypadek obejrzałam się przez ramię, najpierw przez lewe, potem przez prawe, ale nikogo nie zobaczyłam. Ponieważ nie byłam pewna, skąd dochodził dźwięk, pomknęłam chyłkiem przy ścianie i minawszy kilkoro drzwi, wychyłam z za rogu, zaglądając w głąb korytarza.

Postać stała przy pierwszych drzwiach.

Gdybym wyciągnęła łapę, mogłabym jej dotknąć. Podświadomie byłam tak niezbitnie przekonana, że zobaczę Arthura („mogę w każdej chwili kazać cię zlikwidować”) albo Anabel („to dopiero początek”), że z poczucia ulgi aż przysiadłam na moim jaguarzym tyłku.

To była tylko Emily.

Ubrana w pizamę w kwiatki, tkwiła przed swoimi własnymi drzwiami i wyglądała, jakby nie wiedziała, co robić. Prawie zrobiło mi się jej żal, gdy patrzyłam, jak tak stoi skołowana, przygryzając dolną wargę. Co ona wyczyniała? Czyżby szczypała się w rękę? Naprawdę było mi jej szkoda.

– To wprawdzie boli, ale jutro rano nie będę miała siniaków. A więc tylko śnię – mamrotała pod nosem. – A skoro śnię, to to tutaj nie jest realne. Więc dlaczego boli?

O rany. Emily zdecydowanie potrzebny był ktoś, kto wyjaśniłby jej kilka podstawowych kwestii – chociażby po to, żeby potem zabarykadowała swoje drzwi i nigdy więcej nie wychodziła na korytarz. Na mój widok nie okazała jednak entuzjazmu, wręcz przeciwnie, wybałuszyła oczy i zaczęła się na mnie gapić, jakbym była jakimś drapieźnikiem. Ups! Przecież tym w gruncie rzeczy właśnie byłam. Gdybym chciała wzbudzić w niej ufność, powinnam raczej zamienić się w konia, nie w jaguara. Z drugiej strony już sam mój widok sprawił, że zrobiła dokładnie to, co chciałam osiągnąć: sięgnęła ręką do tyłu i nacisnęła klamkę.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała z naciskiem, przeszła rakiem przez próg i zatrzasnęła drzwi. Usłyszałam jeszcze, jak szczęknęło od środka kilka zasuw. Gdybym nie była jaguarem, musiałabym się roześmiać.

Znacznie podniesiona na duchu podreptałam dalej. Jaguary może i nie umięją się śmiać, ale na pewno potrafią się uśmiechać. Już się cieszyłam, że opowiem o tym Graysonowi i Henry’emu.

Kiedy za rzucającymi się w oczy drzwiami z mlecznego szkła, które zapamiętałam jako punkt orientacyjny po drodze do drzwi pani Honeycutt, skręciłam w lewo, światło nagle się zmieniło. Jak w pogodny dzień, kiedy chmura zniecka przesłoni słońce. Jednocześnie powiało chłodem.

Niedobrze.

Szkoda, że przyszło mi do głowy to porównanie ze słońcem, bo natychmiast przypomniały mi się słowa Arthura o Anabel, demonie i zaćmieniu słońca, którego rzekomo mogliśmy nie przeżyć.

Serce załomotało mi szybciej, a włosy na karku się zjeżyły.

Było już niedaleko, ale teraz wydawało mi się, że rozsądniej będzie zawrócić i skryć się za własnymi drzwiami. Wprawdzie była to dłuższa droga, ale za to znalazłabym się na znajomym terenie, z drzwiami, za którymi w razie czego mogłam się schronić.

Zawróciłam.

To też okazało się kiepskim pomysłem.

Ciąg drzwi za mną był bowiem ledwie widoczny w głębokim cieniu. W powietrzu wyczuwało się napięcie, jak tuż przed burzą. Cienie zdawały się gęstnieć, zlewać ze sobą i tworzyć czarną jak smoła, nieprzeniknioną ścianę, która zamykała odwrót.

Poczułam naraz mdłości i zawroty głowy. Zdawało się, że temperatura w ciągu sekundy spadła poniżej zera.

Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w cienie. Nie miałam pojęcia, dlaczego ta ciemna ściana tak bardzo mnie przerażała, wiedziałam tylko jedno: za żadną cenę nie chciałam się z nią zetknąć.

W końcu otrząsnęłam się z odrętwienia i pognałam w przeciwnym kierunku. Moje pazury przy każdym skoku wbijały się w podłogę, ogon w biegu smagał jak biczem. Ziąb zdawał się jeszcze pogłębiać. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że mrok podąża za mną, że jest tuż-tuż, ale za bardzo się bałam, żeby się odwrócić. W głowie miałam mętlik, jakby gdzieś w moim wnętrzu rozsądek zmagął się z paniką.

Nie ma demonów. Ktoś – Arthur albo Anabel – odstawia tu wielki show. To nie jest realne.

Nie pomagało. Przerazenie wzmagало się z każdym susem, z każdym ułamkiem sekundy, który dzielił mnie od snu pani Honeycutt. Nawet mijane drzwi zdawały się przemieniać, jakby i one chciały mnie nastraszyć. Gdzieś rozległ się szyderczy śmiech, gdzieś błysnęły ostre zębiska, wydało mi się, że kątem oka widzę wyglądające z cieni potworne gęby. Pędziłam jednak zbyt szybko, by rozglądać się na boki.

Może, podpowiadał mi mój wewnętrzny głos, może to są twoje własne lęki, które się tutaj manifestują. Koszmar generowany przez twoją podświadomość, tym straszniejszy, im większy jest twój strach.

Coś musnęło z tyłu moją sierść, ale za żadne skarby nie spojrzełabym teraz za siebie. Gdzie, do cholery, podziały się te drzwi?

Przyśpieszyłam jeszcze bardziej, już prawie unosiłam się w powietrzu. Teraz nawet ściany korytarza na wprost mnie zdawały się czernieć, drzwi niemal nie dało się już rozpoznać, jakby ciemność otaczała mnie ze wszystkich stron, by mnie połknąć.

Tam! Drzwi pani Honeycutt! Jednym długim susem doskoczyłam do nich, wbiłam się pazurami w klamkę i nacisnęłam ją w locie. Wylądowałam na czterech łapach za progiem i całym ciałem zaparłam się od wewnątrz o drzwi.

Udało się! Może w mało eleganckim stylu, ale za to wreszcie byłam bezpieczna. Wydałam z siebie triumfalne prychnięcie.

Dopiero wtedy zauważyłam, że pani Honeycutt wpatruje się we mnie ze

swojego fotela w kwiatki. Z przerażenia wypuściła z rąk robótkę. Papuga rozwarła dziób i wyglądała, jakby zaraz miała spaść ze szczebelka. Z głębi pokoju gapił się na mnie nie mniej przerażony Grayson. Siedział razem z Henrym przy tym samym okrągłym stolczku, co poprzednim razem.

Tylko Henry się do mnie uśmiechał.

Błyskawicznie powróciłam do swej ludzkiej postaci.

Henry wstał i schylił się po robótkę pani Honeycutt, która uniosła rękę w geście przerażenia.

– Tam... tam był... leopard! – wyjąkała.

– Gwoli ścisłości, był to jaguar, ale bardzo łagodny, pani Honeycutt – powiedział Henry tym swoim uspokajającym, hipnotycznym tonem, którym zawsze do niej przemawiał. – Widzi pani, to tylko dziewczyna. Bardzo miła dziewczyna, nie musi się jej pani obawiać. Wszystko w porządku. Najlepiej niech pani zapomni, że w ogóle tu jesteśmy, i w spokoju dzierga dalej tę cudowną narzutkę.

– To jest stola – sprostowała pani Honeycutt. – Ale rzeczywiście jest cudowna, dziękuję bardzo. – Z westchnieniem zaczęła porządkować druty. – Bogu dzięki, nic się nie poplątało. Przy tym przeplataniem wzorze liściowym naprawdę trzeba się skupić.

– Nie będziemy pani przeszkadzać – zapewnił ją Henry, uśmiechając się do mnie. – Wspaniale to pani robi. Ten wzór to niełatwa sprawa...

Na palcach minęłam klatkę z papugą i klapnęłam na wolnym krześle obok Graysona.

Papuga już chyba ochłonęła, bo zaskrzeczała zniecierpliwiona:

– Przez próg ten przeszliście, waszmoście, bądźcie więc naszym gościem.

– Niesamowite, że wszystko wygląda tu identycznie jak ostatnim razem – szepnęłam. – Jak ona może śnić cały czas tak samo te wszystkie wzorki, kwiatki i duperele?

Grayson tylko popatrzył na mnie ponuro.

– To całkiem proste – odpowiedział Henry. – Właśnie tak wygląda w rzeczywistości salon pani Honeycutt. Przez te wszystkie lata, odkąd staruszka siedzi tam i dzierga, musiała wyryć sobie w podświadomości każdy koszmarny detal. – Dał mi całusa i usiadł z powrotem. – Dobrze, że wreszcie jesteś, czekamy już całą wieczność, prawda, Grayson?

– To dlatego on patrzy takim złym wzrokiem? – zapytałam.

– Nie, on patrzy złym wzrokiem, bo właśnie wskoczył tu prychający jaguar i wystraszył go na śmierć – odparł obrażonym tonem Grayson.

– Ach, to dlatego. – Wyciągnęłam przed siebie nogi, szczęśliwa, że wreszcie przestały się trząść. – Ciesz się zatem, że to nie ty byłeś tam na zewnątrz. – Rzuciłam wymowne spojrzenie na drzwi. – Ja w każdym razie dziś tam nie

wychodzę.

– O Boże. – Grayson położył głowę na stoliku. – Tylko mi nie mów, że tam czeka Arthur.

A czekał? W gruncie rzeczy nie miałam pojęcia, co się przed chwilą wydarzyło. Zastanawiając się nad tym, rozumiałam swoją reakcję jedynie połowicznie. Było po prostu tylko... bardzo, bardzo ciemno. Może zwyczajnie należało sobie czymś poświecić.

Z drugiej strony wyczuwało się, że to było coś cholernie niebezpiecznego, a człowiek powinien ufać własnej intuicji. Słuchać swego wewnętrznego tygrysa, jak mawiał Mr Wu.

– Nie wiem – wyznałam szczerze. – Albo to był Arthur, albo świrięta Anabel. Ewentualnie demon, który chce nas widzieć martwych podczas zaćmienia słońca.

Grayson od razu jęknął na te słowa.

– Albo to był wytwór mojej podświadomości – dodałam szybko. – W każdym razie było cholernie ciemno i upiornie i... chyba coś mnie prześladowało.

– Aż dotąd? Jak dokładnie wyglądało? Jest tam jeszcze? – Henry zaczął się podnosić.

Przytrzymałam go za rękaw.

– Nie otwierasz drzwi, jasne?

– No dobrze. – Henry już drwiąco wyginał usta, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Chyba zmiarkował, że nie żartuję.

– Jak, przepraszam bardzo, mamy wrócić do naszych własnych snów? – zapytał rozpaczliwie Grayson. – Ja i tak cały czas się boję, że się oboje naraz obudzicie i zostanę tu sam, a potem znowu zjawi się ten morderca z poduchą w kwiatki... – Zamilkł. Najwyraźniej sam zdał sobie sprawę, jak strasznie biadoli.

W każdą inną noc zaczęłabym się z niego podśmiechiwać, ale dziś doskonale go rozumiałam. Występ Persefony, mordercze groźby Arthura, to coś na zewnątrz w korytarzu – jak na jedną noc było tego naprawdę aż nadto.

– O której wróciłeś do domu? – zapytałam.

– Pomogliśmy jeszcze Jasperowi posprzątać. Próbowaliśmy mu przy tym uprzytomnić, że wyskok Persefony, a także Theo Ellisa i pani Lawrence to sprawa Arthura... Ale nie za bardzo chciał w to wierzyć.

– Jak się miewa Persefona? – spytał Henry. – Ach, głupie pytanie. Zapomnij o tym.

– Arthur czekał przed naszym domem na Graysona, ale zamiast niego spotkał mnie. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę... – W zamyśleniu skubałam cyklameny stojące na stoliku. – Powiedział, że gdybym umarła, już po pół roku nie pamiętalibyście, że kiedykolwiek żyłam. I że chętnie to udowodni.

Henry i Grayson milczeli. W końcu Grayson podniósł głowę i rzekł:

– Zapomnijcie o wszystkim, co do tej pory o tym mówiłem. W tej chwili jest mi już obojętne, czy resztę życia spędzi jako śliniące się i pogrążone w śpiączce warzywo. Musimy go zatrzymać, wszystko jedno jak.

– Tak, ale do tego potrzebujemy Anabel. – Henry przyłączył się do skubania cyklamenu i niby przypadkiem dotknął moich palców. – A ona jest w tej chwili mocno zaabsorbowana swoim demonem. Przynajmniej pod tym względem Arthur nie kłamał. Mnie Anabel też powiedziała, że on wrócił. I że nasze imiona zapisane są krwią. I że ta krew popłynie podczas zaćmienia słońca... I jeszcze kilka innych obłąkanych rzeczy. To nie był dobry pomysł, żeby odstawić leki.

– Może krew Arthura popłynie pierwsza – mruknełam z nadzieją. Wtedy zostałabym wielbicielką Anabel. Albo jej demona, to zależy.

Grayson rąbnął pięścią w stół, i to tak mocno, że zabrzęczały doniczki, a pani Honeycutt niechętnie uniosła swoją pokrytą jasnioletowymi loczkami głowę.

– Źle się do tego wszystkiego zabieramy. Jeśli Anabel jest jedyną osobą, która może nam pomóc, to musimy z nią porozmawiać.

– Przecież próbowałem – zaoponował Henry i patrząc z ukosa na panią Honeycutt, dodał: – Niejeden raz. Tylko że normalna rozmowa z Anabel jest niestety niemożliwa. Wygaduje coś po łacinie dziwnym, odbijającym się echem głosem, gada o krwi i śmierci, a w powietrzu unoszą się czarne pióra. Poza tym co chwila staje się niewidzialna.

– Bo tutaj nie da się prowadzić normalnej rozmowy – zakomunikował dobitnie Grayson.

Zbyt dobitnie w ocenie pani Honeycutt. Odwróciła się do nas.

– Pomyliłam oczka – poskarżyła się. – I co wy wyrabiacie z moim *Cyclamen persicum*? Chyba nie skubiecie listków, co? – Zmrużyła oczy. – Jesteś najstarszym synem Harperów. Czy ty nie miałeś przypadkiem oczyścić z liści mojej rynny?

– Już dawno zrobione, pani Honeycutt. – Henry powrócił do swojego hipnotycznego tonu. – Wszystko w porządku. Niech pani dzierga dalej. Trzeba przecież skończyć tę śliczną narzutkę.

– Stole! – burknęła pani Honeycutt, odwracając się. – Też powinniście robić na drutach, zamiast grać w karty.

Wymieniliśmy zdziwione spojrzenia. To, że siedzieliśmy przy stoliku, wcale nie oznaczało, że graliśmy w karty. Ale to było pani Honeycutt obojętne.

– To do niczego dobrego nie doprowadzi. Alfred jest najlepszym tego przykładem – ciągnęła. – Moja siostra, poczciwina, zawsze go broniła. Nawet mu swetry dziergała. I jak jej się odwdzieczył? Pieniądze w karty przetracił, tak jej odpłacił. I płakał krokodylimi łzami, jak ją znalazł nieżywą w łóżku. Astma, akurat. Wiem, co on zrobił, ale nikt mi nie chciał wierzyć. – Jej gderanie ustąpiło

klekotaniu drutów. Odetchnęliśmy z ulgą.

– Myślę, że nie ma sensu rozmawiać z Anabel we śnie – oświadczył szeptem Grayson. – Musimy to zrobić tam, gdzie nie ma demonów i gdzie nie można stawać się niewidzialnym. Na jawie! Gdzie nie będę się czuł jak ostatni krety. Gdzie zawsze zwycięża rozsądek.

– U Anabel? – odezwała się powątpiewająco. – W jej przypadku nawet psychiatra poniósł porażkę. – Choć on akurat też był stuknięty.

– Ja sobie poradzę! – Grayson o mały włos znowu nie rąbnął pięścią w stolik, ale w ostatniej sekundzie się pohamował. – Znam Anabel z czasów, zanim jej odwali... zanim zachorowała. Była ponadprzeciętnie inteligentna, typ człowieka o wyjątkowej zdolności logicznego myślenia. Nadal taka jest. Rozumiecie, co mam na myśli? – Powiódł po nas sceptycznym spojrzeniem. – Demon jako wytłumaczenie tego wszystkiego jest jak najbardziej logicznym rozwiązaniem. To znaczy, obiektywnie rzecz biorąc.

– Absolutnie logicznym – potwierdziłam. – Gdyby demony istniały.

– Właśnie – Grayson ucieszył się, że został zrozumiany. – A zatem Anabel nie trzeba udowadniać, że jest wariatką, tylko że jej demon nie istnieje.

Taa, łatwo powiedzieć. Zakładając oczywiście, że demony naprawdę nie istnieją.

– Chyba warto spróbować – zauważył Henry, wzruszając ramionami.

– W każdym razie tutaj na nic się nikomu nie przydam. – Grayson skrzyżował ręce na piersi.

– Mówiłem ci już ze sto razy... – zaczął Henry, ale Grayson wszedł mu w słowo:

– ...że wszystko to kwestia praktyki, wiem. Ale obawiam się, że zanim zdobędę wystarczająco dużo wprawy, Arthur już dawno z nami skończy.

Coś zaszeleściło. Grayson popatrzył z przestachem na drzwi.

– Słyszeliście to?

– To pani Honeycutt podrapała się drutem po głowie – zaśmiał się Henry.

– Tak tylko mówisz. Ja tam w żadnym razie nie zamierzam wychodzić. – Grayson wyprostował plecy i przeciągnął się. – Ach, cholera, jak można spać i jednocześnie być takim zmęczonym?

Mnie również wciąż to zadziwiało. Na jawie przecież wszyscy spaliśmy kamiennym snem w naszych łóżkach, choć niektórzy z nas wyglądali dość osobliwie. Ja na przykład spałam dziś z kwiecistą apaszką owiniętą wokół talii, różnymi spinkami we włosach, dwiema bransoletkami na rękę i wymiętą książką w kieszonkowym wydaniu pod piżamą. Czyli wyposażona we wszystko to, co nosi światowa dama, kiedy wędruje nocą po krainie snów. (Tylko skarpetkę senatora Morta przekazałam Henry'emu, nie mogłam się przemóc, żeby ją włożyć).

– W każdej chwili możesz się obudzić – przekonywał Henry. – Musisz tylko

chcieć.

– Sztuczka polega na tym, żeby wyobrazić sobie ze wszystkimi detalami, jak człowiek się budzi. Tak intensywnie, jak tylko zdołasz. – Mnie samej dość długo zajęło, zanim nauczyłam się budzić. Najprościej było we własnym śnie. Na korytarzu albo w obcych snach przychodziło mi to z dużo większym trudem. A najtrudniej było w stresie. – Najlepiej, jak zamkniesz oczy, a kiedy ponownie je otworzysz, będziesz już we własnym łóżku. U siebie w pokoju. Spróbuj wyobrazić sobie, jak leżysz pod kołdrą, jak światło księżycy zagląda do środka przez okno, albo...

– To nie działa! – Grayson zamknął oczy i natychmiast je otworzył. – Jedyne, co czuję, to strach, że znikniecie, kiedy nie będę patrzył.

– Nigdy nie zrobilibyśmy czegoś takiego. – Henry wyszczerzył się w uśmiechu. – No, dawaj, spróbuj jeszcze raz. Jutro o dwunastej spotykamy się na zakuwaniu.

– Cholera. – Grayson potarł czoło grzbietem dłoni. – Całkiem zapomniałem, że w poniedziałek zdajemy egzamin z chemii.

– Damy radę – zapewnił go Henry, wesoly jak skowronek. – Skupimy się na węglowodorach aromatycznych... Coś tak czuję, że to właśnie będzie na egzaminie.

Grayson popatrzył na niego nieufnie.

– Ty chyba nie...?

– Nie – zaprzeczył Henry. – Są takie sny, których nawet ja unikam, a do nich niewątpliwie należą sny pana Fourleya. A teraz obudź się wreszcie! Zanim my to zrobimy.

Grayson niechętnie zamknął oczy.

– To jeszcze raz, co mam robić?

– Leżysz w swoim łóżku, czujesz poduszkę pod głową... – odpowiedziałam. – Ach właśnie, byłabym zapomniała, co to właściwie miało znaczyć „nie ostronos” i „logistyka rybna”?

Henry westchnął.

– Hę? – zdziwił się Grayson.

– Nie otwieraj oczu. Leżysz w łóżku, pod kołdrą... Wyobraź to sobie bardzo realistycznie. Kiedy rozmawialiśmy na imprezie u Jaspiera o łańcuszku Emily, powiedziałaś: „logistyka rybna”! Cały czas się zastanawiam, co to miało znaczyć, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał Grayson.

– Jeśli chodziło o Emily, to może snobistyczna wydra – podsunął Henry, puszczając do mnie oczko.

– Tak, właśnie. Snobistyczna wydra. Nieskończoność. Ja się na to nie piszę – zaperzył się Grayson. – Odzyskałem ten przeklęty łańcuszek z powrotem.

To już wiedziałam.

Zegar pani Honeycutt zaczął wybijać pełną godzinę.

– Zamknij oczy, Grayson, wdech i wydech – poleciłam. I kiedy sama wciągnęłam powietrze, nagle bez ostrzeżenia otworzyły się nieistniejące do tego momentu drzwi w wytapetowanej ścianie, tym razem innej, co za złośliwość. A jeszcze gorsze było to, że tym razem mały, gąbczasty Alfred nie przeniknął przez drzwi powoli, tylko rycząc ochryple, wskoczył do środka z poduszką pod pachą, jak diabeł z pudełka, akurat w tej sekundzie, w której zaalarmowany Grayson otworzył oczy.

I wtedy... Grayson zniknął.



12.

– Teraz mu się udało – ucieszył się Henry.

Owszem, najwyraźniej tak.

– Alfred – wychrypiała pani Honeycutt.

– Becky! – Alfred zamachnął się poduszką. – Wybiła twoja ostatnia godzina!

– Lepiej się obudźmy – powiedziałam do Henry’ego. – Zanim on udusi staruszkę i jej sen się zapadnie.

– Ani myślę. – Chwycił mnie za rękę. – Tak się cieszę, że wreszcie jesteśmy sami. Zauważyłaś, że przez te wszystkie problemy nigdy nie mamy czasu dla siebie?

– No ale tutaj chyba też nie jesteśmy sami...

– Proszę – błagała pani Honeycutt. – Nie rób mi krzywdy, Alfredzie. Dostałeś przecież to, czego chciałeś.

Alfred zaśmiał się chrapliwym śmiechem seryjnego zabójcy.

– Becky, Becky! Co mi przeszkodzi zainkasować również i twoje ubezpieczenie na życie?

Henry z irytacją przewrócił oczami i wstał.

– Przepraszam bardzo – powiedział, podchodząc do Alfreda. Nie puścił mojej ręki, więc musiałam podążyć z nim. – Pani Honeycutt nie ma teraz dla pana czasu, mały, tłuściutki człowieczku. Musi robić na drutach. W końcu musi skończyć stołę.

Henry jeszcze nie skończył mówić, gdy Alfred zaczął się kurczyć, aż w końcu stał się tak malutki jak mój mały palec u dłoni, miniaturowy ludzik

z jeszcze mniejszą poduszczką w kwiatki pod pachą. Poruszał ustami, ale nie było słychać, co mówi.

– Och – westchnęłam, pod wrażeniem.

– Gdzie on jest, gdzie jest Alfred? – szeptała pani Honeycutt. – Przyszedł, żeby mnie udusić. Tak jak to zrobił z moją siostrą. Podstępnie, we śnie.

– Alfred przyjdzie innym razem. Przy innej okazji. – Henry nachylił się, wziął miniaturowego Alfreda w dwa palce i umieścił go na parapecie pod szklanym kloszem, pod którym stała maleńka doniczka z odnóżką cyklamenu. I wszystko to zrobił, nie puszczając mojej dłoni. – A na razie niech się pobawi w ogrodowego krasnala. Pani może w spokoju skończyć swoją wspaniałą stolę i nie musi się już bać. Wszystko w porządku.

Pani Honeycutt z przechyloną głową przyglądała się zmniejszonemu Alfredowi pod szklanym kloszem (taki miniaturowy wyglądał prawie uroczo. A co dopiero poduszka!).

– Nigdy mi nie wierzyli – powiedziała ze smutkiem. – Bo zawsze sprawiał wrażenie takiego poczciwca. I tak rozdierająco płakał na pogrzebie Muriel.

– Niech pani dzierga – zaćwierkał słodko Henry, pstryknięciem wymazując otwarte drzwi pokryte tapetą. – To panią trochę rozerwie.

– Dziergaj aż do poranku, a znikną twe troski, mój panku – zawtórowała papuga.

Pani Honeycutt skinęła głową i podniosła z kolan robótkę.

– Od dziecka lubiliśmy z Muriel dziergać. – Uśmiechała się, postukując drutami. – Muriel uwielbiała robótki. Robiła na drutach rzeczy dla wszystkich i na wszystko. Nazywała to przystrajaniem. Wszystko przystrajała. Świnkę morską, rolki papieru toaletowego, telefony, klamki, Alfreda. Raz, a miała już wtedy trzydzieści pięć lat, zrobiła na drutach pokrowiec na odkurzacz.

– Wspaniale – szepnął Henry, ostrożnie przechodząc do stolika i cały czas wiodąc mnie za sobą. – Naprawdę wspaniale, pani Honeycutt. Proszę myśleć tylko o tej cudownej stoli i jak przepięknie będzie wyglądać, kiedy będzie gotowa.

– Przepięknie – powtórzyła wniebowzięta staruszka, klekocąc drutami. O Alfredzie całkiem już zapomniała. Rozpłynął się w powietrzu wraz z poduszką.

– Nieźle – pochwaliłam szeptem.

– Dzięki. To na czym stanęliśmy?

Henry przyciągnął mnie do siebie i pocałował prosto w usta. Trwało to akurat na tyle długo, by moje kolana zamieniły się w budyń, ale zbyt krótko, by zapomnieć o obecności pani Honeycutt. Staruszka chrząknęła bowiem z wyrzutem, kiedy straciwszy równowagę, oparłam się o stolik, ściągając obrus wraz z cyklamenem.

– Mówiliśmy o... braku prywatności, zdaje się – odpowiedziałam odrobinę zdyszana i poprawiłam obrus.

– Zgadza się. – Henry nie spuszczał ze mnie wzroku. Podniósł rękę i odgarnął kosmyk włosów z mej twarzy. Jego dotyk był bardzo delikatny, ale sprawił, że moje ciało natychmiast przeszły prąd. – Zbyt rzadko jesteśmy sami. Ale wiesz, mam dobre wieści, jeśli o to chodzi.

– Mmm – mruknęłam, siląc się na neutralność. Brak chwil spędzanych tylko we dwoje był mi nawet trochę na rękę, przynajmniej dopóki nie rozwiążę problemu Rasmusa. Z drugiej strony, ze względu na fakt, jak całował Henry (a właśnie znowu to robił), powinnam jak najprędzej zmierzyć się z tym problemem. Bo uczucie przy całowaniu było po prostu zbyt cudowne. Nie mogłam inaczej, zarzuciłam mu rękę na szyję i przywarłam do niego. Czułam się bosko tak blisko niego. Na jeden moment przestałam się przejmować wszystkimi wymyślonymi ekschłopakami świata. Skupiłam się wyłącznie na miękkich wargach Henry’ego i jego dłoniach. Jedną położył na moich plecach i trzymał mnie mocno i pewnie, jakby już nigdy nie zamierzał mnie puścić, drugą wsunął mi pod włosy na karku i opuszkami palców gładził lekko tamto wrażliwe miejsce. Już samo to wystarczyłoby, żeby dość skutecznie pozbawić mnie zdolności myślenia. A do tego jeszcze ten pocałunek... Westchnęłam.

Piękny sen. Bardzo piękny.

Długo trwało, zanim Henry z niechęcią wyswobodził się z moich objęć. Jego twarz promieniała. Moja pewnie też, tak przynajmniej mi się wydawało. Jak w gorączce.

– Wracając do dobrych wieści. – Głos Henry’ego brzmiał chrapliwie, a włosy sterczały w nieco większym nieładzie niż zwykle, co było zapewne moim dziełem. Cofnął się o krok, jakby celowo chciał zwiększyć dystans między nami. – Więc słuchaj, jest tak. Moja matka chce w ferie wiosenne polecieć razem z Amy i Milo do znajomych na Ibizę. Mnie nie zamierza zabierać, żeby bez wyrzutów sumienia móc popijać wieczorami białe wino przy basenie. – Mówił beztrąsko, z drwiąco uniesionym kącikiem ust, jak to on, ale w jego wzroku było coś innego, coś, co niemal łamało mi serce. – To oznacza, że przez dwa cudowne tygodnie będę miał dom wyłącznie dla siebie. Nikt nie będzie mnie nękał, żebym po raz stutysięczny przeczytał mu *Gruffalo*, nikt się nie oparzy w rękę podczas nocnego smażenia omletów ani nie dostanie ataku furii, kiedy potknie się o klocek lego, nikt nie będzie domagał się, żeby w pięć minut wytłumaczyć mu materiał z matmy z całego ostatniego miesiąca, ani nikt nie będzie wpadał do mojego pokoju, żeby narzygać mi na dywan. – Zaśmiał się. – No, może z wyjątkiem kota. Dlaczego marszczysz brwi?

Bo te migawki z jego życia rodzinnego były dla mnie jak zimny prysznic. Dosłownie. Choćby nie wiem jak zabawnie o tym opowiadał, zawsze robiła mi się od tego gęsia w gardle. Ponieważ jednak wiedziałam, że nic nie wkurzało go bardziej niż litość, czym prędzej postarałam się o nieco mniej sceptyczny wyraz

twarzy.

– Nie cieszysz się ani trochę? – Był szczerze rozczarowany.

– Z tego, że w ferie nie będziesz mógł wylegiwać się na plaży?

Wiedziałam oczywiście, że alkoholizm jest chorobą, ale i tak darzyłam matkę Henry’ego głęboką niechęcią. Wydawała mi się wyjątkowo antypatyczna, choć przecież nigdy jej nie spotkałam.

– Z tego, że będziemy mieli miejsce dla siebie, w którym na sto procent nikt nie będzie nam przeszkadzał – odpowiedział.

O Boże. Pojęłam wreszcie, do czego zmierzał.

– Kiedy są te ferie? – zapytałam lekko spanikowana.

– Zaczynają się dwudziestego ósmego marca.

Już? To już za trzy tygodnie. Trzy tygodnie, w ciągu których albo musiałam nauczyć się latać, albo wyznać mu prawdę. Najlepiej to drugie, i to tu i teraz. Najlepiej podejść do tego jak do zrywania plastra. Nie myśleć, tylko po prostu to zrobić.

– Henry... – zaczęłam. W ustach nagle zrobiło mi się całkiem sucho. Zaczęłam chodzić w tę i z powrotem, ryzykując przy tym, że wystraszę panią Honeycutt. Nie mogłam się jednak opanować. Kiedy tak stałam tuż przy nim, nie byłam w stanie normalnie myśleć, zupełnie jakby mój umysł przestawiał się na autopilota i interesował wyłącznie tym, jak pachnie Henry i jak to jest dotykać jego mięśni klatki piersiowej pod koszulką, i jak...

Stop! Tak nie mogło być dalej. Musiałam się natychmiast ogarnąć. Zebrać się na odwagę.

– Henry, jeśli chodzi o...

– Wiem – wszedł mi pośpiesznie w słowo Henry, nagle zmieszany. – Oczywiście masz rację. To dziwne, że jeszcze nigdy nie byłeś u mnie w domu, a teraz masz przyjść tylko dlatego, że dom będzie pusty i będziemy mieli miejsce, w którym będziemy mogli ze sobą spać i nikt nam w tym nie przeszkodzi. Żebyś nie czuła się tak... nieswojo, chciałbym cię zaprosić do nas w najbliższą niedzielę. – Wziął głęboki wdech. – Żebyś oficjalnie mogła poznać moją rodzinę. A oni ciebie.

Wpatrywałam się w niego z osłupieniem. Nagle zaczął sprawiać wrażenie bardziej zdenerwowanego niż ja, kiedy tak stał z rękoma w kieszeni jeansów i utkwionym we mnie spojrzeniem przepelnionym poczuciem winy.

– To prawda, że do tej pory chwytalem się wszystkich sposobów, żebyś nie musiała ich poznawać, i byłem przy tym... no, uraziłem cię tym. Ta historia z B i moim ojcem i jak się potem zachowałem... – Zbliżył się krok do mnie. – Ale teraz, kiedy znowu jesteśmy razem, nie chciałbym popełnić tego błędu po raz drugi.

Jeszcze jeden krok.

Wyciągnął rękę.

– Bo wiesz, Liv...

Był już przy mnie. Patrzył na mnie z takim skupieniem, jakbym była zagadką, którą musiał rozwiązać. Zdałam sobie sprawę, że coś we mnie w środku gubi rytm. Chyba serce.

– Bo wiesz, Liv, za żadne skarby świata nie chciałbym cię stracić po raz drugi.

W nosie załaskotały mnie łzy. Szybko opuściłam głowę. Za nic nie chciałam, żeby zobaczył je w moich oczach.

Mimo to chyba wyczuł, co się ze mną dzieje.

– Ale hej – wyszeptał mi do ucha i zaśmiał się cicho. – Jeśli ktoś jest w stanie przetrwać spotkanie z moją rodziną, to właśnie ty.

– Jasne, mam nerwy jak postronki – przyznałam mu rację, ciesząc się, że dał mi możliwość dościa do siebie. Choć mój głos i tak wydał mi się odrobinę zdławiony. – Nie przejmuj się. – Odważyłam się popatrzeć mu prosto w oczy. Łzy przegnałam uśmiechem. – Twoja rodzina wcale nie jest taka dziwna, jak twierdzisz. Poznałam już przecież Amy i Milo.

– Tak, to prawda – zauważył ironicznie Henry, a jego oczy zwęziły się odrobinę. – Tamtego dnia poznałaś też mojego ojca oraz jego kochankę i byłaś świadkiem, jak wrzeszczeli na mojego brata. Jakże miłe popołudnie.

Pocałowałam go prędko. Też wiedziałam, co to jest sarkazm. Przynajmniej był to dla mnie znajomy teren.

– Właśnie – powiedziałam. – A przy okazji zwinęłam tę śliczną tabakierkę... – Dzięki której mogłam później wchodzić do snów ojca Henry'ego i przekonać go do zmiany swych bezdusznych planów. Nadal odczuwałam pewną dumę z tego powodu. – A tak w ogóle to oddałeś mi ją?

Pokręcił głową.

– Zachowam ją dla siebie. Na czarną godzinę. – Przyglądał mi się badawczo spojrzeniem swych szarych oczu. – Czy kiedykolwiek zdradzisz mi, jak to zrobiłaś, Livvy?

Również pokręciłam głową.

– Zachowam to dla siebie. Na czarną godzinę – odparłam. – Kiedy już nie będziemy mieli sobie do powiedzenia, wtedy wyciągnę tę historię.

– Taa, mówienie jest przereklamowane. – Henry uśmiechnął się szeroko, objął mnie w talii, przyciągnął do siebie i znowu zaczął całować, a ja tym razem zapomniałam, że to był przecież tylko sen, zapomniałam, że pani Honeycutt mogła nam się przypatrywać, zapomniałam chyba o wszystkim.

Był tylko Henry i ja, i... ta cholerna papuga.

– Poszukajcie sobie pokoju – zaskrzeczała.

Nie mogliśmy powstrzymać chichotu.

– Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy. – Henry opadł na krzesło, a mnie usadził sobie na kolanach. – W takim razie w najbliższą niedzielę o trzeciej jesteś zaproszona na herbatę. – Oparłam się o jego ramię. – A jeśli chodzi o... ferie, to mamy jeszcze trochę czasu, żeby obgadać różne rzeczy.

– Hm. – Gapiłam się na jego pięknie zarysowane usta i zastanawiałam się, jakie by to było uczucie, gdybym przejechała po nich palcem. – Co takiego, na przykład? – zapytałam z roztargnieniem.

– Na przykład, co ze środkami antykoncepcyjnymi.

Zerwałam się na równe nogi i dostałam ataku kaszlu.

– Co?

– No wiesz, powinniśmy zastanowić się nad tym wcześniej, nie uważasz? – Henry nie był ani trochę speszony.

– Eee... tak – wydusiłam. Jasny szlag! Jak to było? Z prawdą, którą lepiej wyznać, zanim będzie za późno? Może powinnam zrobić kolejne podejście?

– Jak wy z Rasmusem zabezpieczaliście się przed ciążą? – zapytał Henry.

Poczułam, że się czerwienię, i udałam kolejny atak kaszlu, żeby zapanować nad kolorem swojej twarzy. Na szczęście we śnie odbywało się to o wiele szybciej niż na jawie.

– Livvy? Krępuje cię rozmowa na ten temat?

Owszem, krępuje.

– Nie. Masz rację. Powinniśmy się nad tym zastanowić. A my z Rasmusem... eee...

Tylko chodziliśmy razem na spacer. Ponieważ Rasmus był cholernym psem. Powiedz to. Powiedz to po prostu, Liv. A potem się obudź i wgrzyź w poduszkę.

– Kondomy – wykrztusiłam.

Henry pokiwał powoli głową.

– Tak, to wydaje się najrozsądniejsze. Przynajmniej na początku. – Czy mi się zdawało, czy on też się trochę zaczerwienił? – Trzy tygodnie to strasznie długo... – Westchnął. (I w tym momencie jego spojrzenie naprawdę w fatalny sposób przypominało mi Rasmusa. Kiedy zebrał o kawałek pasztetówki). – Cała wieczność, jeśli chodzi o ścisłość.

Wieczność... może dla niego. Z drugiej strony miał jednak trochę racji: przez ten czas wiele się mogło wydarzyć. Kto wie, czy w ogóle będziemy wtedy jeszcze pośród żywych? W końcu zarówno Arthur, jak i demon Anabel w jednoznaczny sposób oznajmili nam swoje mordercze plany.

– Kiedy ma być to zaćmienie słońca? – zapytałam. Ale Henry nie mógł mi już odpowiedzieć. Zniknął.

A ja, gwałtownie pozbawiona miejsca do siedzenia, czyli jego kolan, klapnęłam na krzesło.

Papuga zaśmiała się złośliwie.



Blog Frognal Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

8 marca

Pamiętacie tamte tygodnie zeszłej zimy, kiedy nie działo się ABSOLUTNIE NIC? No wiecie, ten przeraźliwie nudny okres, w którym wydarzyło się tak mało skandali, nadających się do wywlekania na światło dzienne, że aż mnie korciło, żeby puścić wodze fantazji. Dziennikarze nazywają taki ubogi w wiadomości czas sezonem ogórkowym, a tu na blogu można go poznać po tym, że częściej niż zwykle piszę o Hazel-w-sumie-jestem-kompletnie-nieciekawą-osobą-Pritchard albo wygrzebuję sprawy z przeszłości, które już trochę popadły w zapomnienie, może zresztą i słusznie. Taa, jak by to ująć, w tej chwili na Hazel nie mam miejsca nawet w post scriptum. A to dlatego, że wyprawiacie wręcz obłądne rzeczy. Dzięki! Jesteście po prostu wspaniali. (Choć może powinniśmy oficjalnie przekazać do analizy wodę w Hampstead, chyba jest z nią coś nie tak...).

Dla wszystkich, których nie było na imprezie powitalnej Jaspera, poniżej skrót wydarzeń:

Godzina 19.00: na godzinę przed oficjalnym rozpoczęciem... rozpoczyna się impreza.

Godzina 20.00: skończyło się piwo.

Godzina 20.15: Emily Clark przychodzi w tak krótkiej miniówie i tak obcisłym topie, że Jasper z rozpędu zaczyna z nią flirtować. Do momentu, w którym (zapewne przez pomyłkę) patrzy na jej twarz i ją rozpoznaje.

Godzina 21.00: skończyło się dokupione piwo. Rozpoczyna się płądrowanie kolekcji win ojca Jaspera.

Godzina 21.20: Persefona Porter-Peregrin zjawia się w sukience, którą jej siostra nabyła po południu w sklepie Harvey Nichols. Jak widać na zdjęciu, zapomniała zapiąć z tyłu suwak. Nie szkodzi, kiecka jest naprawdę powalająca, Pandoro. Szkoda, że nigdy nie będziesz mogła jej nosić, nie narażając się na wytykanie palcami i komentarze w stylu: „O, popatrz, to jest sukienka tej wariatki, która dokonała zamachu”.

Między 21.30 a 21.45: ponieważ kible są ciągle zajęte, Ben Ryan ukradkiem sika do stojaka na parasole w przedpokoju. Nie wyjmując przedtem parasoli. Nie wie, że jest obserwowany przez osobę, która schowana za płaszcami zastygła niczym słup soli.

Mniej więcej w tym samym czasie: Persefona doprawia się, osiągając co najmniej dwa promile, i znika w piwnicy.

Godzina 21.57: Persefona zjawia się salonie z fuzją ojca Jaspera i chce zastrzelić swoją najlepszą przyjaciółkę Liv-udając-nerdowską-okularnicę-ale-wyrywam-sobie-najfajniejszego-chłopaka-Silver. Dlaczego, Persefona niestety nie wyjaśnia. Ale nie żartuje. Arthur Hamilton ratuje Liv życie, przekonując Persefonę, żeby położyła strzelbę na ziemi. Okazuje się, że broń nie była naładowana, za późno jednak dla Maisie Brown, która ze strachu leje w gacie. (Tak na marginesie, Maisie, przeczytałam te jedenaście e-maili, w których zapewniasz, że tylko usiadłaś na rozlanej lemoniadzie i że są na to świadkowie – z tym że wszyscy ci świadkowie zgodnie twierdzą, że ta lemoniada jechała MOCZEM).

Godzina 22.00: impreza rozkręca się na dobre bez Liv i Persefony, które się ulotniły. (Oraz bez Maisie, która ze względu na plamy z „lemoniady” również idzie do domu). To dość żałosne ze strony Liv, że nawet nie podziękowała Arthurowi za jego męstwo – w końcu nikt nie mógł wiedzieć, że broń nie jest naładowana).

Godzina 23.30: ktoś przewraca stojak na parasole i cały przedpokój śmierdzi jak lemoniada Maisie. Jasper postanawia zakończyć imprezę. I tak było świetnie, Jasper. Wszyscy się cieszymy, że wróciłeś!

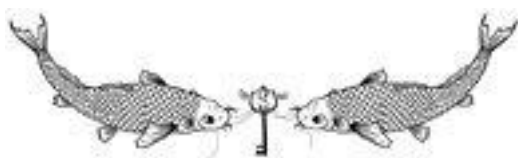
A my się widzimy. Trzymajcie tak dalej, kochani. Tylko bądźcie ostrożni z wodą.

Pozdrowienia od totalnie niewyspanej

Waszej Secrecy

Tittletattleblog.wordpress.com

13.



Konsultant ślubny nazywał się Pascal de Gobineau i był nadzwyczaj zadbanym, przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach. Zaczesa na bok grzywka tak często opadała mu na oczy, kiedy mówił, że po jakimś czasie nabrałam pewności, że elegancki gest, jakim ją odgarniał z twarzy, był częścią ogólnej stylizacji, tak samo jak francuski akcent i ujmujący uśmiech.

Ten zaś pozostawał w rażącej sprzeczności z kwaśną miną, z jaką przywitała mnie Bochra, kiedy punktualnie o dziesiątej zjawiłam się w jadalni. Nie było to wcale takie łatwe, jak by się mogło wydawać, ponieważ do za pięć dziesiąta Florence bezlitośnie okupowała łazienkę, wskutek czego, kiedy już wreszcie ufryzowana, umalowana i pachnąca perfumami otworzyła drzwi i wypadła na zewnątrz, pozostało mi równo pięć minut, żeby wziąć prysznic, ubrać się, uczesać i zbiec po schodach. Tylko z makijażu zrezygnowałam, w przeciwnym razie byłby to wyczyn godny Księgi rekordów Guinnessa.

Ponieważ wszyscy inni zasiedli już wokół stołu, musiałam zadowolić się ostatnim wolnym miejscem dokładnie naprzeciwko Bochrze i obok Florence, która pomimo perfekcyjnej stylizacji i gigantycznego kubasa z kawą wyglądała na niewyspaną i miała minę odpowiednią raczej przy kolonoskopii.

Też potrafiłabym wyobrazić sobie miłsze sposoby spędzania niedzielnego poranka niż uczestnictwo w zwołanej przez Bochrę nużącej naradzie na temat ślubu. „Żeby nikt się potem nie skarżył, że nie miał okazji do zaprezentowania własnych pomysłów”, powiedziała, nalegając na obecność wszystkich członków rodziny, nawet Charlesa, który dziś, w konfrontacji z grzywką konsultanta ślubnego wydał mi się jeszcze bardziej łysy. I również nie wyglądał na szczególnie wyspanego.

Mama i Ernest próbowali podejść do narady jak do niezobowiązującego rodzinnego spotkania przy śniadaniu, na którym niejako przy okazji omówione zostaną sprawy związane ze ślubem, ale już wypowiedziane przez Ernesta słowa zdradziły, że nic tu nie będzie ani niezobowiązujące, ani przy okazji. Zawsze, kiedy był spięty, używał dziwnie sztywnego, naszpikowanego słowami obcego

pochodzenia prawniczego żargonu – a spięty był niemal zawsze, kiedy chodziło o Bochrę.

– Zamyślamy jedynie skonfigurować parę idei – powiedział. – I być może uda nam się przy tej okazji skonsolidować awersję, jaką niektórzy czują do wielkich imprez w ogóle, a wesel w szczególności.

Jeśli to nie był jednoznaczny dowód na to, że ze strachu robił w spodnie, to sama nie wiem.

– My właściwie czujemy awersję tylko do sukienek z różowej organzy – zapewniła go Mia. (Jako pięciolatka została zmuszona do niesienia trenu panny młodej na ślubie i do dziś miała uraz z powodu różowej organzy. Panna młoda, nawiasem mówiąc, też).

Nie powiedziałyśmy Ernestowi, że żywimy niechęć do matek panów młodych, które bez pytania roszczą sobie prawo do dowodzenia i dysponowania naszym czasem. Nie chciałyśmy mącić mamie radości ze ślubnych przygotowań, nawet jeśli Bochrą oraz zapowiedziany przez nią rozmach imprezy i związane z nią nakłady odrobinę napawały nas lękiem. Mamę pewnie też, ale dziś ani słówkiem nie napomknęła o swym upodobaniu do małych, improwizowanych przyjęć ogrodowych. Wręcz przeciwnie, natychmiast zgodziła się z Pascalem, że nie ma piękniejszego miejsca na wesele niż klasyczna angielska ziemska rezydencja. To z kolei niezmiernie ucieszyło Pascala, ponieważ, traf chciał, jedna z najpiękniejszych rezydencji w ogóle, która zwykle jest zarezerwowana na lata z góry, akurat w ten lipcowy weekend była do dyspozycji. Co było takim samym cudem jak fakt, że Pascal w tak krótkim czasie w ogóle był dyspozycyjny, jak do znudzenia powtarzała Bochrą. Pascal bowiem również był zarezerwowany na wiele lat z góry, mnóstwo sławnych par zawdzięczało mu niezapomniane uroczystości. Para, która nagle zmieniła zdanie i tym samym zwolniła miejsce dla mamy i Ernesta, też była słynna, ale Pascal nie chciał nam zdradzić, o kogo chodziło.

– Powiem tylko tyle, że dla niektórych lepiej jest, gdy z tego, że do siebie nie pasują, zdadzą sobie sprawę przed ślubem – oświadczył, po czym skupił się na swej niesławnej „liście ślubnej Pascala de Gobineau”. Jeśli ta lista rzeczywiście była niesławna, czy choćby nawet i słynna, to chyba tylko z powodu niewyobrażalnej nudy, jaką od niej wiało, to pewne. Pascal, mimo swojego ujmującego uśmiechu i akcentu, miał straszliwie usypiający głos. W dodatku najwyraźniej zamierzał zaprezentować nam absolutnie wszystkie możliwości, zebrane w leżącym przed nim segregatorze, poczynawszy od dwóch tysięcy sposobów składania serwetek materiałowych, poprzez dekoracje z czosnku olbrzymiego w szklanych czworokątnych wazonach, po optymalną wysokość stolików koktajlowych z pokrowcami. Ponieważ pomimo najlepszych chęci nie byłam w stanie wykazać szczerego zainteresowania różnicami w jakości wyściełanych kopert na listy, przybrałam zainteresowaną minę i odpłynęłam

myślami, jakbym była na nudnej lekcji w szkole. W ten sposób wprowadzić nie dało się nadrobić braków w śnie, ale można było osiągnąć stan głębokiego odprężenia, a lepsze to niż nic. No i nikomu nie działało się na nerwy.

Raz po raz docierały do mnie pojedyncze hasła w rodzaju „druk wytłaczany”, „róże floribundy”, „przydział miejsc przy stole” i „nadzienie z musu migdałowego”, ale bez problemu mogłam włączyć je do mych pograżonych w drzemce myśli.

Nadzienie z musu migdałowego na przykład. Dziś w nocy musiało wypełniać moją głowę zamiast zwojów mózgowych, skoro po tym jak Henry zostawił mnie samą we śnie pani Honeycutt, ja, zamiast się obudzić, postanowiłam ponownie wypuścić się na korytarz. Bo chociaż dotychczas straszliwie bałam się pochłaniającej wszystko ciemności, było coś, co przerażało mnie jeszcze bardziej: ferie wiosenne.

Zazwyczaj w ferie odwiedzałyśmy z Mią tatę, ale tym razem miałyśmy zostać w domu, bo tata dużo jeździł w delegacje i do czasu ostatecznej przeprowadzki z Zurychu do Stuttgartu mieszkał wyłącznie w hotelach. (Dobrze, że przynajmniej w maju miał przyjechać na kilka dni do Londynu, niby z naszego powodu, ale pewnie także i dlatego, by przyjrzeć się facetowi, którego zamierzała poślubić mama).

Na korytarzu panował spokój, nie było słyhać żadnych dźwięków oprócz odgłosu moich kroków – ktokolwiek wywołał tę ciemność, zapewne sam już się obudził. Albo ten ktoś w ogóle nie istniał, a ciemność była dziełem moich własnych ożywionych lęków i mrocznych myśli. Te zaś nie były już mroczne, tylko dziwnie poplątane i prowadziły mnie w jeden konkretny korytarz. Ślizgałam się wzrokiem po drzwiach, aż napotkałam te jedne, które były dokładnie tam, gdzie się spodziewałam: czerwone drzwi Matta.

Musiało być nad ranem. Prawdopodobnie mój sen zaraz się skończy, w końcu miałam niezawodny budzik w postaci młodszej siostry. Mia nawet w weekendy nigdy nie spała dłużej i jak sięgam pamięcią, zawsze, w każdy niedzielny poranek wchodziła mi do łóżka. Wpatrując się w drzwi Matta, wmawiałam sobie, że to zaraz nastąpi.

Oczywiście doskonale wiedziałam, że to nie był dobry pomysł – ale nie miałam żadnego lepszego. Ferie wiosenne rozpoczynały się za niecałe trzy tygodnie, a Matt... Matt musiał mi posłużyć za symulator lotu.

Rozejrzałam się na boki. Nadal nikogo nie widziałam ani nie wyczuwałam. Byłam sama. Wciąż mogłam jeszcze zawrócić. Ale nie zrobiłam tego. Wzięłam głęboki wdech, przekręciłam gałkę w prawo i otworzyłam drzwi.

– Miłość nie jest tym, co człowiek spodziewa się otrzymać, lecz tym, co jest gotów dać – zakomunikował niespodziewanie Pascal, a ja z nadzieją uniosłam głowę. Czyżbym przegapiła coś ważnego? Może nawet już skończył?

Nie, na to się nie zanosilo, segregator był przekartkowany ledwie w połowie. Rzuciłam kontrolne spojrzenie na twarze pozostałych. Bochra, mama i Lottie były jedynymi osobami, które z prawdziwym zainteresowaniem śledziły wynurzenia Pascala, wszyscy inni podobnie jak ja odpłynęli myślami. Florence ukradkiem majstrowała pod stołem przy swoim iPhone, Ernest, trzymający rękę mamy, na twarzy miał półuśmiech, ale jego wzrok błędził gdzieś w przestrzeni, Mia ustawiała na swoim talerzu wieżyczki z herbatników, a Grayson wynagradzał sobie przeraźliwą nudę jedzeniem. Pochłoniął już nieprawdopodobną ilość jajecznicy z tostami i mniej więcej połowę jagodowego tortu Lottie. Nie odwzajemnił mojego uśmiechu, tylko przewrócił oczami.

Charles siedział z półprzymkniętymi powiekami, a jego podbródek osuwał się coraz niżej. Za każdym razem, gdy głową prawie dotykał talerza, napotykał spojrzenie Lottie i prostował się na krześle.

Lottie zaś wyglądała wyjątkowo ślicznie w obcisłym rozpinanym sweterku w kolorze zielonego bluszczy, który doskonale pasował do jej brązowych kędziorów, które zebrała luźno na karku. Może mi się tylko wydawało, ale Pascal chyba dość często słał uśmiechy w jej kierunku.

– Jeśli chodzi o koszyczki dzieci sypiących kwiatki, to od lat współpracuję z tą samą ogrodniczką. Oferuje płatki idealnie dobrane kolorystycznie, zrywane rano w dniu ślubu, jakość ekologiczna. – Jego monotony głos naprawdę miał w sobie coś hipnotyzującego. Może dlatego nikt mu nie przerywał, na przykład żeby spytać, ile ta cała zabawa będzie kosztować. Ekologiczne płatki kwiatów, o niebiosa! Stary, dobry ryż też spełniał swoje zadanie. I kto w ogóle miał sypać te kwiatki? Wzbraniałam się jednak przed zadaniem choćby jednego pytania. To tylko niepotrzebnie odwlekłoby koniec narady.

Miałam wrażenie, że siedzę przy tym stole już od paru dni, ale była zaledwie jedenasta.

Ciekawe, czy Persefona już wstała? I czy Secrecy już ją obsmarowała na blogu? Na pewno. Planowałam zadzwonić do niej, gdy tylko przeżyję tę niasiadowę. Miałam nadzieję, że do tej pory jakoś poradzi sobie beze mnie. Pewnie marzyła właśnie, by można było cofnąć czas i sprawić, by odstało się to, co się stało wczoraj wieczorem.

À propos odstania: moje myśli powędrowały z powrotem do czerwonych drzwi. Może bym się i wycofała, gdyby wejście nie było tak łatwe. Większość ludzi podświadomie chroni swoje drzwi jakąś barierą, ale do niektórych snów można wmaszerować, ot tak. Jak do snu Matta.

Przekroczyłam próg i znalazłam się w holu ogromnego nowoczesnego budynku z dużą ilością szkła i gigantycznych stalowych konstrukcji. Z obu stron mijał mnie strumień ludzi zmierzających ku szerokim ruchomym schodom. Wszyscy wyglądali na ogromnie zajętych. Poczulałam ulgę, że trafiłam do w miarę

normalnego snu. W końcu nigdy nie wiadomo, o czym ludzie śnią. Zwłaszcza nad ranem sny często robiły się zwariowane, w każdym razie z moimi tak było. Dopiero po kilku sekundach odnalazłam Matta, a to za sprawą granatowego garnituru, w którym zupełnie zlewał się z tłumem podobnie ubranych mężczyzn. Stał przed elektronicznymi bramkami prowadzącymi do wind i rozmawiał z kobietą za ladą recepcji. Oboje flirtowali ze sobą, rozpoznałam to natychmiast po sposobie, w jaki Matt z uśmiechem opierał się o ladę. Kobieta kokieteryjnie odrzuciła włosy do tyłu, a kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że żakiet jej służbowego kostiumu był rozpięty dość głęboko, ona zaś celowo nachylała się, aby Matt mógł zaglądać jej w dekolt. Z czego dość skwapliwie korzystał.

OK. Więc to ten rodzaj snu. Przynajmniej wstrzeliłam się w nastrój. Lepsze to, niż gdyby Mattowi śnił się koszmar, w którym na wyludnionym parkingu dybałby na niego seryjny morderca albo w dżungli gonili go jacyś kanibale. Albo gdyby śniło mu się, że jest małym chłopcem, który poszedł z babcią do parku. Nie, tak było idealnie.

Musiałam tylko pozbyć się jakoś kobiety z recepcji. I własnych zahamowań.

To ostatnie początkowo szło mi lepiej, niż mogłam się spodziewać. Wyobraziłam sobie po prostu, że jestem tajną agentką, której powierzono misję uwiedzenia Matta. To było jak teatr improwizowany, tylko lepsze, bo wszyscy aktorzy oprócz mnie rano nie będą już pamiętać spektaklu.

Tajna agentka Silver sprawiła sobie strój bardzo podobny do wdzianka kobiety za kontuarem: podkreślającą figurę granatową garsonkę, a do tego granatowe szpilki, w których w prawdziwym życiu nie uszłabym nawet dwóch kroków bez potykania się. Włosy zostawiłam luźno opadające na ramiona, tak jak u tamtej kobiety, i nawet pociągnęłam sobie usta szminką dokładnie w takim samym odcieniu, gdzieś pomiędzy różem i ciemną czerwienią, który Persefona na pewno od razu potrafiłaby nazwać. Następnie wyczarowałam na nosie okulary (do tej pory Matt zawsze widział mnie w okularach i bez nich mógłby mnie nie poznać) i krokiem modelki na wybiegu podeszłam do recepcji, niosąc przed sobą chwiejną stertę akt. Dokumenty te upuściłam na ziemię dokładnie obok Matta i wydałam z siebie cichy okrzyk przerażenia, kiedy jeden z nich wylądował na bucie chłopaka.

– Przepraszam pana najmocniej, tak mi przykro – jękałam bez tchu, a kiedy Matt pochylił się, żeby mi pomóc (jak to miło, że we śnie też był dobrze wychowany), szybko postarzyłam kobietę o dwadzieścia lat, dodałam jej poźółkłe zęby i brodawkę pod lewym okiem, która jednak wyglądała tak odrażająco, że natychmiast ją usunęłam.

– Dziękuję bardzo – wyszczebiotałam cichutko i opromieniłam Matta spojrzeniem sponad okularów. – To naprawdę niezmiernie miło z pana strony.

– Nie ma za co – odparł Matt. I zdumiał się. – Liv? To ty?

– Tak. – Zamrugałam zdziwiona. – O Boże. Cześć, Matt. Zupełnie cię nie

poznałam w tym garniturze. Co ty tu robisz?

Matt wyprostował się i położył skoroszyty na kontuarze. Rzuciwszy skonsternowane spojrzenie na swoją nagle postarzałą flamę, odwrócił się do mnie i powiedział:

– Pracuję tutaj. Mam biuro na trzydziestym drugim piętrze.

Aha. We śnie nie był studentem-leserem, który ponownie wprowadził się do rodziców.

– Pan Davenport zostanie wkrótce partnerem w kancelarii Strong & Jameson

– dodała kobieta. – Najmłodszy partner w historii kancelarii.

Ha, ha, ha. No, ale pomarzyć można.

– O rany! – Postarałam się, by w moim głosie zabrzmiał nieklamany podziw.

– Stamtąd musi roztaczać się niesamowity widok. Pracuję jako praktykantka w administracji – dobry Boże, spraw, aby mieli tutaj jakąś administrację – i jeszcze nigdy nie byłam wyżej niż na dwunastym piętrze.

– Naprawdę? – Matt uśmiechnął się z lekkim współczuciem. – Przecież możesz wjechać windą na samą górę razem z turystami...

Ach tak? Cholera.

– Eee... no tak, rzeczywiście. Tak zrobię, jak tylko będę miała trochę czasu.

– Obdarzyłam go naiwnym spojrzeniem. – To dopiero mój trzeci dzień tutaj. Mój szef, pan... eee.... Smith, jest strasznie surowy, niestety. Przed chwilą nazwał mnie głupią gęsią, bo położyłam ciastko, które każe sobie podawać do kawy z mlekiem, po niewłaściwej stronie spodka.

– Ojej – skwitował Matt. Wyglądało na to, że metoda „na litość” działała. Postanowiłam wycisnąć z niej jeszcze trochę.

– Chyba jest zły, bo nie lubię, kiedy poklepuje mnie po tyłku i mówi na mnie „mała”. – Odgarnęłam włosy z twarzy. – Chociaż jestem wyższa od niego. On jest mniej więcej dwieście lat starszy ode mnie, a poza tym śmierdzi mu z ust.

– To obrzydliwe! – Matt pokręcił z oburzeniem głową. – I jednoznacznie podpada pod zarzut napastowania na tle seksualnym. Pomijając fakt, że jesteś niepełnoletnia. Dziecko jeszcze!

Cholera. Dziecko nie było dobre, musiałam to jak najprędzej skorygować.

– Mam osiemnaście lat – skłamałam. Skoro Matt ze studenta prawa mógł awansować na partnera w kancelarii, to ja spokojnie mogłam dodać sobie dwa lata, we śnie wszystko jest możliwe. – Ale i tak nie lubię, jak mnie dotyka taki oślizgły typ... Naprawdę inaczej wyobrażam sobie swój pierwszy raz. – Wstrzymałam na chwilę oddech ze strachu, że za szybko mknę do przodu. Z drugiej strony byliśmy przecież we śnie, a tu liczyła się każda sekunda. Matt nie wyglądał na szczególnie zaszokowanego, raczej przejawiał zainteresowanie, natychmiast więc dodałam: – Tak, wiem! Sama zdaję sobie sprawę, że tak nie powinno być, ale... Wcale nie jest łatwo znaleźć kogoś, kto... – Zamilkłam. Nie umyślnie, tylko dlatego, że talent

improvizacyjny tajnej agentki Silver w tym momencie po prostu zawiódł. Jak w prawdziwym życiu.

– Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. – Matt obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Jesteś przecież... dość ładną dziewczyną.

„Dość ładna”. Czy to w języku chłopaków nie oznaczało przeciwieństwa „oszałamiająco pięknej”? Najwyraźniej nie byłam w jego typie.

– Dziękuję. Ale mężczyźni, których poznaję, nie lubią... eee... dziewczyn bez doświadczenia. No, pomijając może pana Smitha. Ale on z zasady nie jest zbyt wybredny.

Matt milczał.

O Boże. Nie chwyciła. Może powinnam zmienić trochę scenariusz. Zainscenizować jakieś trzęsienie ziemi. Albo atak kosmitów. W filmach to zawsze zbliżało do siebie ludzi.

A może po prostu powinnam dać sobie spokój.

Ukradkiem poszukałam drzwi Matta. Stały zagubione i kompletnie nie na miejscu pośrodku holu, ale oprócz mnie jakoś nikt tego nie zauważał.

– Muszę... muszę iść – wymamrotałam. Tajna agentka Silver poniosła porażkę. – Do pana Smitha. Złożyć wypowiedzenie. Nie wytrzymam tu ani dnia dłużej. Miło było cię spotkać.

Hol rozmył się przed moimi oczami. Oślepiło mnie słońce. Głęboko u mych stóp rozpościerało się miasto i w pierwszej chwili pomyślałam, że lecę. Potem pojęłam, że spoglądam na Londyn z okna naprawdę wysokiego budynku. Wąwozy ulic, dachy, wieże, kopia katedry św. Pawła, błyszcząca wstęga Tamizy i mosty na niej. Poczułam na ramieniu czyjąś rękę.

– Imponujące, co? – odezwał się prosto do mego ucha Matt i grzbietem dłoni pogładził moją szyję.

– To prawda. – Przełknęłam ślinę. W rzeczywistości naprawdę imponujące było to, jak szybko Matt zmienił dekoracje w swoim śnie i jak sprytnie jego podświadomość pominęła uciążliwą gadaninę. Niemal z ulgą skonstatowałam, że chyba jednak byłam w jego typie. Niemal. Kiedy objął mnie obiema rękoma, obrócił i przyciągnął do siebie, trochę ścierpła mi skóra z niepokoju.

– Z tamtej kanapy rozpościera się najpiękniejszy widok na cały Londyn. W dodatku jest bardzo wygodna – wymruczał do mego ucha. – A ja obiecuję, że nigdy nie zapomnisz swojego pierwszego razu.

Zaczął całować mnie po szyi, od obojczyka w górę, a ja poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Choć przecież właśnie tego chciałam. Lekcji w symulatorze lotu. Wcale nie realnej. I nikt by się nie dowiedział. Mimo to...

– Ale bez pocałunków! – wyrwało mi się.

Matt zwolnił uścisk.

– Słucham? Mówisz jak nieletnia dziwka-narkomanka.

– Ach tak? – Na moment zapomniałam o swoim zmieszaniu. – A skąd ty, przepraszam bardzo, wiesz, jak mówią nieletnie dziwki-narkomanki? – odcięłam się ze złością. Pomijając fakt, że wyrażenie „nieletnia dziwka-narkomanka” było pojęciem niepoprawnym politycznie.

– OK – przyznał Matt. – Więc mówisz tak, jak wyobrażam sobie nieletnią dziewczkę-narkomankę. Bez pocałunków... Halo? Może jeszcze bez rozbierania i bez dotykania?

– A da się tak? – zapytałam przepełniona nadzieją.

Matt przewrócił oczami.

– Nie, nie da się. Co z tobą jest nie tak? Myślałem, że koniecznie tego chcesz.

No właśnie, co było ze mną nie tak? Zaszłam już tak daleko, a teraz byłam o krok od tego, żeby wszystko popsuć. Nie mogłam dopuścić, by cały ten trud poszedł na marne.

– Przepraszam – powiedziałam ze skruchą.

– No już dobrze. – Matt wsunął rękę pod mój żakiet. – Więc bez pocałunków.

Musiałam zebrać wszystkie siły, żeby go nie odepchnąć. Byłam przecież agentką Silver uczestniczącą w tajnej misji, a to był sen. Tylko. Sen. Jeśli zamknę oczy, to może uda mi się wyobrazić, że to ręka Henry’ego. Ale to nie był dotyk ręki Henry’ego. To był dotyk obcej ręki. Która absolutnie nie miała czego szukać na mojej nagiej skórze.

I właśnie nagle znieruchomiała na wysokości zapięcia biustonosza.

– A to co?

O nie, tylko nie to. Moja podświadomość znowu ubrała mnie w pancerną bieliznę ciotki Gertrudy, w kolorze pasztetowej. Po prostu nie potrafiłam nad tym zapanować.

– Hej, to przecież moje – powiedział Matt, ale tym razem głosem Mii. Coś mocno pociągnęło mnie za włosy i wtedy się obudziłam.

Nawet jeśli Mia wyrwała mi z dziesięć włosów, żeby odebrać mi swoje spinki w kształcie żabek, które jej zwędziłam, w tym momencie byłam święcie przekonana, że to wspaniale mieć taki niezawodny niedzielny budzik w postaci młodszej siostry.

To Mia sprowadziła mnie na ziemię z głębin wstydliwych wspomnień i sprawiła, że Pascal przerwał swój monotony wywód. Zbudowała wieżę z siedmiu herbatników, a kiedy ułożyła na wierzchu ósmy, całość runęła, przewracając szklanę.

– Ups – wyrwało się jej.

– Mówi się: przepraszam, drogie dziecko – skomentowała kwaśno Bochra.

– Przepraszam, drogie dziecko – powtórzyła Mia.

Pascal uśmiechnął się, nie mógł inaczej.

– I tak miałem przejść do kolejnego punktu – powiedział.

– To musi być punkt trzy tysiące czterdziesty czwarty – mruknął Grayson.

Chciałam jak najszybciej zagłębić się z powrotem w drzemce, ale wbrew temu, czego się spodziewałam, wreszcie zrobiło się ciekawie. Chodziło o listę gości. Jak się okazało, Bochra dokonała już wstępnych przygotowań i na papierze czerpanym wynotowała nazwiska osiemdziesięciu czterech osób, które Ernest koniecznie musiał zaprosić, i kolejnych dziewięćdziesięciu ośmiu, które właściwie też musiał koniecznie zaprosić, ale w razie siły wyższej można było zrezygnować z ich zapraszania.

Poza tym, aby „z grubsza dokonać wstępnych wyliczeń”, sporządziła listę gości ze strony mamy, w którą ta wpatrywała się właśnie z konsternacją.

– Brat panny młodej z osobą towarzyszącą – przeczytała na głos. – Ale ja w ogóle nie mam rodzeństwa.

– Tym lepiej – skwitowała radośnie Bochra. – Miałam nadzieję, że moje wyliczenia są na wyrost.

Mia pochyliła się ciekawie ku mamie.

– O, fantastycznie, możesz zaprosić swoją najlepszą i drugą najlepszą przyjaciółkę, mamó! Kto jest w ogóle twoją najlepszą i drugą najlepszą przyjaciółką? Tata?

Bochra drgnęła. Pewnie nie mogła się przemóc, by napisać na papierze czerpanym „eksmałżonek panny młodej”.

– Ach, wiesz, ja nie mam żadnego rankingu. Wszystkich przyjaciół lubię tak samo. Ale to nie znaczy, że koniecznie muszą być na moim weselu. – Mama zerknęła z ukosa na Ernesta. Naprawdę miała przyjaciół na całym świecie, z tego wielu płci męskiej. – Zwłaszcza że wszyscy mieszkają tak daleko.

– Tak też myślałam. – Bochra uśmiechnęła się z wielkim zadowoleniem. – Na miejsce każdego z twoich gości, który nie zdecyduje się na długą podróż ze Stanów czy skądś tam, można będzie zaprosić kogoś z listy rezerwowej Ernesta.

– Dobre planowanie to podstawa – zgodził się Pascal.

– Mógłbym zobaczyć obie te listy? – zapytał Ernest.

– Oczywiście. – Bochra nad wymiecionym do czysta półmiskiem po jajecznicy podała mu kilka arkuszy papieru czerpanego. Ernest zaczął je studiować ze zmarszczonym czołem.

– Kto to jest Eleanor? – chciał wiedzieć.

– Eleanor? – Bochra popatrzyła na niego, jakby postradał rozum. – Córka mojej kuzynki Lucy, małżonka lorda Borwicka, oczywiście! Bawiłeś się z nią w dzieciństwie.

– Być może, ale od tamtego czasu jej nie widziałem – stwierdził Ernest.

– Czego zawsze bardzo żałowałam – odparła Bochra. – Mężczyzna o twoim

statusie społecznym powinien utrzymywać kontakty z członkami Izby Lordów.

Ernest dalej przebiegał wzrokiem listę, wreszcie opuścił kartki i ze znużeniem zdjął okulary do czytania.

– Mamo, tutaj jest mnóstwo osób, których ja w ogóle nie znam.

– Bo to jest lista rezerwowa. I oczywiście, że je znasz. A przynajmniej powinieneś. – Bochra zacisnęła usta. – Ale proszę, jeśli nie chcecie, żebym wam pomagała, to sporządźcie sobie własną listę wraz z imionami, nazwiskami i kompletnymi danymi adresowymi, i to do jutra wieczór. Pascal najpóźniej do końca tygodnia musi zamówić druk zaproszeń, nieprawdaż, Pascalu?

Pascal przytaknął.

– Współpracuję z bardzo ekskluzywną niewielką drukarnią w Highgate, wytwarzającą również przepiękne stemple. – Zerknął do segregatora. – No dobrze, myślę, że to już prawie wszystko na dziś...

Grayson jęknął.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale dlaczego właściwie musimy siedzieć tu przez cały czas?

– Ponieważ to jest sprawa rodzinna, Grayson – odpowiedziała Florence, choć pytanie wcale nie było skierowane do niej. – I ponieważ chcę mieć pewność, że nikt nie ubierze Liv, Mii i mnie w takie same idiotyczne sukienki.

– Bez obawy! Prędkiej bym umarła – odparowała Mia.

Grayson popatrzył na Florence ze złością.

– Nie uważasz, że moglibyśmy robić coś bardziej sensownego, zamiast przejmować się sukienkami i wysłuchiwać bzdur na temat łatwych w prasowaniu bawełnianych pokrowców na stoliki? Może na przykład pouczyć się chemii?

– A myślisz, że mnie to sprawia przyjemność? – odcięła się jadownicie Florence. Bochra chrząknęła znacząco, ale Florence zignorowała ją i zerknęła na zegar stojący na kominku. – Jeśli o mnie chodzi, to możesz spadać, Grayson, bo za piętnaście dwunasta przychodzi Emily, żeby się ze mną pouczyć i byłoby wskazane, żeby się na ciebie nie natknęła.

– Słucham? Według ciebie powinienem się teraz chować, kiedy odwiedza cię Emily? – zapytał z oburzeniem Grayson.

– Tak – rzekła Florence. – Gdybyś był człowiekiem taktownym, oszczędziłbyś jej takich spotkań, dopóki nie otrząśnie się po waszym rozstaniu.

– Prychnęła. – Chociaż, gdybyś był człowiekiem taktownym, to w ogóle nie kręciłbyś z moją najlepszą przyjaciółką!

– Chyba cię do reszty pogięło! A Emily niech sobie łaskawie zostanie w domu, jeśli nie chce się na mnie natknąć.

Bochra chrząknęła ponownie i tym razem zabrzmiało to jak odgłos wydawany przez chorego konia.

– Gdybyście mogli, bardzo proszę, przesunąć swoje prywatne rozmowy na

później! Czas Pascala jest cenny.

– Mój też – zapewnił ją Grayson. Był dziś wyjątkowo bojowo nastawiony.

– Zaraz i tak kończymy – wtrącił się Pascal, chcąc załagodzić sytuację, zanim atmosfera do reszty się zepsuje. Na czoło Bochry wystąpiła żyłka, natomiast Charles wyglądał, jakby chciał zerwać się z miejsca i uciec. Mama i Ernest mocno trzymali się za ręce. – Pozostali jeszcze do ustalenia świadkowie.

– O, to proste – rzuciła z ulgą mama i uśmiechnęła się do Ernesta. – Świadkiem Ernesta będzie Charles, a moim oczywiście Lottie!

Charles skinął głową z unizieniem, a Lottie się rozpromieniła.

– To takie ekscytujące! – zawołała, przeszczęśliwa.

– W rzeczy samej – mruknęła Bochra. Czekałam na jakąś uszczypliwość z jej strony, ale nie zdążyła już nic powiedzieć, ponieważ rozległ się dzwonek do drzwi i na horyzoncie pojawiła się kolejna katastrofa.

14.



– Ja otworzę! – zawołali jak na komendę Grayson i Florence i jednocześnie zerwali się z krzesel. Buttercup, która do tej pory drzemała spokojnie na kanapie, podniosła z przestraczem łeb.

Rodzeństwo popatrzyło sobie w oczy nad stołem.

– To Emily – warknęła Florence. – I kategorycznie zakazuję ci otwierać jej drzwi, w przeciwnym razie nie pozbiera się do końca dnia.

– Jak to? To już nie mogę w swoim własnym domu otwierać drzwi, kiedy ktoś dzwoni? – warknął w odpowiedzi Grayson. Wszyscy popatrywali na przemian to na jedno, to na drugie z bliźniąt, jakby śledzili ruch piłki tenisowej podczas meczu. – To równie dobrze może być Henry. My też planujemy pouczyć się do chemii.

I bach, wszystkie głowy w kierunku Florence.

– Tak, jakie to dla was typowe! Nauka na ostatnią chwilę, ale najważniejsze, żeby nie opuścić żadnej imprezy.

– Jesteś zła, że cię wczoraj ominęło party u Jaspera?

Dzwonek zadzwonił ponownie i Buttercup już nie wytrzymała. Zeskoczyła z kanapy i zaczęła na nas szczebrać. Grayson i Florence nie zwracali na nią uwagi, tylko podnieśli głosy, żeby przekrzyczeć hałas.

– Raczej nie. Infantylnie popijawy ze szczeniackimi kumplami z drużyny może dla ciebie są fascynujące, dla mnie ważniejsze są egzaminy, wyobraź sobie!

– Ja mogę chodzić na imprezy i mimo to zdać z dobrą oceną, wyobraź sobie!

– Na miłość boską, ile wy macie lat, pięć? – wtrącił się Ernest.

Gong rozległ się po raz trzeci.

– Co za wstyd! – rzuciła Bochra w przestrzeń. Buttercup wciąż ujadła. Nienawidziła sprzeczek.

– Ja otworzę. – Mia podniosła się z krzesła. Suczka zamerdała z wdzięcznością i wyszła za nią do przedpokoju. – Jeśli to Emily, głośno zagwiżdżę, żeby Grayson mógł się szybko schować za kanapę – zawołała przez ramię.

– Jaka wspaniała, pełna temperamentu rodzina. Nadzwyczajna, zupełnie

nadzwyczajna! – Pascal z uśmiechem zatrzaskał segregator. – W pojedynkę jesteśmy słowami, razem tworzymy wiersz – dodał, co w jego języku najwyraźniej oznaczało tyle, co „koniec!”.

– Amen – wyszeptała przejęta do głębi Lottie. Wszyscy dyskretnie przeciągali się i prostowali jak po długiej podróży pociągiem, nawet mama i Ernest. Bochra masowała sobie skronie.

– Alarm odwołany! – Mia otworzyła drzwi domu. – To tylko ten koleś z sąsiedztwa, w którym kiedyś bujała się Florence! – zawołała. Moje serce przestało na moment bić. – I ma... cholera!

– Ma „cholera”? – powtórzyła mama.

Do salonu wpadł nasz rudy kocur, Spot, a za nim Mia, Buttercup i... Matt.

Cholera.

Spot przeleciał pędem po kanapie i wskoczył na pianino, gdzie przysiadł obok popiersia Beethovena i z wydętymi policzkami patrzył na nas zagniewanym wzrokiem.

– Co on ma w pysku? – zapytała Florence, podczas gdy ja próbowałam maksymalnie skulić się na swym krześle i złać z otoczeniem, żeby Matt, który stanął przy stole, mnie nie zauważył.

– Kosa. – Matt zdmuchnął czarne pióro z rękawa swetra. – Przyniósł go do naszej oranżerii i wypuścił, a kos zaczął fruwać. Moja matka omal nie zemdląca. Na szczęście kot ponownie złapał ptaka, tyle że przewracając przy tym dwie amfory, w których rosło jakieś egzotyczne coś. Więc go złapałem i...

– I przyniosłeś, żeby teraz wypuścił ptaka w naszej jadalni? No, wielkie dzięki – odezwała się Florence. Ostrożnie podeszła do pianina. – Biedny mały Spocio! Niedobry Matt zrobił kotkowi krzywdę?

– Chyba odwrotnie. Spot dość dotkliwie podrapał biednego Matusia – zauważył Matt. – Nie mówiąc o nieszczęsnym kosie. I amforach... Przy okazji, mama kazała spytać, czy wasze ubezpieczenie obejmuje coś takiego. Były, zdaje się, dość kosztowne.

– Więc powinniście lepiej zamykać drzwi do oranżerii – odgryzła się Florence.

– O rany, ale masz humorek. – Matt przyjrzał się jej, kręcąc głową. – A kiedyś byłaś taka słodka.

Florence spiorunowała go wzrokiem.

– Taa, po drodze zdążyłam się nauczyć, że słodkie dziewczynki do niczego nie dochodzą na tym świecie.

– Ale uprzejme i owszem! – Ernest wstał z miejsca. – Myślę, że odprowadzimy pana teraz do drzwi, zanim... Jak się pan wyraził?... W tej pełnej temperamencie rodzinie zapanuje kompletny chaos – zwrócił się do Pascala.

Pascal cały czas się uśmiechał. Powoli zaczynał przejmować mnie grozą.

– Ja też muszę się zbierać. – Bochra wstała pośpiesznie i sięgnęła po beżowy kardigan. – Zaczyna mi doskwierać migrena, a niewychowane zwierzęta domowe i dzieci tylko niepotrzebnie szarpią moje nerwy. – Tym razem wyjątkowo zmiażdżyła spojrzeniem nie mnie i Mię, tylko swoje rodzone wnuki.

– Może chce pani wziąć kawałek tortu? – zapytała Lottie, ale Bochra bez pożegnania zniknęła w przedpokoju. Mama, Pascal i Ernest podążyli za nią.

– My sobie porozmawiamy później. Zajmijcie się kotem – poinstruował nas jeszcze Ernest.

Pascal pomachał nam na do widzenia. Z uśmiechem. Po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, że on może wcale nie uśmiechał się dobrowolnie, tylko cierpiał na jakiś paraliż mięśni twarzy. Może to była tajemnica jego sukcesu?

– Jaki miły człowiek – westchnęła głęboko Lottie. – Taki pozytywnie nastawiony! Pewnie dlatego, że przez cały czas zajmuje się inscenizowaniem wielkiej miłości.

– To całe pozowanie i uśmiechanie się to tylko sposób na biznes. – Charles ożywił się nagle. – Żeby dać ludziom poczucie, że można kupić sobie miłość na całe życie.

– Tak może mówić tylko ktoś, kto sam nie wierzy w miłość ani w romantyzm. – Lottie założyła sobie za ucho pukiel włosów i popatrzyła na niego wyzywająco. – I nie wie, co to namiętność.

– To, że nie owijam wszystkiego tiulową wstążeczką, wcale nie znaczy, że nie jestem romantyczny – oburzył się Charles. – Czy że jestem pozbawiony namiętności.

– Nie? – Lottie wzruszyła ramionami. – Przepraszam, ale ja odniosłam właśnie takie wrażenie.

Z niedowierzaniem wodziłam wzrokiem między nimi. Ich też coś ugryzło. Najwyraźniej w powietrzu unosiła się dziś jakaś aura, która wszystkich zmieniała w kłótniwe przedszkolaki. Brakowało tylko, żeby każde zdanie kończyli słowem „terefere”.

– Za to dla ciebie romantyczne jest wszystko, co ci wychwalają z uśmiechem na ustach – odciął się Charles. – À propos uśmiechu: ja, mając takie paskudne zapalenie dziąseł, na pewno bym się nie uśmiechał z taką pewnością siebie.

– On nie jest pewny siebie, tylko szarmancki. I wcale nie ma zapalenia dziąseł – zaprzeczyła Lottie.

– Owszem, ma, przy górnym lewym *dens caninus*! Nie mogłaś tego widzieć, bo siedziałaś po jego prawej stronie. – Charles nagle sam zdał sobie sprawę, jak dziecinnie się zachowuje. – Czy mógłbym dostać kawałek tortu, zanim ptak zacznie tu fruwać i narobi na stół? – zapytał ugodowo.

– Nie sądzę, żeby jeszcze mógł fruwać – zauważył Matt. Jak na razie tylko raz musnął mnie spojrzeniem. Uspokoiliam się nieco. W końcu niewielu ludzi

pamięta swoje sny po przebudzeniu, a jeśli już, to przez krótki czas. A nawet gdyby założyć tę najmniej prawdopodobną ewentualność, że Matt coś pamiętał, to w końcu to był jego sen. Poza tym chłopak nie miał pojęcia, że wkradłam się do jego snu i dokonałam niewielkich manipulacji. Jeśli więc ktoś powinien w ogóle czuć się zażenowany, to on. Dlaczego zatem mimo wszystko miałam ochotę schować się pod stół?

Spot pomrukiwał na nas cicho.

– Biedny kocurek, jest kompletnie przerażony – powiedziała Florence, rzucając Mattowi miążdzące spojrzenie. – Mam nadzieję, że to wy jesteście ubezpieczeni na taką okoliczność.

– Przestań wylewać swoją frustrację na Matta, Florence. Jeśli ktoś tu jest przerażony, to kos. – Grayson chwycił Spota i wyniósł go na taras. Może wizja, że ptak naprawdę mógłby narobić na resztki tortu, zmobilizowała go do działania. Co nie było wcale takie głupie, zważywszy na to, że kos miał się całkiem dobrze i w dodatku był jak najbardziej zdolny do lotu. Spot z pewnością bardzo żałował, że otworzył pysk, ale łagodnie potrząsany przez Graysona nie bardzo miał inne wyjście. Kocur ponuro popatrzył za kosem, który pofrunął nad żywopłotem prosto do ogrodu rodziców Matta (głupie stworzenie!), ale bez sprzeciwów pozwolił się wnieść z powrotem do domu, gdzie obrażony zwinął się w kłębek na kanapie, nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem. Buttercup solidarnie ułożyła się obok niego i spoglądała na nas z wyrzutem.

– Przynajmniej oni się nie sprzeczą – zauważyła wesoło Mia.

– Czy ktoś chce tortu jagodowego? – zapytała Lottie.

– Nie odmówię – usłyszałam głos Henry’ego. Odwróciłam się gwałtownie.

W otwartych drzwiach jadalni stał Henry, a za nim do pokoju zaglądała Emily. Oboje musieli wejść do domu, podczas gdy mama i Ernest zegnali się z Bochrą i Pascalem, co – sądząc po odgłosach dochodzących z przedpokoju – nadal trwało.

– Ja też poproszę kawałek – powiedział Matt.

Jadalnia zaczynała przypominać mi scenę, na której było zbyt wielu aktorów, grających w wyjątkowo zagmatwanej sztuce.

– Fiu, fiu – rzuciła Mia. W dodatku niektórzy z nich mieli naprawdę osobliwe role. Mia do perfekcji opanowała sztukę scenicznego szeptu. – Grayson, schowaj się! Przyszła Emily.

– To i ja wezmę kawałek tortu – burknął Grayson i usiadł z powrotem przy stole.

Florence już sama nie wiedziała, na kogo bardziej się wściekać.

– Sam jeden zeżarłeś już połowę tortu – oburzyła się, zresztą całkiem słusznie. – Załapiesz się na kawałek dopiero wtedy, gdy wszyscy inni dostaną po jednym. Emily, chcesz?

Emily weszła za Henrym do środka i obrzuciła wzrokiem niedojedzone

resztki po śniadaniu. Według mnie nie wyglądała, jakby chciała uniknąć spotkania z Graysonem, wręcz przeciwnie. Wprawdzie nie była ubrana tak kuso jak wczoraj na imprezie, ale jej jeansy były opięte do maksimum, a T-shirt miał wyjątkowo głęboki dekolt. I była umalowana.

– Nie, dziękuję – odmówiła. – Na pewno ma mnóstwo kalorii i nasyconych kwasów tłuszczowych.

– Skąd ja wiedziałem, że to powie? – mruknął Henry, siadając na miejscu zajmowanym wcześniej przez Florence, obok mnie. Cmoknął mnie lekko w policzek.

Matt tymczasem zasiadł na krześle Bochry.

Ja zaś poczułam się osaczona.

Lottie podała obu talerzyki z tortem, demonstracyjnie omijając wzrokiem Charlesa.

– Chodźmy gdzieś, gdzie nie pachnie testosteronem! Do mnie. – Florence ściągnęła ze sceny, pardon, wyprowadziła z pokoju Emily. Ta zaś wyglądała, jakby szukała jakiegoś odpowiedniego komentarza na odchodne, ale żaden nie przychodził jej do głowy. Za to wyraźnie kręciła tyłkiem w obcisłych jeansach. To był naprawdę marny spektakl. Charles na przykład już od dobrych kilku minut nie wypowiedział żadnej kwestii, tylko spoglądał markotnie przed siebie.

– Chcecie po kawałku? – Lottie zwróciła się do Mii i do mnie.

Właściwie to bardzo chętnie, ale siedząc z Mattem i Henrym przy jednym stole, miałam wrażenie, że mój żołądek ścisnął się w kulkę.

– Może potem – odparłam. Najpierw chciałam zadzwonić do Persefony, która zapewne odchodziła już od zmysłów. No i musiałam dowiedzieć się, co napisała Secrecy. – Pożyczysz mi swój iPad, Lottie?

– Jest w kuchni – powiedziała Lottie. Mia puściła się pędem, żeby dorwać go pierwsza.

– To jest najpyszniejszy tort, jaki kiedykolwiek jadłem – pochwalił Henry, a Matt z pełną buzią pokiwał głową. Charles dalej spoglądał markotnie.

Najwyższa pora, by się oddalić. Musiałam wycygnąć iPad od Mii.

Kiedy odsunęłam krzesło i wstałam, Matt przełknął kęs tortu i oznajmił nieoczekiwanie:

– Nawiasem mówiąc, śniłaś mi się dzisiaj, Liv!

O nie.

Henry i Grayson unieśli głowy, żeby na mnie spojrzeć. Szybko pozwoliłam włosom opaść i przesłonić moją twarz. Na bank zrobiłam się czerwona jak burak. W każdym razie okropnie piekły mnie policzki.

– Mam nadzieję, że to był miły sen – odparłam w najbardziej neutralny sposób, jak to tylko możliwe. Dobrze, że przynajmniej głos miałam pod kontrolą.

– No... w pewnym sensie tak. – Matt wyszczerzył się w uśmiechu. – Trochę

zwariowany, ale owszem... miły. Byliśmy razem w Leadenhall Building.

– Powinnaś wiedzieć, co to?

Nie mogłam po prostu wyjść, nie wzbudzając niczyjego podejrzenia? Henry wciąż przypatrywał mi się badawczo. Ponieważ moje włosy zasłaniały mi widok jak firanka, nie mogłam odgadnąć, co malowało się w jego oczach.

– Leadenhall Building to wieżowiec w centrum miasta – powiedział i zwrócił się do Matta. – Opowiedz mi ten sen, szalenie mnie to interesuje.

– Mnie też. – Grayson przeszył mnie jednym z tych swoich świdrujących spojrzeń.

– Ach. – Przez jeden krótki moment Matt sprawiał wrażenie zażenowanego, a jego wahanie zdradziło mi, że jednak pamięta szczegóły snu. – Totalnie poplątany sen. Jak to sen... – Chrząknął. – Ja... No więc tak, śniły mi się schody ruchome. A ja... eee... stojąc na tych schodach, grałem na saksofonie. Liv dźwigała jakieś ciężkie segregatory i mijała mnie, strasznie zaabsorbowana. – Opowiadał coraz płynniej, a nawet uśmiechał się raz po raz. Najwyraźniej sprawiało mu przyjemność wymyślanie tych bzdur. Wolałabym, żeby nie spoglądał przy tym tak zdradziecko w sufit. – I jeszcze był tam klaun cyrkowy, który żonglował na schodach filiżankami i ciastkami i wszystkim rozdawał swoje wizytówki. Chciał dać też jedną Liv, ale nie miała wolnej ręki i zaczęła kląć jak szewc, bo nie mogła go wyminąć. Więc wsunął jej wizytówkę w usta i ucichła. Więcej nie pamiętam. Aha, a ten klaun nazywał się pan Smith. Naprawdę, tak było na wizytówce. – Matt ze śmiechem nadział kawałek tortu na widelczyk. Widziałam, jaki był z siebie dumny. – Śmieszne, co? Chciałbym wiedzieć, jak zinterpretowałyby to tłumacz snów.

– Taa, niestety nie jestem tłumaczem snów – powiedział z żalem Henry – ale dość dobrym psychologiem amatorem i jako taki twierdzę, że wyssałeś to z palca.

– Podczas gdy uśmiech spętał Mattowi z twarzy, Henry odwrócił się do mnie.

– Prawda? Jak myślisz, Liv?

– Śniły mi się już o wiele bardziej zwariowane rzeczy – oznajmił Matt nieco obrażonym tonem, ale Henry i ja byliśmy za bardzo zajęci wpatrywaniem się w siebie, by zwracać na niego uwagę.

– Ja? – Zamiast poczuć się przyłapana, odrobinę się rozżłościłam. Na Henry'ego i jego wyniosłą pozę psychologa i na Graysona, który siedząc za stołem, spoglądał niczym hiszpański inkwizytor na przesłuchaniu czarownicy. – Ja myślę, że podejrzenie mocno interesujesz się snami obcych facetów – powiedziałam zaczepnie. Mój Boże, naprawdę coś wisiało dziś w powietrzu.

– Tylko wtedy, gdy śnią o tobie – zripostował Henry.

Odgarnęłam włosy z twarzy i popatrzyłam mu prosto w oczy. Może dopisało mi szczęście i kolor moich policzków powrócił do normy.

– Ach tak? A może wtedy, gdy są to sny przystojnych facetów?

– Przystojnych facetów grających na saksofonie. – Henry wprowadzie nadal się uśmiechał, ale w jego oczach wyraźnie widziałam nieufność.

– O, dzięki – odezwał się Matt, odzyskując pewność siebie. – Chociaż we śnie gram lepiej niż w rzeczywistości. Chyba że mi się śni, że stoję na scenie w Carnegie Hall i nie mogę wydobyć z instrumentu ani jednego dźwięku... Ale taka jest dobra strona snów. Nie ma świadków, kiedy człowiek się kompromituje.

– Właśnie. – Grayson zamienił wzrok inkwizytora na spojrzenie pełne skruchy i potarł czoło. – Sny są sprawą prywatną i nikt nie powinien się nimi interesować.

– Jakie piękne podsumowanie – rzuciłam, szybko cmoknęłam Henry'ego w czoło i uśmiechnęłam się do pozostałej dwójki. – W takim razie nie będę wam przeszkadzać w nauce. – I bez wahania opuściłam scenę, nie oglądając się na resztę aktorów.

I tylko było mi żal, że nie zjadłam tortu.

15.



– Dziś nie w postaci leoparda? – Anabel opierała się plecami o granatowe drzwi, co do których wciąż byłam przekonana, że należą do dyrektorki Cook. Kiedy patrzyłam na nie sekundę wcześniej, panny „jestem-opętana-przez-demon-a-bo-nie-biorę-leków” jeszcze tam nie było. To znaczy była, ale stała się widzialna dopiero wtedy, kiedy już prawie ją minęłam. Przypuszczalnie chciała napawać się widokiem, jak się wzdrygam. Bo oczywiście podskoczyłam do góry z przestachu.

– Jaguara – sprostowałam odruchowo.

Anabel wzruszyła ramionami.

– To przecież to samo. Umówiłaś się z Henrym? Przechodził tędy jakiś czas temu.

– Dobrze wiedzieć. – Nie mogłam się powstrzymać, żeby się na nią nie gapić, choć bardzo nie chciałam tego robić. Nie wiadomo, co błyszczało intensywniej w półmroku korytarza: jej turkusowe oczy czy złociste włosy, czy może jej cera jak malowana. Zupełnie jakby ukryła gdzieś reflektor, który nurzał ją – i tylko ją – w łagodnym świetle zachodzącego słońca. Anabel naprawdę była onieśmielająco piękna, jak obraz, na który nie można się było napatrzeć. Zmusiłam się, by przypomnieć sobie, że na jawie nie wyglądała nawet w połowie tak doskonale. Mimo to mimowolnie zastanawiałam się, czy Henry nie gapił się na nią z podobną fascynacją, o ile rzeczywiście tędy przechodził. Poczułam, jak narasta we mnie irracjonalna zazdrość. I odrobina złości.

– Słyszałam, że poznałaś dziś jego matkę. – Uśmiechnęła się łagodnie.

Zacisnęłam zęby. Miała te informacje od Henry’ego? A jeśli tak, dlaczego opowiedział o tym akurat jej?

– Zdumiewające! – Delikatne nozdrza Anabel zadygotały. – Ile czasu minęło, zanim zaprosił cię do siebie? Tylko pół roku?

Usiłowałam marszczeniem brwi sprawić, żeby zamilkła, ale się nie udało. Dalej sączyła swój jad.

– Czy przynajmniej wiesz już, dlaczego ciągle trzymał cię na dystans? A może to miał być tylko rodzaj dowodu zaufania, żebyś wreszcie się z nim

przespała?

Jak ona to robiła? Mówiła dokładnie to, co podszeptywał mi zabłąkany, samotny głos w mojej głowie, najprawdopodobniej werbalizujący moje poczucie niższości. To samo, z powodu którego narobiłam bigosu z Rasmusem – a pośrednio również i z Mattem, którego drzwi w tym tygodniu omijałam szerokim łukiem. Chociaż Henry nie wspominał o nim ani słowem, na jakiś czas zrezygnowałam z planów związanych z symulatorem lotu.

Co nie jest zbyt mądre, Liv, szeptał mój wewnętrzny głos. Bo wkrótce rozpoczynają się ferie, a ty nadal jesteś budzącą litość dziewczyną niemającą o niczym pojęcia!

Anabel uśmiechnęła się, jakby słyszała każde słowo. Nie chciałam jednak słuchać ani wewnętrznych podszeptów, ani jej. Jedno i drugie było jak trucizna dla mojej duszy.

– Jaguary i leopardy to wcale nie to samo – odparłam dobitnie. – Jaguary mają szersze czoło i szczękę, poza tym ich sierść jest inaczej ubarwiona. Jaguar ma większe ciapki, a u leopardów pośrodku ciapek nie ma jaśniejszego punktu. Ponadto jaguary lubią pływać, podczas gdy...

Anabel skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na mnie, uśmiechając się z politowaniem.

– Rozumiem, że nie chcesz rozmawiać ze mną o swoich intymnych problemach – przerwała mi. – Chociaż... pewnie mogłabym wesprzeć cię niejedną radą. Naprawdę dobrze znam Henry'ego. Wiem nawet, jak całuje.

O Boże, nienawidziłam jej.

Zaśmiała się.

– Bez obaw, to było na długo przed tobą. Wiele nas z Henrym łączy. Na przykład mroczne tajemnice rodzinne i dzieciństwo, które... zostawiło blizny na naszych duszach. Coś takiego spaja. Oboje mamy matki, z których niekoniecznie jesteśmy dumni. – Jej wzrok na moment stał się nieobecny, a mnie od razu zalała fala współczucia. Biedna Anabel, to musiało być straszne, życie w tej sekcji. – Tyle że moja matka była na tyle miła, że powiesiła się na pasku od szlafroka, po tym jak już zrujnowała mi dzieciństwo – ciągnęła. – Dzięki temu nie musiałam przedstawiać jej swoim przyjaciołom.

Przed oczami natychmiast przesunął mi się krótki horror ze starszą wersją Anabel, jak ostrzy rytualny sztylet. Biedna Ana... Stop! Zmusiłam się, by przypomnieć sobie, kogo mam przed sobą: największą manipulatorkę świata, słynącą z wyrafinowanych sztuczek. Porównywanie przez nią dzieciństwa Henry'ego ze swoim własnym też było takim zabiegiem, mającym na celu wzbudzenie we mnie współczucia, i bardzo żałowałam, że skutecznym.

A przy tym owo zestawienie było całkowicie chybione. Mama Henry'ego wprawdzie na pewno nie została wyróżniona tytułem matki roku, ale

w porównaniu z rodzicielką Anabel była naprawdę niegroźna. Nasze spotkanie tego popołudnia przebiegło całkowicie niespektakularnie, wręcz nieciekawie. Nadal się zastanawiałam, dlaczego przez cały tydzień wyobrażałam sobie rozmaite koszarne scenariusze. Może dlatego, że Henry zaprosił mnie tak oficjalnie i uroczyście i w dodatku specjalnie upiekł razem z siostrą tort. I był jeszcze bardziej zdenerwowany niż ja.

A spotkanie wcale nie miało ani uroczystego ani oficjalnego charakteru.

Usiadłam przy stole i już po kilku minutach uświadomiłam sobie, że matka Henry'ego kompletnie się mną nie interesuje. Tak po prostu. Nie doświadczałam taksujących spojrzeń ani krępujących pytań, czego w głębi ducha tak się obawiałam. Matka nie wstała, bełkocząc, z krzesła ani nie wytykała mi oskarżycielsko, że odbieram jej najstarszego syna. I choć szukałam u niej stereotypowych oznak alkoholizmu albo uzależnienia od leków, takich jak rozszerzone pory, spuchnięta twarz czy czerwony nos, niczego takiego nie zauważyłam. Matka Henry'ego była wysoką, bardzo zadbaną kobietą i miała piękną twarz, z rodzaju tych, jakie wydają się człowiekowi znajome. Dziwne, że taka kobieta urodziła trójkę tak niepowtarzalnych dzieci. Wyglądała właściwie zupełnie normalnie, pomijając fakt, że nigdy nie patrzyła rozmówcy w oczy. Jej spojrzenie nieustannie prześlizgiwało się po wszystkim, jakby na nic nie chciała popatrzeć uważniej, nawet na wyświetlacz komórki, który co chwila rozjarzał się światłem i przyciągał jej uwagę. Niemal w ogóle nie uczestniczyła w rozmowie, choć miło się uśmiechała, i poświęciła zaledwie pół godziny, by posiedzieć z nami przy stole; potem musiała iść „na spotkanie”.

Na pożegnanie uściśnęła mi rękę, a dzieci pocałowała w czoło. Kiedy oznajmiła, że może wrócić późno i żeby zjedli kolację bez niej, wszyscy pokiwali głowami, jakby byli do tego przyzwyczajeni. Może nie jadła niczego z zasady, nie chcąc zrujnować sobie sylwetki modelki, w każdym razie upieczonego przez Amy i Henry'ego tortu nawet nie tknęła. Choć mogło to też wynikać z faktu, że wypiek w pięćdziesięciu procentach składał się z cukierków M&M's, co nie każdemu musi smakować.

Zdumiało mnie, jak szybko i bezboleśnie minęło to popołudnie. Henry'emu w każdym razie wyraźnie ulżyło, kiedy wreszcie odprowadził mnie do drzwi. Właściwie chcieliśmy jeszcze zaszyć się na chwilę w jego pokoju, ale jakoś do tego nie doszło. Najpierw Milo, młodszy brat Henry'ego, przez bite pół godziny wypytywał mnie o kung-fu (szczególnie polecam uprawianie tego sportu osobom, które chcą zaimponować młodszym braciom swoich chłopaków), a potem Amy przytargała do pokoju Henry'ego swoje wszystkie trzydzieści cztery ulubione pluszaki, żebyśmy poznała imię każdego z nich i przywitała się uściśnięciem łapy.

Ale nawet bez romantycznych momentów we dwoje, wbrew wszelkim obawom, było to naprawdę miłe popołudnie, bez żadnych wpadek. Kiedy więc

wyruszyłam do domu, czułam się jak na skrzydłach. Po tym, jak Amy uroczyście zaprosiła mnie na swoje urodziny. Które będą w sierpniu.

Gdy już staliśmy w drzwiach Henry chciał mnie pocałować na pożegnanie, ale było to utrudnione, ponieważ miał na ręku Amy, która z kolei trzymała oślicę Molly i krokodyła Herby'ego. W końcu jakoś mu się to udało. Amy zachichotała z zachwytem i też chciała dać mi całusa.

– Nawet kot nie popełnił żadnej gafy. – Henry podsumował spotkanie z osobliwym, bladym uśmiechem. – Dziwne, nie? I trochę niesamowite.

– Ach, następnym razem – pocieszyłam go. – Jak już będziesz myślał, że jesteś bezpieczny.

W oczach Henry'ego pojawił się błysk, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Amy zażądała, bym ucałowała jej zwierzęta. Krokodyłowi ciągle było mało i w końcu musiałam pacnąć go w długą paszczę.

– Bez języczka, Herby! – rzekłam surowo. – To nie wypada. Dopiero co się poznaliśmy.

Amy chichotała bez końca, a oczy Henry'ego zabłyśły jeszcze bardziej.

– No, przynajmniej jeden, co popełnia gafy – skwitowałam.

– Zobaczymy się później u pani Hon... w kwaterze głównej – powiedział Henry. – Może tam znajdziemy trochę... spokoju, żeby popełnić jakąś gafę.

No, mała gafa była w porządku.

O ile kiedykolwiek dotrę do pani Honeycutt. Wszak nawet jeszcze nie doszłam do końca swojego korytarza, a Anabel wyglądała tak, jakby niejedno leżało jej na sercu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie spotykacie się po prostu w waszych własnych snach – oznajmiła.

– Taa, chciałabyś wiedzieć – odparłam, próbując uśmiechnąć się równie wyniośle jak ona. A przy tym sama tego nie rozumiałam. Wprawdzie pojmowałam, że nikt nie mógł wtargnąć za nami do snów pani Honeycutt, dopóki nie wiedział, czyje to drzwi, i nie zdobył jej osobistego przedmiotu. Ale nasze własne progi były przecież dobrze chronione i znajdowały się znacznie bliżej. Ryzyko, że napatoczymy się na Arthura, Anabel czy pochłaniającą wszystko ciemność, byłoby znacznie mniejsze.

Z drugiej strony podświadomość nigdzie nie była tak potężna jak we własnym śnie, dlatego w sumie cieszyłam się, że nie urządziliśmy kwatery głównej u mnie, gdzie pewnie co dziesięć minut przebiegałby chow-chow imieniem Rasmus.

Anabel przechyliła głowę i popatrzyła na mnie ciekawie.

– Ale to pewnie jest dla was zbyt... intymne, zgadza się? Nikomu nie pozwoli zajrzeć w duszę, cały Henry. Pytanie tylko, czy w głębi serca to ci przeszkadza, czy też uważasz, że to pociągające?

Jeśli mam być szczerą, to jedno i drugie. Ale to już naprawdę nie była sprawa Anabel. Przez chwilę zastanawiałam się, czy jeszcze raz wyjaśniać jej różnicę między leopardem a jaguarem, postanowiłam jednak uderzyć prosto z mostu.

– A tak właściwie, to chcesz coś konkretnego czy sączysz jad bez powodu? – zapytałam, zerkając w pośpiechu na zegarek, który dla podkreślenia swoich słów wyczarowałam w tej sekundzie na nadgarstku. – Bo trochę się śpieszę.

Uśmiechnęła się znowu.

– Prawda? To zatrważające, jak ten czas leci.

Tak, niestety to była prawda. Przeróżające było przede wszystkim to, jak szybko gnał czas, kiedy nie chciało się, żeby tak uciekał. I odwrotnie. Miniony tydzień minął mi w galopującym tempie, a był to ten sam tydzień, który Persefonie dłużył się jak żaden inny w życiu. Persefona była w o wiele lepszym nastroju, niż się spodziewałam, co zawdzięczała głównie Secrecy i jej wrednym wywodom na temat plamy z lemoniady na spodniach Maisie Brown.

– Nieważne, jak okropne było to, co zrobiłam, nieważne, że wszyscy się na mnie gapią, gadają i rzucają głupie uwagi. Zsikanie się w gacie jest po stokroć gorsze – powtarzała w kółko Persefona. Darowałam sobie uwagę, że Maisie, o ile ta historia w ogóle była prawdziwa, zsiusiała się wyłącznie ze strachu przed Persefoną. Byłam szczęśliwa, że moja przyjaciółka tak dobrze sobie radziła, i szczerze ją podziwiałam za to, że chodzi po szkole z wysoko uniesioną głową, choć wolałaby się skulić i zaszyć w domu, dopóki sprawa nie ucichnie. Trzeba przyznać, że Persefona naprawdę miała jaja. Niejeden, widząc, jak marszczy nos i odrzuca włosy do tyłu, powstrzymywał się od złośliwej uwagi, którą już miał na końcu języka. Nie obeszło jej też specjalnie, że trafiła na listę osób z etykietką „Wstydz się” durnego brata Emily, Sama.

– Jest ciężko. Ale dopóki nie drukują koszulek z moim imieniem, jakoś to przeżyję – zapewniła mnie.

A propos imion, pozytywnym efektem ubocznym całego zamieszania było to, że Jasper wreszcie zapamiętał imię Persefony. Przez cały tydzień zwracał się do niej po imieniu, niezbyt uprzejmie wprawdzie, ale jednak. Ona, w danych okolicznościach, w pełni to rozumiała. Tym bardziej że Jasper i tak był dla niej miłszy niż jej siostra Pandora, która była na nią bardzo zła o tę sukienkę i nie odzywała się do niej ani słowem.

Za to u nas w domu napięcie lekko opadło. Florence i Grayson zakopali topór wojenny, Bochra była zajęta jakimś charytatywnym turniejem golfa i dała nam spokój, a Lottie – Lottie piekła, ile wlezie.

W poniedziałek upiekła wyjątkowo lekkie, puszyste magdalenki, we wtorek wypróbowała przepisy na siedem różnych rodzajów makaroników, jedno smaczniejsze od drugich, a w środę mogliśmy zająć najlepsze tarty cytrynowe,

jakich kiedykolwiek kosztowała ludzkość. Dopiero w czwartek, kiedy czekały na nas chrupiące maślane rogaliki z dżemem truskawkowym, zdałam sobie sprawę, że wszystkie wypieki były francuskimi pysznościami. A kiedy w piątek Lottie ze słowami „Voilà, mes enfants! Cannelés bordelais. Bon appetit” postawiła na stole maleńkie ciasteczka, nie dało się już dłużej ignorować faktu, że konsultant ślubny Pascal był dla niej czymś więcej niż tylko inspiracją. Najwyraźniej jego przyklejony na stałe uśmiech nie wydawał się jej upiorny, tylko tak samo uroczy jak jego akcent. Jako przyszła świadkowa na ślubie (otrzymawszy od mamy upoważnienie do podejmowania wszelkich decyzji), już kilka razy rozmawiała z nim przez telefon, a w przyszłym tygodniu mieli randkę u florystki. Lottie oczywiście nie nazywała tego spotkania randką, tylko „terminem”, i jednocześnie nie chciała przyznać, że jej silne ostatnio zamiłowanie do francuskich wypieków ma coś wspólnego z Pascalem. Wywieszka z napisem „zamknięte z powodu kłopotów sercowych” zniknęła, a zamiast niej pojawił się napis „Nie czekaj na cud – żyj teraz”, co nawet Grayson zauważył. Zbyt późno przypomniał sobie o swej chełpliwej obietnicy wyswatania Lottie ze swoim wujkiem.

– Co właściwie jest między tobą i Charlesem? – wypytywał ją wczoraj wieczorem, kiedy Lottie zagniałała właśnie ciasto na francuską bagietkę, nucąc pod nosem *Where do you go, my lovely?*. – Myślałem, że się lubicie.

– Jasne – przytaknęła Lottie. – Uważam, że Charles jest bardzo dobrym dentystą.

Taa. Sprawy nie wyglądały zbyt dobrze dla Charlesa, musiał to przyznać nawet Grayson. „Uważam, że jest bardzo dobrym dentystą” zajmowało wysoką pozycję na liście najmniej romantycznych i nieowijających w bawełnę zdań, jakie kiedykolwiek zostały wypowiedziane, zaraz po „zostańmy przyjaciółmi”.

Grayson jednak nie zamierzał tak łatwo kapitulować.

– Ten konsultant ślubny wcale nie jest taki zły – powiedział. – Konkurencja może działać pobudzająco. Niektórzy ludzie uświadamiają sobie, czego chcą, dopiero wtedy, kiedy już nie mogą tego mieć.

Mówił, zdaje się, o Emily. W tym tygodniu aż dwukrotnie widziałam ją, jak sterczała pod drzwiami Graysona, gdzie wykrzykiwała do biednego Freddy’go jakieś liczby i lżyła go wyzwiskami w rodzaju „głupia gęś” i „przemądrzała kura”, kiedy nie chciał jej wpuścić.

Obserwowanie jej było dla mnie główną atrakcją tygodnia. Poza tym cały czas lustrowałam wszystkich ludzi, którzy znaleźli się w pobliżu mnie. Niemal każdy z nich, nie wiedząc o tym, mógł być zaprogramowanym przez Arthura mordercą, który zepchnie mnie ze szkolnych schodów albo zatłucze piłką lekarską. Co chwila przychodziły mi do głowy nowe metody zabójstwa. Arthur zaś pewnie przypatrywał mi się z dystansu i świetnie się bawił, widząc, jak często oglądam się za siebie albo wzdrygam z przestachu.

– Coś blada jesteś – stwierdziła właśnie Anabel.

Taa, nie każdy miał potrzebę wyczarowywania przydającego cerze blasku, miękkiego światła zachodzącego słońca. Nie chciało mi się z nią sprzeczać. Skoro już musiałam z nią rozmawiać, to przynajmniej mogłam zaapelować do jej rozsądku, który – jeśli Grayson miał rację – mógł jeszcze drzemać pod tym całym obłędem.

– Tak – przyznałam szczerze. – Niezbyt dobrze się czuję. Boję się. Tego, co zrobi Arthur. I ciebie trochę też.

Z jakiegoś powodu moje słowa polechtały Anabel.

– Mnie? Czy jego? – zapytała.

Chłodny powiew musnął moje przedramiona i zrobiło się ciut ciemniej. Stłumiłam westchnienie. Znowu się zaczynało. A przecież ja tylko chciałam dostać się do snu pani Honeycutt. I to bez konieczności wędrowania tymi przekłętymi, niekończącymi się korytarzami. Czy oczekiwałam zbyt wiele?

– Boisz się mnie czy jego? – powtórzyła Anabel. – Pana Cienia i Mroku, któremu przysięgłaś wierność i tę przysięgę złamałaś.

Cóż, w obliczu faktu, że Pan Cienia i Mroku od samego początku wybrał mnie na krwawą ofiarę, uznałam, że złamanie przysięgi w zasadzie nie było aż tak nieczym uczynkiem, pomijając fakt, że spartoliłam także samo składanie przysięgi. Ale podzielenie się tymi rozważaniami z Anabel zapewne nie byłoby zbyt mądrym posunięciem.

– Was obojga – powiedziałam zamiast tego. Bo jesteście jedną i tą samą osobą, stuknięta wariatko, kiedy to wreszcie pojmiesz? Nie. Ma. Żadnych. Demonów. I to, że wokół robi się coraz ciemniej, a w kątach gromadzą się mroczne cienie, wcale nie napełnia mnie strachem...

Cholera. Oczywiście, że napełniało mnie to strachem. Skupiłam się całkowicie na wciąż jaśniejącej blaskiem twarzy Anabel.

– Jak to było z tym zaćmieniem słońca? Mówiłaś, że być może go nie przeżyjemy?

Anabel pokręciła głową.

– Tego nie powiedziałam. Przekazałam tylko to, co powiedział mi Mroczny Pan: że gdy słońce wejdzie w cień księżycy, w sto dwudziesty cykl saros, poleje się niewierna krew.

A może ty po prostu masz okres? Pokręciłam głową. Zawsze kiedy Anabel przemawiała z takim namaszczeniem, przychodziły mi do głowy niestosowne i głupie myśli.

Zaraz jednak mi przeszły. Ciepłe światło opromieniające twarz Anabel zaczęło blednąć. Dziewczyna nachyliła się nieznacznie.

– Równie dobrze może to być moja krew. W końcu rozczarowałam Upierzonego Władcę Nocy bardziej niż wy wszyscy razem wzięci.

Racja. Nie zdołała poderżnąć mi gardła. Choć bardzo się starała, mogłam zaświadczyć.

– Upierzonego? – To coś nowego. – Czy to znaczy, że go widziałas? – zapytałam, pocierając ramiona. Ochłodziło się o kilka stopni.

Anabel ponownie pokręciła głową. To, co odbijało się w jej oczach, to mógł być strach, nie wiedziałam tylko, czy jej, czy mój.

– Widziałam tylko jego cień. Na ścianie. Miał skrzydła. Ogromne, czarne, na których Władca może szybować przez noc i sny. Przez czas i przestrzeń.

Z góry sfrunęło coś ciemnego. Błyszczące, czarne pióro, które wylądowało na mojej wyciągniętej dłoni. Zadarłam głowę. Posypało się na nas więcej piór, szybowały przez półmrok i lądowały bezgłośnie na ziemi jak płatki śniegu.

Wygląda na to, że Pan Cienia i Mroku właśnie się pierzy. Im większa zdejmowała mnie groza, tym głębsze myśli mnie nachodziły. I tym dziwniej migotały oczy Anabel. Z nieistniejącego sufitu spadało coraz więcej wirujących piór. Anabel rozłożyła ręce, jakby napawała się ciepłym letnim deszczem. Ogarnęło mnie złe przeczucie, że randka u pani Honeycutt dziś nie wypali. Pewnie rozsądniej byłoby się obudzić, zanim sytuacja zrobi się jeszcze bardziej upiorna. Z drugiej strony musiałam wykorzystać okazję i wycisnąć z Anabel, ile się da. To przekłete zaćmienie słońca miało być już w najbliższy piątek.

Chrząknęłam.

– A... a wydał ci jakieś rozkazy?

Anabel popatrzyła na mnie ze wzgardą.

– Nadal myślisz, że on nie istnieje, prawda? Uważasz, że jestem wariatką, która słyszy głosy i ma zwidy, zgadza się?

Tak, zgadza się absolutnie.

– To pewna możliwość, którą należałoby wziąć pod uwagę – powiedziałam, usiłując nadać swemu głosowi swobodne i niewzruszone brzmienie i nie wciągnąć przy tym do nosa żadnego z coraz gęściej i szybciej opadających piór. – W końcu widzisz i słyszysz demo... skrzydlatego Księcia Cieni dopiero od czasu, kiedy odstawiłaś leki.

– Mówisz dokładnie tak samo jak Grayson – odparła. Pióra pokrywały już większą część podłogi, wiele z nich lądowało na naszych ramionach. Anabel wciąż stała z rozłożonymi rękoma i wyglądała, jakby wyrastały jej skrzydła. – Wiesz, że odwiedził mnie dzisiaj? W sumie to takie słodkie. Myśli, że jeśli mi udowodni, że demona nie ma, pokażę mu, gdzie znajdują się drzwi do snów doktora Martensona, i wyjawię wam, w jaki sposób go unieszkodliwiłam. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Problem w tym, że Grayson nie może tego udowodnić! Naprawdę sądzicie, że z góry wykluczyłam możliwość, jakoby wszystko to było jedynie wytworem mojej chorej wyobraźni? Może i jestem szalona, ale nie głupia. Gdybym nie miała niepodważalnych dowodów na jego istnienie, to z pewnością nie prowadziłybyśmy

teraz tej rozmowy.

„Jakich znowu dowodów?” – chciałam zapytać, ale do ust wpadło mi pióro i zanim zdołałam je wypluć, aż mnie zemdlilo. Zacisnęłam mocno wargi. Pióra wirowały w powietrzu tak gęsto, że niemal nic nie widziałam, mogłam się tylko domyślać, gdzie jest Anabel. Jeszcze kilka minut i będziemy kompletnie pokryte pierzem. Już teraz brodziłam po kostki w czarnym morzu piór. Zdaje się, że to był właściwy moment, by zakończyć ten koszmar.

– Czuję jego moc!

Pozostawało dla mnie zagadką, w jaki sposób Anabel mogła mówić, nie łykając przy tym piór. Powoli ogarniało mnie wrażenie, że się duszę, choć nie otwierałam ust. Nie dało się już oddychać nawet przez nos, pióra były wszędzie. Musiałam zamknąć oczy. Nie było widać nic oprócz wirującej ciemności.

Najwyższy czas się obudzić. Tylko że nie jest łatwo się skupić, kiedy nie można normalnie oddychać.

– Jeśli wsłuchasz się głęboko w siebie, Liv, to również to poczujesz – usłyszałam łagodny, melodyjny głos Anabel. – W głębi serca wiesz, że on istnieje.

W głębi serca wiedziałam przede wszystkim jedno: że to był sen i że w rzeczywistości leżałam w swoim łóżku, w domu w Hampstead...

Tym razem zadziało. Usiadłam na łóżku, dysząc ciężko. Przeklęta Anabel! Zobłam kilka głębokich wdechów i spróbowałam uspokoić rozszalałe tętno, a potem przeniosłam wzrok na świecące cyfry budzika. Wpół do czwartej. Henry pewnie jeszcze czekał na mnie we śnie pani Honeycutt. Nie byłam pewna, czy uda mi się od razu zasnąć. Wciąż czułam na skórze pióra. I to jedno, które wylądowało w moich ustach...

Wstałam szybko i podeszłam do okna, by je otworzyć. Wilgotne, zimne nocne powietrze wtargnęło do pokoju. Piękna wiosna chwilowo sobie poszła, na dworze lało. Ernest się ucieszy, ogród potrzebował deszczu.

Kiedy wróciłam do łóżka, moje serce wciąż biło przyśpieszonym rytmem. Trudno, Henry będzie musiał poczekać, aż się uspokoję. Zapaliłam lampkę, wepchnęłam poduszkę pod plecy i zapatrzyłam się na stertę książek na stoliku nocnym. Wśród nich znajdował się należący do Matta *Hotel New Hampshire*. Książka schowana była pod tomikiem Emily Dickinson. Jej wiersze wydały mi się właściwym lekarstwem. Po kilku stronach będę na tyle znużona, by zasnąć.

Kiedy otworzyłam tomik na chybił trafił i zaczęłam czytać, coś wypadło z moich włosów, poszybowało w dół i wylądowało na książce.

Błyszczące, czarne pióro.



Blog Frognał Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

16 marca

Jedno trzeba przyznać dyrektorze Cook: nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Na przykład nie zatrudnia już atrakcyjnych nauczycielek, które będą romansować z kolegami z pracy, a na koniec stawać na stole i robić striptiz. Prawdopodobieństwo, że zastępująca panią Lawrence pani Fatsourakis, która przejmie nauczanie języka francuskiego (oficjalnie tylko do końca trymestru, nieoficjalnie na zawsze), wsławi się podobnymi wybrykami, jest bliskie zeru, co potwierdzi każdy, kto już widział turlającą się po szkole nauczycielkę. Gdyby kiedykolwiek wdrapała się na stół, oznaczałoby to definitywnie koniec dla tego mebla. A tak w ogóle, co to za nazwisko? No dobrze, kobieta ma grecko-tureckie korzenie, ale jeśli ktoś grubemu noworodkowi daje na imię Fatima Fatsourakis, to chyba nie do końca przemyślał sobie konsekwencje, prawda? Nie sądzę, by FatFat miała szczególnie szczęśliwe dzieciństwo. Prawdopodobieństwo, że była potwornie nękana przez inne dzieci, wynosi 101 procent, możemy też mieć podobnie dużą pewność, że FatFat po dziś dzień pała głęboką nienawiścią do dzieci. Nie trzeba być psychologiem, by się domyślić, że została nauczycielką tylko po to, by mścić się na dzieciach. Dziękuję, dyrektorko Cook, właśnie takiej kadry nauczycielskiej

potrzebujemy w tej instytucji.

Widzimy się

Wasza Secrecy

PS Wpis ten jest na blogu dopiero od dwudziestu minut, a już pojawiły się dwadzieścia cztery komentarze, że nabijanie się z cudzej otyłości jest prymitywne i podłe, a pani Fatsourakis to nieprawdopodobnie miła osoba, która pierwszego dnia w pracy przyniosła własnoręcznie upieczone babeczki. Ludzie, czy nie sądzicie, że to właśnie może być rodzaj jej zemsty? Ja tam wolę być wredna niż gruba. Ależ się cieszę, że zrezygnowałam z francuskiego!

Tittletattleblog.wordpress.com



– Następne takie całkowite zaćmienie słońca będziemy mogli obserwować w Europie Środkowej dopiero w roku 2081 – oznajmił pan Osborne, nauczyciel od fizyki. – Wy, jeśli będziecie prowadzić zdrowy tryb życia, może jeszcze tego dożyjecie, ale ja raczej nie osiągnę wieku stu dwudziestu lat, więc dla mnie jest to szczególny dzień.

Przesunął swój stolik pod drzwi pracowni fizycznej, a my wychodząc, musieliśmy przedefilować obok niego, żeby mógł sprawdzić, czy aby na pewno wszyscy mamy okulary do obserwowania, a także zgodę rodziców na opuszczenie szkoły na czas zaćmienia. Te środki zapobiegawcze, biorąc pod uwagę, że niebo zasnuwały gęste chmury, wydawały się zbędne, wszak mogliśmy się co najwyżej domyślać, gdzie jest słońce. Chociaż w pracowni były ogromne okna, musieliśmy zapalić światło, zupełnie jak w ponury listopadowy dzień.

– Biedaczek – szepnęła mi do ucha Persefona stojąca w kolejce za mną. – Ostatnie zaćmienie słońca w jego życiu, a tu pogoda pod psem. Dobrze przynajmniej, że nie pada. Jak wyglądam?

– Ładnie – odparłam, nie patrząc. Pan Osborne zakomunikował przed chwilą z dumą, że dostąpiliśmy zaszczytu i będziemy mogli obserwować zjawisko z dachu szkoły, wspólnie z uczestnikami innych kursów fizyki. To oznaczało, że spotkamy na górze również Henry’ego, Graysona i Jaspera.

Oraz Arthura.

W przeciwieństwie do Persefony nie skakałam z radości, wręcz przeciwnie. Perspektywa tkwienia na dachu u boku Arthura („Mogę cię zlikwidować w każdej chwili”) i bez zaćmienia słońca napawała mnie grozą. „Poleje się niewierna krew, gdy słońce wejdzie w cień księżyca...”

– Naprawdę? – Persefona nadal była zaabsorbowana swoim wyglądem. – Nie nałożyłam zbyt wiele różu? Ten pędzel zbiera jakoś za dużo pudru...

– Nie, wszystko w porządku. – Rzuciłam spojrzenie za okno. Jasnoszara jednolita warstwa chmur, która tak skutecznie przesłaniała słońce, przypominała

nieistniejący sufit na korytarzach we śnie. Co gorsza, na jednym z trzech nadal bezlistnych drzew na szkolnym dziedzińcu siedział wielki czarny ptak. Przełknęłam ślinę. Czy był tam przed chwilą? Odniosłam wrażenie, jakby się na mnie gapił. Złowieszczo. A czy to drzewo, na którym siedział, to nie purpurowa odmiana buku o liściach w kolorze krwi? To nie mógł być przypadek...

Persefona pchnęła mnie lekko, żebym posunęła się naprzód.

– Ten kolor nazywa się *nude velvet*. W pudełku wygląda na całkiem pomarańczowy, ale jak się go nałoży, to dopasowuje się do cery. Szalenie naturalny. Pokażę ci potem, uważam, że coś blado dziś wyglądasz.

– Tak, wiem. – I w tym momencie ogarnęło mnie dogłębne przekonanie, że nie będzie żadnego „potem”. Coś strasznego wydarzy się na dachu, moja krew wsiąknie w dziedzińiec, a z nieba posypią się czarne pióra...

Byłam wdzięczna Persefonie, że znowu mnie popchnęła i przerwała ten tok absurdalnych myśli. Co się ze mną działo? Jedna wrona na drzewie, a ja popadam w totalną histerię.

No dobra, ten incydent z piórem był niesamowity. Ale nie aż tak, żeby z tego powodu zaraz wierzyć w demony i jakieś przepowiednie. Istniał cały szereg logicznych wyjaśnień tego, skąd czarne pióro wzięło się w moich włosach. To samo powiedzieli Henry i Grayson, kiedy zrelacjonowałam im tę przygodę. Przecież w naszym domu mieszkał zapalony łowca kosów, który lubił sypiać w moim łóżku – a kosy mają czarne pióra. Jedno z nich z łatwością mogło zaplątać się w moich włosach.

Nawet jeśli ta cała historia z piórem była dziwnym zbiegiem okoliczności, to wciąż za mało, żeby wierzyć w istnienie demonów.

– Twoja kolej! – Persefona dźgnęła mnie w żebra i wskazała ręką spoglądającego wyczekująco nauczyciela fizyki. Przekazałyśmy mu kartki ze zgodą rodziców i pokazałyśmy okulary.

Pan Osborne pokiwał głową z zadowoleniem.

– A wasza *camera obscura*?

Persefona pokazała mu przyrząd, który zbudowałyśmy z pudełka po butach i papieru śniadaniowego. Żeby nie wyglądał tak topornie i prosto (w porównaniu z niektórymi nader skomplikowanymi urządzeniami innych uczniów) i aby zabić nudę na lekcjach fizyki, ozdobiłyśmy go z Persefoną paskami dekoracyjnej taśmy. Teraz okazało się, że ten trud się opłacił.

– B plus – zawyrokował pan Osborne. Zanotował ocenę w małym czerwonym notatniku i uśmiechnął się do nas. – Zobaczymy się na dachu. Następni, proszę.

Persefona nie posiadała się ze zdumienia. Kiedy znalazłyśmy się poza zasięgiem słuchu nauczyciela, rzuciła mi się na szyję.

– B plus! Za oklejone taśmą pudełko po butach. Jak w podstawówce. Chyba

dziś jest mój szczęśliwy dzień.

Akurat. Jednak jej świetny humor był mimo wszystko zaraźliwy. W drodze na dach moje ponure myśli nagle wydały mi się głupie. Wiadomo, jak się wypatruje złego omenu, to widzi się go dosłownie wszędzie i każda niewinna przelatująca wrona natychmiast staje się podejrzana.

Na schodach panował ścisk, ponieważ z góry schodziły klasy, które miały obserwować zaćmienie na dziedzińcu. Mia wesoło pomachała mi w tłumie. W całej szkole panowała pozytywna, wręcz radosna atmosfera. Pewnie dlatego, że oglądanie zaćmienia słońca, nawet przy zachmurzonym niebie, i tak było lepsze niż lekcje matmy i francuskiego.

Wyjątki tylko potwierdzały regułę. Przy wejściu na dach stał Sam Clark. Miał wyjątkowo skwaszoną minę. A jego humor na widok Persefony i mnie jeszcze się pogorszył.

– Wstydz się. Wstydz się – powiedział z naciskiem, taksując nas pełnym pogardy wzrokiem.

– To samo można wyrazić, używając czasownika w liczbie mnogiej – odparłam. – Dotyczyłoby nas obu i brzmiałoby po prostu „wstydzcie się”. To o wiele bardziej efektywne. I trochę mniej śmieszne.

– Właśnie – zawtórowała mi Persefona. – Ale może sprawia ci przyjemność mówienie wszystkiego po dwa razy, Pryszczytaty Samie, Pryszczytaty Samie?

Sam zmarszczył brwi.

– Przepraszam bardzo, co moje problemy skórne mają wspólnego z waszym moralnym wykolejeniem? – Lubił wyrażać się w górnolotny sposób, tak samo jak jego siostra. Albo Bochra.

– Zupełnie nic, zupełnie nic – odpowiedziała Persefona, radosna jak skowronek. – Twój trądzik obchodzi nas tyle samo, co ciebie nasze moralne wykolejenie.

Powiodła mnie dalej.

– Taa, ktoś tu chyba nie zrozumiał, jaka jest różnica między dobrem ogółu a prawami jednostki – dogryzał jadowicie Sam za naszymi plecami. – Naprawdę powinnyście się wstydzić.

A jednak – opanował już liczbę mnogą.

– Ciekawe, co on sobie myśli? Że jego trądzik nie szkodzi dobru ogółu? Ja tam jestem odmiennego zdania. – Persefona odrzuciła włosy na plecy. – Jak wyglądam?

– Moralnie wykolejona, ale niezmiennie ładna – odparłam.

Kiedy dotarliśmy na górę, niebo wyglądało tak samo: nadal było szare i zasnuwane chmurami. Jeszcze nigdy nie byłam tu na dachu i nieufnie przyglądałam się żelaznym barierkom oddzielającym płaską powierzchnię, po której można było chodzić, od ukośnego dachu. Wyglądały solidnie. Ale ani trochę nie przewyższały

zwykłej balkonowej balustrady.

Odruchowo zrobiłam kilka kroków ku środkowi dachu. Tu wydało mi się bezpiecznie. Tym bardziej że stali tu również Grayson i Henry. A także – odrobinę dalej – Arthur. Persefona już beze mnie skierowała się ku wschodniej krawędzi, gdzie na barierce, mając nogami, siedział Jasper i właśnie był surowo besztany przez dyrektorkę Cook.

– Jezu, czy on nie wie, że dziś ma się polać niewierna krew? – mruknęłam i zapomniałam na moment, że Jasper skończył już z tą całą „głupią dziecinadą z demonami i snami”.

Henry uśmiechnął się do mnie radośnie.

– Fajnie, że przyszłaś. Wydarzenie stulecia najlepiej przeżywać wspólnie z osobami, które się kocha. Żeby potem można było opowiadać wnukom, że podczas zaćmienia słońca nie widziało się kompletnie nic.

Grayson wpatrywał się w swój iPhone.

– Wszędzie mają świetną widoczność. Ludzie wychodzą ze skóry i wrzucają na Twittera fajne foty. A tutaj nawet nie widać, że już się zaczęło.

– Widać. Wydaje mi się, że zrobiło się ciemniej – powiedziałam, i nie było to tylko wrażenie.

– Wszyscy wkładamy okulary, proszę bardzo! – poleciła dyrektorka Cook.

– Ci, którzy chcą oglądać zaćmienie przez *camerę obscure*, niech zakryją głowy i ramiona tkaniną zaciemniającą. Proszę dokumentować wszystkie kroki w zeszytach – instruował pan Osborne.

– Tak, tylko niech ktoś mi powie, gdzie to słońce... – burknął Grayson, ale posłusznie włożył okulary ochronne.

– Naprawdę mamy tu sterczeć przez dwie godziny i gapić się w szare niebo?

Drgnęłam z przestraczeniem, bo to wypowiedziane stłumionym głosem pytanie padło z ust Arthura. Stał tuż za mną.

– Coś ty taka strachliwa, Liv? – zaśmiał się. – Czyżby Anabel nastraszyła cię swoją mętną gadaniną? Myślisz, że demon ukarze cię dzisiaj, jeśli będziesz niegrzeczna?

– Nie, myślę, że będzie nas wywoływał w kolejności alfabetycznej i najpierw weźmie się za ciebie – odcięłam się. Z ulgą poczułam, że Henry przysuwa się do mnie i otacza mnie ramieniem. Arthur nie dał się tym odstraszyć. Jak gdyby nigdy nic przyłączył się do nas, mrugając konspiracyjnie nad oprawką okularów ochronnych.

– Niewierna krew się poleje, kiedy słońce wejdzie w cień księżycy – wyszeptał. – Buuu! Serio, ludzie, chyba nie wierzycie w te bzdury, co? – Rozejrzał się wokół ostentacyjnie. – Ja w każdym razie nie widzę tu ani Anabel, ani jej demona, więc wychodzę z założenia, że jesteśmy bezpieczni. Choć demon oczywiście potrafi latać. – Zaśmiał się z zadowoleniem. – I brać w posiadanie

ludzi. Nie sądzicie, że Emily wygląda jak opętana przez demona?

– Ścisłe rzecz biorąc, nie chodzi o demona, tylko o coś w rodzaju bóstwa – zaczął Grayson, umilkł jednak pod ostrzegawczym spojrzeniem Henry’ego. Miał rację: nie było zbyt mądrze dzielić się z Arthurem najnowszymi ustaleniami.

Grayson wrócił do fazy pierwszej swego planu, głęboko przekonany, że wiedza jest potęgą i podstawą każdego rozsądnego działania. Wprawdzie próba przemówienia Anabel do rozsądku zakończyła się fiaskiem (dziewczyna wygadywała dokładnie te same zakamuflowane groźby co w korytarzach, tylko bez tych swoich czary-mary z piórami, efektów świetlnych i zmian temperatury). Za to chętnie opowiedziała o swym dzieciństwie, zdradzając między innymi nazwę sekty, od której to wszystko się zaczęło, kiedy Anabel była jeszcze niemowlęciem.

Sekta zwała się Metamorfami Prawdziwej Ścieżki Cienia i była niewielką grupą liczącą około dwudziestu pięciu osób, które oddawały cześć bogini prastarej, dawno zapomnianej religii. Grayson znalazł w Internecie kilka szokujących artykułów na jej temat, ponieważ w noc sylwestrową 1999 roku Metamorfowie Prawdziwej Ścieżki Cienia trafili na pierwsze strony gazet z powodu incydentu, który wyglądał na tragiczne zbiorowe samobójstwo dokonane na przełomie tysiącleci. W doszczętnie spalonej szopie znaleziono szczątki przywódcy sekty i jej szesnaściorga członków, w tym trojga dzieci.

Anabel miała wtedy trzy lata. Nie wiadomo, dlaczego i jak długo jej matka należała do Metamorfów, a także jaką odgrywała wśród nich rolę, nie wiadomo również, w jakich okolicznościach obie uniknęły udziału w masowym samobójstwie. Grayson sądził, że Anabel sama nie wiedziała, jak to było, ponieważ nigdy nie miała okazji porozmawiać z matką o tamtych wydarzeniach. Jej ojciec wywalczył prawa rodzicielskie i, co zrozumiałe, trzymał Anabel z dala od matki, która ze swej strony nie próbowała kontaktować się z córką. Ze zdiagnozowaną „psychozą schizofreniczną” przebywała w rozmaitych szpitalach, gdzie kilka lat później odebrała sobie życie. W pudełku z osobistymi rzeczami, które Anabel odziedziczyła po niej, znajdował się między innymi notes, ten sam, który zeszłej jesieni spłonął w rodzinnym grobowcu Hamiltonów na cmentarzu Highgate. Zawierał spisane ręcznie różne łacińskie formułki i instruktaż przeprowadzania rytuałów mających doprowadzić do przebudzenia demona, pardon, mrocznego bóstwa. Anabel przez wiele lat nie tykała pudełka z pamiątkami, ale kiedy w końcu to zrobiła i zajrzała do notesu, coś się z nią stało. Tak to w każdym razie przedstawiła Graysonowi. Nagle uświadomiła sobie, że jest wybrana, by przebudzić do życia bóstwo – nam znane lepiej jako Pan Cieni i Mroku – i przejąć schedę po Metamorfach Prawdziwej Ścieżki Cienia. Resztę tej historii zaliśmy, w końcu byliśmy jej częścią.

– Bóstwa? – Arthur wpatrywał się badawczo w Graysona. – Popatrz, popatrz, ty rzeczywiście zgłębiłeś rojenia Anabel. Interesujące. Zastanawiam się,

czego się po tym spodziewasz.

Grayson nie odpowiedział. Informacje, które udało mu się zebrać, były niewesołe i zniechęcające, mimo to uparcie trzymał się przekonania, że musi udowodnić Anabel, że demon nie istnieje.

– Może liczysz na to, że Anabel zdradzi wam kilka sztuczek, które moglibyście wykorzystać przeciwko mnie – ciągnął Arthur, trafiając w samo sedno. Potrzebowaliśmy, by Anabel była po naszej stronie, jeśli chcieliśmy podjąć walkę z Arthurem. On zaś wzruszył ramionami. – Niegłupio kombinujecie. Ona mnie nienawidzi. Gdyby nie była tak bardzo zaabsorbowana swoimi schizoidalnymi urojeniami, pewnie naprawdę by wam pomogła. Z tego względu powinienem więc być szczęśliwy, że moja była dziewczyna jest porąbaną wariatką. Z drugiej strony: ja nie jestem taką łatwą ofiarą jak senator Mort. – Przerwał na chwilę, by upewnić się, że nadal słuchamy jego wywodu z maksymalną uwagą. A potem dodał: – Anabel jest dobra, ale ja jestem lepszy.

Innymi słowy: nawet z Anabel nie mieliśmy żadnych szans przeciwko niemu.

– Ach, stul pysk – odezwał się Grayson. Tak głośno, że nauczyciele obejrżeli się w naszą stronę.

Dyrektorka Cook kontrolnie podeszła bliżej.

– Tak, lepiej stąd spadaj. – Henry zdjął rękę z mojego ramienia i włożył okulary ochronne dokładnie w tym momencie, w którym dyrektorka dołączyła do nas.

Wszyscy unieśliśmy głowy i z fascynacją zapatrzyliśmy się w szare niebo.

– Patrzycie w złym kierunku – rzuciła pani Cook, przechodząc obok nas. – Wschód jest tam...

Arthur zaczekał, aż znalazła się poza zasięgiem słuchu.

– Nie do wiary, że stoimy tu na dachu i udajemy, że widzimy coś ciekawego. Prawdopodobieństwo, że niebo zniecka się rozchmurzy, jest mniej więcej takie samo jak to, że demon Anabel pojawi się, by rozlać naszą krew.

– Może on tu już dawno jest – powiedział Henry i przenikliwym wzrokiem popatrzył na Arthura ponad okularami ochronnymi.

Ten uniósł brwi.

– Słucham?

– Sam mówiłeś: Anabel mogłaby stać się dla ciebie zagrożeniem, gdyby nie była tak zaabsorbowana swoim demonem – wyjaśnił Henry. – Kto bardziej niż ty byłby zatem zainteresowany przekonaniem jej o jego istnieniu?

Arthur zaśmiał się z niedowierzaniem, ściągając na siebie karcące spojrzenie dyrektorki.

– Serio? – zapytał zniżonym głosem.

Gdyby on nie zadał tego pytania, to zrobiłabym to ja. Z konsternacją

patrzyłam na Henry'ego. Grayson też marszczył brwi zbity z tropu.

Henry wzruszył ramionami.

– To wcale nie jest takie niedorzeczne, Arthurze. Dopóki Anabel przebywała w szpitalu i była zajęta własnymi problemami, nie stanowiła dla ciebie zagrożenia. Ale to się zmieniło. Widziałeś, co zrobiła z senatorem Mortem, i przestraszyłeś się, bo z tobą też jeszcze może zechcieć wyrównać rachunki. I dlatego musiałeś jak najszybciej skierować jej myśli na inne tory.

Czy to wszystko przyszło mu do głowy dopiero teraz, czy też nosił w sobie te myśli dłużej? Jeśli tak, to dlaczego nie podzielił się z nami swoją teorią? Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym mniej absurdalne wydały mi się jego rozważania.

– Gdy tylko Anabel odstawiła leki, zacząłeś trochę straszyć w korytarzach – ciągnął cichym głosem. – A ponieważ dobrze ją znasz, przypuszczalnie było to dla ciebie dziecinnie proste. Rysowałeś na ścianach skrzydlate sylwetki, sypałeś piórami i podszeptywałeś dokładnie to, co spodziewała się usłyszeć: że demon wciąż tu jest i potrzebuje jej usług... I *voilà*. Oto Anabel ma wreszcie coś do roboty, nie ma za to czasu, by włączyć ci w paradę.

– Bredzisz. – Przez jedną krótką chwilę sprawiał wrażenie naprawdę rozzłoszczonego. Potem odgarnął z czoła anielski blond kosmyk i oznajmił: – Człowiek wreszcie gra w otwarte karty, a słyszy insynuacje, że niby oszukuje. Serio, ludzie, ja już noszę koszulkę z wielkim napisem „łotr” i nie wypieram się tego, co zrobiłem. Ani tego, co jeszcze zrobię – dodał z uśmiechem. – Ale proszę, nie obarczajcie mnie odpowiedzialnością za afektowane demoniczne fantazje mojej stukniętej byłej dziewczyny.

W jego głosie brzmiała absolutna szczerłość. Trudno powiedzieć, czy wyjątkowo mówił prawdę, czy po prostu był dobrym aktorem...

Obok nas wyrosła jak spod ziemi Persefona.

– Co robicie? – zapytała. Zapewne stanowiliśmy dość osobliwy widok, gdy tak staliśmy i w milczeniu wpatrywaliśmy się w siebie przez kretyńskie okulary.

– Czekamy – odpowiedziałam.

– Aż coś się w końcu wydarzy – dodał Arthur.

Persefona westchnęła.

– To chyba wam trochę zejdzie. Beznadziejnie jest mieszkać w Londynie! Cała reszta Europy bawi się na najbardziej odjechanych imprezach... Masz, twoja kolej! – Podetknęła mi pod nos naszą *camerę obscure*. – To jest mega. Absolutnie nic nie widać. Ciekawe, kiedy pan Osborne przyzna w końcu, że ostatnie zaćmienie słońca w jego życiu to totalna klapa. Ale trochę pociemniało, nie sądzicie?

– Dokładnie w tym momencie powinno być widoczne maksymalne zaćmienie tarczy słońca, tylko na dolnej krawędzi powinniśmy zobaczyć wąski sierp – oświadczył pan Osborne spod czarnej płachty, którą narzucił sobie na głowę

i na przyrząd do obserwacji. Stopniowo robiło się chłodniej.

– Mogę? – Arthur chciał wyjąć Persefonie z ręki nasze pudełko po butach i nagle drgnął. Klnąc cicho, popatrzył na swój kciuk.

– Skaleczyłeś się – stwierdziła ze zdumieniem Persefona. Rana na palcu Arthura wypełniła się krwią. – Myślałam, że zakleiliśmy taśmą wszystkie ostre krawędzie. Przepraszam. Chcesz chusteczkę?

– Już dobrze. – Arthur patrzył w zdziwieniu na rozcięcie. Razem z Henrym i Graysonem obserwowaliśmy zafascynowani, jak na jego krawędzi zbiera się kropla krwi, spływa ku paznokciowi i skapuje na ziemię.

– Poleje się krew – mruknęłam, nie bardzo wiedząc, czy się bać, czy roześmiać.

Arthur wybrał to drugie.

– Jedno trzeba przyznać demonowi Anabel – powiedział. – Punktualny jest. Szczerze mówiąc, pod względem dramaturgii dałoby się wycisnąć z tego więcej. Nie wydaje wam się, że przypomina to całe zaćmienie słońca? Wielkie zapowiedzi, a potem takie rozczarowanie. – Śmiejąc się, odszedł, a my równocześnie odetchnęliśmy z ulgą.

Persefona także, choć u niej było to raczej westchnienie. Patrzyła przez *camerę obscure* na Jaspera, który rozmawiał z jakąś dziewczyną ze swojego kursu.

– Chyba zapomniałam zabrać swój zeszyt – rzuciła Persefona. – Zaraz wrócę, a wtedy ty będziesz mi musiała opowiedzieć, co albo kogo miał na myśli Arthur, mówiąc o demonie Anabel.

– Eee... dobrze. – Zaczęłam rozważać, czy spontanicznie nie uczynić Anabel właścicielką nowego psa wabiącego się „Demon”. Ale może Persefona do tego czasu zapomni o swym pytaniu.

Gdy tylko odeszła, Grayson wychylił się do przodu.

– Naprawdę uważasz, że to Arthur stoi za powrotem demona, Henry?

Henry ponownie wzruszył ramionami.

– Niewykluczone – odparł. – Są tylko trzy możliwości. Pierwsza: Arthur ma Anabel demonem, żeby niepostrzeżenie przejąć nad nią kontrolę. Druga: Anabel i bez udziału Arthura cierpi na urojenia. I trzecia... ale ta jest nieprawdopodobna. – Zamilkł.

– Trzecia możliwość jest taka, że demon rzeczywiście istnieje – wyrwało mi się. Ktoś musiał to w końcu powiedzieć na głos. – Przecież to dziwne, że Arthur skaleczył się właśnie teraz, nie sądzicie? Dokładnie w tym momencie, w którym słońce było kompletnie zakryte! I w ogóle... te sny, czarne pióro i... – Odwróciłam się w bok i wskazałam ręką na dziedziniec. No i proszę. Wciąż tam była. Albo znowu. – Widzicie tamtą wronę? Cały dzień siedzi na tym purpurowym buku i gapi się na mnie.

– To jest akacja – sprostował Grayson. Henry popatrzył na mnie, kręcąc

głową.

– Co się z tobą dzieje, serowa panienko? To ty zawsze byłaś tą spośród nas, która wyśmiewała się z demonów.

– Tak, wiem. – Lekko zawstydzona popatrzyłam na odlatującego ptaka. Głupotą było przejmować się prawdopodobnie nieistniejącym demonem, skoro i tak mieliśmy dość zmartwień przez Arthura. Bo Arthur niestety istniał naprawdę – i było tylko kwestią czasu, kiedy uderzy ponownie. Nie zapomniałam o jego groźbach i chyba powinnam się cieszyć, że oparł się pokusie, by nakłonić kogoś do zepchnięcia mnie z dachu.

A że to rozważał, zdradził mi, kiedy później tego samego dnia (bo w końcu wreszcie pozwolono nam zejść i wysłano z powrotem na lekcje) spotkaliśmy się przy szafkach.

– Wiesz, że spadając z wysokości dwudziestu pięciu metrów można osiągnąć prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę? – Arthur wyraźnie napawał się tym, jak gwałtownie wzdrygnęłam się na dźwięk jego głosu, już po raz drugi tego dnia. Za późno zauważyłam, że stoi zaledwie o kilka kroków od swojej szafki. Myślałam zupełnie gdzie indziej, przy Theo Ellisie, którego właśnie minęłam w korytarzu.

Ujrawszy Theo, ze zdumieniem wlepiłam w niego wzrok, jak wszyscy. Ale to rzeczywiście był on, Theo-napakowałem-do-kieszeni-kilogramy-obraczek-ślubnych-Ellis! Jasne, mieliśmy piątek i kurs hebrajskiego odbywał się normalnie, ale nikt tak naprawdę nie spodziewał się go tutaj, a najmniej ja. Przypuszczałam raczej, że przebywa w areszcie albo w psychiatryku, więc gdy zobaczyłam, jak wyprostowany i jak zawsze pewny siebie kroczy po szkole, poczułam radosną nadzieję. Theo Ellis nie tylko wyglądał niczym solidna szafa dębowa, ale najwyraźniej miał psychikę o podobnej konstrukcji. I dobrego adwokata.

Niestety moja chwilowa euforia ulotniła się na widok Arthura. Ponieważ byłam sama, przez chwilę rozważałam, czy nie wrócić później, ale z drugiej strony nie chciałam dać mu tej satysfakcji, że samą swoją obecnością zmusił mnie do ucieczki.

Przybrałam więc pogardliwą minę à la Sam, wahając się, czy nie okrasić jej słowami „wstydz się”.

– Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę! Można sobie wyobrazić, jak to wygląda, gdy ciało uderza o ziemię – ciągnął z lubością Arthur.

– Tak, naturalnie, można to sobie wyobrazić, jeśli ktoś lubi takie rzeczy – odparłam z odrazą.

– To tylko taka refleksja... Pod względem krwistości na pewno zrobiłoby to większe wrażenie niż głupie skaleczenie. – Arthur z uśmiechem podsunął mi pod nos swój zraniony kciuk. Nienawidziłam, kiedy był w takim beczelnie dobrym

humorze. – Nie spodziewałem się, niestety, że wy też będziecie na dachu. Gdybym wiedział, zaplanowałbym coś fajnego – dodał i zaśmiał się jeszcze głośniej.

Rozważałam, czy go po prostu nie zdzielić. Może nie byłoby to najmądrzejsze zachowanie, ale na pewno poczułabym się lepiej.

– Z drugiej strony, w tej chwili zaprzatają mnie ważniejsze sprawy. No i brakowałoby mi oglądania, jak słodko się wzdrygasz na mój widok. – Wpisując kod szyfrowy do swojej szafki, mrugnął do mnie. – Ha, fascynujące zjawisko takie zaćmienie słońca, prawda? Anabel, pardon, demon z pewnością wkrótce zaprezentuje jakieś zastępcze krwawe widowisko. Demony mają niesamowity wybór, pełnia, nów, noc Walpurgi, przesilenie, zaćmienie księżyca... – Szarpnięciem otworzył szafkę i sięgnął do środka. I wtedy to się stało: ze środka wystrzeliło coś brązowego, coś, co wyglądało jak płaska głowa węża.

Arthur krzyknął.

Wstrzymałam oddech i z niedowierzaniem zamrugałam: wąż zatopił zęby w jego dłoni. I tak samo błyskawicznie, jak wystrzelił do przodu, cofnął łeb.

Arthur natychmiast zatrzasnął drzwi szafki.

– Wi... widziałas to? – wydyszał. Podmuch powietrza poderwał do góry małe czarne piórko, które powoli opadało na ziemię.

– Tak – odparłam na wdechu. – To wyglądało jak wąż. I jeszcze to pióro.

Krzyk Arthura przyciągnął uczniów, którzy zgromadzili się wokół nas z ciekawości. Straciłam pióro z oczu.

– To był wąż – powiedział Arthur, bardziej do siebie niż do mnie. Zupełnie jakby sam w to nie wierzył. Chwycił się za rękę. Gorączkowo usiłowałam przypomnieć sobie, czego uczyli nas o pierwszej pomocy w przypadku ukąszenia przez węża.

– W mojej szafce jest pieprzony wąż! – W głosie Arthura pobrzmiwała nuta hysterii. – Ukąsił mnie.

– Wąż! – Słowo, podchwyczone szeptem i powtarzane coraz głośniej, poniosło się korytarzem i wywołało małą panikę. Niektórzy zaczęli krzyczeć i biegać z tupotem. W tym rozgardiaszu nigdzie nie mogłam dostrzec pióra. Prawdopodobnie i tak tylko coś mi się przywidziało.

– Uspokójcie się, wąż jest zamknięty w szafce Arthura. Nic wam nie może zrobić – odezwałam się. – Poza tym nie wiadomo, czy rzeczywiście jest niebezpieczny. Może jest... – zamilkłam, bo w tym samym momencie Arthur zatoczył się, a potem powoli osunął na podłogę po gładkich drzwiach szafek.

– Chyba byłoby dobrze, gdyby ktoś wezwał pogotowie – powiedział cichym, ale zdumiewająco opanowanym tonem. – I niech przyjedzie ktoś z ogrodu zoologicznego, żeby zidentyfikować węża. Może będzie potrzebne antidotum.

O Boże, tak! Ukąszona ręka puchła w oczach.

– Trzeba natychmiast wyssać ranę – zawołał ktoś. Pokręciłam głową.

Z czasów pobytu w Indiach wiedziałam, że wysysanie rany po ukąszeniu węża jest mitem i raczej utrudnia gojenie niż pomaga. Arthur też się nie kwapił, by posłuchać tej rady. Może był już zbyt słaby. Podczas gdy wszyscy wokół pośpiesznie wyciągali komórki albo oddalali się biegiem, by wezwać pomoc, on zdołał jeszcze posłać mi uśmiech.

– Wygląda na to, że demon jednak znalazł ofiarę.

Tak, na to wyglądało.



Kiedy wróciłam do domu, na podjeździe parkował bentley Bochry. Zastanowiłam się, co by tu zrobić, by zniknąć w swoim pokoju. Miałam już dość emocji na dzisiaj. Ale po pierwsze, z kuchni dochodził smakowity zapach, a po drugie, znajdował się w niej automat do kawy. Jeśli chciałam jakoś przetrzymać resztę dnia, potrzebowałam kofeiny. Wzięłam kilka głębokich wdechów i spacerowym krokiem weszłam do kuchni. Ku mojej uldze Bochry nie było. Zamiast niej przy kuchennym stole siedziały Florence i Mia, a Buttercup usadowiła się na krześle między nimi. Wszystkie trzy wpatrywały się z wywieszonymi jęzorami w blaszkę, którą Lottie właśnie wyciągała z piekarnika. No dobra, jęzor wywiesiła tylko suczka, ale pozostałe dwie wyglądały na równie wygłodniałe.

W kuchni był ktoś jeszcze. Charles. Stał oparty plecami o lodówkę.

– Przychodzisz w samą porę, Liv. Lottie upiekła *scones* – powiedział.

– To nie są żadne *scones*, tylko francuskie brioszki – sprostowała Florence.

– *Oui, ma chérie* – zaszcebiotała radośnie Lottie.

– Ach tak – mruknął Charles.

Dyskretnie podeszłam do kawiarki, podsunęłam pod dyszę filiżankę i wcisnęłam przycisk podwójnego espresso.

– Gdzie jest Boch... eee... mama Ernesta? – zapytałam, kiedy automat miał ziarna. – Widziałam jej samochód pod domem.

– Obok. Z mamą. – Mia wskazała w kierunku jadalni. – Zaproszenia na ślub muszą być dziś gotowe.

– Potem już nie będzie odwrotu – oświadczył grobowym głosem Charles.

Mój kubek napełnił się kawą. Wcisnęłam jeszcze raz ten sam guzik.

– A ty przyszedłeś, bo...? – zapytałam niezbyt uprzejmie. Od czasu pojawienia się u Lottie wywieszki „Zamknięte z powodu kłopotów sercowych” moja sympatia do Charlesa mocno przygasła.

Zaczerwienił się lekko.

– Och, ja... chciałem tylko pożyczyć od Ernesta wyrzynarkę, a poza tym... – Nabrał głęboko powietrza i popatrzył na Lottie, która wesoło nucąc, układała

brioszki na półmisku. – A poza tym chciałem zapytać Lottie, czy ma już jakieś plany na jutro.

Lottie nuciła jeszcze przez kilka sekund, po czym zorientowała się, że Charles wpatruje się w nią z wyczekiwaniem.

– Och, to już padło to pytanie? Nie, na jutrzejszy wieczór nie mam planów, a czemu?

– Bo... bo mam na zbyciu bilet na koncert i tak spontanicznie pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę pójść ze mną – powiedział Charles.

– Spontanicznie? – powtórzyła Lottie. – Masz spontanicznie bilet na zbyciu? Przytaknął.

– To znaczy, że ten bilet pierwotnie był przeznaczony dla kogoś innego? – zapytała Lottie, stawiając brioszki na stole. – Dla kogoś, kto spontanicznie się wymówił?

Charles wystraszył się, ale nie zdążył jej odpowiedzieć.

Lottie energicznie wytarła dłonie w ściereczkę.

– Nie, przykro mi, wprowadzie dziś rano jeszcze nie miałam planów, ale teraz tak spontanicznie mam ochotę na coś innego niż zastępstwo. Gdzie moja komórka? Ach, chyba zostawiłam ją na górze. Momencik...

– Eee... ale to nie tak – zaczął Charles. – Mam te bilety już od jakiegoś czasu, ale...

Lottie wyszła z kuchni.

– Jakoś... zapomniałem zapytać – dokończył niepewnie Charles. – To ulubiony zespół Lottie.

Florence przewróciła oczami.

– Jakoś zapomniałeś? Chyba jesteś już wystarczająco duży, żeby wiedzieć, czego chcesz, wujku Charlesie?

– No tak. – Charles potarł z zakłopotaniem knykie. – Właściwie to chciałbym jedynie, żeby to wszystko nie było zawsze takie skomplikowane.

– Taa – skwitowała Florence. – W takim razie może daj sobie spokój z kobietami i skup się na grze w golfa i praktyce dentystycznej.

– Właśnie – zgodziła się Mia. – W tej dziedzinie można z powodzeniem dać upust sadystycznym skłonnościom bez łamania komuś serca.

– Ale ja nikomu nie zламаłem serca – zaczął Charles, umilkł jednak, kiedy wszystkie trzy przewróciłyśmy oczami. – W każdym razie nie umyślnie. Czasami jestem po prostu nieco powolny – dodał ze skruchą.

– Raczej pierdołowaty – stwierdziła Mia.

– Niezdecydowany, tchórzliwy, bez wyczucia taktu – uzupełniła Florence.

– Hau – zgodziła się Buttercup. Gdyby umiała, pewnie też przewróciłaby oczami.

Z tego wszystkiego zrobiło mi się żal Charlesa.

– Na twoim miejscu jak najszybciej poszłabym teraz na górę i porozmawiała z nią, zanim umówi się z Pascalem – zasugerowałam.

Charles zrobił zrozpaczoną minę.

– A jeśli ona woli spędzać czas z tym szczerzącym się Francuzem? Wiecie, ja nie jestem taki przebojowy.

– O Jezu! – Florence zgromiła go wzrokiem. – To najwyższy czas, żebyś się taki stał. Jeśli o nią nie zawalczysz, to Lottie zniknie za siedmioma górami, a ty będziesz żałował tego do końca życia.

Wlepiłam w nią osłupiałe spojrzenie. Coś takiego! Florence, która na początku nie mogła znieść obecności Lottie w tym domu, akurat ta Florence tak się za nią wstawiała? Może moja przybrana siostra miała jednak serce.

W każdym razie jej słowa przyniosły pożądany efekt. Charles wyprostował się.

– No cóż, w sumie to nie mam nic do stracenia, prawda? – W drzwiach odwrócił się jeszcze. – Jeśli się uda, to jestem wam coś winien, dziewczyny.

– A jeśli nie, zmieniamy dentystę – powiedziała Mia, kiedy zamknęły się za nim drzwi.

Florence sięgnęła po brioszkę i odsunęła na bok Buttercup, która łakomie zamerdała ogonem.

– Jak ja się cieszę, że nie jestem mężczyzną. Faceci to są jednak cepy.

– Moje słowa. – Mia otworzyła iPada Lottie, ale rzuciwszy nań krótkie spojrzenie, zamknęła go.

– Nic nowego na blogu Tittle-Tattle? – zapytałam. Mia pokręciła głową. – Jak myślicie, Arthur jeszcze żyje?

– Gdyby nie żył, już dawno byśmy o tym wiedziały – stwierdziła Florence. – Coś takiego roznosi się błyskawicznie. – Potarła przedramiona. – Nadal nie mogę w to uwierzyć, jadowity wąż w szkolnej szafce. Mam nadzieję, że policja gruntownie przeszuka wszystkie szafki, inaczej nigdy nie otworzę swojej.

Tak, ja też nie. Pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, gdy kuciałam przy Arthurze, czekając na pomoc, to pytanie, czy de... ktoś umieścił węże także i w naszych szafkach? Jeśli tak, to powinnam dziękować Arthurowi, że zatrzymał mnie swoją głupią gadaniną i pierwszy otworzył szafkę.

Może właśnie dlatego zostałam przy nim do przybycia lekarza pogotowia. Przez cały czas – w rzeczywistości minęło zaledwie kilka minut – czekałam, aż powie coś jeszcze, coś dramatycznego, w stylu: „Powiedz Henry’emu i Graysonowi, że zawsze ich kochałem” albo „Liv, przysięgam, jeśli przeżyję, stanę się lepszym człowiekiem!”, ale on tylko siedział w milczeniu, trzymając się za rękę, z głową opartą o ścianę. Widać było, że bardzo go boli. Wiedziałam, co czuje, bo kiedyś w Indiach ukąsił mnie skorpion.

– Przynajmniej wiemy już, że Arthur to nie Secrecy – powiedziała Mia. –

Chyba że pisał notkę na intensywnej terapii. – Znowu zamknęła iPada. – Zauważyłyście, że Secrecy w ostatnim czasie coraz częściej płacze się w swych relacjach? Dziś na przykład obserwowała zaćmienie słońca zarówno z dachu, jak i z dziedzińca. Widzicie? To zdjęcie nieba ilustrujące notkę zamieszczoną o 10.05 zostało zrobione na dziedzińcu, tu widać kawałek ogrodzenia.

– Gdzie? – Florence nachyliła się nad ekranem. – To może być też... cała masa innych rzeczy.

– Nie. To jest ogrodzenie, na pewno, powiększyłam to. – Mia przybrała najlepszą z min à la Sherlock Holmes. – Później, we wpisie, który pojawił się mniej więcej w tym czasie, kiedy Arthur został ukąszony, puściła to zdjęcie z tyłkiem pana Osborne'a wystającym spod płachty zaciemniającej. „Wszystko do dupy”.

– Równie dobrze mógł je zrobić ktoś inny i przesłać na konto Secrecy – podsunęłam myśl. Florence pokiwała zdecydowanie głową.

– Tak, ale cała relacja brzmi tak, jakby napisał ją ktoś znajdujący się na dachu. Więcej: brzmi tak, jakby napisał ją ktoś, kto zna się na fizyce, i tu jest kolejna sprzeczność. – Mia przejechała palcem wskazującym po ekranie. – Tutaj, dwudziestego lutego, Secrecy pisała, że fizyka to przedmiot dla zboczonych nerdów, którzy lubią bawić się w miotaczy piorunów. I że jest szczęśliwa, że nie ciągnie dalej tego kursu. W ostatni poniedziałek to samo napisała o francuskim. A jeszcze w styczniu to był rzekomo jej ulubiony przedmiot.

– Może celowo wprowadza zamieszanie – powiedziała Florence. – I chyba robi to dość skutecznie, sądząc po tym, co mówisz.

Mia pokręciła głową.

– O nie. Jeśli komuś coś się pomieszało, to Secrecy. Analiza różnic merytorycznych i stylistycznych dokładnie to potwierdza.

– Ale żeby analizować wpisy pod względem stylistycznym? Kto robi coś takiego? – Florence prychnęła pogardliwie.

– Ja! – przyznała Mia. – Dobry detektyw musi podążać każdym tropem. A Secrecy większość tropów pozostawia na swoim blogu. Mniej więcej rok temu stylistycznie i tematycznie wszystkie wpisy były dość jednolite, ale potem detektyw Silver namierzyła istotne różnice. Wredna to ona jest zawsze, ta nasza Secrecy, ale czasami jej styl jest zabawny i elegancki, innym razem napuszony i ciężki, raz lubi francuski, raz nie, kiedy indziej zrezygnowała z fizyki i zgrywa się na obrończynię moralności i tak dalej.

– Brzmi dość schizofrenicznie – zauważyła Florence.

– To dobre słowo – zgodziła się Mia i popatrzyła jej głęboko w oczy.

Florence pokręciła głową.

– Miałam na myśli ciebie i tę twoją zabawę w detektywa. – Odsunęła krzesło i wstała. – Nawet specjaliście z dziedziny IT, którego zatrudniła dyrektorka Cook, nie udało się ustalić, kim jest właściciel blogu czyli Secrecy. Może więc lepiej nie

marnuj na to czasu. – Florence chwyciła jeszcze jedną brioszkę i zniknęła w drzwiach.

Mia popatrzyła za nią.

– Też odniosłaś wrażenie, że była trochę wkurzona?

– Tak, trochę. Kiedy ty to wszystko przeanalizowałaś, siostra? – zapytałam ciekawie. Ogarnęło mnie przeświadczenie, że coś przede mną zataiła.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Niezadawanie się z chłopakami ma swoje plusy, wiesz? Ma się dużo więcej czasu na inne sprawy.

– Więc kim, twoim zdaniem, jest Secrecy? Florence nadal jest na liście podejrzanych?

Mia energicznym gestem zamknęła iPada i długo patrzyła na mnie znad okularów.

– Powiedzmy, że lista jest już dość krótka – powiedziała niskim głosem.

– Niestety, na obecnym etapie śledztwa nie mogę się wypowiadać, ale kiedy już będę mieć pewność, dowiesz się pierwsza.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Sądząc po jej minie, korciło ją, żeby się wygadać. Wiedziałam, że gdybym odpowiednio na nią naciskała, wyciągnęłabym z niej jeszcze kilka informacji.

Chciałam powiedzieć: „No weź, przecież nie mamy przed sobą tajemnic”, ale przypomniałam sobie, że to nie była prawda. Ja miałam całkiem sporo sekretów przed Mią, mrocznych sekretów. Na myśl o tym, jak zareagowałaby na wiadomość, że Arthur śledził ją w snach, by przekazywać informacje Secrecy, odechciało mi się śmiać.

– Bądź ostrożna, Mio – powiedziałam. – Secrecy stosuje mnóstwo podłych sztuczek, jest pozbawioną skrupułów zmiją i pośrednio lub bezpośrednio dysponuje metodami, o których tobie... może się nawet nie śniło.

– Nie martw się. – Mia znowu mówiła swym normalnym głosem. – Zawsze i wszędzie spodziewam się najbardziej niemożliwych rzeczy. Secrecy może i jest sprytna i przebiegła, ale prywatny detektyw Mia Silver zawsze jest ciut sprytniejsza. Do tej pory udało mi się rozwiązać każdą zagadkę. – Nadstawiła ucha. – Nie wydaje ci się, że panuje dziwna cisza? Może powinniśmy zobaczyć, czy mama jeszcze żyje. Może Bochra ukatrupiła ją tą swoją listą gości. – Wzięła do ręki brioszkę, podzieliła ją sprawiedliwie na dwie części i jedną dała Buttercup, która dysząc, cierpliwie siedziała obok niej. – Myflif, sze Lottie i Farles już się pogodzili? – zapytała z pełną buzią.

– Ty mi to powiedz, detektyw Silver. – Pociągnęłam wreszcie łyk kawy. Z tego wszystkiego zapomniałam ją wypić. W tym czasie wystygła. Mniejsza o to, kofeina działa i tak.



– Jaki wąż? – Anabel otworzyła szeroko oczy. Spotkaliśmy ją, jak zawsze, w korytarzu, gdzie najwyraźniej czekała na nas, tym razem jako skrzynka na listy przy drzwiach dyrektorki Cook.

– Mokasyn gładki – powtórzył Grayson, który niemal równocześnie ze mną wyszedł przez swoje drzwi. Kiedy skrzynka na listy odezwała się ludzkim głosem, podskoczył do góry jeszcze gwałtowniej niż ja.

– Bardzo jadowity. Z tego względu policja zapewne podejmie śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa.

Ach, naprawdę? A może Grayson wymyślił to sobie, żeby sprowokować Anabel?

– Arthur miał szczęście, że w szpitalu wiedzieli, co robić – ciągnął. – W Tajlandii co roku mnóstwo ludzi umiera na skutek ataku tego węża. – Wzdrygnął się. – Tylko nie szukajcie w Internecie zdjęć z ranami po ukąszeniach.

– Czyli przeżyje? – upewniła się Anabel, która naturalnie nie była już skrzynką na listy. Skręcała w palcach kosmyk złocistych włosów.

Grayson przytaknął.

– Owszem. – Niewiele brakowało, a wyrwałoby mi się „niestety”. Z przestachem wciągnęłam powietrze. Więc do tego już doszło: wołałam, by Arthur nie żył, niż by kontynuował to, co zaczął.

Z twarzy Anabel nie dało się wyczytać ani żalu, ani radości.

– Ale skąd ten wąż wziął się w szafce Arthura? – zapytała. Po raz pierwszy, odkąd ją znałam, sprawiała wrażenie nierozgarniętej. Wymieniliśmy z Graysonem spojrzenia.

– Właśnie, oto jest pytanie – powiedziałam powoli. – Ten, kto go tam podrzucił, musiał znać kod do szafki, bo zamek nie był wyłamany.

– Tak, ale... no wiecie, skąd w ogóle wziąć takiego węża? Można je kupić w sklepie? – zastanawiała się Anabel.

Grayson pokręcił głową.

– Bzdura. Właściciele jadowitych węży muszą mieć stosowne dokumenty i pozwolenia, a... nikt, zdaje się, nie zgłosił braku takiego węża – ani zoo, ani

zaden z ośrodków hodowli gadów w Londynie i okolicach.

– Dziwne. – Anabel przygryzła wargę. – Bo... – urwała i rozejrzała się wokół.

– Bo ty jesteś jedyną osobą, która zna kod do szafki Arthura? – dokończyłam za nią. – Tak przynajmniej twierdzi Arthur.

– Co? – spytała skonsternowana. – Owszem, jeśli nie zmienił kombinacji cyfr, to rzeczywiście go znam. Ale co to ma... Och, rozumiem.

Alleluja, długo to trwało.

– To byłeś ty? – zapytał prosto z mostu Grayson.

– Nie, oczywiście, że nie – zaprzeczyła. – Boże miłosierny, ja się panicznie boję węży, w życiu żadnego bym nie dotknęła! Nawet nie wiedziałabym jak. Serio, że też możecie wierzyć w coś takiego! – Pokręciła energicznie głową.

– No wiesz – powiedział przeciągle Grayson. – Dobrowolnie może byś tego nie zrobiła, ale jeśli de... – chrząknął – jeśli ktoś rozkazałby ci to zrobić, ktoś, komu... eee... – Grayson zaczął się plątać. Nie zauważył, że światło zaczęło się zmieniać, a z sufitu, wirując, opadło czarne pióro.

Tylko nie to! Nie wiedziałam, czy się wkurzyć, czy panikować. Moje ciało wybrało, niestety, to drugie: na widok pióra odruchowo dostałam gęziej skórki, a moje serce zabiło szybciej.

– To nie byłam ja – powtórzyła Anabel. – I nie zrobiłam tego w jego imieniu. Pociemniało jeszcze bardziej.

– Może... – Grayson zawahał się. – Może nie pamiętasz.

– Czego nie pamiętam? – zapytała z rozdrażnieniem Anabel. – Że ukradłam gdzieś jadowitego węża, wparowałam z nim do swojej byłej szkoły, żeby zamordować swojego byłego chłopaka? – Prychnęła przez nos i odrzuciła włosy na plecy. To była taka Anabel, jaką znaliśmy. – Nie sądzę, żebym zapomniała coś takiego.

– Ale czy to nie należy do objawów twojej choroby?

– Nie mam zaników pamięci! – Anabel z oburzeniem weszła w słowo Graysonowi. I nieco spokojniej dodała: – Nie rozumiecie? Gdybym zrobiła to na jego polecenie, nie wypierałabym się tego, bo i po co?

Posypało się więcej piór. Anabel złapała jedno z nich na dłoń. Widok ten jednocześnie uspokajał ją i cieszył. Uśmiechnęła się.

– Upierzony Władca ma nieskończoną moc, kiedy to wreszcie pojmiecie? Jeśli chciał zesłać węża, by ukarać Arthura, to nie potrzebował do tego pomocników. – Odchyliła głowę, uniosła ręce, a jej głos stał się głośniejszy i pełen namaszczenia. – Gdyż on jest panem stworzeń nocy, węże wyrastają z jego głowy...

– To chyba raczej Meduza – mruknął Grayson. Odciągnęłam go. Zbyt często stałam na tym przeklętym korytarzu z porażaną Anabel, a sądząc po tym, jak

właśnie dawała się ponieść emocjom podczas swojego demonicznego kazania, sytuacja w każdej chwili mogła się pogorszyć. To zaś mogło oznaczać, że zamiast piór z sufitu polecą węże.

Grayson też się chyba zorientował, że to nie był odpowiedni nastrój na rozsądną rozmowę. Ochoczo podążył za mną za najbliższy załom muru, gdzie jak na komendę puściliśmy się biegiem.

– Skoro okazał łaskę Arthurowi, to może dla was też jest jeszcze jakaś nadzieja – zawołała za nami Anabel. – Jeszcze możecie okazać skruchę.

– Albo po prostu szybciej pobiec – wysapał Grayson.

Rzuciłam spojrzenie przez ramię. Anabel została za rogiem. Na próbę uniosłam palec. Nie było żadnych śledzących nas podmuchów ani podejrzanych skrzynek na listy w zasięgu wzroku. Nie spadł też deszcz węży ani piór, którego tak się obawiałam.

Mimo to nie zaszkodziło przystać na propozycję Graysona. I dlatego, kiedy pchnęliśmy drzwi pani Honeycutt, byliśmy dość zziębnięci.

– Wejdziesz, jeśliś nie śmierć – zaskrzeczała papuga.

Pani Honeycutt siedziała jak zawsze w fotelu. Kiedy drzwi zamknęły się za nami, odłożyła robótkę i z zaciekawieniem obrzuciła nas wzrokiem.

– To tylko my. Nie śmierć – powiedział szybko Grayson.

– Nie boję się śmierci – odparła pani Honeycutt. Henry, który w głębi pokoju stał oparty o nasz stolik, skrzywił się mimowolnie. – Boję się tylko umierania. Co to w ogóle za drzwi?

– Proszę sobie nie przeszkadzać, pani Honeycutt, proszę dziergać dalej – odezwał się łagodnie Henry, przywołując nas gestem. – Trzeba przecież skończyć ten sweterek. A wzór wymaga pani pełnej uwagi. Doskonale pani to robi.

Staruszka podniosła robótkę i podjęła swą czynność. Na palcach przeszliśmy obok niej. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie.

– Widzę was – powiedziała z szelmowskim uśmiechem. – Bo ścieg „plaster miodu” to ja potrafię robić z zamkniętymi oczami. Teraz tylko muszę uważać przy podcięciu rękawów...

– No właśnie – zaszczebotał Henry. – Proszę się skupić na podcięciu rękawów. – A do nas zwrócił się ze słowami: – Rany, niewiele brakowało. Niech zgadnę: znowu gonilo was coś złego?

Opadłam na krzesło.

– Anabel, pióra, ciemność, czyli to, co zwykle.

– Anabel twierdzi, że to nie ona podrzuciła węża, że to sprawka demona. Hej, tego chyba nie było ostatnim razem, co? – Grayson wskazał stojącą na stoliku porcelanową miseczkę w kwiatki wypełnioną cukierkami.

– Nie, jest nowa – powiedział z westchnieniem Henry. – Podświadomość pani Honeycutt postawiła ją specjalnie dla nas.

– To miłe. – Wzruszona zerknęłam na staruszkę, która pochyliła przypominającą liliowy motek głowę nad robótką. Każde z nas wzięło po cukierku, mój miał smak cytrynowy, Henry’ego miętowy, a Grayson poskarżył się, że jego nie ma smaku. Zdaliśmy Henry’emu relację z rozmowy z Anabel.

– A jeśli to rzeczywiście nie była ona? – zapytałam na koniec i dla odmiany wybrałam smak pomarańczowy. – Może rzeczywiście węża podrzucił ktoś inny, ktoś, kto chciał dać Arthurowi nauczkę?

Na przykład demon? Któremu, według Anabel, węże wyrastały bezpośrednio z głowy, co było bardzo praktyczne. Mimo wszystko dopiero przed chwilą wspomniała o tym po raz pierwszy, zupełnie jakby przygoda Arthura podsunęła jej ten pomysł.

Henry chyba czytał w moich myślach.

– Demon nie istnieje, Liv! – powiedział uprzejmie. – I dobrze o tym wiesz, jeśli tylko wsłuchasz się w głos rozsądku.

– Ale dopóki demon istnieje w wyobraźni Anabel, jest niemal tak samo niebezpieczny. – Grayson poczęstował się kolejnym cukierkiem i odwinął go z papierka. Przestało mu jakoś przeszkadzać, że był bez smaku. – Ja w każdym razie nie chciałbym być ukąszony przez węża ani ukarany w inny sposób! Dlatego najważniejsze jest udowodnić Anabel, że demona nie ma.

– Tak, i mnie również – dodałam. – Mój głos rozsądku ma bowiem w tej chwili pewne problemy z węzami i piórami...

– OK, nic prostszego. – Grayson nachylił się i oparł łokciami o stół. – Poszperałem trochę i znalazłem więcej informacji o tej sekcji.

Wymieniliśmy z Henrym spojrzenia.

– Ach, plan trójfazowy – powiedział przeciągle Henry. – Ciągłe jesteśmy w fazie pierwszej?

Grayson nie dał się zbić z tropu jego drwiącym tonem.

– Słuchajcie i podziwiajcie – zaczął. – Metamorfowie Prawdziwej Ścieżki Cienia powstał z inicjatywy bezrobotnego dekarza z Liverpoolu. Nazywał się Timothy Donnelly, był synem irlandzkiego robotnika i przedszkolanki i przez pierwsze dwadzieścia pięć lat żył całkiem normalnie. Aż nagle, kiedy dwa razy z rzędu wywalili go z roboty, zaczął odbierać wiadomości z zaświatów. Demoniczne bóstwo wybrało go, by pomógł stworzyć nowy raj na ziemi i sprowadzić ludzi na właściwą ścieżkę. – Zdjął łokcie ze stołu, odchylił się i uśmiechnął do mnie szeroko. – No dobra, teraz ty mi powiedz, co na to twój głos rozsądku.

– To brzmi, jakby biedny dekarz miał coś nie tak z dekletem – przyznałam. – Albo nie chciało mu się chodzić do pracy i zapragnął robić coś nowego.

– Właśnie – potwierdził z zadowoleniem Grayson. – Prawdopodobieństwo, że jakieś demoniczne bóstwo uczyniło swym wybrańcem akurat bezrobotnego

dekarza z Liverpoolu, żeby sprowadzić ludzkość na właściwą ścieżkę, moim zdaniem jest bliskie zeru. Koleś po prostu albo był świrem, albo oszustem, albo i jedno, i drugie.

– Mimo wszystko udało mu się przekonać do swego pomysłu kilka osób. – Henry zaczął budować z cukierków piramidę. – Ludzi, których uczynił uczniami i którzy na koniec stracili życie w tej stodole, z jakiego powodu by to nie było...

– Och, mówicie o tej strasznej historii, która wydarzyła się w Surrey? – wtrąciła się niespodziewanie pani Honeycutt. – Pamiętam, wszędzie o tym pisali. Biedne małe dzieciaczki. Oblane naftą przez te pogubione dusze, przez własne matki i ojców, i... – Odłożyła robótkę. – Przerażające. A podobno nikt nic wcześniej nie zauważył. Zawsze tak jest.

Grayson przytaknął.

– Mieszkali w starym, opuszczonym młynie, gdzieś na odludziu, bez sąsiadów.

– Okropne miejsce. Do dziś mam w głowie te obrazy. – Pani Honeycutt wzdrygnęła się. – Całe ściany pokryte były jakimiś szatańskimi symbolami, i to wymalowanymi ludzką krwią, tak pisali w „Daily Mirror”.

– Pewnie niełatwo było potem sprzedać taką nieruchomość – mruknął Henry. Myślami powróciłam do Anabel. I ludzkiej krwi.

– A właśnie, jeśli demon wtedy... – zaczęłam nieśmiało.

Grayson poderwał się na równe nogi.

– Do cholery, Livvy, ustalmy raz na zawsze: nie ma żadnych demonów! A tego konkretnego w szczególności. Pamiętacie, jakie zamieszanie robiła zawsze Anabel wokół tej zakurzonej starej książki, z której czerpała wszystkie te zaklęcia i rytuały? Będącej rzekomo od pokoleń w posiadaniu jej rodziny?

Skinęłam głową, przywołując w pamięci notes z krwistoczerwonymi pieczęciami, który przy wtórze przeraźliwych krzyków Anabel spłonął na cmentarzu Highgate. Nie wyglądał na tak wiekowy, jak sobie wyobrażałam, ale Arthur wyjaśnił, że to była kopia. Pamiętam swoje rozczarowanie na widok nabazgranych długopisem kulfonów.

– Jasne, że tak – przytaknął Henry. – Anabel, a później Arthur zawsze trzymali ją pod kluczem. Między formułkami zaklęć widniały upiorne krwawe odciski palców, a ostatnie strony były zapieczętowane, a tak chętnie dowiedziałbym się, co zawierały...

– Właśnie – zgodził się Grayson. – Ale jeśli ta książka naprawdę była taka wyjątkowa, to dlaczego wszystkie te ściśle tajne rytuały, które miały otworzyć czcigodnemu Panu Mroku bramę do naszego wymiaru, są dostępne dla każdego w Internecie?

– Co?

Grayson z zadowoleniem pokiwał głową.

– Wiedziałem, że was to zainteresuje. Nasze ściśle tajne formułki można znaleźć w powieści w odcinkach, którą wrzucił na forum fanfików fantasy niejaki BloodySword66.

Wlepiłam w niego spojrzenie. Henry również nie odrywał od niego wzroku. Nawet pani Honeycutt popatrzyła na Graysona przez chwilę, po czym wróciła do swojej robótki.

– To na pewno były nasze zaklęcia? – zapytał w końcu Henry. – Może tylko coś podobnego?

– Czy inaczej bym tutaj był? – Grayson uderzył się w piersi. – Pięcioro złamało pieczęć, pięcioro złożyło przysięgę i pięcioro otworzy bramę. Krąg dzikiej, niewinnej, uczciwej, odważnej, wolnej krwi... – deklamował. – Zapewnijcie Władcy Cieni dostęp. *Sed omnes una manet nox.*

Zdumiałam się.

– Znasz to jeszcze na pamięć?

– Odświeżyłem sobie – wyjaśnił Grayson. – Wpisałem do wyszukiwarki wszystkie durne pojęcia i frazesy, jakie mogłem sobie przypomnieć, do tego te łacińskie kawałki, które Anabel cytowała z książki. Trik polegał na tym, żeby nie wrzucać ich pojedynczo, tylko wszystkie naraz. – Przerwał dla zwiększenia efektu. W powstałej ciszy słychać było jedynie postukiwanie drutów pani Honeycutt. Popatrzył na nas triumfalnie. – I kto szuka, ten znajduje. *Noce krwawych cieni*, powieść w odcinkach licząca jedenaście rozdziałów.

– Wow – rzucił z podziwem Henry.

Nie ujęłabym tego lepiej.

Po twarzy Graysona przemknął cień.

– Zaskoczyłem was, co? Kiedy więc następnym razem będziecie chcieli nabijać się z mojego planu trójfazowego albo szpanować, że zamieniacie się w... bo ja wiem, parę łyżew, które w całkowitej harmonii pomykają po tych kretyńskich korytarzach, to przypomnę wam, co można osiągnąć dzięki rzetelnej pracy badawczej.

Zaczął mi przypominać Mię. Mogliby we dwójkę założyć prywatne biuro detektywistyczne. Ale oczywiście miał rację.

– Para łyżew! – zaśmiał się Henry.

– A o co chodzi z tym forum fanfików? – zapytałam. – Czy ten tekst mogła umieścić tam Anabel? Albo Arthur?

Grayson usiadł z powrotem.

– O ile w wieku dwóch lat umieli już pisać i obsługiwać komputer, to owszem – powiedział. – *Noce krwawych cieni* wrzucono na forum w 1999 roku.

– 1999? To wtedy był już Internet? – mruknęłam. Henry zmarszczył brwi, jakby dokonywał w myślach skomplikowanych obliczeń.

Grayson ciągnął dalej.

– Rozumiecie, co to oznacza? – Uroczyście potoczył po nas wzrokiem. – Nie wiem wprawdzie, jak i dlaczego, ale BloodySword66 napisał powieść na podstawie zeszytu Anabel.

Henry powoli pokiwał głową. Na jawie jego cukierkowa piramida już dawno by się zawaliła, ale tutaj urosła do pokaźnych rozmiarów.

– Powstaje pytanie, co było pierwsze: zeszyt czy historia tego BloodySword66? I co to wszystko ma wspólnego z sektą?

– A jeśli oni są ze sobą powiązani? – wydusiłam z siebie. – Jeśli te wszystkie demoniczne dyrdymały w rzeczywistości zaczerpnięte zostały z powieści wymyślonej na potrzeby forum przez jakiegoś pisarza z bożej łaski?

– Mam nadzieję, że tak właśnie było – rzekł z pałającym wzrokiem Grayson. – Nawiasem mówiąc, ta powieść to gniot. Chyba w życiu nie widziałem takiego nagromadzenia przymiotników. Sam pomysł też zresztą nie jest nowy. Demoniczne, prastare bóstwo o znanych nam imionach budzi się do życia w Muzeum Sztuki Starożytnej, kiedy wraz z innymi znalezionymi podczas wykopalisk przedmiotami zostaje przetransportowane w starej amforze z niegdysiejszej Babilonii do Londynu.

– Jakie oryginalne – orzekł Henry.

– Dalej jest równie nietypowo. – Grayson odchylił się z uśmiechem. – Pewien młody, poczciwy archeolog-dziwak, niecieszący się zbyt powodzeniem u kobiet, zostaje wybrany przez bóstwo, by przy użyciu rozmaitych dokładnie opisanych formułek i zaklęć dopomóc mu w uzyskaniu fizycznej postaci, początkowo bowiem bóstwo jest zaledwie głosem i składa się z ciemnego dymu, wiatru i cienia. I niezłomnej woli, którą potrafi każdemu narzucić.

– Niech zgadnę, konieczna jest ofiara z dziewicy – wtrąciłam, a Grayson skinął głową. – Tak, właśnie, i w tej roli miała wystąpić młodsza i niepozorna siostra pewnej zarozumiałej żony, która to żona wielokrotnie i w nader krzywdzący sposób dawała kosza naszemu archeologowi. Ta mała jest w sumie o wiele sympatyczniejsza od swojej siostry, o czym archeolog przekonuje się jednak znacznie później.

– W zasadzie brzmi całkiem ciekawie – musiałam przyznać.

– Ale nie jest, niestety, poza tym wszystko jest zbyt pogmatwane, za dużo bohaterów, za dużo imion. Pojawiają się jeszcze inne bóstwa, między innymi gadający ludzkim głosem skarabeusz, który później przejmuje kontrolę nad sympatyczną siostrą, następują niekończące się dialogi, absurdałki walki na miecze i nudne opisy codzienności. Po jedenastym rozdziale historia nagle się urywa. Ludzie na forum i tak byli średnio zachwyceni, ale na koniec posypało się więcej krytyki niż pochwał. Obawiam się, że BloodySword66 stracił wątek. Albo ochotę.

– Albo założył sektę – snułam przypuszczenia. – Albo było całkiem inaczej i...

– Mniejsza o to, jak było, ja się tego dowiem – przerwał mi triumfalnie Grayson. – Niestety forum zostało zlikwidowane kilka lat temu i nie ma stopki redakcyjnej. Ale jednego z administratorów znalazłem na innym forum. Ci fani fantasy wszędzie rejestrują się pod tym samym nickiem. No i nawiązałem z nim kontakt. Może przez niego uda mi się ustalić, kto się kryje pod ksywką BloodySword66, wtedy mógłbym zgłębić sprawę i ostatecznie udowodnić Anabel, że jej urojenia bazują na tym gnioście.

Tak. To był jakiś trop. Absolutnie wspaniale. Ale...

– Czy w tym gnioście występują też pióra? Mam na myśli, czy ten demon ma skrzydła? – chciałam wiedzieć. – A co ze snami? Też stanowią pewien wątek w tej historii?

Grayson nie odpowiedział, tylko popatrzył na sufit.

– Słyszeliście to? Brzmi jak wentylator. Mój wentylator.

Też popatrzyliśmy w górę. Nad naszymi głowami wisiała lampa z abażurem w kolorowe wzorki. Nic nie było słychać.

– To przecież... – powiedział Grayson, a potem nagle zniknął.

– Nikt nie wie, ile będzie żył, dopóki nie wybije jego ostatnia godzina – zaskrzeczała papuga.



Blog Frognal Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

21 marca

Czy was też oblatuje strach na myśl o tym, co będzie, jak jutro otworzycie swoje szafki? Zastanawiacie się, co jeszcze wydarzy się w naszej szkole? Może podpisaście już petycję, w wielkim pośpiechu przygotowaną przez panią Pritchard (mamę Hazel-żałuję-że-po-urodzeniu-nie-oddano-mnie-do-adopcji-Pritchard), domagającej się zatrudnienia w szkole odpowiednio przeszkolonej ochrony?

Cóż, jeśli wierzyć policji i dyrektorce Cook, ta historia z węzem to był jednorazowy incydent. Ich zdaniem chodziło zaledwie o szczeniacki wybryk, żart, który źle się skończył i oczywiście powinien zostać gruntownie wyjaśniony, a jego sprawca ukarany.

Właśnie!!! Przecież to zupełnie normalne, że ktoś z nudów i przez burzę hormonów podkłada egzotycznego jadowitego węża do szafki ucznia, żeby sobie zażartować, prawda? Te porozkładane wszędzie uciążliwe jadowite węże tylko prowokują do głupich wybryków.

Pani Pritchard patrzy na to jednak zupełnie inaczej niż dyrektorka Cook i policja i w swej petycji żąda przeprowadzenia gruntownej inspekcji wszystkich szafek przez znający się na węzach personel, zanim uczniowie będą mogli wrócić

do szkoły.

Bardzo dobry pomysł! Niewykluczone bowiem, że chodzi tu o pospolitą brytyjską żmiję szafkową, która rozmnaża się między torbami sportowymi i podniszczonymi podręcznikami i prędzej czy później ukąsi każdego, kto zrezygnował z francuskiego albo zjadł na obiad za dużo węglowodanów. Ostrożności nigdy za wiele. I może przy okazji inspektorzy znajdą jeszcze kilka czyhających w szafkach tarantul, skorpionów i tygrysów syberyjskich – pozostałości po zabawnych uczniowskich żartach albo zwykłej niedbałości personelu sprzątającego, co już od dawna piętnuje pani Kaszmirowy-płaszcz-mojej-córki-został-kompletnie-zniszczony-przez-brudny-hacz yk-w-szatni-Pritchard.

A teraz na poważnie: Arthura ukąsił mokasyn gładki i nie wiadomo, skąd to bydlę wzięło się akurat w jego szafce. Szczęśliwie Arthur miał nieprawdopodobnego farta, bo ukąszenie tego węża nierzadko kończy się śmiercią. W szpitalu, do którego przewieziono Arthura, podano mu adrenalinę i odtrutkę. Jego stan nadal jest nieciekawym.

Jeśli zaś chodzi o osobę, która pozwoliła sobie na ten „żarcik”, to życzę jej, by policja ją złapała. I to jak najprędzej, zanim zrobi jeszcze kilka innych, podobnych „dowcipów”. Najwyraźniej mamy odmienne poczucie humoru.

Widzimy się

Wasza Secrecy

PS I nie, to nie była sprawka Theo Ellisa, który nie chciał dopuścić, aby Arthur podczas ostatniego meczu przechylił szalę zwycięstwa na korzyść Frognał Flames! To naprawdę najbardziej idiotyczna teoria spiskowa, jaką kiedykolwiek słyszałam. Bo, po pierwsze, Theo Ellis ma teraz dość innych problemów na głowie (oskarżenie o włamanie, kradzież, uszkodzenie mienia i zakłócenie spokoju to nie bułka z masłem, nawet jeśli do czasu procesu pozwolono Theo chodzić do szkoły), a po drugie, Flamesi, w przeciwieństwie do Roslyn Raptors, i tak nie mają już szans na mistrzostwo ani uplasowanie się w pierwszej trójce. O wiele bardziej prawdopodobna wydaje się teoria, według której wąż sam wpelzł do szafki, bo znał szyfr □.

Tittletattleblog.wordpress.com



– Nikt nie wie, ile będzie żył, dopóki nie wybije jego ostatnia godzina – zaskrzeczała ponownie papuga. Nadal gapiliśmy się na puste krzesło, na którym jeszcze przed chwilą siedział Grayson.

Odruchowo chwyciłam Henry’ego za rękę.

– Czy młody, czy stary, pozna śmierci fanfary – zawtórowała jej pani Honeycutt. – Choćby moja biedna siostra. Pozbawiona życia w kwiecie wieku, podstępnie uduszona przez własnego męża...

Dostałam gęsiej skórki.

– Powiedz, proszę, że Grayson tylko się obudził – szepnęłam.

Henry uspokajająco ścisnął moją dłoń.

– On się po prostu obudził – zapewnił. – Szkoda. Chciałem wam pokazać coś, co znalazłem jakiś czas temu... Bardzo interesujące odkrycie.

Jeszcze jedno? Czyżby wszyscy poza mną nieustannie poszukiwali informacji? Już prawie miałam wyrzuty sumienia, że tak bardzo się leniłam pod tym względem.

Henry uśmiechnął się, jakby czytał w moich myślach.

– Natknąłem się na to przypadkowo, kiedy chciałem zaszpanować i sunąłem przez korytarze jako łyżwa.

Roześmiałam się, ale tylko na chwilę, ponieważ pani Honeycutt opuściła robótkę, odwróciła się do nas i popatrzyła z namysłem.

– Kiedyś też bałam się śmierci. Ale myślę, że nie trzeba się jej obawiać. Po prostu przepływa się do innego świata...

Jeszcze nie skończyła, kiedy kolory w pokoju zaczęły się zmieniać, barwne wzory na meblach i tapetach pobladły, do pomieszczenia wsączyło się chłodne, spokojne światło. Sufit podniósł się i przeszklił, pokój rozrósł się, kwiatki, klatka z papugą i rozliczne bibeloty poszybowały w górę i stały się przezroczyste. Kiedy nasze krzesła odpłynęły, uczepliłam się kurczowo Henry’ego. Pani Honeycutt, lecąc w fotelu, pomachała do nas wesoło. Nie było wątpliwości: jej salon powoli, ale nieuchronnie zamieniał się w coś w rodzaju akwarium. Meble znikwały, ściany rozstępowały się, a ja z przestachem obserwowałam, jak drzwi na korytarz

oddalają się coraz bardziej. Chciałam coś powiedzieć do Henry'ego, ale z moich ust wydobyły się jedynie bąbelki. Pomieszczenie zamiast powietrzem wypełniło się prześwieloną blaskiem wodą.

Ogarnął mnie prawdziwy strach.

– To umieranie – usłyszałam przyjazny głos pani Honeycutt. W przeciwieństwie do mnie mogła mówić, ale nie widać było ani jej fotela, ani jej samej. Za to wokół nas pływały przepięknie połyskujące ryby, które zdawały się prześwitywać, jakby ktoś namalował je srebrnym tuszem bezpośrednio na wodzie. – To nie śmierci się boję, tylko momentu, gdy człowiek musi pożegnać się ze swym ciałem – ciągnęła pani Honeycutt. – Momentu ostatniego oddechu.

Ta chwila właśnie dla mnie nadeszła. Potrzebny mi był... natychmiast... sprzęt do nurkowania... albo skrzela... Pomocy!

Zerknęłam na Henry'ego. Zobaczyłam na jego twarzy panikę, co wcale nie poprawiało sytuacji. Henry nigdy się nie bał.

Pokazał na oddalające się drzwi. Nie mogłam już skinąć głową, puściłam jego rękę i popłynęłam najszybciej jak się dało w ich stronę. Nadal nie mogłam oddychać, choć doskonale wiedziałam, że to sen, a we śnie można oddychać pod wodą bez żadnego wsparcia. Tylko jakoś mi się to nie udawało.

To nie była zwyczajna woda. Odnosiłam wrażenie, że to płynne, chłodne światło, ani zbyt zimne, ani zbyt ciepłe, a jak dobrze pomacać, to nie było nawet mokre.

– A wtedy trzeba po prostu ustąpić i dać się ponieść do innego świata. – Głos pani Honeycutt zdawał się dochodzić z bardzo, bardzo daleka i brzmiał tak radośnie, że nagle ogarnął mnie całkowity spokój.

Otworzyłam usta i pozwoliłam wodzie wpłynąć do mych płuc. Nie bolało ani trochę, a woda dawała mi poczucie nieważkości. Zaczęłam połyskiwać srebrzyście jak ryby, stałam się częścią płynnego światła, które niesło mnie, dokąd tylko chciałam, do innego świata, w którym nie było zła.

Obok mnie pojawiła się twarz Henry'ego. Chwycił mnie za rękę. Uderzyłam głową o coś twardego, a sekundę później wylądowałam ciężko na tyłku, chwytając gwałtownie powietrze.

– A niech to cholera! – wydusił z siebie Henry. Znajdowaliśmy się po drugiej stronie drzwi, w korytarzu, bez najmniejszej kropelki wody ze snu pani Honeycutt na sobie. Ogarnął mnie dziwny żal, kiedy Henry zdecydowanie zamknął za nami drzwi. W środku panował taki spokój. Za to tutaj...

Henry podał mi rękę, żeby pomóc mi wstać na nogi.

– Wszystko z tobą w porządku? – Jego twarz zdawała się jeszcze bledsza niż zwykle. – To wyglądało, jakbyś... jakbyś się rozplywała.

– Tak, chyba tak właśnie było. – Nadal łapczywie chwytalam powietrze i dziwiłam się, że nie muszę kaszleć. – Może umieranie wcale nie jest takie złe.

Może człowiek rzeczywiście przepływa do innego świata, w którym wszystko jest spokojne, jasne i dobre.

Henry chwycił mnie za ramiona.

– Nie mów tego w taki tęskny sposób, Liv. Boję się tego. – Przyciągnął mnie do piersi. – Przecież tak bardzo cię potrzebuję – wymruczał w moje włosy.

Poczułam nagle gulę w gardle, która sprawiła, że nie mogłam nic odpowiedzieć. Zresztą i tak nie byłoby to nic oryginalnego, tylko banalne „Ja ciebie też”.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i pocałowałam go. To też była jakaś riposta, może nawet jedna z lepszych.

Henry w każdym razie westchnął lekko i przyciągnął mnie bliżej do siebie. W mojej głowie odezwał się nieśmiały głosik, przypominający mi o zbliżających się feriach, ale uciszyłam go energicznie. Henry zbyt dobrze całował, żebym miała zdręzczać się teraz takimi myślami. Choć ferie rzeczywiście były za pasem, a poza tym...

– Pani Honeycutt chyba właśnie nie umarła naprawdę, co?

– Nie, bez obaw. Ona tylko czasem śni o umieraniu – mruknął Henry i swoimi sposobami sprawił, że przestałam o tym myśleć. Powinien opatentować tę swoją metodę głaskania po karku. Chyba dobrze wiedział, jak to na mnie działa, bo kiedy przerwał na moment nasz pocałunek, by obejrzeć się przez ramię, uśmiechał się z wielkim zadowoleniem.

Co, niestety, przywróciło mnie do rzeczywistości.

– Czy ty nie miałaś mi czegoś pokazać? – zapytałam, kiedy ponownie zwrócił się ku mnie.

– A miałem? – W skupieniu wpatrywał się w moje usta. Byłam o krok od tego, by ponownie zarzucić mu ręce na szyję. On jednak chyba sam doszedł do wniosku, że to ani odpowiednie miejsce, ani czas na coś takiego.

Z westchnieniem żalu zdjął rękę z mojego karku i obrócił mnie w swych objęciach tak, że znalazłam się plecami do niego.

– Widzisz tamte drzwi?

Skinęłam głową, opierając się o niego. W jego ramionach było mi tak przytulnie jak przed chwilą w wodzie.

Obrzuciłam spojrzeniem odkrycie Henry’ego. Były to drewniane, pomalowane na wesoły żółty kolor drzwi prowadzące do sklepu o nazwie „Little Sister’s Yarn Barn”, jak obwieszczala owalna tabliczka.

– Zawsze tu były? – Nigdy wcześniej nie rzuciły mi się w oczy, ale do tej pory zwykle wpadałam tu w wielkim pośpiechu. Zachwyciłam się śmieszną klamką w wydzierganym kolorowym pokrowcu. Doniczki ze słonecznikami, stojące po obu stronach drzwi, też miały prążkowane, robione na drutach powłoczki. Na szybce pośrodku widniał napis: „*All you knit is love*”. A pod spodem: „Wejdz

i znajdź włóczkę swych marzeń”.

– To mógłby być sklepik pani Honeycutt.

– Właśnie. – Henry puścił mnie, przeszedł kilka kroków korytarzem w jedną, potem w drugą stronę, po czym wrócił, zainstalowawszy wpierw swoje migoczące tajemniczo pola siłowe. – Chcę tylko mieć pewność, że Arthurowi nie zaczęło się nudzić w szpitalnym łóżku i nie łązi tu gdzieś – wyjaśnił. Potem wskazał na drzwi do sklepu z włóczkami. – Widzisz inicjały na wycieraczce? Jestem pewien, że M.H. oznacza Muriel Honeycutt, siostrę pani Honeycutt. Zdaje się, że we śnie nigdy nie porzuciła swego panińskiego nazwiska.

Dotknęłam obleczonej włóczką klamki. Tak, pasowała doskonale.

– Pani Honeycutt mówiła, że Muriel cały czas dziergała pokrowce na wszystko, nawet na rower. – Zawahałam się. – Ale skoro ona nie żyje, to co jest za tymi drzwiami? A może... – Popatrzyłam z nadzieją na Henry’ego. – Może ona umarła tylko w koszmarach pani Honeycutt?

Henry pokręcił głową.

– Nie, Muriel naprawdę nie żyje, od 1977 roku, sprawdziłem to. Na jawie – dodał z półśmiechem, ale zaraz spoważniał. – Zmarła we śnie, podobno na astmę, ale pani Honeycutt do dziś podejrzewa swojego szwagra Alfreda, że trochę w tym dopomógł. Sam skończył nędznie niedługo po niej, umierając na marskość wątroby.

Przypomniały mi się nasze spotkania z Alfredem z kwiecistą poduchą i strach w oczach pani Honeycutt. Pokiwałam ponuro głową. Ani trochę nie żałowałam jego wątroby.

– To okropne, że do dziś dręczą ją te kosmary. – Ze smutkiem pogładziłam pomalowane drewno drzwi. – Siostry naprawdę musiały się bardzo kochać, skoro ich drzwi po tylu latach są tak blisko siebie. Już sama nazwa, jaką nadała swojemu sklepikowi, „Little Sister’s Yarn Barn”, jest taka słodka, prawda? – Naturalnie przyszła mi do głowy Mia. Zanim zaczęłam się mazać ze wzruszenia, odwróciłam się szybko do Henry’ego. – Ale to mimo wszystko dziwne, że zmarli zachowują swoje drzwi. – Powędrowałam spojrzeniem wzdłuż korytarza. – Ile drzwi z tych tutaj może należeć do zmarłych?

– Żadne – oświadczył kategorycznie Henry. – Właśnie w tym sęk: kiedy ktoś umiera, jego drzwi znikają razem z nim.

Popatrzyłam na niego z powątpiewaniem.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Pamiętasz Toma Hollanda? – zapytał w odpowiedzi.

– To ten chłopak, który w zeszłym roku zginął w wypadku?

– Tak. – Kiedy przyszłam do nowej szkoły, od śmierci Toma minęło już kilka miesięcy i mogłam o tym jedynie poczytać na blogu Secrecy. Tom był chłopakiem Anabel, zanim zaczęła chodzić z Arthurem. Przez jakiś czas

podejrzewałam, że wypadek nie był czymś przypadkowym, tylko pośrednio lub bezpośrednio dziełem demona.

– Tom Holland miał specyficzne nostalgiczne drzwi, jak drzwi windy z fantazyjnymi przesuwanymi kratami i półokrągłą przypominającą zegar tablicą pokazującą, na którym piętrze znajduje się winda. Odwiedziliśmy go raz czy dwa, Arthur i ja. – Henry chrząknął. – Arthur pewnie częściej. Tylko tak, dla... w celach... informacyjnych.

Dziś wydawało mi się niewyobrażalne, że Arthur i Henry kiedyś razem chadzali po korytarzach. I to wcale nie tak dawno temu. Wtedy Arthur nie był jeszcze zadeklarowanym złoczyńcą, jego sadystyczne skłonności i chęć zawładnięcia światem objawiły się później.

– Aha – powiedziałam. – W celach informacyjnych. Jasne. Ja też ciągle przesiaduję w snach twoich byłych dziewczyn.

Henry wyszczerzył się w uśmiechu.

– À propos, odkryłaś gdzieś tutaj drzwi Rasmusa?

O nie! Nie dam się na to złapać. Nie dziś.

– Stanęliśmy na Tomie Hollandzie i jego drzwiach – przypomniałam mu.

– Racja – westchnął. – Jego drzwi zniknęły tej samej nocy, kiedy zginął. Nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy. To samo było z drzwiami naszego starego woźnego, który przeniósł się na tamten świat w zeszłym roku. Kiedy ludzie umierają, ich drzwi przestają istnieć.

– To w sumie dość logiczne – przyznałam. – Martwi nie śnią. Więc dlaczego drzwi Muriel jeszcze tu są? Przecież od jej śmierci upłynęło wiele lat.

– Długo nad tym myślałem. – Henry potarł nos. – Znalazłem właściwie tylko jedno wytłumaczenie. Dość zwariowane.

– Bez obawy, będę odwiedzać cię w szpitalu i trzymać za rękę między sesjami elektrowstrząsów.

Kąciki jego ust zadrgały.

– Załóżmy, że pani Honeycutt ma rację i biedna Muriel naprawdę nie umarła śmiercią naturalną, tylko została uduszona we śnie przez Alfreda, kiedy...

Zrobił przerwę dla zwiększenia efektu, tak samo jak przed chwilą Grayson. Ale tym razem domyślałam się, do czego zmierzał.

– Chcesz powiedzieć, kiedy śniła – dokończyłam za niego.

– Właśnie – przytaknął. – Dlatego ten sen po prostu... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak to określić.

– Zatrzymał się w miejscu. Jak zegar. Albo stara płyta. – Z namysłem przygryzłam wargę. – Może tak jest zawsze, kiedy ktoś umiera podczas snu.

– Zastanowiłam się. – Albo tylko wtedy, gdy zostaje zamordowany podczas snu.

– Tak czy siak, faktem jest, że Muriel nie żyje, ale jej drzwi tu są.

– Pytanie tylko, co się za nimi znajduje? – Znowu dostałam gęsiej skórki.

– Właśnie to chciałem dziś ustalić. – Henry położył dłoń na klamce.

Popatrzyłam na niego z przestraszaniem. OK, teraz naprawdę zwariował.

– Nie możesz wejść do snu zmarłej! To byłoby jak... – Przełknęłam ślinę. – Poza tym potrzebujesz jakiegoś osobistego przedmiotu Muriel.

– A jak ci się wydaje, co robiłem przez ostatnie dni? – Henry rozciągnął usta, ale jego uśmiech nie był tak pewny siebie jak zawsze. – Pani Honeycutt dała mi pamiątkowy łańcuszek należący do Muriel, to chyba jest dość osobiste.

– Dała ci go? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Niezupełnie dała – przyznał Henry i nacisnął klamkę. – Ale nie będzie za nim tęsknić, ujmijmy to tak. – Widać było, że nie ma ochoty zagłębiać się w szczegóły.

Wpiłam palce w jego ramię.

– Do cholery, Henry! Nie możesz tego zrobić! Proszę! Nie możemy przecież tam tak po prostu wparować!

– Najpierw tylko ja. Ty musisz zostać tutaj. Ktoś powinien wiedzieć, gdzie jestem, na wypadek gdyby, co mało prawdopodobne... – Henry popatrzył na mnie poważnie. – Posłuchaj mnie, Liv. Przemyślałem to gruntownie. Musimy wiedzieć, co znajduje się za tymi drzwiami. To mogłoby otworzyć przed nami nowe możliwości.

– Albo cię zabić – wyszeptałam. Henry niewzruszenie pchnął drzwi. Wydało mi się, że słyszę szum, ale nie było nic widać. Moja ręka wciąż wpijała się w ramię Henry'ego. – To może być... brama do zaświatów.

– Ach, jesteśmy dziś strasznie dramatyczni, panno Silver – powiedział drwiąco i jednak przez chwilę się wahał. Wziął głęboki wdech. Łagodnie, ale stanowczo zdjął moją rękę ze swojego ramienia. – Wchodzę tam teraz. Zobaczymy się później w szkole, opowiem ci, jakie promocje były w sklepie z włóczkami Muriel, dobrze?

Nie czekając na moją odpowiedź, pchnął drzwi do końca i przekroczył próg. Moja ręka, którą chciałam go zatrzymać, zawisła w powietrzu.

Co za uparty osioł!

Za żadne skarby nie zamierzałam puścić go tam samego. Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, wstrzymałam oddech i zrobiłam wielki krok, podążając za Henrym w nieznaną.

Przez sekundę nie wydarzyło się nic, po czym usłyszałam, jak mój chłopak wzdycha z rezygnacją.

– Możesz spokojnie otworzyć oczy, Liv – powiedział. Drzwi zamknęły się za nami. – Żyjemy. Tak przynajmniej sędzę.

Otworzyłam oczy.

– Och! Jesteśmy nad morzem! – Przed nami rozciągała się spokojna tafla wody, nad którą wisiało poprzecinane różowymi żyłkami światła wieczorne niebo.

Przepięknie, bez wątpienia. – A co, jeśli to nie jest morze? – zapytałam odrobinę historycznym głosem. – To przecież mogą być zaświaty. Jak w tym wierszu, wybrzeże wieczności...

– Powiedziałbym raczej, że to wybrzeże Clevedon, aniele ty mój. – Henry pokazał na prawo, gdzie z morza wynurzało się wielkie, staroświeckie moło. Wyglądał na wyluzowanego jak zawsze, ale po dokładniejszym wsłuchaniu się w jego głos można było wyraźnie usłyszeć coś w rodzaju ulgi. – Myślę, że jesteśmy w Somerset. – Obrócił się z krzywym uśmiechem do mnie. – To naprawdę słodkie, że chciałaś pójść za mną w zaświaty, Liv. Ale zdajesz sobie chyba sprawę, że nie mamy teraz tam na zewnątrz nikogo, kto by wiedział gdzie jesteśmy, prawda?

No tak, to było może odrobinę, odrobineczkę krótkowzroczne z mojej strony. Mniejsza o to. Nie zniosłabym, gdybym musiała sterczeć tam na zewnątrz, nie wiedząc, czy Henry kiedykolwiek wróci. Ta myśl kazała mi poszukać wzrokiem drzwi na korytarz. Tam – były za nami w murze nabrzeża. Teraz i ja odetchnęłam z ulgą.

Henry objął mnie ramieniem i popatrzył na morze.

– Wygląda na to, że kiedy Alfred przyszedł z poduszką, Muriel śniła piękny sen.

„To pocieszająca myśl”, chciałam powiedzieć, ale zanim zdążyłam to zrobić, usłyszałam hałas. Przenikliwy krzyk, podniecone głosy i szczekanie psa, które stawało się coraz głośniejsze, zupełnie jakby tuż obok nas ktoś rozkręcił na cały regulator radio. I wtedy Henry zniknął, a wraz z nim wieczorne niebo i morze, ja zaś wpatrywałam się w ciemność.

Tylko hałas został.

Upłynęła chwila, zanim pojęłam, że się obudziłam i że to Buttercup ujada jak szalona w przedpokoju.

– Co się dzieje? – usłyszałam zaspany głos mamy. – Cicho, Buttercup! O Boże!

Odrzuciłam na bok kołdrę, wyskoczyłam z łóżka i szarpnęłam za klamkę. Pierwszym, co zobaczyłam, była Florence, która jak skamieniała stała na progu pokoju Graysona i zasłaniała dłonią usta. Następnie ujrzałam pióra. Czarne pióra, i to całe mnóstwo.

Przez chwilę obawiałam się, że ugną się pode mną kolana, ale jakoś udało mi się minąć Florence i mamę i na miękkich nogach wejść do pokoju Graysona. O Boże, Grayson przed chwilą zniknął tak po prostu, a papuga powiedziała...

– Co to, zebranie jakieś? – burknął rozdrażniony Grayson. Stał na środku pokoju, zajęty zbieraniem piór, które były rozsypane wszędzie, na meblach, dywanie, pokrywały nawet jego samego, i wpychaniem ich do kosza na śmieci. Poczulałam tak wielką ulgę, że zastałam go żywego, że mało brakowało,

a wybuchłabym płaczem.

– Na miłość boską! – Ernest, ubrany w piżamę w wielką kratę, wetknął głowę do pokoju. – Skąd się tu wzięło to czarne dziadostwo?

Podeksycytowana Buttercup skakała wśród piór, ale przynajmniej przestała szczekać. Zamiast tego kichała.

– To był szok – odezwała się Florence, nie odejmując ręki od ust. – Wszędzie pióra...

– To nie powód, żeby wrzaskiem budzić zaraz cały dom. – Grayson popatrzył na nią ze złością. Na potwierdzenie jego słów ze swojego pokoju wyłoniła się mrugająca Mia.

– Ile piór. – Mama podniosła jedno z podłogi, a ja najchętniej wyrwałabym je z jej ręki i wrzasnęła „Nie dotykać! One są niebezpieczne!”.

– No. – Grayson jęknął, wkurzony. – Kiedy się obudziłem, moje drzwi były otwarte na oścież, a wentylator chodził na cały regulator. Wszędzie fruwały pióra. Zebrałbym je, żeby oszczędzić wam tego widoku, ale Florence zaczęła wrzeszczeć, jakby ją obdzierali ze skóry. Jakby brała udział w jakimś castingu do horroru.

Podczas gdy Florence z oburzeniem łapała powietrze, Grayson rzucił mi krótkie spojrzenie i pytająco uniósł brwi. Wzruszyłam bezradnie ramionami. Ponieważ nadal nie byłam pewna, czy moje własne nogi mnie utrzymają, oparłam się plecami o szafę.

– Co byś zrobił na moim miejscu, gdybyś tylko na chwilę chciał wyjść do łazienki, a z pokoju brata wylatywałaby chmura pierza? – broniła się Florence. – W środku nocy! Szlachtowałeś tutaj wrony czy co?

Mama, osoba praktyczna, podniosła z podłogi puchową kołdrę Graysona i roztrzepała ją.

– To nie kołdra – stwierdziła.

To byłoby zbyt piękne. Poza tym czy jakieś kołdry wypełnia się czarnym pierzem?

Ernest podrapał się po głowie.

– OK, skąd to się wzięło w twoim pokoju, Grayson? Czy to miał być żart?

– Z jakiegoś powodu patrzył przy tym na Mię. – Albo psikus?

Mia prychnęła z oburzeniem.

– Na pewno nie wpadłabym na coś tak idiotycznego. Moje psikusy są śmieszne.

– Tak, Mr Snuggles zaśmiewa się do dziś – mruknęła Florence.

– Przepraszam, Mia – powiedział Ernest. – Po prostu jestem w tej chwili trochę bezradny.

Nie on jeden.

Grayson zacisnął szczęki i ponownie spojrzał na mnie. Pośpieszyłabym mu z pomocą, ale jakoś wyjątkowo nie przychodziły mi do głowy żadne kłamstwa,

które moglibyśmy zaserwować tytułem wyjaśnienia. Nie mogliśmy nawet powiedzieć prawdy, bo za cholere nie wiedzieliśmy, co było grane.

Grayson mógł oczywiście wyznać: „Te pióra przypuszczalnie pochodzą ze skrzydeł demona, który chciał mnie ostrzec”, ale te słowa raczej nie spodobałyby się jego ojcu.

Mnie również.

Uchylił się zatem od odpowiedzi, wzdychając ciężko.

– Możecie spokojnie iść spać – rzekł wyczerpany. – Sam to posprzątam.

Ernest pokręcił głową.

– Zrobimy to razem jutro – oznajmił. – I ustalimy, skąd się tu wzięły te pióra. – Wziął mamę za rękę. – Grayson, najlepiej będzie, jak położysz się w pokoju gościnnym. – Ziewnął. – Dobranoc wszystkim.

Florence też zniknęła w swojej sypialni, burcząc coś pod nosem. Tylko Mia została jeszcze przez kilka sekund i przyglądała się nam badawczo. Już byłam gotowa odpowiedzieć na jej pytania, ale ku mojemu zdumieniu odwróciła się bez słowa i razem z Buttercup pomaszerowała do siebie.

Grayson zaczekał, aż zamknęła za sobą drzwi, i przeniósł wzrok na mnie.

– Zdajesz sobie sprawę, że do twojego brzucha przypięta jest paskiem książka? *Hotel New Hampshire*. Interesujące.

Cholera. W tym całym zamieszaniu kompletnie o tym zapomniałam.

– Tak, świetna książka, powinieneś przeczytać – powiedziałam. – Ale najpierw musimy ustalić, jak wyjaśnisz pozostałym to. – Potoczyłam ręką wokół.

Grayson znowu westchnął.

– Na początek wystarczyłoby mi, gdybym sam to zrozumiał.

Otworzyłam usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie dopuścił mnie do głosu.

– Nie, nic nie mów, Liv! Ktoś musi... Sam nie wiem! Ale na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie. Kompletnie niezwiązane z demonami.

– Oczywiście – stwierdziłam i nachyliłam się, żeby mu pomóc przy zbieraniu piór. – Bo demony nie istnieją.



20.

Dzień po kąpieli w piórach demona, jak nazwałam ten incydent, przebiegł na szczęście bez większych przygód. W przeciwieństwie do mnie Grayson zdołał jeszcze zasnąć, gdy już wszystko posprzątaaliśmy. Kiedy następnego ranka spotkaliśmy się w kuchni przy automacie do kawy, wyglądał nie tylko na w miarę wyspanego, ale i miał doskonały nastrój.

Za to ja nawet po wypiciu podwójnego espresso byłam o krok od zaśnięcia na stojąco. Nie miałam też najmniejszego powodu, by być w dobrym humorze. Jak na mój gust ostatnio wszędzie było o kilka piór, węży i zagadek za dużo. Kiedy Grayson wsunął parę piór do przezroczystego woreczka na mrożonki, który schował do kieszeni kurtki, znowu dostałam gęsiej skórki.

– Miałaś przecież wyrzucić to do śmieci – powiedziałam. – I czemu masz taki obrzydliwie dobry humor? Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

– Jeszcze nie! Ale każdy materiał dowodowy przybliżył nas do prawdy – odparł Grayson i znacząco zaszeleścił woreczkiem. Pogwizdując wesoło (i to tytułowy kawałek z *Sherlocka Holmesa*, ale strasznie fałszował), wyszedł z domu.

Zobaczyłam go dopiero wczesnym wieczorem, kiedy wpadł na chwilę po rzeczy na trening. Tak bardzo się śpieszył, że zdążył mi tylko szepnąć: „Zdziwisz się, czego się dowiedziałem” i uśmiechnąć się przy tym tajemniczo.

Miałam wielką nadzieję, że chodziło o węża. Ze wszystkich niewyjaśnionych zjawisk to ten gad był dla mnie najbardziej upiorny. Arthur nadal leżał w szpitalu, ale według dobrze poinformowanych źródeł (Secrecy!) dziś mieli wypuścić go do domu.

Pomimo zapewnień dyrektorki, że szkoła jest całkowicie wolna od węży, widziałam, jak wielu uczniów ociąga się z otwarciem swoich szafek. Emily trzymała nawet w pogotowiu gaz pieprzowy.

Na mój widok skrzywiła się.

– Nie wiem, co gorsze: jadowity wąż w szafce czy okularnica gapiąca się głupio z boku. – Skierowała spray w moją stronę. – Mam psiknąć?

– Jeśli chcesz mieć złamaną rękę, to proszę bardzo – zachęciłam ją.

– Och, prawda, ty znasz karate. – Przewróciła oczami. – Ale bez obaw, nie zwykłam siłowo rozwiązywać konfliktów, mam na to za wysokie IQ.

– Kung-fu – sprostowałam. – I jakich konfliktów? Przecież między nami nic nie ma, my się po prostu nie znosimy. Przy okazji, wyglądasz mi na zmęczoną, czyżbyś ostatnio źle sypiała?

I kto to mówi. Cienie pod moimi oczami były dziś ciemniejsze od wypitego espresso, które niestety nie zadziałało na mnie pobudzająco. Emily przełknęła jednak przytyk, nie wytykając mi niedostatków w moim wyglądzie.

– Podobno herbatka z waleriany pomaga – dodałam szybko. – A także zaakceptowanie rzeczy takimi, jakimi są.

Emily sprawiała wrażenie, jakby chciała zrobić wyjątek i jednak rozwiązać konflikt siłowo.

– Jest mi niezmiernie żal Florence, że musi mieszkać z tobą pod jednym dachem – wysyczała, trzasnęła drzwiami szafki i odeszła jak burza. Szkoda, właśnie chciałam ją zapytać, czy lubi rozwiązywać we śnie matematyczne zadania.

Mimo totalnego zmęczenia całkiem nieźle przebrnęłam przez kolejne lekcje, co zapewne było spowodowane nieobecnością Arthura – nie musiałam cały czas się obawiać, że ktoś na jego zawołanie zamieni się w zombie i zepchnie mnie ze schodów.

Ale po szkole sprawy się skomplikowały. Kiedy skręciłam w naszą ulicę, obok mnie śmignął w swoim sportowym wozie Matt, machając do mnie z uśmiechem. To mi przypomniało, że demony, pióra i węże nie były moimi jedynymi problemami. W ostatnim czasie karygodnie zaniedbałam sprawę Rasmusa, ale w jasnym blasku dnia, wpatrując się w tylne światła samochodu Matta, nie mogłam wyprzeć myśli o niej tak skutecznie jak wczorajszej nocy na korytarzu. Pewnie dlatego, że nie było Henry'ego, który odwróciłby moją uwagę pocałunkami.

Ferie wiosenne rozpoczynały się już za cztery dni. Żołądek przewracał mi się na myśl o tym, jak rozczarowany będzie moim kłamstwem Henry. Nikt nie lubił być okłamywany, a już zwłaszcza przez własną dziewczynę. Ale jak miałam mu wytłumaczyć, dlaczego po prostu nie powiedziałam prawdy, skoro sama tego nie rozumiałam?

Tak, być może Henry rzeczywiście czuł nieznaczną wyższość nade mną,

kiedy sądził, że jestem dziewicą, i owszem, jego spojrzenia może i były czasem rozbawione i pełne współczucia. Ale co sobie pomyśli, kiedy się dowie, że jestem żalostną, trawioną kompleksem niższości osobą, która musi wymyślać sobie fikcyjnych byłych chłopaków? Wolałam sobie tego nie wyobrażać.

Mia miała rację, mówiąc, że miłość ogłupia. A przynajmniej każe robić głupie rzeczy. Najgorsze było to, że to wcale nie mijało z wiekiem. Można to było doskonale zaobserwować na przykładzie mamy i Lottie. Mama wprawdzie robiła ogromne postępy, jeśli chodzi o Ernesta, ale to huczne wesele jednoznacznie można było zaliczyć do rzeczy, które człowiek robi wyłącznie z miłości, choć nimi gardzi. Czy mama w ogóle zdawała sobie sprawę, w jakim kierunku tak naprawdę zmierza ta inscenizowana przez Bochrę i Pascala (strażników słynnej weselnej listy) impreza? Bo jeśli nie, to się mogło źle skończyć. Mama słynęła ze spontanicznych, irracjonalnych działań, a ja w swych najgorszych wizjach widziałam już Ernesta w wypełnionym po brzegi kościele, przy ozdobionym kwiatami ołtarzu, podczas gdy mama w sukni ślubnej pogania nas przez hale Heathrow, żebyśmy zdążyły na najbliższy samolot do Sydney albo Addis Abeby, albo innego miasta, w którym jeszcze nie mieszkałyśmy.

A Lottie – Lottie była nie do poznania. Wprawdzie ostatecznie poszła jednak na koncert z Charlesem, ale jego najnowsza przemiana kompletnie nie zrobiła na niej wrażenia. Wręcz przeciwnie. Zaraz w niedzielę rano pojechała z Pascalem do Suffolk, do rezydencji, w której miała się odbyć uroczystość ślubna, a ponieważ mama i Ernest wymigali się od tej wyprawy (zapewniając, że mają pełne zaufanie do Lottie i jej umiejętności), wyjazd był czymś w rodzaju randki. Przynajmniej tak to wyglądało: Pascal na powitanie pocałował Lottie w rękę, a potem zaprowadził do swojego szpanerskiego kabrioletu marki Mercedes i z galanterią przytrzymał jej drzwi.

Charles, który chciał w niedzielny wieczór zaskoczyć Lottie niezapowiedzianą wizytą (z kwiatami!), nie wiedział wprawdzie ani o pocałunku, ani o przytrzymaniu drzwi, ale i tak szalał z zazdrości, kiedy usłyszał, z kim pojechała Lottie. Kiedy tak na nią czekał (co trwało bardzo długo, ponieważ weselna lista Pascala ponoć obejmowała również zwiedzanie lokalizacji w romantycznym wieczornym świetle), zrobiło mi się go trochę żal. Mama wprawdzie poczęstowała go czerwonym winem, ale to wcale nie poprawiło sytuacji. Najpierw Charles złorzeczył na Francuzów, którzy są tylko w połowie tak szarmanccy, jak się o nich mówi, za to znani są z okrutnego traktowania kobiet, a w ogóle to wcale nie muszą być dumni z bujnego owłosienia na głowie, ponieważ jest ono uwarunkowane genetycznie i, jak dowiedziono, idzie w parze ze słabnącą z wiekiem potencją. Później zaczął się zamartwiać i powiedział, że Francuzi są znani z nieostrożnego, aroganckiego stylu jazdy, i czy nie moglibyśmy zadzwonić do Lottie na komórkę, żeby upewnić się, że nie miała wypadku. Następnie ośmielił

się twierdzić, że wszyscy Francuzi to potencjalni mordercy kobiet i że to absolutnie nieodpowiedzialne z naszej strony, że pozwoliliśmy Lottie na wypad z kompletnie nieznanym mężczyzną. A na koniec tylko ze smutkiem zwiesił głowę i mamrotał pod nosem rzeczy w stylu „zwyuczajny brytyjski stomatolog oczywiście się nie umywa do faceta z francuskim akcentem i dyplomem z puszczania baloników w kształcie serduszka” albo „kto się spóźnia, tego karze życie”.

Wyglądało jednak na to, że wziął sobie do serca radę Florence, by walczyć, bo kiedy Lottie wróciła wreszcie, cała i zdrowa, i w zdecydowanie doskonałym humorze, ku zdumieniu nas wszystkich przywołał na twarz szeroki uśmiech i powiedział, że Lottie przepięknie wygląda (rzeczywiście wyglądała, z różowionymi policzkami i pałającym wzrokiem). I czy nie zechciałaby towarzyszyć mu w środę na premierze filmu. Znany odtwórca roli drugoplanowej właśnie Charlesowi zawdzięczał swój nowy, olśniewający uśmiech. Lottie z nonszalanckim uśmiechem przyjęła zaproszenie.

Mogłyśmy się z Mią tylko dziwić jej zachowaniu. Poznawałyśmy właśnie całkiem nowe oblicze Lottie. I ta nowa Lottie w roli wampa, owijająca sobie facetów wokół palca (czy, jak w jej przypadku, wokół każdej z rąk), zdawała się sobie bardzo podobać. Jej jedynym problemem było to, że nie miała co włożyć na premierę.

– Mężczyźni właśnie tak chcą być traktowani – wyjaśniła po południu, kiedy razem z Florence, która jak zawsze o tej porze niezawodnie zjawiła się w kuchni, siedziałyśmy przy stole i smarowałyśmy ciepłe jeszcze *scones* śmietanką. – Jeśli się im okaże, jak bardzo się ich lubi, kompletnie ich to przerasta. Nie można podać im swego serca na srebrnej tacy.

– Właśnie – przytaknęła Florence. – To straszny stereotyp, ale mężczyźni cały czas potrzebują sportowego wyzwania. Jeśli zbyt im się wszystko ułatwi, natychmiast tracą zainteresowanie.

– Czy to znaczy, że jeśli napiszę do Gila Walkera, mojego stalkera, list miłosny, to zostawi mnie w spokoju? – zapytała Mia.

– Nie, on nie – powiedziałam. – I nie pozwól, żeby Florence i Lottie coś ci wmówiły, one są tylko przejściowo odrobinę... odarte z iluzji. Mężczyźni wcale nie są tak prymitywnie skonstruowani.

– No, może nie wszyscy – ustąpiła natychmiast Lottie (na chwilę znowu była dawną sobą), podczas gdy Florence tylko prychnęła. – Możesz spokojnie dalej pielęgnować w sobie romantyczność, Mio.

Mia i romantyczność! To było tak absurdalne, że wybuchnęłyśmy śmiechem, Mia zaś omal nie zakrztusiła się kawałkiem ciastka.

Kiedy już ochłonęła, oznajmiła:

– Charles albo Pascal, mnie tam jest obojętne, którego z nich w końcu wybierzesz, Lottie. Najważniejsze, żebyś została u nas w Londynie.

Lottie spoważniała nagle.

– Ja tak czy owak wrócę do Niemiec, serdecznie – powiedziała. – Najwyższy czas, żebym stanęła na własnych nogach, uniezależniła się od was i od mężczyzny, obojętnie którego.

– Ale przecież możesz to zrobić i tutaj – jęknęła Mia. – Nie musisz się od razu wyprowadzać!

Lottie westchnęła.

– W Oberstdorfie mam przynajmniej pracę, dzięki której będę się mogła utrzymać. Raczej wątpię, bym została tam na zawsze, ale na początek spróbuję ułożyć sobie życie właśnie tam. – Podała dżem Mii, która spoglądała na nią smutno, wydymając dolną wargę. – To bardzo piękne miejsce: góry, krowy, jeziora. Polubicie je, kiedy mnie odwiedzicie. No i na razie jestem przecież tutaj – dodała. – Z każdego dnia zamierzam wycisnąć, ile się da!

– To jest właściwie nastawienie – poparła ją Florence, a Lottie obdarzyła ją promiennym spojrzeniem.

– Tak, czasy się zmieniają, a my wraz z nimi – powiedziała entuzjastycznie.

Florence przypatrywała się jej z przechyloną głową.

– Moja zielona sukienka mogłaby na ciebie pasować. Gdybyś chciała pożyczyć ją na premierę...?

Popatrzyłyśmy z Mią po sobie. Czasy naprawdę się zmieniały, skoro Florence i Lottie miały zostać przyjaciółkami i wymieniać się fatalaszkami. Aż strach pomyśleć, co jeszcze mogło się wydarzyć.

Byłam jednak zbyt znużona, by dłużej zaprzętać sobie tym głowę. I zamiast czekać na Graysona, jak zamierzałam, postanowiłam wcześniej pójść spać. I tylko dzięki zatrwającej rutynie w przymocowywaniu do siebie rozmaitych przedmiotów, w tym książki *Hotel New Hampshire*, udało mi się z tym uporać, zanim powieki same mi się zamknęły. Moją ostatnią świadomą myślą była ta, że Anabel i Henry z pewnością jeszcze nie śpią. Może udałoby mi się niepostrzeżenie dotrzeć do drzwi Matta. Tylko tak, żeby zobaczyć, co się stanie.

Ale jak zwykle, kiedy mój organizm domagał się nadrobienia braków we śnie, zapadłam najpierw w długi, głęboki sen, a kiedy wreszcie zaczęłam śnić, od razu zorientowałam się, że coś jest nie w porządku.

Po zielonych drzwiach z jaszczurką nie było ani śladu. Zamiast tego po prawej stronie z piasku wystawały pale staroświeckiego molo prowadzącego głęboko w morze, a za mną wznosił się mur nabrzeża, obok zaś skały zamykające zatokę. W oddali zobaczyłam drzewa i domy. Widok ten wydał mi się znajomy: był to dokładnie ten sam nieduży, oblany blaskiem zachodzącego słońca wycinek plaży, na który natknęliśmy się z Henrym wczoraj wieczorem. Dokładnie w tym miejscu staliśmy i patrzyliśmy na morze, kiedy obudził mnie hałas w przedpokoju.

Nie ulegało wątpliwości, że to sen zmarłej Muriel Honeycutt, ja zaś nie

miałam pojęcia, dlaczego tu wylądowałam.

Nieraz już budziłam się, będąc we śnie kogoś innego, ale zasnąwszy po raz kolejny zawsze odnajdywałam się w swoich własnych snach. Aż do dzisiaj.

Już samo to, że wylądowałam w obcym śnie, w dodatku zmarłej osoby, napełniło mnie głębokim niepokojem, ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Bo z tego snu nie było wyjścia.

Dotarło to do mnie godzinę później, kiedy wyczerpana padłam na piasek i chcąc nie chcąc, musiałam się z tym pogodzić.

Drzwi na korytarz, przez które dostaliśmy się tutaj razem z Henrym, zniknęły bez śladu. Wczoraj osadzone były w murze nabrzeża, teraz jednak nie było ich nigdzie widać, choćbym nie wiem jak rozpaczliwie ich szukała.

Przez ostatnią godzinę próbowałam naprawdę wszystkiego, co tylko przychodziło mi do głowy. Chodziłam we wszystkich możliwych kierunkach, w różnym tempie, by po kilku metrach znaleźć się dokładnie w miejscu, z którego wyruszałam. Zamieniałam się w mewę, wypływałam w morze, rzucałam kamieniami i głośno wzywałam pomocy. Żadna z tych rzeczy niczego nie zmieniła. Fale nieustannie oblewały piasek. Nie było słyhać nic oprócz ich łagodnego plusku i krzyku mew, które wciąż tak samo krążyły w powietrzu. Słońce nie opadło ani o centymetr. Czas jakby zastygł w miejscu, a drzwi wciąż nigdzie nie było.

Powoli, ale nieuchronnie docierało do mnie, że zostałam tu uwięziona. Uwięziona we śnie kobiety, która zmarła jakieś czterdzieści lat temu.

Wyciągnęłam się na piasku i zapatrzyłam bezradnie w niebo.

Jedynym sposobem na wydostanie się stąd, jaki przychodził mi jeszcze do głowy, było obudzenie się.

Na szczęście udało się to bez problemów. Usiadłam na łóżku, przepełniona ogromną ulgą. Już widziałam siebie uwięzioną na wieki we śnie z zachodzącym słońcem. Pod stopami na zawsze tylko piasek i żadnego towarzystwa, oprócz kilku mew. Tego nie wytrzymałby żaden człowiek.

Wstałam i poszłam do łazienki. Wracając, sprawdziłam, czy w domu wszystko było w porządku. Wszyscy, z wyjątkiem Spota, smacznie spali, wypuściłam więc kota na dwór, po czym uspokojona wróciłam do łóżka i niemal natychmiast zasnęłam.

Tylko po to, by ponownie znaleźć się we śnie Muriel.

Tym razem nawet nie próbowałam szukać drzwi. Od razu osunęłam się na piasek, objęłam kolana rękoma i próbowałam zachować spokój. Widok wiecznego zachodzącego słońca nie wydawał mi się już pogodny i nastrojowy, tylko w przytłaczający sposób groźny. Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek zatęsknię za korytarzem ze wszystkimi jego niebezpieczeństwami.

Dlaczego, kiedy wsunęłam głowę do pokoju Graysona, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, nie obudziłam go? Nie miałam serca, bo tak słodko spał

z głową na poduszce i ręką pod policzkiem. Teraz złościłam się na siebie z tego powodu. Musiałam poinformować kogoś, że tu tkwię. Powinnam obudzić się i...

– A, tutaj jesteś! – odezwał się ktoś za moimi plecami.

Aż uderzyłam podbródkiem o kolano, tak bardzo się przestraszyłam, zniecierpliwiona usłyszawszy w tej ciszy jakiś głos. Ale to był tylko Henry, który szeroko uśmiechał się do mnie z góry.

– Przepraszam, że przychodzę dopiero teraz – powiedział i podał mi rękę, żeby pomóc mi wstać. Rzadko jego widok nappełniał mnie taką radością jak teraz: jego mądre szare oczy, dołeczki w kącikach ust i włosy tak zwichrzone, jakby przeszło przez nie tornado. Mimo to poświęciłam tylko dwie sekundy, by uśmiechnąć się do niego z zachwytem, a potem od razu się odwróciłam.

Bogu dzięki! Żółte drzwi Muriel wyróżniały się w murze nabrzeża, jakby nigdy nie zniknęły. Poczułam, jak kamień spada mi z serca. Więc jeszcze były. Wreszcie mogłam się stąd wydostać.

Bo mogłam?...

– Zbyt późno załapałam, że ty też pewnie jesteś tu zamknięta – wyjaśnił Henry.

– Jak to też? – Otrzeptałam jeansy z piasku. Teraz, gdy był tu Henry, a co ważniejsze – drzwi! – byłam na tyle odprężona, żeby szybciotko zadbać o to, by leżały idealnie.

– No, bo ja również po zaśnięciu wylądowałam tutaj. – Henry wyglądał tak, jakby szalenie go to cieszyło. Wydawał się ogromnie podekscytowany. – Tak samo jak ty obudziłam się wczoraj, będąc jeszcze we śnie Muriel. Kompletnie się nie spodziewałam, że dziś w nocy też tutaj trafię. Trzeba było widzieć, jaką miałam głupią minę. Na szczęście byłem na tyle przewidujący, by wziąć ze sobą łańcuszek, dzięki czemu mogłem wyjść przez drzwi na zewnątrz. – Popatrzył na mnie uważnie. – Ty, zdaje się, nie.

Pokręciłam głową.

– U mnie nawet nie było drzwi. Nie było stąd absolutnie żadnego wyjścia, próbowałam wszystkiego, uwierz mi. Jedyne, co podziałało, to obudzić się. Ale kiedy zasnąłam ponownie, znowu znalazłam się tutaj.

To jeszcze bardziej ucieszyło Henry'ego.

– Wiesz, co to znaczy? – zapytał.

– Że teraz będę musiała spędzać tu każdą noc? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Nie, nie będziesz – uspokoił mnie. – Kiedy już stąd wyjdiesz, wszystko wróci do normy, wypróbowałem to.

– Ale ty masz łańcuszek – powiedziałam i szarpnęłam nerwowo za klamkę. – Wolałabym sama się o tym przekonać.

Henry sięgnął do klamki, nacisnął ją i otworzył drzwi.

– Proszę bardzo! – Przepuścił mnie na korytarz.

– Dziękuję bardzo. – Kiedy stanęłam na zewnątrz, a Henry zamknął za nami żółte drzwi, wydałam z siebie westchnienie ulgi. – Gdyby ktoś pytał, to zachody słońca są stanowczo przereklamowane.

21.



– Cholewa, a jefefmy o kfok od tego, by fszekabacić Anabel na naszą stfonę – odezwał się z pełną buzią Grayson. – Ten fiefrzony wąż dałby nam fszynajniej jeszcze tfochę fafu.

– Przepraszam, ale nie znam języka obżartuchów – powiedziałam i przyciągnęłam do siebie półmisek z babeczkami z porem i bekonem, które upiekła Lottie. Grayson wydał z siebie odgłos protestu.

Był wtorkowy wieczór, a ja, Grayson i Henry z jego inicjatywy w drodze wyjątku spotkaliśmy się na naradzie kryzysowej w rzeczywistym świecie, a nie we śnie pani Honeycutt. Nie miałam nic przeciwko temu. Musiałam trochę odpocząć od tych nocnych zebrań. Tutaj nikt nie mógł rozplynać się w powietrzu, nie był nękany przez morderców z poduszkami w kwiatki, którzy zjawiali się w najmniej dogodnym momencie przez niewidzialne drzwi w wytapetowanej ścianie. Za to było pod dostatkiem smakowitej żywności, a ponieważ Grayson przez swój wyjazd w celach badawczych przegapił kolację, od piętnastu minut opychał się wszystkim, co znalazł w lodówce.

– Nie dostaniesz ani jednej babeczki więcej, dopóki nie dowiem się, co ustaliłeś – zagroziłam surowo. – I proszę cię, powiedz, że jest to coś, dzięki czemu będziemy mogli powstrzymać Arthura.

– Jestem za. – Henry zakręcił na palcu miniaturową piłką do kosza. Cały wieczór zachowywał się dość nerwowo. – Arthur... – chrząknął. – Arthur zdecydowanie coś knuje. Niechętnie to przyznaję, ale ciarki mnie przechodzą, gdy tylko o nim myślę.

Arthur tego dnia rzeczywiście przyszedł do szkoły i paradował z zabandażowaną ręką jak jakiś powracający z wojny bohater. W oczach większości pewnie nim był. W końcu zdławił w zarodku szaleńczy występ Persefony, a potem przeżył ukąszenie niebezpiecznego jadowitego węża – wszyscy mieli go za najbardziej odważnego człowieka na kuli ziemskiej. Zachowywali się tak, jakby ofiarnie rzucił się na węża, żeby uratować przed pewną śmiercią całe grono uczniowskie Frogmal Academy.

Wiele dziewczyn, zwłaszcza tych młodszych, już przedtem niemal mdlało na

jego widok, a w miniony weekend powstał nawet oficjalny fanklub Arthura Hamiltona z własną stroną internetową i kolekcjonerskimi kartami do wydrukowania. Persefona na pewno zapisała się potajemnie.

Tego dnia spotkałam Arthura tylko raz i był wtedy otoczony wianuszkami dziewczyn, które prosiły go o autograf. Nie wyglądał na zachwyconego. Sprawiał wrażenie osoby, która jest tym straszliwie zmęczona, ale moja satysfakcja z tego powodu nie trwała długo. Ściślej mówiąc, do chwili, gdy oczyma wyobraźni zobaczyłam koszmarną wizję, w której czterdziestka rozchichotanych dziewczyn-zombie z kartami kolekcjonerskimi rzuca się na mnie i rozrywa mnie na kawałki. To na pewno spodobałoby się Arthurowi.

Pomimo tego całego zamieszania wokół własnej osoby Arthurowi jakoś udało się dopaść Henry'ego i Graysona na osobności.

Byłam zła, że nie było mnie przy tej rozmowie, zwłaszcza że kiedy wypytywałam chłopaków o jej przebieg, obaj odpowiadali wymijająco.

– Mówił to, co zwykle. Że w każdej chwili może spowodować straszliwe wydarzenia i że nie oszczędzi nawet swoich byłych najlepszych kumpli, bla bla bla – odparł przyciskany przeze mnie Grayson.

Im robiło się później, tym bardziej byłam pewna, że celowo zatajają przede mną szczegóły. Widocznie w rozmowie padło moje imię, wypowiedziane w powiązaniu ze szczególnie okrutnym rodzajem śmierci. Albo chodziło o coś innego. Choć usilnie próbowali zachowywać się na luzie, to jednak to, co powiedział im Arthur, najwyraźniej napędziło im stracha.

– W kwestii demona posunąłem się sporo do przodu. – Gdy Grayson nie jadł babeczek, wreszcie mogliśmy go zrozumieć. Właśnie podjął drugą próbę oszołomienia nas rezultatami swoich badań.

Uniósł do góry torebkę z piórami.

– Marabut. Puch pofarbowany na czarno. W sklepach dla hobbystów kosztuje około dwudziestu pięciu funtów za sto gramów, w hurtowni odpowiednio taniej. Ale sto gramów to całkiem sporo, mówię wam.

Marabut, aha. Dobrze, to wprawdzie nie wyjaśniało jeszcze, co te cholerne pióra robiły w pokoju Graysona, ale dobrze wiedzieć, że nie przywiało ich z zaświatów. Nie dało się traktować poważnie demonów, które muszą kupować sobie demoniczne skrzydła w sklepie hobbystycznym.

A to nie była jedyna rzecz, którą ustalił Grayson.

– Nie chcę was zanudzać detalami, ale wszystko wskazuje na to, że jutro mam spotkanie z BloodySword66 – zakomunikował i z wyraźną uciechą przyglądał się, jak rozdziawiamy usta. – Bez obaw, nie jest groźny. Koleś pracuje jako pielęgniarz w domu opieki w Islington, a przez telefon wydawał się całkiem miły.

– Co ty mu, do cholery, powiedziałaś, że zgodził się spotkać? – Wlepiłam

wzrok w Graysona.

– Jak już mówiłem, nie chcę was zanudzać detalami. – Grayson przywołał na twarz irytująco skromny uśmiech. – Mogę tylko powtórzyć, że psychologicznym wyczuciem i taktem można osiągnąć całkiem sporo, bez konieczności wdzierania się do cudzych snów. – Zrobił małą przerwę, po czym westchnął i dodał: – No dobra, miałem po prostu szczęście. Czasami opłaca się mieć naturalnej wielkości droida bojowego z pierwszej części *Gwiezdnych Wojen*... Mniejsza o to, mam nadzieję, że jutro będę mógł opowiedzieć wam, co łączy powieść BloodySword66 z demonem Anabel. Jego prawdziwe nazwisko brzmi, nawiasem mówiąc, Harry Triggs, a gość pochodzi z... uwaga! Liverpoolu!

– Jak dekarz, który założył sektę. – To brzmiało obiecująco. Przynajmniej coś, co posuwało nas do przodu.

Henry nie był takim optymistą.

– Boję się, że dla Anabel jest już za późno – powiedział i zmarszczył czoło. – Powinniśmy raczej przygotować się na to, że będziemy musieli zmierzyć się z Arthurem bez jej wsparcia. Ponieważ przeżył ukąszenie węża, jest przekonana, że demon mu wybaczył. Obawiam się, że jesteśmy następni w kolejce, którzy zostaną poddani próbie.

– Wciąż uważasz, że to Anabel podłożyła węża do szafki Arthura? – zapytałam.

Henry wzruszył ramionami.

– A kto inny miałby to zrobić? Nie znam nikogo innego, kto byłby na tyle szalony, by uczynić coś takiego.

W tej kwestii miał rację.

– Dopóki Anabel myśli, że demon chce nas ukarać, jest dla nas równie niebezpieczna jak Arthur – ciągnął ponuro Henry. – Kto wie, co za chwilę podpowiedzą jej głosy w głowie.

– Oby nic z wężami – mruknęłam.

– Ale potrzebujemy Anabel – powiedział Grayson. – Jestem pewien, że kiedy pojmie, że ta cała historia z demonem to jedno wielkie kłamstwo...

Henry nie dał mu dokończyć.

– Wiem, że ty nadal wierzysz w jej zdrowy rozsądek i to, że w jednej chwili można uwolnić ją od jej urojeń, gdy tylko przedstawi się jej niezbite dowody. Ja w to nie wierzę. – Mówiąc cicho te słowa, wbił wzrok w czubki butów. – Wciąż widzę ją w tym grobowcu na cmentarzu, ze sztyletem w dłoni, jak chciała przeciąć Liv tętnicę szyjną... – Milczał przez chwilę, po czym podniósł głowę i zdecydowanie popatrzył w oczy Graysonowi. – Jest mi obojętne, co Anabel wyrabia we śnie, ale czułbym się znacznie bezpieczniej, gdyby znowu trafiła do szpitala psychiatrycznego.

Grayson pokręcił głową.

– Zaszedłem już tak daleko, że teraz się nie wycofam.

– A co, jeśli Anabel po prostu nie da się wyleczyć? – Henry skrzyżował ręce na piersi i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Graysonowi w całej tej aferze wcale nie chodziło o to, by Anabel pomogła nam przeciwko Arthurowi, tylko o to, by uratować ją przed nią samą. Henry, który znał Graysona o wiele lepiej niż ja, pojął to już dawno.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– Myślę, że warto spróbować – powiedział w końcu Grayson. – Poza tym to jedyna rzecz, jaką mogę zrobić. Wy możecie wymyślić plan B. Żeby nie trzeba było wdrażać planu C.

– A jaki jest plan C? – chciałam wiedzieć.

Henry i Grayson wymienili spojrzenia.

– Plan C polega na tym, żeby załatwić Arthura, zanim on załatwi nas – wyjaśnił oględnie Grayson, a Henry wydał z siebie krótkie warknięcie.

Wodziłam wzrokiem między nimi. Coś przede mną ukrywali.

– Co ten cholerny Arthur powiedział wam tak naprawdę? – spróbowałam po raz ostatni, żegnając się z Henrym przy drzwiach. Musiałam szepnąć mu to do ucha, bo dwa metry dalej Florence szukała czegoś w szafie. Czegoś, co najwyraźniej było dobrze schowane. – Naprawdę nie musicie się o mnie obawiać, jeśli o to wam chodzi.

– Nie, ja wiem, że masz nerwy jak postronki. – Henry pocałował mnie, co Florence skwitowała chrząknięciem, choć przecież zaglądała do szafy. – Ten idiota Arthur psuje nam cały nastrój. Nie możemy po prostu porozmawiać o czymś innym? O zbliżającej się sobocie, na przykład? – wyszeptał Henry. – Kiedy odwiozę mamę, Milo i Amy na lotnisko, dom będzie należał do nas. – Jego oddech łaskotał mnie za uchem. – Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo się na to cieszę. A wtedy, przysięgam ci, postaram się, żebyś zapomniała o Arthurze i tym całym szaleństwie.

Tak, na pewno zapomnę, gdy mój zbudowany z kłamstw domek runie. Henry nie zauważył, że zeszywniałam w jego objęciach, ponieważ Florence dokładnie w tym momencie triumfalnie uniosła do góry woreczek zapachowy i zakrzyknęła:

– Wiedziałam!

Widząc zdziwione spojrzenie Henry'ego, zaczęła coś wyjaśniać, ale ja nie słyszałam z tego ani słowa, tak bardzo byłam zaprzątnięta obawą przed sobotą. (Z tego powodu do dziś nie wiem, o co chodziło z tym woreczkiem). Henry pocałował mnie na pożegnanie i zostawił taką zmartwiałą w przedpokoju, gdzie z całą dobitnością uświadomiłam sobie, że mam już tylko jedno wyjście: dziś w nocy musiałam ponownie zobaczyć się z Mattem. I tym razem nie pozwolę, żeby moja podświadomość opancerzyła mnie w koszarne negliże w kolorze

pasztetówki. Tym razem musiałam doprowadzić sprawę do końca.

Zwariowane było to, że kiedy weszłam do snu Matta, on właśnie śnił o lataniu. Tym razem jednak nie znalazłam się w symulatorze lotu, a w kabinie airbusa z kompletem pasażerów na pokładzie, po dziesięć miejsc w rzędzie, po trzy przy oknach i cztery pośrodku. Rzut oka na zewnątrz i ciche pomrukiwanie silników upewniły mnie, że znajdowaliśmy się w powietrzu, wysoko ponad chmurami. Matt zaś nie był pilotem, tylko pasażerem. Zauważyłam go nieco dalej z przodu. Zajmował miejsce przy przejściu (tym razem ubrany był na luzie i miał co najmniej tygodniowy zarost) i bazgrał coś na gazecie. Jego czerwone drzwi ulokowane były bezpośrednio obok drzwi do toalety, gdzie mimo rzucającej się w oczy barwy dość skutecznie zlewały się z tłem. Przynajmniej kiedy, tak jak Matt, nie patrzyło się prosto na nie.

Aby zorientować się, z jakim rodzajem snu miałam do czynienia, usunęłam grubą kobietę siedzącą po przekątnej z tyłu i niepostrzeżenie zajęłam jej miejsce. Aha. Matt śnił, że siedzi w samolocie i rozwiązuje krzyżówkę. No, w sumie czemu nie? Ja kiedyś całą noc śniłam, że układam książki na regale. W gruncie rzeczy sytuacja wyjściowa wcale nie była zła, nawet jeśli mój pierwszy raz niekoniecznie powinien się zdarzyć w samolocie pełnym pasażerów. Zresztą lokalizację będzie można zmienić, jak tylko Matt połknie haczyk. Najlepiej, jeśli włożę uniform stewardesy i bez pytania podam mu kieliszek szampana. To było wprawdzie potwornie stereotypowe, ale we śnie Mattowi na pewno nie będzie to przeszkadzać.

Ponieważ przejściem właśnie zbliżała się stewardesa z wózkiem, a Matt nadal w skupieniu patrzył w gazetę, nie zastanawiałam się długo. Minęła sekunda i to ja pchałam wózek, nawet dumna z siebie, że nikt nie zauważył podmiany. Wyglądałam przy tym zdecydowanie lepiej niż stewardesa, którą zastąpiłam. Nie tylko dlatego, że miałam na twarzy ze cztery kilo mniej makijażu, ale także dzięki niewielkim modyfikacjom uniformu. Skróciłam go trochę, zwiększyłam dekolt i całość dopasowałam bardziej do ciała – jak już jechać stereotypami, to na całego. Zawartość wózka uzupełniłam o kubełek z lodem i szampanem, który był zarezerwowany wyłącznie dla pasażerów klasy biznes, a zanim zatrzymałam się obok Matta i nachyliłam się ku niemu, sama popatrzyłam sobie w dekolt, żeby sprawdzić, czy wygląda z niego biustonosz z granatowej koronki, a nie pancerny stanik w kolorze pasztetowej.

– Kieliszek szampana, sir? – zaszczebiotałam, przywołując na twarz najbardziej uroczy z uśmiechów. – A może coś z naszej wybornej kolekcji whisky? – dodałam, kiedy nie od razu odpowiedział. – Mamy dwudziestopięcioletnią, dojrzewającą w dębowych beczkach... Aua!

Matt chwycił mnie za przegub dłoni i pociągnął na wolne miejsce obok siebie. Położył mi palec na ustach.

– Pst, proszę nic nie mówić. Niech pani niczego nie daje po sobie poznać

i mnie wysłucha. To sprawa życia i śmierci.

Gapiałam się na niego szeroko otwartymi oczami. Chyba mnie nie poznawał.

– Na pokładzie tego samolotu znajdują się terroryści – ciągnął szeptem. – Są uzbrojeni, przypuszczalnie mają też ładunki wybuchowe.

– Ale to wykluczone – wyszeptałam w odpowiedzi i na moment zapomniałam, że jestem stewardesą. – Nasze kontrole bezpieczeństwa są bardzo dokładne, a...

Matt niechętnie pokręcił głową.

– Personel naziemny można przekupić, a w ogóle to już za późno na takie dyskusje. Tutaj! – Oderwał kartkę z gazety. Zobaczyłam, że wcale nie rozwiązywał krzyżówki, tylko notował numery miejsc. – To są numery foteli, na których siedzą terroryści. Tyle do tej pory zdołałem ustalić. Sześciu na tym pokładzie. Ale niewykluczone, że na górnym jest ich więcej. Musi pani poinformować kapitana. Mam wielką nadzieję, że w samolocie znajduje się więcej niż jeden sky marshal.

– Eee... – Nieco przytłoczona wzięłam od niego kartkę i zwinęłam w rulon. Nie znałam się zbyt dobrze na tego rodzaju snach. Kiedy w telewizji leciał film, w którym terroryści uprowadzali samolot, to albo zasypiałam, albo przełączałam na inny kanał. Wiedziałam jednak, że na końcu zwykle nie sky marshal ratował wszystkich (a przynajmniej wszystkich tych, którzy przeżyli do końca), tylko jakiś dzielny cywil, policjant w stanie spoczynku albo były agent FBI po przejściach, który przypadkiem znalazł się w samolocie. Zazwyczaj towarzyszyła mu odważna stewardesa, która nierzadko też musiała kopnąć w kalendarz i albo katapultowała się szerokim łukiem z samolotu, albo wykrwawiała się z powodu rany postrzałowej. Może powinnam więc zamienić się w ciężarną, która podczas akcji na sto procent dostaje przedwczesnych skurczy i w samym środku chaosu rodzi dziecko – przynajmniej dożyłabym do końca....

– Na co pani czeka? – Matt patrzył na mnie niecierpliwie. – Kapitan musi wezwać pomoc. A ja potrzebuję czegoś, czego mógłbym użyć jako broni. – Sięgnął po butelkę whisky na wózku.

Wstałam i z możliwie neutralnym uśmiechem przemaszerowałam wzdłuż foteli. Hm, ten typek na fotelu 64D rzeczywiście wyglądał podejrzanie.

– OK – mruknęłam, zastanawiając się, w jaki sposób zamienić thriller katastroficzny w dramat miłosny. Albo, jeszcze lepiej, komedię romantyczną. – Jeszcze tylko jedno: kim pan jest i dlaczego wie pan o tym wszystkim?

– To nie ma najmniejszego znaczenia – odparł opryskliwie Matt. – Ważne jest jedno: żebyśmy wyszli z tego żywi.

– To może okazać się trudne – wtrącił się pasażer z siedzenia za Mattem. Moje serce zamarło na moment, kiedy rozpoznałam w nim Henry'ego. Przedtem z całą pewnością go tu nie było, na jego miejscu siedział mały chłopiec, który opychał się M&M'sami... Do licha!

– Proszę zachować spokój – poinstruował Henry’ego Matt. – Zagroża pan całą akcją.

– Pan nie rozumie – powiedział Henry, puszczając do mnie oczko. Wyglądał tak cholernie przystojnie, że gdyby to naprawdę był film, na mur beton dostałby główną rolę. – Nasza Liv w szalenie seksownym kostiumiku w rzeczywistości jest tajną agentką MI6, a ja jestem jej kolegą. Więc nie jest pan sam.

Tymczasem ja nadal jeszcze nie do końca ochłonęłam z przestrawienia, ale przynajmniej byłam w stanie oddychać. Gorączkowo rozważałam, jak wykaraskać się z tej kabały, nie zdradzając się przy tym. Najważniejsze, żeby zachować spokój. Henry nie mógł mieć pewności, że to byłam ja, równie dobrze Matt mógł po prostu o mnie śnić. Popatrzyłam więc na niego, marszcząc brwi.

– O czym pan mówi? Nazywam się Marianne Dashwood i nie jestem żadną agentką. A pan najwyraźniej jest psychicznie chory.

– Niech pan pozwoli pójść dziewczynie do kapitana – syknął Matt. – Nie wiemy, ile czasu nam zostało.

– Liv, Marianne Dashwood to postać z powieści Jane Austen. – Henry wstał i popatrzył mi prosto w oczy. Jak to dobrze, że między nami stał wózek. Byłam zła na siebie, że nie zachowałam przytomności umysłu i nie wygenerowałam sobie na policzku jakiegoś pieprzyka albo szpary między zębami. Takie drobnostki niesamowicie zmieniały człowieka i od razu byłabym dużo mniej podobna do siebie.

– Co z pana za chory typ? – Nazwisko Marianne równie dobrze mogła przywołać podświadomość Matta, więc przybrałam możliwie wyniosłą minę. – Nie znam żadnej Jane Auster, a teraz proszę pozwolić mi z łaski swojej udać się do kokpitu! – Odwróciłam się na pięcie i pomaszerowałam przejściem. Wózek zostawiłam przed Henrym niczym barierę. Ale poszedł za mną i tak.

– Liv, zaczekaj chwilę!

– Proszę mnie tak nie nazywać! – Szlag by to! Co mogłam zrobić, żeby przekonać go, że to nie mnie miał przed sobą, tylko wysnioną Liv, którą Matt odział w ten żenujący uwodzicielski uniform?

Jedynym sposobem, jaki przychodził mi do głowy, było odwrócenie uwagi. Moją pierwszą myślą było zrobienie dziury w ścianie samolotu, obawiałam się jednak, że to, co nastąpiłoby potem, przerosłoby moją wyobraźnię (należało trochę bardziej uważać na tych filmach!), więc uczyniłam to, na co wpadłam w drugiej kolejności. Zatrzymałam się i wytrzeszczając z przerażenia oczy, wskazałam na jednego z pasażerów.

– On ma bombę! – zawołałam najgłośniej, jak mogłam. Kilka osób było tak miłych i natychmiast zaczęło krzyczeć, zrywając się z miejsc, również ten nieszczęśnik, na którego wskazałam. Kto jeszcze nie zareagował paniką, zrobił to dwie sekundy później, gdy z sufitu wypadły maski tlenowe. Henry na chwilę

oderwał ode mnie wzrok, ja zaś wykorzystałam ten moment, żeby rzucić się na wolne siedzenie z boku, gdzie błyskawicznie przemieniłam się w ciotkę Gertrudę z perłowymi kolczykami, jadowicie zielonymi cieniami na powiekach i fryzurą upamiętniającą królową Elżbietę II.

Henry parł dalej naprzód, szukając mnie wzrokiem.

Tymczasem ciotka Gertruda bezlitośnie toczyła się środkowym przejściem w kierunku toalet (stwierdziłam przy tym, że bycie stukilowym kolosem miało jednak swoje zalety). Na sekundę przed tym, nim dotarłam do czerwonych drzwi, szybko rozejrzałam się na boki. Po Henrym ani śladu. Dostrzegłam natomiast Matta, który stanął na fotelu i krzychał:

– Spokój! Proszę zachować spokój!

Zapewne nie było zbyt pomocne, że trzymał w uniesionej ręce ostrą szyjkę rozbitej butelki po whisky. Ale to był idealny manewr dla odwrócenia uwagi. Błyskawicznie otworzyłam drzwi, wysliznęłam się na korytarz i zatrzasnęłam je za sobą.

Jak najprędzej pokuśtykałam – wciąż jako ciotka Gertruda – za najbliższy załom korytarza, gdzie oparłam się plecami o ścianę. Do jasnej cholery! Niewiele brakowało.

Co, do diabła ciężkiego, Henry robił we śnie Matta? Czyżby mnie śledził? Osuwając się powoli na ziemię, wróciłam do swojej postaci i zasłoniłam twarz dłońmi. Czy naprawdę sądziłam, że nie mogę jeszcze bardziej pogorszyć tej sytuacji? W takim razie myliłam się. Moja jedyna nadzieja w tym, że Henry nie...

– Nie wyszło ci – powiedział. Moja jedyna nadzieja zgasła. Już nawet nie pytałam, w jaki sposób wyrósł tuż przy mnie jak spod ziemi. Ponieważ nie kwapiłam się, żeby wstać, usiadł obok mnie.

– Cześć – wyszeptałam.

– Cześć.

Jego twarz była nieodgadniona – nawet jeśli się uśmiechał, to uradowany na pewno nie był. Otaksował mnie badawczo od stóp do głów swymi szarymi oczami. Wracając do swej postaci, nie przywiązywałam zbyt dużej wagi do wyglądu, dlatego miałam na sobie to samo, co wczoraj wieczorem: jeansy i białą koszulkę z napisem, którą przechwyciłam ostatnio, kiedy mama odłożyła ją do wyrzucenia. Napis głosił „*Feminism is not a dirty word*”.

Oczywiście Henry zatrzymał na nim wzrok.

– Interesujące. Szczególnie u kogoś, kto przed chwilą tkwił we wdianku stewardesy, które mogłoby być rekwizytem w pornosie.

– Na tym się niestety nie znam. Ale cieszę się, że ci się podobało. – Wcale nie chciałam odcinać się tak zuchwale, najchętniej oparłabym głowę o jego pierś, by się rozplakać, ale moja duma jakoś na to nie pozwalała.

Henry westchnął.

– Mogłabyś mi wytłumaczyć, co to miało być?

Popatrzyłam na niego żałośnie. Gdyby to było takie proste.

– Długo... długo by opowiadać.

– Mam dużo czasu – powiedział Henry, wyciągając nogi.

– Tak, właśnie widzę. Wystarczająco dużo, by szpiegować. – Dziwne, jak wiele różnych emocji można odczuwać jednocześnie. Poczucie winy, wstyd, a teraz także i wściekłość...

– Wcale cię nie...

– Szpiegowałeś. – Nie dałam mu dojść do słowa. – Robiłeś dokładnie to, o co miałeś do mnie pretensje, kiedy weszłam za tobą do snu z wanną z hydromasażem! – Przez moment udało mi się wzbudzić w sobie złość, kiedy przywołałam z pamięci scenę, kiedy to Henry wśliznął się do wody, w której moczyła się B. – Później pouczyłeś mnie, że powinnam nauczyć się rozróżniać sen od rzeczywistości...

– Tak, zgadza się. – Głos Henry'ego zabrzmiał trochę chrapliwie, a moja złość odpłynęła tak samo szybko, jak się pojawiła. W zamyśleniu przypatrywał się swoim dłoniom. – To był chyba najgorszy moment w moim życiu. Wygadywałem te wszystkie bzdury, bo nawet przed samym sobą nie chciałem przyznać, że posunąłem się za daleko. Że aby rozwiązać problem z ojcem, gotów byłem robić rzeczy, które... których się nie robi, jeśli się kogoś kocha. Nawet we śnie. Ale byłem tak zdeterminowany, że wolałem zaryzykować utratę ciebie. I jest mi z tego powodu bardzo przykro. – Ostatnie zdanie wypowiedział niemal szeptem.

Siłą powstrzymywałam łzy. Przecież już dawno wybaczyłam mu tamtą głupią historię z B. To było takie żałosne z mojej strony, że wytknęłam mu ją akurat teraz. Zwłaszcza że naprawdę nie można było porównywać tych dwóch sytuacji. To, co zamierzałam zrobić, wydało mi się niewspółmiernie gorsze. Henry'emu przynajmniej chodziło o dobro rodzeństwa, mnie zaś tylko o własną urażoną dumę.

– Mnie też jest przykro – wykrztusiłam z trudem.

– A z jakiego właściwie powodu? – zapytał Henry, już normalnym głosem. – Proszę, wyjaśnij mi po prostu, czego szukałaś we śnie tego faceta, Liv. Tak bardzo ci się podoba? Bo w moich oczach wyglądało to tak, jakbyś chciała go uwieść.

– Bo chciałam. – Głos mi się załamał. Przełknęłam coś twardego, ale klucha w moim gardle nie chciała zniknąć.

Oczy Henry'ego pociemniały.

– To nie była twoja pierwsza wizyta, prawda?

Pokręciłam głową, a on odwrócił wzrok i zapatrzył się w przestrzeń obok mnie.

– Nie. Ale nie dlatego, że Matt tak strasznie mi się podoba czy coś w tym stylu – wydusiłam z siebie. – Wręcz przeciwnie, moim zdaniem to okropny bufon.

– Mój głos brzmiał jak pisk wiewiórki z filmu o Alvinie, ale było mi to teraz zupełnie obojętne. Ani sekundy dłużej nie zniosłabym widoku bólu malującego się na twarzy Henry’ego. Dobrze, że przynajmniej znowu na mnie spojrzął. – Zrobiłam to tylko dlatego, że miałam *Hotel New Hampshire*, a latać można się nauczyć także w symulatorze lotu, a wtedy ty nie zauważyłbyś, że nie jestem pilotem – nie mogłam powstrzymać słowotoku.

Henry z wyraźną konsternacją ściągnął brwi.

– Nigdy nie miałam chłopaka w RPA. – Próbowałam to jakoś uporządkować, wciąż trajkocząc jak nakręcona. – W ogóle nie miałam jeszcze chłopaka. Przeprowadzałyśmy się, zanim zdążyłam nawiązać z kimś jakąś trwalszą relację. I całkiem szczerze: zanim się tu sprowadziłam, raczej nie interesowałam się chłopakami, zresztą z wzajemnością. Dopóki nie poznałam ciebie, byłam taka jak Mia. Poczucie niższości i niewiara w siebie były mi całkiem obce. Dlatego kompleksy totalnie mną zawładnęły... jak kosmici, którzy składają w człowieku larwy, a potem przejmują nad nim kontrolę. Zawsze patrzyłeś na mnie z takim politowaniem, więc wymyśliłam Rasmusa. To znaczy nie ja go wymyśliłam, tylko kosmici. Nie mogłam znieść myśli, że nie mam o niczym pojęcia, podczas gdy ty cały czas możesz mnie porównywać z innymi dziewczynami. Myślałam, że może poczujesz się mniej pewny siebie, jeśli będziesz myślał, że ja też mogę cię z kimś porównywać. A kiedy na świecie pojawił się Rasmus, nie mogłam...

– Stop! – przerwał mi Henry. W samą porę, bo i tak musiałam zaczerpnąć tchu. Moja twarz prawdopodobnie już posiniała z braku tlenu. Mimo to w pewien dziwny sposób czułam ulgę.

Henry nie odezwał się nawet słówkiem. Wpatrywał się tylko we mnie swymi błyszczącymi szarymi oczami, a ja patrzyłam na niego i czekałam, aż coś powie. Ale milczał. Poruszały się tylko mięśnie jego szczęk, jakby coś żuł.

– W Pretorii zajmowałam się wyprowadzeniem psów na spacer – przerwałam w końcu tę ciszę. – Nasi sąsiedzi, Wakefieldowie, mieli psa rasy chow-chow, którego nazwali Rasmus. To było pierwsze z brzegu imię, jakie mi przyszło do głowy.

Henry przygryzł wargę.

– Inny pies, którego wyprowadzałam, wabił się Sir Barks Alot – dodałam. Henry stracił nad sobą panowanie i parsknął śmiechem.

– Boże, Livvy, ty mnie wykończysz – powiedział, kiedy się trochę uspokoił.

– Nie mam takiego zamiaru. – Teraz, gdy już wszystko mu wyznałam, najchętniej wybuchnęłabym płaczem. Ale, o dziwo, klucha w moim gardle zniknęła.

Henry patrzył na mnie, kręcąc głową.

– Dlaczego, na Boga, sądziłaś, że czuję się lepszy od ciebie? To przecież ja z nas dwojga mam kompleksy, jestem nieufny i obawiam się utraty. To ja

w naszym związku jestem tym pokręconym.

– Ale jesteś tym pokręconym, który już mnóstwo razy uprawiał seks.

– Mnóstwo! – Henry prychnął. – Jak to brzmi. I to w ogóle nie jest prawda. To, że chodziłem przed tobą z kilkoma dziewczynami, absolutnie nie oznacza, że jestem jakimś ekspertem w tych sprawach. I nikogo nie porównuję, bo w porównaniu z tobą i tak każda dziewczyna wypada blado. – Jego głos złagodniał. Henry wyciągnął rękę, żeby dotknąć mojego policzka. – Zawsze uważałem, że to cud, że czekałaś akurat na mnie, i omal nie umarłem z zazdrości o tego całego Rasmusa.

– I słusznie! Drapałam go po brzuchu. – Byłam oszołomiona z powodu poczucia ulgi. I ze szczęścia. Sięgnęłam po dłoń Henry’ego i pocałowałam ją. – Kocham cię, Henry! I przykro mi, że byłam taką idiotką.

Oczy Henry’ego znowu błyszczały.

– No i powinno – powiedział, marszcząc brwi. – Nigdy ci nie wybaczę, że wolałaś przeżyć swój pierwszy raz z tym kretynek Mattem niż ze mną.

Ale kiedy nachylił się, żeby mnie pocałować, wiedziałam, że już nie miał mi za złe.



Blog Frognał Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

25 marca

Dziś mam dla was małą kolekcję budujących cytatów z cyklu „Słowa, które na sto procent nie były przeznaczone dla obcych uszu, ale teraz można przeczytać je na blogu Secrecy”. Ups. Kilka z tych tekstów jest nieco starszych, ale z pewnością nie straciły na aktualności.

„Język Gabriela przypomina ślimaka bez skorupki” (Persefona Porter-Peregrin).

„Pod push-upem ma dwa groszki wystające z deski” (Gabriel Cobb o wdziękach Persefony).

„Jadałem już kanapki z tuńczykiem, które miały wyższy iloraz inteligencji niż ten chłopak” (pan Daniels o Jasperze Grancie).

„Założę się, że jemu nawet z tyłka pachnie lepiej niż z ust” (Jasper Grant o panu Danielsie).

„Trudno w to uwierzyć, bo zawsze udaje miłego skromnisia, ale ego Graysona jest tak rozdęte jak tyłek Hazel Pritchard” (Emily Clark).

„Chce się rzeć na jej widok, prawda? Gdybym była Graysonem, też bym z nią zerwała” (Hazel Pritchard).

„Dziesięć lat temu nie wyrzuciłbym jej ze swojego łóżka” (pan Vanhagen o dyrektorce Cook).

„Ten kolega po prostu ma w sobie to... nic” (dyrektorka Cook o panu Vanhagenie).

„Pogięło ich! Żeby wyprawiać takie cyrki z powodu jakiegoś głupiego krzaka!” (Liv Silver o Anglikach).

„Wracaj lepiej do domu” (Anglicy o Liv Silver).

Ach tak, na koniec jeszcze słowa zasłyszane wczoraj w szkolnej ubikacji:

„Szkoda, że ten cholerny wąż nie dziabnął cię w jaja” (Grayson Spencer do Arthura Hamiltona).

No to teraz życzę wam dużo zabawy przy wzajemnym linczowaniu.

Widzimy się

Wasza Secrecy

PS Nie chcę nikogo straszyć, ale założmy, że ta historia z wężem w szafce Arthura Hamiltona nie była wcale głupim szczeniackim wybrykiem, jak chcą nam wmówić policja i dyrektorka Cook. Czy to nie oznacza zatem, że gdzieś na wolności jest morderca? I kto będzie jego następną ofiarą? W komentarzach możecie wpisywać wasze życzenia w tym temacie. Buhahaha!

Tittletattleblog.wordpress.com



Lottie obracała się przed lustrem Florence. Zielona sukienka leżała na niej jak ulał.

– Nie wiem... Nie jest trochę za krótka? – Lottie z powątpiewaniem taksowała wzrokiem swoje nogi.

– Bzdura. Jeśli zamiast szpilek włożysz do niej te swoje czarne botki, to będzie akurat – przekonywała Florence. Wylegiwała się na brzuchu na swoim łóżku i nawet nie protestowała, kiedy wraz z Mią uwałyśmy się po obu jej stronach na śnieżnobiałej narzucie. Wszystkie trzy przybrałyśmy dokładnie taką samą pozycję: leżałyśmy wsparte na łokciach, opierając brody na prawej dłoni, ze wzrokiem utkwionym w Lottie. – Do botków będzie superelegancka, a ty nie będziesz przesadnie wystrojona.

– Jesteś prawdziwą ekspertką od mody. – Lottie rzuciła Florence uśmiech uznania. Przycisnęła dłoń do piersi i popatrzyła na nas z zachwytem. – Ach! Szkoda, że nie możecie się teraz widzieć! Jak tak leżycie jedna obok drugiej, jak prawdziwe siostry! Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę, że wreszcie się polubiłyście.

Słucham? Lottie otarła z kącika oka łezkę wzruszenia. Gapiłyśmy się na nią osłupiałe.

– To ja pójdę po botki – oznajmiła z ożywieniem. – I rajstopy. Lepiej czarne czy cieliste? Ach, przyniosę jedno i drugie, a wy powiecie mi, które lepiej wyglądają, dobrze? Tylko nie ruszajcie się z miejsca, zaraz wracam. – Przy drzwiach odwróciła się jeszcze. – Muszę jedynie raz-dwa zrobić polewę do tortu marchewkowego, ale to mi zajmie najwyżej minutkę.

Florence pierwsza ochłonęła.

– Cóż, wasza niania jakoś nieszczególnie zna się na ludziach – powiedziała.

– Słyszałaś to, Liv? – Mia kopniakiem zrzuciła jedną z haftowanych poduszek Florence z łóżka, żeby zrobić więcej miejsca na iPad Lottie, którego ostatnio praktycznie nie wypuszczała z rąk. – Prawdziwa ekspertka od mody nie chce się przyznać, że szalenie nas polubiła, chociaż mamy na sumieniu jej wuja, sztywnego Mr Snugglesa.

Zachichotałam.

– Nie musisz się wstydzić, Florence. Nie powinno się tłumić silnych emocji. W końcu miłość opiera się na wzajemności. – To ostatnie zdanie powiedziałam całkiem na serio. Po dzisiejszej nocy, odkąd miałam z głowy tę historię z Rasmusem, czułam się tak niewiarygodnie błogo, że pałam miłością do wszystkich. Nawet do Florence. Ach, do Florence szczególnie, kiedy tak leżała, z dłonią zatopioną w karmelowych lokach, próbując spoglądać złym wzrokiem. Cmoknęłam ją zamasyście w policzek. – Bez naszych porannych bitew o łazienkę czułabym, że mi czegoś brakuje.

– W każdym razie miałabyś lepszy makijaż – powiedziała Florence, nie potrafiąc do końca zachować powagi. W jej policzkach pojawiły się dołeczki. – Tylko sobie nie myślcie. Nadal uważam, że jesteście najbardziej upierdliwymi natrętami, jacy kiedykolwiek przestąpili próg tego domu. Podnieś natychmiast tę poduszkę, Mia.

– Zaraz – zbyła ją Mia. – Tylko napiszę e-mail do Secrecy. Żeby wiedziała, że ją zdemaskowałam.

– Co? – wykrzyknęłam. Nie do wiary. Mia miała takie przełomowe nowiny i tak spokojnie leżała sobie na łóżku. – Od kiedy? Opowiadaj!

– Ko-cha-na Se-cre-cy! Wielkie dzięki za twój wpis z dzi-siej-sze-go po-ran-ka – czytała irytująco powoli Mia, stukając w litery na ekranie. – Do rozwiązania zagadki twojej tożsamości brakowało mi ostatniego elementu układanki.

– Mia, mówię serio! – Sięgnęłam ponad plecami Florence i szarpnęłam siostrę za sweter. – Naprawdę wiesz, kim jest Secrecy? Gadaj!

– Ach, nonsens! Przecież ona tylko blefuje. – Florence prychnęła pogardliwie.

Mia niewzruszenie pisała dalej.

– Rozwiązanie tej sprawy sprawiło mi naprawdę ogromną przyjemność. Ponieważ jednak nie zaliczam się do twoich fanów, będzie to miało dla ciebie pewne konsekwencje, niestety. W sprawie szczegółów odezwę się w późniejszym czasie. Z poważaniem, Mia Silver, prywatny detektyw. I – wysłane.

– Mia!!! – Podczołgałam się bliżej, żeby popatrzeć jej w twarz. Wyglądała na wyjątkowo zadowoloną z siebie. – Jeśli natychmiast nie powiesz, co wiesz, poddam cię takim torturom łaskotkowym, że posikasz się w majtki.

– Zostaw ją w spokoju. Ona nie może ci tego powiedzieć. – Florence usiadła na łóżku. Dołeczki w jej policzkach zniknęły. – Nikt nie wie, kim jest Secrecy. Twoja młodsza siostra zgrywa ważniaczkę. – Młasnęła językiem, co przez moment tak bardzo upodobniło ją do Bochry, że aż przeszły mnie ciarki. – Zdaję sobie sprawę, że jesteś jeszcze dzieckiem, Mia, ale i tak uważam, że jesteś już trochę za duża na te głupie zabawy w detektywa.

– Są rzeczy, na które nigdy nie jest się za dużym. – Mia zamknęła pokrowiec iPada i też usiadła. – Ale to nie dotyczy pisania anonimowego, bardzo złośliwego bloga. – Westchnęła. – Podłość nie jest kwestią wieku, lecz charakteru. Nieprawdaż, Secrecy? – zmierzyła Florence chłodnym wzrokiem.

Przez moment panowała cisza jak makiem zasiał.

Potem Florence ziewnęła demonstracyjnie.

– Ja niby miałabym to napisać? – Odchyliła się i zamknęła oczy. – Śnij dalej.

– Och, źle mnie zrozumiałaś, Florence – odparła uprzejmie Mia. – Nie powiedziałam, że to ty napisałaś notkę na blogu, tylko że stała się ona dla mnie ostatnim elementem układanki.

Zmarszczyłam brwi.

– To w końcu jak?

Mia poprawiła okulary na nosie. Była naprawdę doskonała w roli detektywa.

– Wyduś to wreszcie – nakazałam jej podekscytowana.

Mia posłała mi szeroki uśmiech.

– Florence nie jest Secrecy. Ona jest tylko Se. Albo Cre. Albo Cy. Wybierz, co chcesz.

Wciągnęłam powietrze.

– To jest ich kilkoro?

– Nie kilkoro. Troje. – Mia nie mogła się już powstrzymać. – Obłąd, co? Już dawno podejrzewałam, że piszących jest kilkoro, choćby z tego względu, że Secrecy po prostu nie mogła być wszędzie. Ale zawężenie kręgu podejrzanych było potwornie trudne. Nawet nie wiesz, jak... eee... wyczerpujące było sondowanie każdego z nich. Ale poszlaki też były ważne. – Przeniosła wzrok na Florence. – Zdajesz sobie sprawę, ile dygresji o modzie jest zawartych w twoich wpisach? Język twoich kolegów pod tym względem jest dużo mniej obrazowy.

Zdumiałam się. Mia naprawdę zdołała rozwiązać największą zagadkę ludzkości. Ogarnęła mnie fala siostrzanej dumy. W dodatku stało się dla mnie jasne to i owo.

– To dlatego Secrecy tak często zmieniała zdanie – powiedziałam. Wodziłam wzrokiem między Mią i Florence, która wciąż leżała na wznak i jak na sytuację, w jakiej się znalazła, sprawiała wrażenie wyjątkowo wyluzowanej. – I cały czas wszystkim dogryzała. Pewnie sami się nawzajem obgadywaliście. Jak sprytnie! Kim są pozostali?

– Dlaczego mnie o to pytasz? Wierzysz jej? – Florence zaczęła zaplatać włosy w warkocz. – Tylko dlatego, że tak mówi?

Nie spuszczałam z niej wzroku. Jak jej się udawało zachować taki spokój?

– Owszem, wierzę jej. Tylko dlatego, że tak mówi.

– I ponieważ wie, że bez niezbitych dowodów nigdy nie twierdziłabym czegoś takiego – dodała Mia.

– Chciałabym widzieć te dowody – zadrwiła Florence.
– Może sprawdzisz, czy dostałaś e-mail ode mnie? – zapytała Mia.
– Secrecy pewnie co dzień dostaje takie e-maile. – Florence przeciągnęła się błogo, siadając, jakby miała za sobą odprężającą drzemkę. Trzeba jej przyznać, że była naprawdę niesamowicie wyluzowana. W innych okolicznościach właśnie w tym momencie zaczęłabym powątpiewać w teorię Mii. – Pewnie właśnie pęka ze śmiechu.

– No dobrze, skoro jesteś zbyt leniwa, by przeczytać swoje wiadomości, mogę to zrobić za ciebie. – Mia ponownie otworzyła iPada. – Momencik, zaraz będziemy to mieli. E-maile, które lądują w skrzynce Secrecy, są automatycznie przekierowywane na trzy inne adresy, zgadza się? Twoja tajna skrzynka Secrecy jest zarejestrowana na nazwisko Adelaide Hanley. W sumie jakie to urocze, że wybrałaś panińskie nazwisko swojej babki.

Florence ani drgnęła, lecz nonszalancki uśmiech powoli odpływał z jej twarzy. A jednak.

– Ale jednocześnie było to troszkę niemądre. Zakładając fałszywe konta pocztowe, powinno się unikać osobistych powiązań – ciągnęła Mia. Jej palce śmigały po klawiaturze na wyświetlaczu, a ja nie wiedziałam, co było bardziej fascynujące: to czy przemiany na twarzy Florence. – To samo dotyczy hasła, nawet jeśli zmienia się je co tydzień. Odradza się stosowanie kombinacji z imionami zwierząt domowych, datami urodzenia, numerami domu i tak dalej, ale dobra... 172Spot97, proszę bardzo...

– Wystarczy! – Florence wyrwała jej iPad z ręki. Przez chwilę obawiałam się, że ciśnie nim o ścianę. Ale ona po prostu położyła go na kolanach. Na jej twarzy malowały się gniew, złość, a także odrobina wstydu.

Florence była Secrecy! Powoli docierało do mnie, co to oznacza. Która z rozliczonych podłóści na blogu Tittle-Tattle pochodziła od niej? Czy to ona wypisywała te wszystkie okropne rzeczy o mnie?

Ach, cholera. Pogodny nastrój, dobry humor i przepelniającą mnie miłość do wszystkich diabli wzięli.

– A właśnie zaczęłam cię odrobinę lubić – rzekłam cicho.

– A ja pragnęłam, żebyście po prostu zniknęły. – Florence poderwała się tak nagle, że wzdrygnęłyśmy się obie z Mią. Dobrze, że mojej siostrze udało się przynajmniej złapać iPad.

– I co z tego? Dobra, jestem Secrecy. – Florence gromiła nas wzrokiem. – Czy ja zawsze muszę być doskonała, podczas gdy wam wszystko wolno tylko dlatego, że jesteście trochę młodsze i jasnowłose? Czy tylko wam w tym domu wolno popełniać głupstwa? Ale jasne, jak wy coś zawalicie, to wszyscy mówią, że to słodkie i urocze i że przecież nie chciałyście. Obojętne, co zmalujecie, tata i Grayson od razu mają dla was jakieś usprawiedliwienie. Wszystko zawsze kręci

się wokół was! – Do tego momentu w głosie Florence brzmiała złość, ale teraz jej stan raptownie się zmienił. Popatrzyła na mnie oskarżycielsko, a jej oczy wypełniły się łzami. – Już i bez tego jest beznadziejnie, że tata interesuje się wyłącznie twoją mamą, a na dodatek Grayson spędza więcej czasu z tobą niż z własną siostrą. A jego kumple już kompletnie zapomnieli, że w ogóle istnieją, tylko cały czas: Liv to, Liv tamto.

– Jak się dowiedzą, że to ty jesteś Secrecy i że wypisujesz o nich same miłe rzeczy, na pewno sobie o tobie przypomną – wtrąciła Mia. Florence wzdrygnęła się.

Kumple Graysona, a więc to tak. Popatrzyłam przymrużonymi oczami na swoją przyszłą przyszywaną siostrę. Do grona kumpli Graysona należał również Arthur. Który przyznał, że dostarczał Secrecy informacji. Czy to znaczyło, że Florence była w zмовie z Arthurem?

Mia bez cienia litości skrzyżowała ręce na piersi.

– Pisałaś bloga Tittle-Tattle, jeszcze zanim przyjechałyśmy do Londynu, więc nie obarczaj nas winą za to, że jesteś taką podstępną żoną!

– Mia! – zachnęła się przerażona Lottie. Stała z botkami i rajstopami na progu pokoju i nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. – Co tu się dzieje? Przecież jeszcze przed chwilą byliście jak papużki nierozłączki!

– To ona jest Secrecy! – Mia wskazała palcem Florence. – Właśnie się przyznała.

Lottie знаła blog Tittle-Tattle. Odkąd po raz pierwszy pojawiło się na nim coś o nas, czytała każdy wpis, czasami nawet przed nami. A kiedy znalazła o nas coś przykrego, złościła się jeszcze bardziej niż my. Dlatego teraz tylko zaśmiała się z niedowierzaniem. – Z takich rzeczy się nie żartuje, moje cynamonowe ślimaczki! Florence z tą złą, podłą osobą na pewno nie ma nic...

Florence nie dała jej skończyć.

– Owszem, do jasnej cholery. To ja jestem tą złą, podłą osobą. I to ja pisałam te wszystkie okropne rzeczy. – I teraz już naprawdę wybuchnęła płaczem.

– Nie wszystkie. Jesteś tylko jedną z trzech złych, podłych osób – sprostowała Mia. Lottie osłupiała wpatrywała się we Florence.

– Ale... ale ty jesteś... aniołem – jąkała się. – Pracujesz charytatywnie w kuchni dla ubogich i podpisujesz petycje przeciwko łamaniu praw człowieka, i podtykasz Buttercup smakołyki, i drapiesz ją za uszami, kiedy myślisz, że nikt nie widzi. – Wyglądało, jakby Lottie też miała się zaraz rozpląkać. – Doskonale wiem, że jesteś taka szorstka dla Ann tylko dlatego, że w głębi serca obawiasz się, że mogłaby złamać serce twemu tacie. A tę chropowatą powłokę stworzyłaś, bo straciłaś matkę jako mała dziewczynka, ale pod nią na pewno kryje się gołębie serce.

Podczas gdy Mia przy każdym zdaniu przewracała oczami i mamrotała coś

półgębkiem o „wyrównywaniu karmy”, policzki Florence płonęły coraz bardziej. Jeszcze nigdy nie widziałam, by zrobiła się czerwona, i nagle aż zrobiło mi się jej żal.

– Myślisz tak, bo ty z zasady myślisz dobrze o wszystkich ludziach, Lottie – powiedziała i stłumiła szloch. – Byłam dla ciebie taka wstrętna, a ty zawsze zachowywałaś się tak, jakbyś tego nie dostrzegała. Zawsze wszystkich rozumiesz i jeszcze pieczesz te wszystkie wspaniałe torciki i babeczki, i chociaż ubóstwiasz Liv i Mię, próbowałaś mnie... a ja byłam cały czas...

– Secrecy – dokończyła za nią Mia. – Ale jeśli cię to pocieszy: ty byłaś tą Secrecy, która miała najlepszy styl. I byłaś zdecydowanie najdowcipniejsza. – Po krótkim wahaniu dodała jeszcze: – I nie, nie byłaś najbardziej złośliwa, w każdym razie nie w stosunku do mnie i Liv. Może pomijając tamtą sprawę z Mr Snugglesem.

Florence opadła z powrotem na łóżko.

– Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, OK? Ale to było wspaniałe uczucie, kiedy Secrecy w zeszłym roku zwróciła się do mnie i mianowała mnie swoją następczynią, rozumiecie? No bo wybrała mnie spośród wszystkich innych, i to pomimo że Emily i Grayson nie chcieli mnie w tej swojej głupiej szkolnej gazecie. Secrecy powiedziała, że może sobie wyobrazić, że będę lepsza niż oni, więc...

– Czekaj – weszłam jej w słowo. – W zeszłym roku była jeszcze jakaś inna Secrecy?

– Wiedziałam o tym – powiedziała szybko Mia. – Do minionego roku wszystkie wpisy na blogu miały jednolity charakter. Dopiero potem dają się zauważyć pewne różnice. Dlaczego pierwsza Secrecy zrezygnowała z pisania?

– Bo skończyła szkołę. – Florence udało się opanować. – Ale nie chciała, by blog umarł, był niejako jej dzieckiem. Zapragnęła, żeby ktoś pociągnął to dalej. Więc przejęliśmy blog, ze wszystkimi technicznymi niuansami. Ojciec Secrecy założył go na jakimś serwerze w Łotwie czy gdzieś, nie do zhakowania. Wiecie, że strona ma ponad jedenaście tysięcy wejść dziennie? – Nie potrafiła ukryć, że była z tego naprawdę dumna. – Początkowo czytali go tylko uczniowie Frognał, później też nauczyciele, a potem blog zauważyły inne szkoły w dzielnicy, a od jakiegoś czasu jest słynny na cały Londyn... na cały świat, właściwie.

O Boże, naprawdę było mi jej żal. Nie miałam pojęcia, jak bardzo Florence potrzebowała tego bloga do podbudowania swojego ego. A jednocześnie z nikim nie mogła o nim rozmawiać. Oprócz...

– My, czyli kto? – zapytałam.

– Kto jest pierwszą Secrecy? – odezwała się jednocześnie Mia. – Pierwotną Secrecy?

Florence podniosła głowę i uśmiechnęła się krzywo.

– Myślałam, że wiesz, detektyw Silver.

– Nie, jeszcze do tego nie doszłam – przyznała niechętnie Mia.
– W dochodzeniu skupiłam się na aktualnej Secrecy.

– Więc kto to jest? – zaczęłam się niecierpliwić.

– Znam tylko jedną z nich – powiedziała Florence. – Pandora Porter-Peregrin. Często wymienialiśmy się informacjami i dogrywałyśmy terminy.
Mia skinęła głową.

– Pandora jest tą Secrecy, która uwzięła się na nieszczęsną Hazel Pritchard i jej matkę. Lubi obgadywać wygląd innych osób. Ale najbardziej lubiła zdradzać intymne fakty na temat Persefony.

– Własna siostra!

Biedna Persefona! Jakie to okropne mieszkać pod jednym dachem z osobą, która do tego stopnia nadużywa... zaraz! Z nami nie było inaczej. Obrzuciłam Florence ponurym spojrzeniem.

Spuściła wzrok.

Lottie, wciąż straszliwie wzburzona, popatrzyła na zegarek.

– Chyba pójdę po tort marchewkowy. Węglowodany są dobre na nerwy. – Opuściła pomieszczenie. Usłyszałyśmy jeszcze, jak mamrocze pod nosem: – Gdybym wiedziała, upiekłabym rogaliki waniliowe.

– Trzeciej Secrecy same nie znamy, a ona nie zna nas – ciągnęła Florence, zanim zdążyłyśmy ją do tego zachęcić. Najwyraźniej dobrze jej robiło, że wreszcie mogła się wygadać. Jakby przerwała tamę. Skąd ja to znałam!

– Nawet podejrzewałam Emily, że prowadzi swoiste podwójne dziennikarskie życie, bo trzecia Secrecy wprawdzie pisze najmniej notek, ale jednocześnie jest kimś w rodzaju administratora – trajkotała Florence. – To ona umieszcza wpisy w sieci i nieraz jeszcze przy nich majstruje albo je uzupełnia, co wprawdzie jest charakterystyczne dla Emily, ale z drugiej strony jednak do niej nie pasuje, bo nigdy przecież nie wypisywałaby takich wrednych rzeczy o sobie. Poza tym ta Secrecy pierwsza wie o rozmaitych skandalach i aferach wśród nauczycieli, a Emily kompletnie się w tym nie orientuje. Nie, to jakaś inna.

– Inny – poprawiła ją Mia, ciesząc się z naszego zdumienia. – Trzecia Secrecy to chłopak. I byłaś naprawdę blisko, Florence. Ja też przez jakiś czas podejrzewałam Emily. Ale to jej brat, Sam.

– Nie!

Sam „Wstydz się”, strażnik moralności z bożej łaski, miał być Secrecy? Niemożliwe! Ale jak tak się dłużej nad tym zastanowić, to miało ręce i nogi. Secrecy czasami strasznie moralizowała.

– A zatem Sam – warknęła Florence. – Ten mały, wyrafinowany gnojek. Powinam była się domyślić. Ciągłe siedział mi razem z Emily na głowie. Okropnie mnie wkurzał, kiedy tak potępiał biedną panią Lawrence. – Popatrzyła na mnie z ukosa. – Niektóre z tych okropnych rzeczy o tobie wyszły od niego, Liv.

Przysięgam.

Otworzyły się drzwi i do pokoju chwiejnym krokiem weszła Lottie z tacą pełną talerzyków i kubków oraz dzbankiem aromatycznej herbaty. Na środku tacy królował tort marchewkowy, polany niezastygłą jeszcze polewą, którą Lottie w pośpiechu ozdobiła przygotowanymi wcześniej marcepanowymi marchewkami.

– Zaczekajcie – powiedziała, stawiając tacę na biurku. – Wprawdzie nie całkiem pasuje do ciasta, ale na dole mam jeszcze bitą śmietanę, która wszystkim nam dobrze teraz robi. Mia, ty możesz już pokroić ciasto i rozdzielić na talerzyki. Liv, ty nalejesz herbaty, a ty, Florence, wydmuchaj sobie nos. Zaraz wracam.

– Ona naprawdę wierzy w to, że wszystkie problemy znikną dzięki jej magicznym wypiekom – zauważyła Florence, kiedy Lottie zbiegała po schodach. Ale posłusznie sięgnęła po chusteczki leżące na szafce nocnej.

Mia wstała.

– Bo to prawda. Ten tort marchewkowy już niejedną raz odmienił na lepsze mój dzień – oświadczyła. Zmierzając w stronę biurka, niechcący kopnęła pod łóżko poduszkę, którą wcześniej z niego zrzuciła.

– Uważaj trochę – upomniała ją Florence w identyczny sposób jak Bochra. Pewnie miała taki wrodzony odruch. Chyba samej zrobiło jej się głupio, bo dodała w ramach wyjaśnienia: – Dostałam ją od mamy. To moja ulubiona poduszka.

Mia przykucnęła i sięgnęła ręką pod narzutę.

– Oj, tutaj już dawno chyba nikt nie odku... och. – Szeleszcząc czymś, wyłoniła się spod łóżka. W dłoni trzymała dwie puste, przezroczyste torebki.

– Chcesz... Co to jest? – zapytała Florence.

Mia w milczeniu jedną z torebek podała mi, a drugą wręczyła Florence, która gapiała się na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Marabut, posortowane, czarne, od sześciu do ośmiu centymetrów. Sto gramów. Made in India – przeczytałam napis na białej nalepce i nagle poczułam się, jakby ktoś ścisnął mnie za gardło. – Przechowywać z dala od dzieci w wieku poniżej lat trzech. O Boże, Florence...

– To ty rozsypałaś pióra w pokoju Graysona – odezwała się Mia, a jej głosik zabrzmiał jak pisk małej, zaszokowanej dziewczynki, a nie prywatnej detektyw Silver, która właśnie wydobyła na światło dzienne jednoznaczne dowody zbrodni.

– Co ty wygadujesz? W życiu nie widziałam tych torebek na oczy! – Florence na przemian patrzyła to na torebki, to na Mię. Jąkając się, szukała wytłumaczenia. – To... ktoś chce zwalić winę na mnie. – Popatrzyła na Mię. – To byłaś ty? To ty włożyłaś mi je pod łóżko, żeby odwrócić uwagę od siebie? – Wyglądała na oszołomioną. – Tata od razu cię podejrzewał. A poduszkę sama kopnęłaś pod łóżko, żebyśmy znalazły torebki.

– Pogięło cię? – Mia popukała się w czoło. – To pewnie i ja byłam Secrecy, tak?

– Nie! To znaczy, tak. Do cholery! – Florence nerwowo przejechała dłonią po włosach. – Po co, do diabła, miałabym je rozsypywać w pokoju Graysona?

– No, żeby wszyscy myśleli, że to znowu ja zrobiłam głupi kawał – powiedziała Mia. – Bo jesteś podstępna...

Położyłam jej dłoń na ramieniu, powstrzymując ją przed dokończeniem. Wprawdzie trochę mi to zajęło, ale teraz miałam już absolutną jasność, co tu się wydarzyło. Jak mogliśmy być tacy ślepi? Przecież to nie był pierwszy raz!

– Livvy? – Mia popatrzyła na mnie z troską. – Co ci jest? Dlaczego pobladłaś tak nagle?

– To nie wina Florence. Ona nie pamięta, że rozsypała pióra, zrobiła to we śnie. – Zgniotłam torebkę w dłoni i zerwałam się na równe nogi. Akurat teraz nie było nikogo, Grayson był już w drodze do Islington, a Henry w środy zawsze zabierał Amy na pływalnię. – Mogę na chwilę pożyczyć twoją komórkę, Florence? – Rozejrzałam się wokół.

– Nie, nie możesz. – Dolna warga Florence zadrżała. – I niczego nie robiłam we śnie. To jest jakiś absurd. Po co ci moja...

– Daj mi tę pieprzoną komórkę! – wrzasnęłam na nią. W głowie miałam mętlik, a myśli goniły jedna drugą. To było takie logiczne, a jednak... nie... I jak się miał do tego wszystkiego wąż? Musiałam jak najszybciej porozmawiać z Henrym i Graysonem. Może razem zdołamy jakoś dopasować kawałki układanki tak, by utworzyły sensowną całość.

Florence chyba zdała sobie sprawę, że nie żartuję. Podała mi swój smartfon i popatrzyła na mnie niepewnie.

– Musisz mi uwierzyć...

Machnęłam niecierpliwie, ucinając jej wyjaśnienia, i poszukałam w kontaktach numeru Henry'ego.

Podczas gdy w słuchawce rozlegał się sygnał, do głowy przyszło mi coś, o czym z tego wszystkiego całkiem zapomniałam.

– Florence, kto jest pierwszą Secrecy? Tą, która założyła blog?

Florence wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy jej nazwisko w ogóle wam coś powie, bo skończyła szkołę, zanim przyjechałyście do Londynu. To była ta dziewczyna, która wylądowała w szpitalu psychiatrycznym. – Westchnęła. – Anabel Scott. Była dziewczyna Arthura Hamiltona.

A więc Anabel. No cóż, ze wszystkich dzisiejszych niespodzianek ta była najmniej niespodziewana.

Po drugiej stronie linii włączyła się poczta głosowa Henry'ego. Cholera jasna!

23.



Pierwszą osobą, którą zobaczyłam po wyjściu na korytarz, była Emily, i zarazem jak zawsze była chyba ostatnią osobą, którą chciałam spotkać. Dziś jej widok naprawdę mnie rozwścieczył. Bezcelnie siedziała pod drzwiami Graysona obok Straszliwego Freddy'ego i z takim skupieniem wpatrywała się w notes na swoich kolanach, że nie zauważyła, jak zamknęłam swoje jaszczurcze drzwi i powoli podeszłam bliżej.

– Więc tak, pierwiastek z trzech milionów dziewięciuset dwunastu tysięcy czterysta osiemdziesięciu czterech – mamrotała. – To by było tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem. Zgadza się?

– Nie mogę udzielać informacji – pisnął Straszliwy Freddy.

Kontrolnie omiotłam spojrzeniem korytarz. Wyglądało na to, że nie było jeszcze nikogo z pozostałych, choć Grayson poszedł spać wcześniej niż ja. Po takim wyczerpującym i obfitym w wydarzenia dniu pewnie będzie spał jak kamień, pomimo troski o Florence. No i szczerze mówiąc, niech śpi, tutaj na korytarzach i tak nigdy nie był nam szczególnie pomocny. Miał inne atuty. Chociaż wątpiałam, aby jego ustalenia – trzeba przyznać, że sensacyjne – naprawdę mogły nas uratować. Teraz, gdy już wiedzieliśmy, że Arthur wyprzedzał nas o więcej niż kilka kroków.

Nie od razu znalazłam eleganckie drzwi w kolorze szuwarów należące do Florence, bo nie znajdowały się na swoim zwykłym miejscu. Po chwili zorientowałam się, że przesunęły się bliżej naszych drzwi, dużo bliżej: znajdowały się teraz obok drzwi Mii, bezpośrednio naprzeciwko drzwi Graysona.

Tym lepiej: stąd łatwiej ją było kontrolować. Choć w głębi serca miałam nadzieję, że przynajmniej dzisiejszej nocy nie będzie to konieczne. Po wszystkim, co się dziś wydarzyło, Florence pewnie nie zmruży oka, tylko będzie się wiercić w łóżku, nie mogąc zasnąć. A kiedy Florence nie spała, nikt nie mógł dostać się do jej snu i narobić kłopotów.

O ile już nie było za późno.

Właściwie powinniśmy domyślić się tego wcześniej – wszak to się stało nie

pierwszy raz. Jak to ujął Henry: „Przecież to zawsze jest Arthur”.

Dzięki swoim niecnym sztuczkom Arthur znów zdołał zapanować nad kimś z naszego najbliższego otoczenia. Ostatniej zimy była to Mia, którą manipulował we śnie i ostatecznie omal nie zabił. Tym razem uczynił swą marionetką Florence. Wprawdzie zdołaliśmy ustalić, że dotychczas miała na sumieniu jedynie wetknięcie mi we włosy pióra i wysypanie dwóch dużych opakowań piór w pokoju Graysona oraz włączenie wentylatora, ale równie dobrze zamiast z piórem mogła stać przy moim łóżku z nożem, a kto znał Arthura, ten wiedział, że na pewno nie poprzestanie na niewinnym straszaniu piórami. Tym bardziej że od jakiegoś czasu dysponował zupełnie nowymi możliwościami, co mogliśmy zaobserwować na przykładzie pani Lawrence, Persefony i biednego Theo Ellisa. Na wszelki wypadek przed pójściem spać zamknęłam drzwi do swojego pokoju. Dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

Mii poradziłam zrobić to samo i tym razem nie pytała mnie o powody. W ogóle po naszym odkryciu zrobiła się niezwykle małomówna. W przeciwieństwie do Florence, którą wizja lunatykowania i robienia we śnie dziwnych rzeczy wyraźnie zaszokowała. Kiedy już przeszła przez etap zaprzeczania („Nigdy w życiu nie zrobiłabym czegoś takiego!”), ponownie się rozpląkała i nie pomogła nawet bita śmietana Lottie.

– To prawda! – szlochała Florence, chowając twarz w dłoniach. – Miałam te dziwne sny... A następnego dnia brudne podeszwy stóp. Czy to znaczy, że jestem wariatką? Rozsypywać pióra... Kto wyprawia takie rzeczy?

Naturalnie mogłabym odpowiedzieć jej na to pytanie, ale prawdopodobnie wywołałoby to w niej jeszcze większe zmieszanie. I śmiertelnie ją przestraszyło. I tak już była kompletnie wykończona nerwowo. Bez żadnych oporów pozwoliła się wziąć w ramiona Lottie.

– Może to wypalenie? Może przesadziłam z nauką? – wydusiła z siebie między dwoma szlochnięciami. – Nie chcę wylądować w psychiatriku.

– Ależ nie musisz. – Lottie pocieszająco głaskała ją po włosach. – Wielu ludzi lunatkuje, może pod naszym domem przebiega jakaś żyła wodna albo coś w tym rodzaju. Pamiętasz, Mia w styczniu też robiła zwariowane rzeczy. O mało nie wyskoczyła przez okno! A zapewniam cię, że jest całkiem zdrowa na umyśle!

Florence rzuciła Mii spojrzenie, jakby wcale nie była tego taka pewna, ale przynajmniej przestała płakać.

Trochę jej zazdrościłam, bo uwierzyć w wypalenie było po stokroć łatwiej niż zostać skonfrontowanym z prawdą, tak jak Henry, Grayson i ja. To pierwsze można było wyleczyć tabletkami i pobytami w nadmorskich uzdrowiskach, natomiast na Arthura nie było żadnego lekarstwa. Wykiwał nas jak uczniaków, a to napełniało nas w równym stopniu wściekłością i poczuciem bezradności. Głównie Grayson był gorzko rozczarowany.

A przy tym jego wizyta u BloodySword66 alias Harry'ego Triggsa przerosła wszelkie oczekiwania.

Grayson wprawdzie musiał poświęcić naturalnej wielkości droida bojowego z pierwszej części *Gwiezdnych Wojen* (mówił o tym, jakby chodziło o jego własne dziecko), ale w zamian za to dostał niepodważalny dowód na to, że demon Anabel nie istnieje: stary, trochę zakurzony notes, wypełniony mętными, pokreślonymi długopisem tekstami i opatrzony czerwonymi jak krew pieczęciami.

Nie był identyczny z odziedziczoną przez Anabel rzekomą pamiątką rodzinną, która spłonęła na cmentarzu, wyglądał jednak podejrzanie podobnie.

Notes należał, jak dowiedzieliśmy się od Graysona, do tej samej kategorii przedmiotów co nóż celtycki (z ręcznie kutej stali węglowej, z rękojeścią z twardego drewna nitowanego) albo róg do picia z naturalnego rogu (ze stojakiem ze skóry): był wyłącznie rekwizytem. Jedną z wielu książeczek z pseudozaklęciami, w mozole ręcznie wykonywanych przez dwóch bezrobotnych dziwaków z osobliwym hobby i fetorem z ust.

Grayson mężnie znosił, jak BloodySword66 wyciągał z szuflad rekwizyt za rekwizytem, upajając się opowieściami o dawnych, świetnych czasach, jakie przeżył w Liverpoolu ze swoim kumpem Timothyem, dekarzem z zawodu i późniejszym guru sekty.

BloodySword66 nie chciał jednak mówić o tym, jak zakończyła się ta przyjaźń, ani o tym, jak dowiedział się z gazety, że jego były kumpel od gier RPG ma na sumieniu wiele istnień ludzkich. Wiadomo jednak, że obaj razem wymyślali krwawe opowieści fantasy i odgrywali je później w rzeczywistości. Potem ich drogi się rozeszły. Harry Triggs zaczął spisywać swoje historie w formie powieści, ale kiedy *Noc krwawych przymiotników* (jak również trzy inne wiekopomne dzieła) zostały odrzucone przez dwadzieścia siedem wydawnictw, a i w Internecie spotkały się z niewielkim odzewem, porzucił karierę pisarza i rozpoczął pracę jako pielęgniarz.

Za to jego przyjaciel dekarz zaczął słyszeć głosy i uważać się za wybrańca. Fantazję i rzeczywistość pomieszał w najgorszy z możliwych sposobów: zgromadził wokół siebie garstkę ludzi i jeden ze starych, służących do grania w RPG notesów własnej roboty zaprezentował im jak prastarą świętą biblię.

W jaki sposób notes guru trafił ostatecznie w ręce Anabel, nie wiadomo. Jedno było pewne: dzięki kupionemu za krocie egzemplarzowi (BloodySword66 nie omieszkiał złożyć na nim autografu) mogliśmy wreszcie w sposób niepozostawiający wątpliwości udowodnić Anabel, że jej zaklinanie demonów to tylko puste słowa i że koszmar swego dzieciństwa zawdzięczała świrniętemu dekarzowi.

Szkoda tylko, że nie mogliśmy wcisnąć Anabel do ręki notesu, a tym samym dowodu jej szaleństwa, ponieważ akurat dziś nie było jej w domu.

Grayson pod wpływem impulsu wrzucił notes do jej skrzynki na listy i zostawił w skrzynce głosowej kilka wiadomości, ale do tej pory nie odpowiedziała. To już sprawa Anabel, jakie wnioski wyciągnie z tych informacji. I czy w ogóle jakieś wyciągnie.

Jeśli chodzi o szczegóły, to nadal działaliśmy po omacku. Nawet teraz, kiedy na zmianę patrzyłam na drzwi Florence i Emily, miałam mętlik w głowie. Czy Arthur zainscenizował ten incydent z piórami u nas w domu tylko po to, byśmy uwierzyli, że demon Anabel istnieje? A może chciał rzucić podejrzenie na Anabel?

Pióra zawsze pojawiały się wtedy, gdy spotykaliśmy Anabel w korytarzu. A z nimi mrok i chłód. Czy Arthur ukradkiem śledził Anabel i dbał o efekty specjalne? Na korytarzu z łatwością mógł odgrywać demona.

Tylko w jakim celu?

Naturalnie po to, żeby Anabel podzieliła się z demonem – tudzież Arthurem – swoimi nadzwyczajnymi zdolnościami w kwestii, nazwijmy to, magii w snach.

Teoria ta miała jednak kilka słabych punktów. Jeden z nich wiązał się z węzem. Jeśli to Arthur odgrywał demona przed Anabel, to raczej nie kazałby jej podłożyć sobie węża do szafki, prawda?

– Ty żałosna, cholerna gadzino! – Emily wyrwała mnie z zamyślenia. W pierwszej chwili pomyślałam, że mnie zauważyła, ale ona tylko traciła cierpliwość do Straszliwego Freddy’ego. – Masz mi powtórzyć jeszcze raz całe zadanie – zażądała z oburzeniem. – Powoli i wyraźnie, ty bestio.

Freddy uprzejmie skłonił łeb. Nie rozumiałam, dlaczego Grayson nie uczynił go choć troszkę bardziej groźnym.

– Dodaj rok urodzenia księcia Williama do liczby pięć tysięcy trzydzieści dziewięć i pierwiastka z zero przecinek pięć tysięcy sześćset dwadzieścia pięć, pierwiastka z trzech milionów dziewięćuset dwunastu tysięcy czterysta osiemdziesięciu czterech oraz pierwiastka ze stu jedenastu tysięcy pięćset pięćdziesięciu sześciu i sumę pomnóż przez cztery. Kiedy to odwrócisz, dowiesz się, co utraciłaś.

– Urodziny księcia Williama. – Emily napisała coś na papierze. – Grayson pewnie myśli, że tego nie wiem, bo nie interesuję się tymi powierzchownymi błahostkami na temat rodziny królewskiej, ale ja mam przypadkiem pamięć jak...

– Koń? – podsunęłam.

Emily uniosła głowę, ale nie wyglądała na szczególnie wystraszoną.

– To znowu ty – jęknęła rozzłoszczona.

Jeśli ktoś tu powinien być rozzłoszczony, to chyba ja.

– Jak tam, masz miły sen? – zapytałam.

– Jeśli sobie pójdiesz, to może tak – odparła Emily. – I do twojej wiadomości: konie naprawdę mają świetną pamięć. Mój Conquest of Paradise na sto procent ma wyższy iloraz inteligencji niż ty. – Nachyliła się ponownie nad

zeszytem. – Założę się, że ty nie potrafisz obliczyć w pamięci pierwiastka ze stu jedenastu tysięcy pięćset pięćdziesięciu sześciu.

– Dlaczego twój koń nie skorzysta z kalkulatora?

– Bo kalkulatory tu nie działają – powiedziała Emily, nie podnosząc wzroku.

– A przynajmniej tylko w takim zakresie, w jakim sama potrafię liczyć. Bo ten labirynt z drzwiami znajduje się w mojej głowie! Wszystko, co tu widzisz, co tu się dzieje, to obrazy i fakty z mojej podświadomości.

Aha! To była interesująca teoria.

– Więc znajdujemy się teraz w twojej głowie?

Emily przytaknęła.

– W moim śnie, dokładniej mówiąc. – Popatrzyła na mnie ponownie. – Jesteś projekcją mojej podświadomości.

– A, OK – odparłam. – Więc twoja podświadomość pyta cię teraz, ile czasu już tu siedzisz.

Emily wzruszyła obojętnie ramionami.

– A jakie znaczenie ma czas?

– Czy ktoś wyszedł stamtąd albo wszedł? – Pokazałam drzwi Florence.

– Stamtąd? Nie – odrzekła.

To była dobra wiadomość.

– A drzwi nie otworzyły się same? – dodałam na wszelki wypadek.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała. – A teraz zamknij się, muszę to policzyć.

– Ja – chrząknęłam – to znaczy, twoja podświadomość nie rozumie, dlaczego ciągle usiłujesz dostać się do snu Graysona, skoro i tak to wszystko rozgrywa się w twojej głowie.

– No właśnie zamierzam się dowiedzieć, co moja podświadomość chce mi powiedzieć o Graysonie i o mnie... Ach, i tak tego nie zrozumiesz, to jest wyższa psychologia. A teraz spadaj i daj mi w spokoju policzyć. To będzie osiem tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć plus trzysta trzydzieści cztery plus zero siedemdziesiąt pięć... razy cztery...

– Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś o Graysonie, możesz po prostu zapytać mnie – oznajmiłam. – Po pierwsze, nie jesteście sobie przeznaczeni. Po drugie, on jest przeczestliwy, że się ciebie pozbył. Po trzecie...

– Zamknij się! – krzyknęła Emily.

Nie dałam zbić się z tropu.

– Ale, hej, twoja podświadomość chce ci tylko podsunąć kilka informacji. Na przykład, że, po trzecie, powinnaś jak najprędzej popracować nad swoim charakterem, jeśli...

– Zamknij się, powiedziałam! – Najwyraźniej za nic miała rady własnej podświadomości. Spróbowała ponownie skupić się na zadaniu.

No dobrze. Więc trzeba będzie z grubej rury.

– Twój obrzydliwy młodszy brat Sam to Secrecy – wypaliłam.

– Co? – Emily opuściła ołówek i popatrzyła na mnie, marszcząc brwi. – Sam? Sam jest Secrecy?

– Nie wiedziałas o tym?

Emily pokręciła głową.

– Nie. Oczywiście, że nie. A może jednak... W pewien sposób tak, inaczej nie mówiłabyś mi tego teraz.

– Właśnie! Bo znajdujemy się w twojej głowie, a ty nieświadomie już dawno pojęłaś, że to twój brat wypisywał te wszystkie okropieństwa, nie oszczędzając ciebie. – Musiałam zacytować z pamięci. – „Reflexx”! Szkolna gazetka, która właściwie powinna nazywać się „Refluks”, tak samo nudna i drobnomieszczańska jak jej naczelna.

Emily wyglądała na szczerze zaszokowaną. A właściwie zdruzgotaną.

– Sam jest Secrecy? – powtórzyła cicho. – Mój mały Sam? Ale on przecież nigdy by nie... Wolałabym, żebyś mi nigdy tego nie powiedziała.

– A ja wolałabym, żebyś przestała mieszać w swojej podświadomości – odparłam. Nie mogłam teraz odpuścić, choć było mi żal Emily. Powinna raz na zawsze zniknąć z korytarzy. – W przeciwnym razie odsłonię przed tobą więcej takich niezbyt wesołych prawd, co dzień inną. Prawd, przed którymi twoja podświadomość właściwie miała cię chronić, co jednak przestało działać, ponieważ ty tak bezlitośnie grzebiesz w otchłaniach swego umysłu i wyciągasz na światło dzienne rzeczy przeznaczone do pograżenia się w mrokach zapomnienia. – Wow, ależ sypałam metaforami. Miałam nadzieję, że redaktorka Emily mi je wybaczy. – Jak myślisz, dlaczego istnieją te drzwi? Tylko to po, by ochronić cię przed wiedzą, która mogłaby zagrozić twemu zdrowiu psychicznemu i fizycznemu. – Popadałam w coraz większą emfazę. – Nigdy nie powinnaś przekraczać drzwi do tego korytarza... eee... labiryntu twego umysłu. I w głębi serca dobrze o tym wiesz.

Emily straciła nieco pewności siebie.

– Ale prawda jeszcze nikomu nie zaszkodziła – wymamrotała.

– I to jak zaszkodziła! – Spróbowałam wzmocnić swe słowa silnym podmuchem wiatru, który zakręcił się w korytarzu i zdmuchnął Emily włosy z czoła. Miałam już jej pełną uwagę. – Wszystkie te prawdy, które zostaną tu ujawnione, nie tylko uczynią cię nieszczęśliwą i osamotnioną, ale i powoli, nieubłaganie wpędzą cię w obłąd – wyjaśniłam dobitnie. Nachyliłam się lekko do przodu i szepnęłam poufale: – Przyznaj się, już teraz jesteś od krok od ześwirowania, bo wszystko to przekracza twoje pojmowanie... zaczynasz wątpić w swój zdrowy rozsądek. A to dopiero początek. – Zrobiłam małą przerwę. – A na końcu będzie psychiatra – dokończyłam grobowym tonem.

Ku mej uldze Emily już się nie sprzeciwiała.

– Czasami rzeczywiście obawiam się, że tracę rozum. Bo doskonale wiem, że ja to tylko śnię, a mimo to mam wrażenie, że to jest realne... To znaczy, na pewno można to absolutnie logicznie wytłumaczyć, ale obojętnie, ile bym o tym czytała i myślała, wciąż pojawiają się nowe zagadki, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

O, doskonale to rozumiałam. Nawet nie podejrzewała, jak dobrze.

– Mózg jest skomplikowanym organem – powiedziałam. – I jeśli chcesz uratować swój przed zapaścią, jeśli chcesz zdać maturę, pójść na studia i założyć rodzinę, zamiast wegetować w jakimś domu wariatów, to teraz przejdiesz z powrotem przez te drzwi i nigdy więcej tu nie wrócisz.

– Nie mówi się już dom wariatów – sprostowała Emily.

Wzruszyłam ramionami.

– Sorry, jestem tylko częścią twojej podświadomości.

– Wiem, wiem – zgodziła się Emily. – I obawiam się, że masz rację. – Wstała. – Nie powinnam już tu przychodzić. Zresztą i tak zbyt mi się tutaj nie podobało. Mój umysł nieustannie prezentował mi osoby i zwierzęta, których w prawdziwym życiu nie znoszę. To znaczy, pomijając Graysona. Nienawidzę leopardów, nienawidzę ciebie, nienawidzę nietoperzy. I nie cierpię twojej przemądrzałej siostry, a Arthur Hamilton to największy buc na całym świecie. A zaraz po nim Henry Harper. Jest śmierdzącym leniem, ale ciągle dostaje najlepsze oceny, bo nauczyciele mają go za geniusza i dają się nabrać na „nieszczęśliwe dzieciństwo”.

Ominęła mnie wzrokiem i skrzywiła się z odrazą.

– Rzygać mi się chce, kiedy widzę, jak nadchodzi tym swoim luzackim krokiem, z tym niby niedbałym uśmiechem na twarzy i rękoma w kieszeniach.

Odwróciłam się na pięcie.

– Mnie również miło cię widzieć, Emily – powiedział Henry. Bo rzeczywiście nadszedł tym swoim luzackim krokiem, z rękoma w kieszeniach, tak nonszalancki, że aż zabiło mi szybciej serce. Jego uśmiech jednak nie był niedbały, tylko nieco wymuszony.

– Czy ty aby nie miałaś pilnować drzwi Florence? – zwrócił się do mnie.

– Pilnuję. Gawędząc jednocześnie z Emily – odparłam, całkiem zapominając, że Emily wspomniała o czymś, o co chciałam jeszcze dopytać. Coś z nietoperzami.

– I tak już miałam iść. – Emily zatknęła sobie ołówek za ucho.

– I to na zawsze – dodałam. Ponieważ Henry, zamiast pochwalić mnie, że udało mi się przepędzić Emily z korytarza, marszczył brwi, dodałam szybko: – U Florence wszystko w porządku, bez obawy. I tak dziś w nocy nie zmruży oka. Arthur pewnie ma lepsze rzeczy do roboty niż...

– Stop! – Henry położył mi palec na ustach. – Zanim zaczniesz opowiadać tu o sprawach, które nie są przeznaczone dla obcych uszu, powinnaś sprawdzić, czy rzeczywiście jestem tym, za kogo się podaję.

– Tym, za kogo się... Ach, masz na myśli to, że Arthur mógł zastosować jedną ze swych sztuczek z przemianą. – Istotnie, nie pomyślałam o tym. – Bo to być może wcale nie jest Emily... Ach nie, to ona. Nawet Arthur nie potrafiłby jej tak dobrze naśladować. – Uśmiechnęłam się szeroko, podczas gdy Emily przypatrywała nam się ponurym wzrokiem, najwyraźniej rozdrażniona własną podświadomością.

– To nie jest śmieszne, Liv – powiedział Henry, dziwnie bez humoru. – Myślałam, że dotarła do ciebie powaga sytuacji.

Owszem, dotarła. Ale jeśli wszyscy będziemy panikować, ani trochę nam to nie pomoże.

– Zapytaj mnie o coś, co może wiedzieć tylko Henry – zażądał.

– No dobrze. – Westchnęłam. – Jak się nazywał pies, nie chow-chow, tylko ten drugi, z którym chodziłam na spacer w RPA?

– Sir Barks Alot. – Henry pokręcił niechętnie głową. – Ale Arthur też mógłby to wiedzieć, jeśli podsłuchiwał nas wczoraj w nocy.

– OK... Na dobrą sprawę mógł podsłuchać właściwie wszystko... Pocałuj mnie! Od razu poznam, czy to ty.

– Hm – skwitował Henry, a jego twarz rozpogodziła się nieco. – To rzeczywiście sprytny sposób. Przy okazji ja też będę mógł ocenić, czy ty to ty.

Ale zanim rozpoczęliśmy nasze testy, wtrąciła się Emily, która najwyraźniej poczuła się trochę pominięta.

– Chyba nie będziecie się tutaj obściskować! Co moja podświadomość chce mi przez to powiedzieć? – I dodała jękliwie: – Co ma znaczyć ta cała gadanina o Arthurze i Florence? To znaczy, co oznaczają te postacie? Ciągłe widzę, jak tu łążą, ale nie rozumiem, jaki to ma sens. Czy to ma jakieś znaczenie symboliczne, kiedy widzę, że na przykład ten głupi sęp wpuszcza do snu Arthura, ale zakazuje wstępu mnie? Czy nie możecie mi tego po prostu wyjaśnić? Słowa przemawiają o wiele lepiej do mnie niż obrazy.

Co ona powiedziała? Poczułam nagłą suchość w ustach.

Henry chyba pomyślał to samo co ja. Chwycił Emily za ramię.

– Momencik, Arthur był we śnie Graysona? Możesz sobie przypomnieć, kiedy to było?

Emily wzruszyła ramionami i strząsnęła rękę Henry'ego.

– Niedawno – powiedziała. – Zanim wy przyszlście. I wcale nie czekał, aż ten głupi kamienny sęp wyklepie swoje zadanie, tylko wyszeptał mu rozwiązanie prosto do ucha. A do mnie tylko się perfidnie uśmiechał. Cokolwiek to znaczy, w sensie symbolicznym.

Mówiła jeszcze dalej, ale już jej nie słuchaliśmy. Popatrzyliśmy po sobie z przerażeniem.

– Zaczęło się – wyszeptał Henry.



OK. Tylko bez paniki. Najważniejsze, żeby zachować spokój i...

– Musimy tam teraz wejść – krzyknęłam na Henry’ego.

Henry był równie przerażony jak ja.

– Mogłabyś się obudzić i ocknąć Graysona... Ale może jest już na to za późno i on... Zamknęłaś drzwi do swojego pokoju, tak jak ci mówiłem?

– Tak. – Byłam bliska łez. – Co mamy robić?

Henry szarpnął za drzwi Graysona.

– Masz jakiś jego osobisty przedmiot? Ja akurat dziś nie...

– Dodaj rok urodzenia księcia Wiliama do liczby pięć tysięcy trzydzieści dziewięć i pierwiastka z zero przecinek pięć tysięcy sześćset dwadzieścia pięć – nawijał Freddy.

– Mam jego stary T-shirt – zawołałam. – Tylko za cholere nie potrafię rachować w pamięci.

– Taa – wtrąciła ze złośliwą satysfakcją Emily. – Trzeba mnie było zostawić w spokoju, to bym wam teraz powiedziała.

– ...i pomnóż sumę przez cztery. Jeśli wynik odwrócisz, otrzymasz to, co utraciłaś – zakończył Freddy.

– *Liebe!* – krzyknęłam.

Freddy pokręcił głową. Henry popatrzył na mnie pytająco.

– To znaczy miłość po niemiecku – wyjaśniłam prędko. – Słowo złożone z liter na kalkulatorze.

– Ekhem, Liv, kalkulatory to urządzenia z cyframi. – Emily uśmiechnęła się z wyższością. – Litery znajdziesz raczej w książkach.

– Zamknij japę i idź sobie wreszcie – huknęłam na nią i na chybił-trafił zasypałam Freddy’ego innymi niemieckimi słowami: – *See! Silbe! Eibe! Biss! Lies! Bleib!*

– No i co teraz? – mruknęła Emily, ale pod naszymi wściekłymi spojrzeniami w końcu zwinęła manatki. Przycisnąwszy do siebie zeszyt, zniknęła za rogiem, skąd po chwili dobiegło trzaśnięcie jej drzwi. Nie miałam czasu życzyć jej „idź i nigdy nie wracaj”, bo zajęta byłam gorączkowym tworzeniem słów. Choć

Freddy każde z nich kwitował kręceniem głowy.

– *Eis, Blei, Seil...* Ach, cholera, G też może być, to odwrócona dziewiątka, *Segel, Egel*, o, całkiem zapomniałam o literze O...

– *Seele*¹ – powiedział Henry, a kiedy popatrzyłam na niego z zaskoczeniem, Freddy pisnął uroczyście:

– Zezwala się wejść.

Przekręciłam gałkę w lewo. Tym razem ustąpiła. Popatrzyłam na Henry'ego pełnym podziwu wzrokiem.

– Niesamowite, jak szybko to załapałeś.

– No wiesz, pomogło mi to „otrzymasz to, co utraciłaś” – wyjaśnił, imitując piskliwy głosik Freddy'ego.

– Jesteś naprawdę genialny. Obojętne, co wygaduje Emi...

– Pst. – Henry położył palec na ustach. Ostrożnie pchnął drzwi i zawahał się.

– Mamy w ogóle jakiś plan? – wyszeptał.

Nie, nie mieliśmy. Musieliśmy działać bez planu. Wyprostowałam ramiona i wyprężyłam się. Dla otuchy wydobyłam z pamięci pierwszą sentencję z bogatego skarbczyka Mr Wu, jaka mi przyszła do głowy.

– Nawet najciemniejsza chmura ma srebrne krawędzie – powiedziałam z naciskiem. W sumie nawet całkiem nieźle pasowała.

Bezszelestnie przekroczyliśmy próg i ostrożnie zamknęliśmy za sobą drzwi.

Od razu poznałam, że wylądowaliśmy w bibliotece szkolnej, a konkretnie wśród regałów w dziale przyrodniczym. To typowe dla Graysona, często śnił o szkole, i to przeważnie przerażająco realistycznie. Odkryliśmy go nieco dalej, przy uginającym się pod ciężarem książek stoliku. Grayson kartkował jedną z nich. Pani Cooper, niewysoka, sympatyczna bibliotekarka stała tuż obok nas, zajęta przenoszeniem książek z wózka na półki. Panowała dokładnie ta spokojna, kontemplacyjna cisza, którą tak lubiłam w bibliotekach. Wydawało mi się nawet, że czuję zapach książek. Jedynym, co zdradzało, że to sen, była papuga w klatce obok Graysona, wykazująca zadziwiające podobieństwo do papugi pani Honeycutt.

Poza tym w czytelnicy znajdowało się niewiele osób, ale jedną z nich była... Mia. Siedziała po turecku na sąsiednim stoliku, miała na głowie srebrną koronę księżniczki i przypatrywała się, jak Grayson czyta.

Henry i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Myślisz, że to Arthur? – zapytał Henry cicho, a ja skinęłam głową. Arthur chętnie krył się pod postaciami znanych osób, a korona też przecież do niego pasowała, symbolicznie rzecz biorąc.

– Ćśś! Szepty to też hałas – zgañiła nas pani Cooper, dokładnie w taki sam sposób, jak to robiła na jawie. – Jeśli chcecie rozmawiać, idźcie gdzie indziej. Ludzie tutaj się uczą. – Odstawiła na regał egzemplarz *Podstaw molekularnych genetyki* i popatrzyła ku drzwiom, przez które weszliśmy do środka. Po jej twarzy

przemknął uśmiech.

– To oczywiście musi zniknąć – powiedziała i płynnym ruchem stworzyła regał z książkami zasłaniający drzwi. – Zapamiętajcie sobie, pierwsza reguła poprawnego PBwŚ brzmi: drzwi do snu nie mogą znajdować się w polu widzenia śniącego. – Jej uśmiech stał się szerszy. – To jednak nie gra w tej chwili żadnej roli, już się tym zajęłam. Spóźniliście się!

I nagle już nie stała przed nami drobna, ciemnowłosa pani Cooper, tylko Arthur, wysoki, jasnowłosa i w obrzydliwy sposób przepiękny. Poczułam, jak opuszcza mnie odwaga. Arthur. To zawsze był Arthur.

– A co to jest PBwŚ? – zapytał Henry. Nie dało się nie dosłyszeć frustracji w jego głosie.

– Programowanie Behawioralne we Śnie według metody Arthura Hamiltona – odpowiedział ochoczo Arthur. – W każdym razie dopóki nie przyjdzie mi do głowy lepsza nazwa. – Podążył za moim spojrzeniem ku Graysonowi i Mii i ziewnął. – Bez obawy, on nie może nas słyszeć, na wszelki wypadek zainstalowałem między nami pole siłowe. Więc jeśli macie ochotę na mnie nakrzyczeć, proszę bardzo.

Nie zrobiliśmy tego, więc ciągnął zadowolony:

– Jak już wspomniałem, najciekawsza część tego snu już się skończyła. Kiedy przyszedłem, pan Fourley właśnie komunikował Graysonowi, że zawałił sprawdzian z chemii. Czy to nie zabawne, że on zawsze ponosi porażki we śnie? Może to się skończy, kiedy wreszcie poniesie porażkę w realnym życiu, jak myślicie? W każdym razie zaprogramowałem mu coś fajnego, co... Ach, nie będę wam zdradzał szczegółów, niech to będzie niespodzianka. – Popatrzył na mnie z przechyloną głową. – Dla ciebie w każdym razie będzie to krótka i dość bolesna niespodzianka, Liv.

Coś błysnęło w oczach Henry'ego. Zacisnął pięści i przez chwilę wydawało mi się, że powietrze między nami zaczęło drgać. Ale potem tylko zapytał głosem, który był tak samo zmęczony i zrezygnowany jak ja:

– Dlaczego, Arthurze? Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył Arthur. Zadowolenie zniknęło z jego twarzy, jakby opadła z niej maska. Wyzierała spod niej czysta wściekłość. – Chyba nie pytasz na serio, co? Po tylu tygodniach, w których traktowaliście mnie z nienawiścią i pogardą, po tylu tygodniach, kiedy dosłownie zebrałem, żebyśmy odnowili naszą dawną przyjaźń! I kiedy z czystego sentymentu was oszczędziłem... Zbyt długo trwało, zanim pojąłem, że nie jesteście tego warci. Ale kiedy o mało nie umarłem, kiedy napompowany jadem węża i odtrutką leżałem w szpitalu, wtedy przejrzałem na oczy. – Popatrzył na nas pałającym nienawiścią wzrokiem.

– Ale przecież to nie my podłożyliśmy ci węża – zaoponowałam.

– Wiem przecież – fuknął na mnie. – Ale mogłem wtedy umrzeć, a ani

Henry'ego, ani Graysona to nie obeszło. Nawet nie zapytali, jak się czuję.

– I zatańczyliby na twoim grobie, gdyby wąż trochę lepiej wypełnił swoje zadanie – powiedział Henry.

Arthur wydał nozdrza. Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie odezwała się papuga:

– Nic nie jest za darmo, nawet śmierć – zaskrzeczała.

– Ach, zniszczyliście moje pole siłowe. – Arthur odwrócił się do Graysona i Mii, którzy nie ruszyli się z miejsca. Grayson nadal wpatrzony był w książkę, a Mia przyglądała mu się, jak czyta. Tylko papuga, lekko zaniepokojona, zatrzepotała skrzydłami.

– Śmierć! Śmierć! – zaskrzeczała, jakby podświadomość Graysona chciała mu coś powiedzieć, ostrzec go. Serce mi się krajało.

– Grayson! – Przepisnęłam się obok Arthura, spodziewając się, że w każdej chwili odbiję się od pola siłowego. Henry podążył za mną.

– To urocze, jak się troszczycie o przyszłego mordercę Liv – powiedział Arthur. – Mówiłem już, że się spóźniliście. Jeśli o mnie chodzi, możecie uświadomić Graysonowi, że śni i właśnie stał się ofiarą PBwŚ. Obudźcie go i opowiedzcie mu wszystko, ale to niczego nie zmieni. Mogę go aktywować w każdej chwili.

– Nie, jeśli cię przedtem zabiję – warknął Henry, ale jego słowa nie zabrzmiały groźnie, tylko desperacko.

Grayson niechętnie podniósł wzrok znad książki.

– Ludzie! To jest czytelnia! A ja muszę zakuwać. Zawaliłem już chemię, więc chociaż biologię muszę zdać na lepszą ocenę.

– Tak – zgodziła się Mia. – Inaczej nici z medycyny na Oksfordzie.

A papuga zaskrzeczała:

– Bez pracy nie ma kołaczy.

– Właśnie. A kto się spóźnia, tego karze życie. – Arthur oparł się plecami o regał, przez co jedna z książek wysunęła się i spadła na podłogę. – Słodki sen, co? Tak samo grzeczny jak nasz Grayson. Ludzie osłupieją, kiedy się dowiedzą, że zamordował własną przyrodną siostrę. W dodatku w tak bestialski sposób. – Zachichotał z rozbawieniem. Zrzuciona z regału książka wbrew prawu grawitacji sunęła powoli po podłodze, aż zatrzymała się przy czubkach moich butów.

Opadłam na krzesło obok Graysona, czując taką bezradność, jak jeszcze nigdy w życiu. Henry stanął obok stolika i niezdecydowanie wpatrywał się w Arthura. W jego dłoniach połyskiwało coś w rodzaju świetlnej kuli z tego samego tworzywa co migotliwe pola siłowe, które zwykł instalować w korytarzu. Tylko na co się zda bombardowanie Arthura piłeczkami energetycznymi? Nawet jeśli Henry użyje całej siły swojej wyobraźni, było za późno.

Arthur już wygrał.

– Jak mówiłem, nie możecie nic zrobić – potwierdził raz jeszcze, jakby czytał w moich myślach. – PBwŚ nie można cofnąć. Grayson jedynie wtedy nie zostanie zabójcą, jeżeli... No cóż, jeżeli sam się przedtem zabije. A wówczas, ściśle rzecz biorąc, i tak by nim był. Samobójcą. – Posłał Graysonowi nieomal ciepły uśmiech. – To by nawet do niego pasowało.

O Boże, tak. Rzeczywiście.

– Ty... ty... – zająknęłam się i urwałam. Na Arthura nie było nawet właściwej obelgi.

– Genialny łotrze? – odpowiedział z szerokim uśmiechem.

– Dostyc tego – uciał zdenerwowany Grayson. – Możecie się kłócić gdzie indziej? Bardzo proszę.

– Właśnie, aż żyrandol brzęczy. – Mia pokazała na sufit. Prawdziwą szkolną bibliotekę oświetlały tylko zwykłe jarzeniówki bez ozdób, ale dziś wisiał tu wystawny żyrandol, który wydał mi się znajomy. Mia wyprostowała nogi i zaczęła nimi majtać. – Uważam, że masz fantastyczne włosy – powiedziała do Arthura.

– Dzięki, księżniczko. – Arthur ponownie się roześmiał. Na regale obok jego głowy znowu wyswobodziła się jedna książka. Tym razem nie spadła na podłogę, tylko obróciła się okładką do nas. Na prostym czarnym tle w oczy rzucały się wielkie litery tytułu *Bez obawy*, co w tej sytuacji wydało mi się bardziej niż cyniczne.

Arthur nie zwracał uwagi na regał z żywymi książkami za swoimi plecami. Zrelaksowany, wsunął ręce w kieszenie spodni i podążył wzrokiem za rojem niebieskich motyli, które pojawiły się nie wiadomo skąd i tak samo bez śladu zniknęły w dziale powieści historycznych.

– W takim razie zostawiam was samych z waszą biedą – oznajmił z zadowoleniem. – Nie zostało wam zbyt wiele czasu, by się sobą cieszyć. A ja mam jeszcze małe spotkanko z moją byłą dziewczyną. Nie chciałbym, by musiała czekać. W przeciwieństwie do was ona ma duże znaczenie dla moich planów.

– Arthurze, proszę! Porozmawiajmy. – Henry postąpił o krok naprzód. – Nie chcesz chyba naprawdę...

– ...żeby mój były najlepszy przyjaciel Grayson zamordował ukochaną dziewczynę mojego byłego najlepszego przyjaciela Henry'ego? – wszedł mu w słowo Arthur. Książka tuż obok jego głowy zmieniła kolor okładki, a litery ułożyły się w nowy tytuł: *Dajcie mu odejść*.

– Czy chcę na zawsze zrujnować wam życie? – pytał dalej Arthur zwrócony do Henry'ego. – Owszem, właśnie tego chcę, stary przyjacielu, właśnie tego. Więc daruj sobie i przestań skamleć. Mogliśmy razem zdobyć świat, ale wy orzekliście, że jestem waszym wrogiem. Teraz musicie pogodzić się z konsekwencjami.

W żyrandolu ponownie coś brzęknęło, a kiedy spojrzałam do góry, zobaczyłam bujającą się na nim małpkę. Bawiła się naszymi z pereł i pokazała

mi język. Powoli zaczynało mnie to irytować. I nagle przypomniałam sobie, skąd znam ten żyrandol: dokładnie taki sam wisiał w salonie ciotki Gertrudy. Tyle że bez małpki. Co, na miłość boską...?

– Jeśli obiecamy... – zaczął Henry, ale Arthur nie dał mu skończyć.

– Chcesz negocjować? – zapytał chłodno. – Taa. Źle trafiłeś. Nie macie mi już nic do zaoferowania, bo wiem, ile była warta wasza przyjaźń. Kompletnie nic. Więc przykro mi, ale świat będę zdobywał bez was. – Wyjął ręce z kieszeni spodni i wolnym krokiem skierował się do regału, za którym kryły się drzwi na korytarz.

– Nie powinno się zatrzymywać podróżnych – zaskrzeczała papuga, ale ani Henry, ani Arthur nie zwracali na nią uwagi. Grayson i tak wpatrywał się w swoją książkę jak zahipnotyzowany.

– Prędeż cię zabiję – wydusił z siebie Henry.

– Powtarzasz się, stary. – Arthur ziewnął. – Proszę bardzo, zabijaj. Przejedź mnie samochodem, spal mi dom, poderżnij mi gardło! To niczego nie zmieni, pomijając oczywiście fakt, że resztę życia spędzisz za kratkami. – Gestem przesunął regał z książkami na bok, odsłaniając drzwi Graysona. – Sytuacja mianowicie wygląda tak, że zdanie-wyzwalacz, które zaprogramowałem Graysonowi, nie jest jakimś szczególnie rzadkim zdaniem. Ściślej rzecz biorąc, jest nawet dosyć powszechne. Prędeż czy później – i raczej obstawiam, że prędeż – ktoś w obecności Graysona wypowie je na głos, obojętne, czy ja będę jeszcze żył, czy też nie, a wtedy... – Rozłożył z żalem ręce i sekundę później zniknął bez pożegnania w drzwiach.

Seele (niem.) – dusza (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

25.



– O Boże, myślałam, że on już nigdy sobie nie pójdzie! – Mia zerwała koronę z głowy i zeskoczyła ze stolika.

Grayson jęknął.

– A ja myślałem, że zaraz coś zauważy. W moich snach nie fruwią motyle, nie ma też małek.

– Ale taka papuga potrzebuje odrobiny towarzystwa. – Mia szczyrzyła się szeroko, a potem, kręcąc głową, popatrzyła na mnie i Henry’ego. – Po co było tyle gadać? Naprawdę nie zrozumieliście naszych wiadomości?

Patrzyliśmy to na jedno, to na drugie. Henry kojarzył fakty równie wolno jak ja.

– Jakich wiadomości? – zapytał.

Chwyciłam Graysona za ramię i potrząsnęłam nim mocno.

– Czy ty nie śpisz?

– Nie, Liv, śpię i śnię! – odpowiedział z rozdrażnieniem. – Ale jestem świadom tego, że śnię, jeśli o to ci chodzi.

– O Boże. – Rozryczałam się. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że właśnie tego chciałam przez cały czas: po prostu się rozryczeć. – Arthur cię zaprogramował, Grayson. On cię...

– Nie zaprogramował – przerwał mi Grayson. – To znaczy, owszem, próbował, ale kiedy tu wszedł, ja już wychodziłem na korytarz. Kosztowało mnie to sporo wysiłku, by uwierzył, że wylądował w jednym z moich snów. Mia mi pomogła. – Uśmiechnął się do niej. – Byłaś super. Dzięki!

– Nie ma za co – odparła Mia, odwzajemniając uśmiech. – To czysty przypadek, że tak dobrze znam szkolną bibliotekę. I że dziś w nocy przypadkiem... eee... pożyczyłam sobie twój zegarek. Dzięki temu, kiedy zobaczyłam, jak Arthur znika w twoim śnie, mogłam niepostrzeżenie pójść za nim.

– Ale... – Nic już z tego nie rozumiałam.

– Jesteś pewien, że Arthurowi nie udało się ciebie zaprogramować? – Henry potrząsnął, dla odmiany, drugim ramieniem Graysona. – Powiedział, że tego nie

można cofnąć.

– Wszystko ze mną w porządku. – Grayson strącił nasze dłonie i wstał. – Opatentowana przez Arthura metoda rujnująca życie funkcjonuje wyłącznie w prawdziwej fazie snu REM, kiedy ofiara jest kompletnie bezwolna. Ale jeśli chcesz, możesz sprawdzić, co się stanie, jeśli wypowiesz zaprogramowane przez niego zdanie-wyzwalacz. Brzmi: „Byłeś u fryzjera?” – Prychnął pogardliwie.

– O Boże – szepnęłam. Racja. Prędzej czy później ktoś na pewno zwróciłby się do Graysona tymi słowami. – I co by wtedy nastąpiło?

Wymienił krótkie spojrzenie z Henrym.

– Nie chcesz tego wiedzieć, Liv, uwierz mi.

– On ma rację – powiedziała Mia, wzdrygając się. – Ten koleś naprawdę ma chorą wyobraźnię. – Zwróciła się ponownie do mnie. – Livvy, jesteś cała zaryczana. – Podała mi chusteczkę, a ja wydmuchałam nos, choć we śnie nie było to wcale konieczne. Za to było w jakiś sposób pocieszające.

Nad naszymi głowami małpka bujała się na żyrandolu, wydając z siebie podeksycytowane odgłosy.

– Czy to Shiva? – zapytałam. Tak nazywała się małpka, którą karmiłyśmy na naszym tarasie w Hajdarabadzie.

– Oczywiście, że to Shiva! – Mia popatrzyła na mnie z wyrzutem. – A ty nawet nie zauważyłaś, że miała naszyjnik z pereł, który mama zgubiła w RPA! W ogóle byłaś wyjątkowo niedomyślna, a ja ci dałam tyle wskazówek. Na książce u twych stóp jest zdjęcie taty, a tytuł brzmi *Wszystko będzie dobrze*. Halo? Czy można jeszcze wyraźniej? Żyrandol ciotki Gertrudy, kalifornijskie motyle, portret naszego druha z harcerstwa... Jakim cudem Grayson mógłby śnić o tym wszystkim, skoro nigdy w życiu tego nie widział?

W głowie miałam mętlik.

– Mia, dlaczego ty to wszystko potrafisz? I skąd ty w ogóle wiesz o tym miejscu? Cały czas myślałam ...

Mia prawie się obraziła.

– Serio, jakbym się nie domyśliła, że coś nie gra w tej całej historii z lunatykowaniem! – Pokręciła głową. – A tamtej nocy w kuchni, kiedy o mały włos nie wyskoczyłam z okna, a Lottie upiekła rogaliki, nawet głuchy usłyszałby, co szepczecie między sobą. Wiedziałam, że to sprawka Arthura. A reszta to tylko kwestia zebrania informacji...

Henry cmoknął Mię w czoło.

– Od razu byłem za tym, żeby cię wtajemniczyć – powiedział. – Ale Grayson i Liv chcieli cię chronić. A ty masz, zdaje się, naturalny talent.

Mia usiłowała przybrać skromny wyraz twarzy, co kompletnie jej nie wyszło.

– No raczej! Wprawdzie upłynęło trochę czasu, zanim załapałam o co chodzi

z tymi osobistymi przedmiotami, ale potem... – Szturchnęła mnie w ramię. – Jak myślisz, skąd wzięłam te wszystkie dowody na tożsamość Secrecy? Adresy e-mailowe, hasła... Sądziłaś, że zostałam komputerową hakerką, Livvy?

Zaniemówiłam, jak nigdy w życiu.

– Wiesz, kto to jest Secrecy? – zapytał Henry osłupiały. Uświadomiłam sobie, że przez to całe zamieszanie z Florence i piórami kompletnie zapomniałam opowiedzieć Graysonowi i Henry’emu o Secrecy. Ale może lepiej, żeby Florence zrobiła to sama. W końcu na blogu Tittle-Tattle było niemało intymnych detali i złośliwych uwag o Graysonie i Henrym. Z pewnością miała się z czego tłumaczyć.

– Wiem mnóstwo rzeczy – powiedziała wymijająco Mia. – Ale jest jeszcze kilka niewyjaśnionych spraw i nie mogę się doczekać, by je zakończyć. Na przykład, o co chodzi z Arthurem, Anabel i tym demonem. I czy ta historia z Theo Ellisem to też sprawka Arthura. I dlaczego Emily ciągle sterczy pod drzwiami Graysona i uważa, że cały korytarz należy do niej. Czasami dało się ją przegonić, tylko jeśli napuściło się na nią całe stado nietoperzy...

Wybuchnęliśmy z Henrym śmiechem. Mia, a nawet papuga, przyłączyły się do nas.

– Ludzie! – Grayson, który cały czas nerwowo krążył między stolikami, popatrzył na nas, marszcząc brwi. Śmiech zamarł nam na ustach. – Jak się tak was słucha, można by pomyśleć, że już po wszystkim. To nie jest spotkanie na kawusi ani święto zwycięstwa! Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia, zdajecie sobie z tego sprawę? Arthur nie odpuści, a wiemy już, że nie cofnie się przed niczym.

Przełknęłam ślinę. Miał rację. Nie było najmniejszego powodu do śmiechu.

Henry przygryzł wargę.

– Mnie po prostu tak bardzo ulżyło, że... – wymamrotał. Odwrócił się na chwilę do drzwi Graysona, a potem spojrzał na mnie. – Grayson ma rację. To jeszcze nie koniec.

– Ale może przynajmniej koniec na dziś? – zapytałam z nadzieją. – Zobaczymy jutro, co dalej. Coś wymyślimy, opracujemy plan i...

Henry pokręcił głową.

– To się nigdy nie skończy. Dokładnie w tym momencie Arthur gdzieś tam spotyka się z Anabel.

– I niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli połączą swe siły. – Grayson uderzył pięścią w regał z książkami. – To nie w porządku! Dowiedziałem się tego wszystkiego i ma to pójść na marne?

– Nie. Nie pójdzie na marne. – W Henry’ego wstąpiła nagła determinacja. Kilkoma susami dopadł do drzwi. – Idę tam teraz i raz na zawsze zakończę tę sprawę!

– Czeka! – Zerwałam się. – Idę z tobą. Masz chyba jakiś plan?

Henry uśmiechnął się do mnie.

– Raczej pewien pomysł. I nie wiem, czy zadziała. Ale ty nie możesz ze mną pójść, Liv – dodał natychmiast. – Nie tym razem. Tylko bez ciebie mogę...

Jego słowa zawisły w próżni, bo Henry bez żadnego ostrzeżenia pchnął drzwi i wypadł na korytarz.

Choć natychmiast ruszyłam za nim, drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem, a ja rąbnęłam o migoczące pole siłowe.

– To nie może być prawda! – Tupnęłam nogą. Henry wyciągnął wnioski z przeszłości. Tym razem mnie wykiwał. Oburzona odwróciłam się do pozostałej dwójki.

– Czy wy rozumiecie, co to ma znaczyć? Co on takiego planuje, co rzekomo może zrobić tylko on? I dlaczego nie powie nam po prostu, jaki ma pomysł? Co to za nagła solówka?

Grayson bezradnie pokręcił głową.

– To w każdym razie na pewno coś niebezpiecznego – powiedziała Mia.

Właśnie. I dlatego tak się tym zdenerwowałam.

– Nienawidzę, jak robi coś takiego! – Z wściekłością sięgnęłam przez pole siłowe ku klamce, ale odrzuciło mnie o dobre pół metra do tyłu. – Ta jego mania ochraniać mnie jest wkurzająca! Uratowałam go co najmniej tyle samo razy co on mnie i naprawdę powinien znać mnie lepiej. Nie zostawiłam go samego we śnie siostry pani Honeycutt... Och! – Doznałam nagłego olśnienia. Wiedziałam już, co zamierzał zrobić Henry.

I owszem, to był tylko pewien pomysł – ale za to genialny.

Jeśli uda nam się jakoś zwabić Arthura do snu Muriel i zadbać o to, żeby już z niego nie wyszedł, będzie musiał się obudzić. A kolejnej nocy wyląduje tam znowu, tak jak ja. A ponieważ nie będzie miał pojęcia, czyj to sen, zostanie w nim uwięziony, tak jak ja. Noc w noc, aż do końca życia. Nigdy więcej nie...

– Livvy? – Mia i Grayson patrzyli na mnie pytająco, a ja w kilku słowach próbowałam wyjaśnić im, o co chodziło ze snem Muriel. Ani jedno, ani drugie nie wyglądało, jakby cokolwiek zrozumiało z mojego wyводу, ale kiedy skończyłam, bariera Henry'ego wyraźnie osłabła. A mojej determinacji i tak już nic nie mogło stawić oporu.

– Wychodzę tam. – Nie patrząc, spopieliłam pole siłowe na migoczący pył. – Idę za nim. A wy powinniście się obudzić i sprawdzić, co z Florence. Na wszelki wypadek.

Mia wstała i ze złością mlasnęła językiem.

– No jasne, my zatroszczymy się o staruszków, kobiety i dzieci, podczas gdy ty i Henry będziecie ratować świat. Jesteś w złym filmie, siostrzyczko! Jeśli wydaje ci się, że przez resztę nocy będę obgryzała paznokcie, czekając na ciebie, to się

pomyliłaś.

– Weź ją ze sobą – powiedział Grayson. – Ona jest naprawdę dobra. Już samo to, jak imaginuje tego chłopaka... – Pokazał ucznia, który siedział z tyłu i na zmianę obgryzał ołówek i pisał coś w zeszycie. Jeśli się nie myliłam, był to Gil Walker. Tak jak pozostali statyści w bibliotece ani na chwilę nie zwrócił uwagi na to, co się tu działo. – Niesamowicie autentycznie go wyposażyła, a chociaż siedziała plecami do niego, on nawet dłubał w nosie i pstrykał dokoła żabami...

– Przynajmniej ty doceniasz moje dzieło. – Mia stanęła pod drzwiami obok mnie i wzięła mnie pod rękę. – Dalej, Livvy, zgódź się! Pomóżmy Henry’emu. Uratujmy świat.

– Przecież nawet nie wiemy... – Westchnęłam. – No dobrze. Ale musisz mi obiecać, że pod żadnym pozorem nie przejdiesz przez próg sklepika z włóczkami Muriel.

– I tak nie brzmi to zbyt zachęcająco. Obiecuję. – Mia uniosła wolną rękę do przysięgi.

– To ja się obudzę – oznajmił Grayson.

Niewiele brakowało, a wróciłabym, żeby go uściskać.

– Cieszę się, że nie zostaniesz moim mordercą – powiedziałam zamiast tego. Uśmiechnął się.

– A jak ja się cieszę – odparł. – Nigdy więcej nie mógłbym pójść do fryzjera.

Na zewnątrz panowała cisza. Korytarz ciągnął się w półmroku w nieskończoność, drzwi obok drzwi, a z każdym odgałęzieniem rozpoczynał się kolejny nieskończony długi korytarz, który z kolei krzyżował się z niezliczonymi innymi, od których odgałęziały się kolejne korytarze... Nagle plan wytropienia tu Arthura wydał mi się kompletnie bez sensu. Czy kiedy oświadczał, że jest umówiony z Anabel, miał na myśli spotkanie w rzeczywistości, czy też zamierzał zacząć się na nią jako demon, jak to zapewne nieraz robił wcześniej? Na pewno miał wielki ubaw, kiedy upiornym szeptem sączył jej do ucha rozmaite rzeczy i wyczarowywał skrzydlate sylwetki, by powoli, ale nieubłaganie wpędzać ją w szaleństwo.

Gdzie zacząć szukać? Przed drzwiami Anabel z podobizną Hello Kitty? Gdzie szukał ich Henry?

W tym momencie w korytarzu na krótką chwilę zrobiło się oślepiająco jasno i niemal jednocześnie dobiegł nas odgłos odległej eksplozji. W każdym razie tak to zabrzmiało. Poczuliśmy nawet falę uderzeniową.

– To stamtąd. – Mia wskazała na odgałęzienie za drzwiami dyrektorki Cook. Nie mówiąc ani słowa, ruszyliśmy przed siebie. Mia przemieniła się w nietoperza i błyskawicznie pomknęła za róg.

Ja, w postaci jaguara, ledwie mogłam dotrzymać jej kroku.

Znowu błysnęło, a poblask wskazał nam drogę. Wyglądało na to, że

prowadził nas prosto do korytarza z drzwiami pani Honeycutt. Dobiegały stamtąd głosy, a kiedy już prawie byliśmy na miejscu, usłyszałyśmy szyderczy śmiech Arthura.

Przed ostatnim zakrętem zwolniłam i ostrożnie wyjrzałam zza rogu. Mia trzepotała w powietrzu nade mną.

Arthur z kompletnie zwichrzoną fryzurą stał na środku korytarza, tuż przed drzwiami pani Honeycutt. Henry'ego nigdzie nie było widać. Musiał jednak gdzieś tu być, bo Arthur rozłożył ręce i obrócił się wokół własnej osi, rozglądając się za nim.

– Henry! – zawołał. – Co ty wyprawiasz? – Twarz i dłonie miał osmalone sadzą, jakby właśnie wydostał się z płonącego domu. – Skończ z tym. Będziemy całą noc udowadniać sobie, jacy jesteśmy fantastyczni? A może zwabiłeś mnie tu z tego powodu? – Pokazał drzwi pani Honeycutt. – Czy w waszym konspiracyjnym śnie jest coś, co twoim zdaniem mogłoby ci pomóc?

Naturalnie! Arthur wiedział, że się tu spotykaliśmy, przypuszczalnie cały czas nas obserwował. To on musiał nasłać na mnie ostatnio tę wstrętną ciemność.

Opuściła mnie odwaga. Naprawdę wyprzedzał nas zawsze o krok?

– Zwabiłem? – zadrwił Henry. Zmaterializował się nagle, opierając się plecami o drzwi pani Honeycutt. W przeciwieństwie do Arthura wyglądał nienagannie. – Powiedziałbym raczej: zmusiłem, nieprawdaż?

Arthur wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. Tak, tak, jesteś naprawdę dobry, Henry. Jeśli tego potrzebuje twoje ego, to spokojnie możesz wysadzić tu wszystko w powietrze. Tylko że to niczego nie zmieni. – Świdrował Henry'ego przymrużonymi oczami. – Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć? Jeśli nie masz dość tej sprawy z Liv, to w następnej kolejności wezmę się za kogoś innego. Na przykład za twoją małą sio...

Urwał w pół słowa, gdyż niewidzialna siła rzuciła go do tyłu. Uderzył o ścianę. Popatrzył z furią na Henry'ego, który nawet nie kiwnął palcem. Bo to nie on spowodował to uderzenie, tylko ja. Warcząc cicho, wyłoniłam się z mroku. Po twarzy Henry'ego przemknął uśmiech.

Arthur przewrócił oczami i podniósł się na nogi.

– Oczywiście – powiedział. – Mogłem się tego spodziewać. Wiecie co? Nudzicie mnie! Idę!

– Ach tak? A dokąd to? – zapytał Henry.

Arthur zaśmiał się, ale w jego śmiechu nie było rozbawienia.

– Tylko nie myśl sobie, że zdołasz mnie zatrzymać swoimi głupimi polami siłowymi! Zawsze mogę się obudzić. W każdej chwili!

– Ale wtedy nigdy się nie dowiesz, dlaczego chciałem, żebyś tu przyszedł – odparł Henry. – Bo tu nie chodzi o te drzwi, tylko o te! – Pokazał drzwi sklepika

z włóczkami Muriel. Wstrzymałam na chwilę oddech. Koło tabliczki na drzwiach przeleciał nietoperz i uczepiwszy się nadproża, zawisł głową w dół.

– Poza tym, jeśli teraz się obudzisz, przegapisz spotkanie z Anabel – dodał Henry.

Arthur wzruszył ramionami.

– I co z tego? Pojmij wreszcie: w przeciwieństwie do was mam nieskończenie wiele czasu. Od incydentu z węzem Anabel myśli, że demon mi wybaczył. Walczymy więc po tej samej stronie. Jeśli dziś nie zdołam przekonać jej, żeby podzieliła się ze mną swoimi diabelskimi sztuczkami, to zrobię to jutro. Albo pojutrze. Albo po pogrzebie Liv. Kilka dni mniej czy więcej naprawdę nie robi różnicy.

Naturalnie miał rację i niestety doskonale zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Usiadłam obok Henry'ego i przytuliłam jaguarzy łeb do jego uda. Jakoś nie mogłam się przemóc, żeby wrócić do swej prawdziwej postaci. Henry nieobecny gestem pogładził moje puszyste uszy.

– To Anabel podłożyła ci węża? – zapytał.

Arthur zaśmiał się i tym razem jego śmiech zabrzmiał szczerze.

– Nie, gamoniu, demon musiał zrobić to sam. – Z sufitu opadło czarne pióro. – Żeby Anabel przekonała się, że jego władza nawet w realnym świecie jest nieskończona. – Pióra wokół jego głowy zawirowały niczym chmara maleńkich ptaszków.

– Sam włożyłeś węża do szafki – stwierdził Henry.

Arthur skinął głową.

– Mój ojciec przyjaźni się z pewnym managerem funduszu hedgingowego, który ciągle przechwala się swoimi terrariami i hodowlą węży. To on podsunął mi ten pomysł. Czy jest coś bardziej demonicznego niż wąż? Wiedziałem, że to napędzi wszystkim ogromnego stracha. Więc zaprogramowałem faceta tak, żeby załatwił mi węża, najlepiej groźnego, bo miało to wyglądać dramatycznie. – Wydał z siebie ciche prychnięcie. – Nie przewidziałem, że ten idiota wybierze akurat najbardziej jadowitego węża ze wszystkich. Niewiele brakowało, a naprawdę bym się przekreślił. – Popatrzył na swoją dłoń, która na jawie ciągle była jeszcze zabandażowana. – Mniejsza o to, w każdym razie pomysł świetnie się sprawdził. A teraz powiedzcie mi, o co chodzi z tymi żółtymi drzwiami. Albo nie, nie mówcie, to i tak nie ma znaczenia.

Przez chwilę patrzyli sobie z Henrym w oczy.

– Te drzwi – zaczął w końcu Henry – to coś wyjątkowego. Obawiam się jednak, że nigdy nie dowiesz się, dlaczego. Bo właśnie zmieniłem zdanie.

– Och, chyba tego nie przeżyję – zaszydził Arthur. – Te szydełkowe ściegi wyglądają tak szalenie podniecająco.

– Z tymi drzwiami to akurat prawda – rozległ się czyjś słodki głos. Anabel,

niczym zły, jasnowłosy dżin, zmaterializowała się obok Arthura, który z zaskoczenia uniósł brwi. Uśmiechnęła się do niego. – Przepraszam, że przychodzę dopiero teraz, kochanie, ale te pola siłowe – pokazała na Henry’ego – trochę mnie zatrzymały.

Cholera! Skąd Anabel wiedziała o śmierci Muriel? I dlaczego musiała zjawić się akurat teraz i wypaplać wszystko Arthurowi? Byliśmy tak blisko przechytrzenia go! Dobrze widziałam, że był zaintrygowany, nawet jeśli próbował nie dać tego po sobie poznać.

– I co teraz? – szepnęłam do Henry’ego. Nie zdając sobie z tego sprawy, przyjął własną postać. Henry nie odpowiedział. Pracował szczękami.

Arthur uśmiechnął się radośnie do swej nieoczekiwanej wybawicielki. Moje serce zamarło na ten widok. Anabel stanęła obok niego niczym królowa obok króla.

– Przychodzisz w samą porę, Bella! – powiedział Arthur.

– Owszem, zgadza się! – Zrobiłam krok w ich kierunku. – Gdybyś przyszła ciut wcześniej, byłabyś świadkiem, jak Arthur przyznaje, że to on sam umieścił węża w szafce! – powiedziałam dobitnym tonem. – On przez cały czas robił cię w balona, Anabel. Odsłuchiłaś wiadomości Graysona? Znalazłaś notes w skrzynce na listy? Gdybyś to zrobiła, wiedziałabyś...

Anabel jednym ruchem dłoni ucięła mój wywód. Zrobiła to tak skutecznie, że naprawdę nie mogłam powiedzieć nic więcej. Zupełnie jakby jakaś niewidzialna ręka zatkała mi usta.

Arthur wyszczerzył się w uśmiechu.

– Musisz mi koniecznie pokazać tę sztuczkę.

– Później – zbyła go Anabel. Zwróciła się do Henry’ego, który do tej pory milczał. – Otwórz drzwi – poleciła mu chłodno.

– O nie, nie zrobię tego – powiedział Henry. Zaczął sunąć po podłodze, jakby pchany niewidzialną siłą, aż zatrzymał się pod drzwiami Muriel. Nietoperz zatrzepotał niespokojnie skrzydełkami. Już nie trzymała mnie jedna ręka, tylko dziesiątki, przyciskając do ściany i trzymając w uwięzi. Nie byłam w stanie nic zrobić, mogłam jedynie oddychać i przyglądać się, jak Anabel podchodzi do Henry’ego i niweczy naszą ostatnią nadzieję. Jeśli zdradzi teraz tajemnicę snu Muriel Arthurowi, nasz plan będzie bezużyteczny.

– Otwórz drzwi – powtórzyła łagodnie.

Henry pokręcił głową.

Arthur podszedł bliżej.

– Co tam chowasz? – chciał wiedzieć, a jego głos zabrzmiał nieomal pożądliwie.

– Zaraz zobaczysz. – Anabel skierowała dłoń wewnątrz ku Henry’emu. Nietoperz poderwał się do lotu pikującego, ale ona tylko pstryknęła palcami

i nietoperz zatoczył koło. I jeszcze jedno.

– Nie jesteś upoważniony do przekraczania tych wrót, Henry – odezwała się teatralnym tonem, który przyjmowała zawsze, gdy była mowa o demonie. – To zarezerwowane wyłącznie dla Pana Cieni i Mroku oraz jego dzieci.

Henry w zwolnionym tempie uniósł dłoń i nacisnął klamkę. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nietoperz wciąż zataczał koła i popiskiwał wściekle.

Drzwi otworzyły się i Arthur wydał z siebie odgłos triumfu.

– Naprawdę jesteś najlepsza, Anabel. Czapki z głów! Że też potrafisz manipulować wielkim Henrym Harperem jak marionetką... Będziemy mogli wiele się od siebie nawzajem nauczyć.

– To prawda.

Nie mogłam widzieć jej twarzy, bo stała plecami do mnie, ale byłam pewna, że się uśmiechała. Nic dziwnego: dopóki miała kontrolę nad Henrym, mogli wchodzić do i wychodzić ze snu Muriel, jak im się podobało. Podjęłam ostatnią próbę uwolnienia się i skapitulowałam.

Anabel zrobiła zapraszający gest ręką.

– Ty pierwszy – zachęciła Arthura.

On jeszcze raz obejrzał się na mnie.

– Mam nadzieję, że jutro pocieszysz Henry'ego, on nie umie przegrywać. I może omówicie też szczegóły twojego pogrzebu. Henry na przykład mógłby zagrać coś fajnego na gitarze...

Przez moment napawał się widokiem moich wytrzeszczonych z bezradności oczu, a potem pewnym krokiem przekroczył próg i zniknął we śnie Muriel.

Anabel błyskawicznie zamknęła za nim drzwi i chwyciła kurczowo klamkę.

– Teraz! – krzyknęła do Henry'ego. – Zapieczętuju!

Dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, że niewidzialne ręce, które mnie krępowały, zniknęły.

Mimo to upłynęła dobra chwila, zanim byłam w stanie się poruszyć. W osłupieniu gapiłam się na Anabel. Powietrze wokół nas rozedrgało się, a Henry odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

– Ona... zwabiła Arthura w pułapkę – wyjąkałam.

– Owszem, właśnie to zrobiła. – Henry położył Anabel rękę na ramieniu. – Byłaś powalająca, Anabel – pochwalił ją. – Naprawdę prawie do końca sądziłem, że przeszłaś na stronę Arthura.

Anabel wciąż trzymała klamkę.

– Jesteś pewien, że pole siłowe wytrzyma? – zapytała. – Bo mnie nie zatrzymało na długo.

– Nie sądzę, żeby pole siłowe w ogóle było potrzebne – powiedział Henry. – Jeśli wszystko zadziała tak, jak powinno, to Arthur bez osobistego przedmiotu

w ogóle nie będzie mógł widzieć drzwi. A nawet jeśli zobaczy, to uzna, że szarpanie za klamkę jest poniżej jego godności. Założę się o swoją lewą rękę, że będzie wolał od razu się obudzić.

Anabel puściła klamkę i pochyliła się, opierając dłonie na udach, jakby miała za sobą długi bieg. Oddychała ciężko, a jej nieskazitelne oblicze lalki przez moment wyglądało jak prawdziwie ludzka twarz. Malowało się na nim przede wszystkim jedno: ulga.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekła do Henry’ego. – Na wszelki wypadek powinniśmy jednak pilnować tych drzwi przez całą noc.

Powoli podeszłam bliżej.

– Anabel... – próbowałam znaleźć właściwe słowa. – Ty... byłaś cały czas po naszej stronie?

Omiotła wzrokiem korytarz, a potem popatrzyła na mnie, jakby najpierw musiała dojść do siebie. Powoli pokręciła głową.

– Nie cały czas. Owszem, odsłuchiwałam wiadomości od Graysona, i tak, znalazłam notes, ale... – zawahała się. – Przede wszystkim usłyszałam, co mówił Arthur. Co powiedział o mnie. I jak mnie wystrychnął na dudka. – Pokazała przeciwległą ścianę. – Wisiałam tam. Patrzyłaś na mnie oczami pełnymi łez.

Skrzynka na listy. Oczywiście. Mia miała rację, naprawdę musiałam poprawić swoją spostrzegawczość.

Gdzie ona się w ogóle podziała? Poszukałam jej wzrokiem.

Krążyła w kółko nad nami, ciągle w postaci nietoperza.

– Chyba powinnam iść. – Anabel wbiła wzrok w podłogę. – Mam poczucie, że muszę pilnie załatwić kilka spraw. Jest ktoś, kto już zbyt długo tkwi pogrążony we śnie.

Pomyślałam o senatorze Morcie i skinęłam głową.

– Tak, idź – zgodził się Henry. – Arthur już nigdy nie pojawi się w tym korytarzu.

Anabel przełknęła ślinę.

– Ja być może również. Przez jakiś czas. Dopóki... – chrząknęła. – Dopóki się nie ogarnę.

Miałam wielką nadzieję, że tym razem trafi na lepszego psychiatrę niż senator Mort.

Anabel spojrzała w górę na latającego w kółko nietoperza, gestem Mary Poppins pstryknęła dwa razy palcami i zniknęła.

Mia z głośnym klapnięciem wylądowała na podłodze u naszych stóp.

– Aua – jęknęła. Była lekko zielonkawa na twarzy. – Ale mnie mdli! Potrzebuję natychmiast kawałek tortu marchewkowego Lottie z bitą śmietaną.

– Na to jest tylko jedna rada – powiedziałam. – Obudzić się.

Henry uśmiechnął się.

– Mogę być u was za dziesięć minut – oznajmił. – Albo nawet za pięć, jeśli wezmę rower i zostanę w piżamie.



Blog Frognał Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

27 marca

Kończy się pewna era. A może powinnam napisać: eksperyment socjalny?

Ten blog jest doskonałym przykładem tego, jak zwiększyć popularność przez wypisywanie podłych, niesprawiedliwych i przekreconych informacji. Szczerze żałuję wszystkiego, co nawyrabiałam w ten sposób.

To ostatnia notka na blogu Secrecy. Strona zostanie zamknięta i dziś po południu zniknie z sieci.

Przedtem chciałabym jednak przeprosić z głębi serca wszystkich tych, których tajemnice wywlokłam na światło dzienne, narażając ich tym samym na śmieszność, wszystkich, których skrzywdziłam, zraniłam i odarłam z godności – wstydzę się tego, wstydzę się bardziej, niż możecie sobie wyobrazić.

Nie tylko ja muszę to zrobić, ale i wy wszyscy. Wszyscy, którzy czytaliście ten blog i z zainteresowaniem podchwytywaliście nowinki, wszyscy, którzy podsyłaliście mi w e-mailach informacje i zrobione komórką fotki, wszyscy, którzy cieszyliście się, że sami zostaliście oszczędzeni, a zamiast tego mogliście napawać się nieszczęściem i zawstydzeniem innych. Blog Tittle-Tattle nigdy nie mógłby funkcjonować, gdyby spotkał się z takim odzewem, na jaki w rzeczywistości

zasługuje, czyli żadnym. Secrecy nigdy nie dostałaby do ręki takiej władzy, gdybyście wy nie byli tak żądni sensacji i przepełnieni złośliwą satysfakcją, gdybyście nie przyklasnęli tak bezlitośnie nietolerancji Secrecy, jej złośliwości i fałszywej moralności.

Teraz wasza kolej. Zastanówcie się, jak to o was świadczy. I czy taka postawa nie sprzyja czasem umacnianiu się zła w naszym społeczeństwie?

Ja w każdym razie nie chcę być jedną z tych nieodpowiedzialnych osób, które z powodu własnej powierzchowności i tchórzostwa pozwalają, by działy się złe rzeczy. Od dziś chcę należeć do tych, którzy czynią ten świat trochę lepszym.

Amen.

Widzimy się – ale od dziś nie będę przyglądać się wam aż tak wnikliwie.

Wasza Secrecy

PS To jest wiadomość dla Gila Walkera z ósmej klasy: przestań marnować swój wyjątkowy talent liryczny na Mię Silver. Ona ani trochę nie jest warta twoich wierszy.

Tittletattleblog.wordpress.com



Blog Frognał Academy Tittle-Tattle: najnowsze wieści, najgorętsze plotki i najbardziej bulwersujące skandale naszej szkoły

O MNIE:

nazywam się Secrecy – jestem jedną z was i znam wszystkie wasze sekrety

21 czerwca

Dobra, już dobra, to znowu ja. Próbowałam, naprawdę. Chciałam usunąć z sieci ten blog. Ale dzięki waszym komentarzom wiem, że mnie potrzebujecie. Że mnie kochacie. Że nie możecie beze mnie żyć.

Postanowiłam więc, że zmienię sam blog. Niech służy czemuś dobremu. Nie muszę chyba mówić, o czym będzie – to oczywiste.

O miłości.

Gdzie człowiek nie spojry – tylko miłość. Pokój i radość! Gdybym była dawną Secrecy, ta wszechobecna miłość byłaby dla mnie nie do zniesienia.

Weźmy choćby Liv Silver i Henry’ego Harpera. Ojoj, w tym musiały maczać palce boskie siły! Chodzą słuchy, że uśmiechają się do siebie nawet we śnie. I to przez cały czas!!!

Albo Pandora Porter-Peregrin i jej siostrzyczka – wow, serce rośnie, co? Pandora nie tylko pomaga Persefonie w lekcjach, ale i bez oporu pożycza jej swoje ciuchy. I nawet jej nie ochrzaniła, kiedy ostatnio wdepnęła obcasem jej ulubionych szpilek w psie gówno. To się nazywa prawdziwa siostrzana miłość. A ponieważ Pandora po maturze chce wyjechać na rok do Kanady, to nawet odstąpiła

Persefonie swój stary pokój.

Swoją drogą, wiele osób wyjeżdża po maturze, ale kilka z nich – jeśli mam być szczerą, to akurat ci najfajniejsi – na szczęście zostaje.

Jasper Grant na przykład, który ku zdumieniu wszystkich zdał egzaminy końcowe, woli zrezygnować z rocznego pobytu za granicą, którym chcieli go nagrodzić rodzice. Uznał, że we Francji z chłopca zmienił się w mężczyznę i jeśli to możliwe, kolejne pięć lat woli spędzić po prostu u rodziców. I czerpać korzyści z pobytu we Francji. To przede wszystkim ucieszy Persefonę: w poniedziałek widziano ich razem w kinie, jak trzymali się za ręce.

Grayson Spencer również zostaje, inaczej Wielka Brytania utraciłaby ostatniego rycerza Okrągłego Stołu (z tego powodu od jesienno- zimowego semestru będzie studiował medycynę). W wolnych chwilach, kiedy nie pomaga staruszkom przechodzić przez ulicę ani nie troszczy się o sierotki, odwiedza w szpitalu Anabel Scott, która dobrowolnie poddała się leczeniu. Poza tym często spędza czas z Mią Silver – niech ta mała jeszcze trochę podrośnie, a niczego nie gwarantuję.

Emily Clark wygląda na o wiele zdrowszą i bardziej wypoczętą niż przed feriami wiosennymi. Może dlatego, że wreszcie przestała prześladować Graysona i ma więcej czasu dla swej prawdziwej miłości – konia imieniem Conquest of Paradise. W ostatni weekend ta świetna para odniosła dwa zwycięstwa w turniejach. A egzaminy końcowe Emily zdała z trzecim wynikiem w kraju, zaraz za Theo Ellisem, tak na marginesie. Tylko jej stosunek do brata, Sama, nieco ochłódł – i nikt nie wie dlaczego.

Widzicie? Miłość ma różne oblicza, a tutaj można znaleźć wszystkie z nich. Miłość między rodzeństwem, miłość do zwierząt, miłość bliźniego, miłość między dziećmi i rodzicami, miłość własna i oczywiście królowa wszystkich plotkarskich blogów – miłość romantyczna.

Jaskrawy przykład: Ann Matthews (matka Mii i Liv Silver) i Ernest Spencer oraz ich ślub, który okrzyknięto mianem „porażki stulecia” (hej, to nie ja to wymyśliłam, brukowce miały jeszcze lepsze nagłówki). Ślub poprzedziły: ogromny skandal, zaburzenia rytmu serca u pani Spencer, na szczęście wyleczone, oraz pierwszorzędny kryminał.

A oto szczegóły: okazało się, że Pascal de Gobineau nie jest żadnym konsultantem ślubnym (ani nawet Francuzem, nawiasem mówiąc), tylko hochsztaplerem z fałszywym akcentem, który wraz z zaliczkami na ni mniej, ni więcej, tylko pięć celebryckich imprez ślubnych, widziany był po raz ostatni w swoim kabriolecie na promie do Calais. Interpol wysłał za nim list gończy, rozliczne panny młode płaczą w poduszki, a Charles Spencer śmieje się w kułak. To on bowiem – z nieco innych powodów, które oczywiście też związane są z miłością – zaangażował prywatnego detektywa, który wpadł na trop Pascala de Gobineau (a raczej Petera Pickeringa, lat 36, uzależnionego od hazardu).

Tylko Ann i Ernest nie leją łez. W ostatni weekend, niewiele myśląc, o wschodzie słońca wzięli ślub w rezerwacie przyrody na wybrzeżu Kentu. Na bosaka. W towarzystwie wąskiego grona przyjaciół i rodziny. Wydaje się to straszliwie kiczowate i w hippisowskim stylu, ale kto widział ich twarze, ten sam marzy o takim ślubie. Zwłaszcza że piknik na plaży był tak wspaniały, że nawet babcia Spencer zapomniała o swojej niechęci do wszystkiego i zajadała, aż jej się uszy trzęsły.

Takie doszły mnie słuchy.

Znakomite były podobno przede wszystkim torty i ciasta, a Lottie Wastlhuber, amatorka, która wyczarowała te wszystkie wspaniałości, w jedną noc stała się rozrywaną tajną gwiazdą środowiska cukierniczego. Bo to również jest miłość: miłość do słodkości. Poza tym przebąkuje się, że Lottie wkrótce wżeni się w rodzinę Spencerów. Czekamy w napięciu.

Jedyną osobą, której w tej chwili jakoś zupełnie nie porywa fala wszechobecnej wspaniałej miłości, jest Arthur Hamilton. W każdym razie minę ma taką, jakby siedział w więzieniu. Kiedy sądzi, że nikt na niego nie patrzy, mówi sam do siebie. Kiedyś słyszałam, jak mamrotał pod nosem: „Zasrany piasek. Zasrane mewy. Zasrany zachód słońca”. To wprawdzie tylko teoria, ale może jest nieszczęśliwie zakochany w kimś, kogo utracił na plaży podczas zachodu słońca. Zamieszczam poniżej historię wyszukiwarki internetowej, z której Arthur korzystał podczas ostatniej wizyty w bibliotece (może ktoś z was mógłby mu pomóc?): „molo, wykaz wszystkich mol, imiona żeńskie na M., Włóczkowy Koszyk Mandy, Włóczkowy Koszyk Melanie, sklepy z włóczkami w Clevedon”. O rany, może biedaczek rozerwie się trochę w tej Australii, bo tam właśnie wyjeżdża w sierpniu na rok.

I to tyle na dziś. Mam nadzieję, że ten ogrom miłości zainspiruje was i wyjdziecie z domu, by kogoś uszczęśliwić!

Widzimy się

Wasza Secrecy

PS Hazel Pritchard: KOCHAM twoją żółtą sukienkę z balu maturalnego. Naprawdę ci w niej do twarzy.

Tittletattleblog.wordpress.com



Kiedy wyszłam na korytarz, Henry już na mnie czekał. Uśmiechnęłam się.

– Hej, serowa panienko! – przywitał się czule. – Długo kazałaś na siebie czekać. – Chwycił mnie za rękę. – No, to dokąd dziś idziemy?

– Moglibyśmy odwiedzić panią Honeycutt – zaproponowałam.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Byłam u niej zaledwie przedwczoraj, na jawie. Zrobiła mi szalik na drutach. Z moheru.

Zachichotałam.

– To fantastycznie! To jest dokładnie to, czego potrzeba człowiekowi w czerwcu! O, popatrz. – Przystanęłam, wzruszona.

Na klamce drzwi „Matthews. Księżycowy antykwariat. Książki na całe życie” wisiała trochę krzywo tabliczka, na której ktoś w wyraźnym pośpiechu nabazgrał: „JUST MARRIED – chwilowo nieczynne z powodu SZCZĘŚCIA”.

O tak, to naprawdę był idealny ślub – pomijając ten straszliwy moment, w którym Charles popatrzył na Graysona i zapytał: „Byłeś u fryzjera?”. Na chwilę wszyscy zamarliśmy jak sparaliżowani, a potem dostaliśmy ataku śmiechu wszech czasów.

– Właściwie to podobna tabliczka powinna wisieć i na moich drzwiach. – Popatrzyłam na niego promiennie. – Jeszcze kropla szczęścia więcej i pękne.

Henry objął mnie w talii i przyciągnął do siebie.

– To musimy zachować wielką ostrożność – powiedział i pocałował mnie. Tylko po to, by dziesięć sekund później odsunąć mnie od siebie i popatrzeć z udawanym rozczarowaniem. – O kurczę, nic z tego. Nie pękłaś.

Nie, nie pękłam, tylko odrobinę się rozpląnęłam. Jak zawsze, kiedy Henry mnie dotykał.

– Zapomnij, co powiedziałam. – Westchnęłam. – Szczęścia nigdy za wiele.

– Tak samo jak miłości, jak ostatnio pisze na swoim blogu Secrecy – dodał drwiąco Henry.

– Albo tajemnic – rzuciłam.

– Ach, sam nie wiem. – Skrzywił się. – Tajemnice są przereklamowane. A w ciągu ostatnich miesięcy rozwikłaliśmy ich już dość. Wystarczy mi, jeśli do końca życia będę zgłębiał już tylko jedną tajemnicę: ciebie.

– O, to było kiczowate! – Roześmiała się. – Na pewno wzięłaś to z jakiegoś filmu. Pomijając fakt, że jestem równie tajemnicza jak otwarta księga.

– Nie wiesz, o czym mówisz. – Henry odgarnął z mojego czoła kosmyk włosów. A potem pocałował mnie znowu, a ja zapomniałam, co właściwie chciałam powiedzieć. A mianowicie, że wciąż jeszcze nie rozwikłaliśmy największej tajemnicy: tajemnicy korytarzy. Dlaczego to akurat my je odkryliśmy i jak to wszystko wyjaśnić naukowo? A tak w ogóle, czy wszystko musi mieć jakieś naukowe wytłumaczenie?

Kiedy się od siebie oderwaliśmy, popatrzyłam wokół.

– Czego szukasz? – zapytał Henry.

– Czekam, aż zza rogu wyłoni się Anabel i wyszepcze tajemniczym głosem, że to jeszcze nie koniec, że to dopiero początek.

Uśmiechnął się.

– Bo tak jest. To dopiero początek.

ZAŁĄCZNIK



SPIS OSÓB:

- LIV SILVER – ma tak dużo snów
HENRY HARPER – śni wraz z nią
MIA SILVER – młodsza siostra Liv, w kręgach ekspertów nazywana również „reinkarnacją Miss Marple”, pogromczyni Secrecy
ANN MATTHEWS – matka Liv
ERNEST SPENCER – przyszły mąż Ann, ma bzika na punkcie irysów
LOTTIE WASTLHUBER – niania Liv i Mii, wierzy w dobro w człowieku
GRAYSON SPENCER – syn Ernesta, były właściciel naturalnej wielkości droida bojowego z pierwszej części *Gwiezdných Wojen*
FLORENCE SPENCER – córka Ernesta i siostra bliźniaczka Graysona
CHARLES SPENCER – brat Ernesta, stomatolog
BOCHRA – znana również jako pani Spencer, matka Ernesta, pogrążona w żałobie po bukszpanie imieniem Mr Snuggles
ARTHUR HAMILTON – były chłopak Anabel Scott, były przyjaciel właściwie wszystkich, z wyjątkiem Jaspera
JASPER GRANT – przyjaciel Henry’ego, Graysona i Arthura, były śniący, który skończył z „tą całą głupią dziecinadą z demonami i snami”
ANABEL SCOTT – była dziewczyna Arthura, niestety, kompletnie świrnięta
EMILY CLARK – była dziewczyna Graysona, jej koń nazywa się Conquest of Paradise
PERSEFONA PORTER-PEREGRIN – przyjaciółka Liv, lubi pomadki, w sumie nienawidzi broni palnej
PANI LAWRENCE – po pożałowania godnym incydencie w szkolnej stołówce była nauczycielka francuskiego Liv
SAM CLARK – młodszy brat Emily o dziwacznej moralności
DOKTOR OTTO MARTENSON ALIAS SENATOR MORT NORD –

pogrążony w śpiączce, śni, że nadal jest psychiatrą Anabel

PANI HONEYCUTT – osiemdziesięcioletnia mistrzyni robótek na drutach, która udzieliła we śnie azylu Henry’emu, Graysonowi i Liv

MURIEL HONEYCUTT – jej tak samo zakochana w robótkach siostra, zamordowana podstępnie przez swojego męża Alfreda w 1977 roku

MATT Z SĄSIEDZTWA – przystojny student prawa, który dziwi się czasem, że ma takie żywe sny

PASCAL DE GOBINEAU – konsultant ślubny pięknych i bogatych

HARRY TRIGGS ALIAS BLOODYSWORD66 – miłośnik gier RPG, pielęgniarz i niedoceniany geniusz literacki oraz nowy właściciel naturalnej wielkości droida bojowego z pierwszej części *Gwiezdnych Wojen*

TIMOTHY DONELLY – miłośnik gier RPG, początkowo kumpel Harry’ego, później bezrobotny dekarz, następnie guru sekty, a na końcu trup

RASMUS WAKEFIELD – twór powstały na użytek kłamstwa, nazwany na cześć pewnego upasionego chow-chow

Oraz, nie zapominajmy, SECRECY. Se. Cre. Cy.

W roli statystów wystąpili ponadto:

KSIĘŻNICZKA BUTTERCUP – pies rodzinny

SPOT – kocur Spencerów

BEN RYAN – sika do stojaka na parasole, kiedy myśli, że nikt nie widzi

MAISIE BROWN – czasem ulewa, naprawdę!! (To naprawdę była tylko lemoniada)

PAN VANHAGEN – wyrwał serce z piersi pani Lawrence (w przenośni)

GIL WALKER – stalker, który pisze listy miłosne do Mii

Ponadto pojawili się: oślica Molly i spragniony czułości krokodyl Herby, Alfred, morderca z poduszką w kwiatki, kos, kilka butelek Chateau Margaux rocznik 1972, dużo, dużo piór, torciki, ciasta, ciasteczka, bita śmietana, a także oczywiście... WĄŻ!



PODZIĘKOWANIA

Właściwie w niniejszym trzecim i ostatnim tomie nie planowałam umieścić posłowia. Czas goni. Kiedy piszę te słowa, brakuje jeszcze całej sceny finałowej, jest koniec maja (a zamierzałam oddać rękopis w marcu), a tak w ogóle i tak nikt nigdy nie czyta głupich podziękowań. Ale żeby było ciekawiej, przedwczoraj wbiłam sobie w oko pęd bambusa – i od razu, czekając na ostrym dyżurze, miałam mnóstwo czasu, żeby raz jeszcze przemyśleć sprawę posłowia. W sumie jest ono piękną okazją do powiedzenia „dziękuję”. Przede wszystkim tym, którym nie mogę wysłać e-maila, kartki czy skrzynki wina: moim czytelnikom. Dziękuję, że jesteście! Dziękuję, że śledzicie moje opowieści, że drzycie wraz z moimi bohaterami i chcecie wiedzieć, co będzie dalej. Tylko dla was każde zdanie obracam w głowie po piętnaście razy, aż nabiorę przekonania, że wreszcie brzmi odpowiednio. Są takie dni, kiedy wstaję tylko dla was, naprawdę. Ta książka jest dla was.

Kto zna moje książki, wie, że mam słabość do tajnych związków (właśnie rozważam założenie Łoży Jednookiej Damy, jeśli więc kiedyś o niej usłyszycie...), i czasem wyobrażam sobie, że ludzie, którzy lubią moje książki, w gruncie rzeczy też tworzą tajny związek, stowarzyszenie tych którzy śmieją się z tych samych rzeczy i porozumiewają się tekstami dla wtajemniczonych, których nie rozumie ten, kto nie czytał tych książek. Na przykład: „Ona jest tak samo wredna jak Bochra, ale nosi tylko czerwone ubrania, dlatego mówimy na nią Czochra”. Albo: „To raczej Grayson, nie Henry, wiesz?” (przyjaciółka od razu będzie wiedzieć, co macie na myśli J).

Tych, którzy jeszcze nie są częścią tej wspólnoty, trochę mi czasem żal. Ale tak to już jest: nie każdy może do niej należeć, to właśnie jest takie ekscytujące w tajnych związkach. Jesteśmy ekskluzywnym, elitarnym klubem śniących tancerzy, chichotków, romantyków i moli książkowych, ja zaś jestem niezmiernie szczęśliwa, dumna i pełna wdzięczności, że mogę śnić razem z wami.

Obojętne gdzie, czy nocą w nieskończonych labiryntach korytarzy we śnie, wirtualnie na www.silber-finale.de, czy w kolejnej opowieści – widzimy się!

Do zobaczenia!

Wasza

Kerstin Gier



